

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 11 (73) • ROK VIII • LISTOPAD 2001

CENA 4 ZŁ



DUDA GRACZ 12594/2000-2001

„Golgota
Jasnogórska”
JERZEGO
DUDY GRACZA

MACIEJ
KRZANOWSKI
Raport
o „śląskim zdrowiu”

AGNIESZKA
GRUSZKA
Kombatanci

KRYSTYNA
JANKOWIAK
Sto lat teatru
w Bytomiu

Rozmowa
z prof. TROMBSKIM

EWA KOSOWSKA
O przyszłość naszej
kultury

Proza BOGDANA
WIDERY

Rozmowa z MARKIEM
PEREPECZKĄ

Fronton Opery Śląskiej
w jubileuszowym
roku 100-lecia
bytomskiego teatru
po odnowieniu
elewacji.
Centralną częścią
uroczystości
będzie premiera
„Tannhäsera”
R. Wagnera
1 grudnia.
O dziejach tego obiektu
w służbie
kultury i sztuki –
szkic na stronach
38-42.

Foto: Józef Wróbel



◀ Znakomity prozaik,
autor cenionych powieści,
zbiorów opowiadań,
a także
zbiorów esejów,
– Jan Pierzchała,
ukończył 80 lat.
Uroczyste spotkanie
z Jubilatą
było okazją
do przekazania
gratulacji
i rozmów
o literaturze

Czytaj na str. 46-47



Foto: Tomasz Zakrzewski



SPONSOR „ŚLĄSKA”

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 11 (73). Rok VIII. LISTOPAD 2001 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21
e-mail: slask@alfa.com.pl
www.miesiecznik.silesia.top.pl

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny
e-mail: kijonka@alfa.com.pl
FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
e-mail: felix@alfa.com.pl

WIEŚŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji
e-mail: wk@alfa.com.pl
KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny
e-mail: k.karwat@dz.com.pl

MARIAN KISIEL 0-01 967
dział krytyki i eseju
e-mail: marian@alfa.com.pl
ANDRZEJ KUŚNIERCZYK
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny 16.11.
MIROŚLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA
PAWEŁ GARDAWICKI
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel/fax 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-084 Katowice,
ul. Opolska 22, tel. 2597-271 w. 107

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do
druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpłatnie - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO II Oddz. Katowice 1020326-746272-270-1-111. Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza - 4 zł
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X
Numer zamknięto 27.09.2001 r.

W NUMERZE:

Tadeusz Kijonka GAUDEAMUS Z CIERNIEM	2
Jarosław Tomasiewicz PIERWSZA BITWA TRZECIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ	6
Maciej Krzanowski RAPORT O „ŚLĄSKIM ZDROWIU”	10
Agnieszka Gruszka KOMBATANCI	12
Barbara Gruszka-Zych WIERSZE	16
Rozmowa z prof. dr hab. Markiem Trombskim WIWAT AKADEMIA!	18
Rozmowa z Jerzym Dudą Gracem W MIEJSCU, GDZIE SCHODZI SIĘ CO DNIA POLSKA	22
Maciej Marchwicki WIERSZE	27
Mateusz Babak GLIWICE WCZORAJ I JUTRO	28
Bogdan Widera NIEPOCAŁOWANA ŻABA	32
Rozmowa z Markiem Perepeczką KOCHAM STARY, NIEMODNY TEATR	36
Krystyna Jankowiak STO LAT GMACHU OPERY ŚLĄSKIEJ	38
Ewa Kosowska O PRZYSZŁOŚĆ NASZEJ KULTURY	44
Jan Pierzchała CO BYŁO A CO POWRACA	46
Jerzy Sadowski ŚLĄSKIE FORTYFIKACJE	48
Lucyna Waszkowa WIERSZE	51
Rozmowa z Haliną Markiewiczową TO WIĘCEJ NIŻ ZAWÓD	52
Józef Górdziałek FENOMEN JERZEGO PILCHA	55
Wilhelm Przeczek W OBRONIE SŁOWA	59
Piotr Zaczekowski GLIWICKI IMPULS	64
Rozmowa z prof. Januszem Karbowniczkim DIALOG I POSZUKIWANIE	65
Stefan Szymutko O REGIONIE	78
Mirosław Ponczek ZADYMY I SZALIKOWCY	79
Wilhelm Przeczek PODRĘCZNIK JULIUSZA WATROBY	80
Krzysztof Karwat POCHWAŁA PROSTOTY I ŁADU	80

LISTY	2
ŚLĄSKI MIESIĄC	4
POZA KADREM	21
Feliks Netz ANGELUS	21
POWROTY	43
Marian Kisiel RADOŚĆ LEKTURY	43
EKOLOGIA	56
Jan Rzymelka DLACZEGO SKRZEKOTY NIE CZUSZYKAJĄ?	56
PEJZAŻ MITOLOGICZNY	57
Antoni Halor O MARUDERACH, ROZBÓJNIKACH I FRANCUSKICH GROBACH	57
ODCZYTYWANIE ŚLĄSKA	58
Józef Radziwiński TAK DALEJ BYĆ NIE MOŻE	58
Rozmowy z ks. prof. Józefem Tischnerem	60
OBJAŚNIANIE BIBLI (OSTATNI)	62
PODKOPKI	66
EDUKACJA REGIONALNA	67
PREZENTACJE. WYDAWNICTW. LEKSYKON WIEDZY O REGIONIE	66
Zbigniew Kadłubek SCHERFFENSTEIN - ORGANISTA, POETA, TŁUMACZ Z GŁUBCZYC	67
PROMOCJA	68
Wiesława Konopelska ZIEMIA PSZCZYŃSKA WEDŁUG HINDENBERGA	68
TEATR	69
Krzysztof Karwat BOHATER JEST ZMĘCZONY	69
KONFERENCJA	70
Halina Gerlich DYSKURS O TOŻSAMOŚCI	70
MIASTA	71
Magdalena Dziadek MUZYKA	71
KSIAŻKI	72
Paweł Majerski MIĘDZY PRETEKSTEM	72
A KONKLUZJA	73
Feliks Netz NIC I OŚĆ	74
Jerzy Paszek PISARSKI PRZEBYT I NIEBYT	75
Tadeusz Kijonka PAMIĘĆ	76
Marcin Halaś SPRAWDZONA DROGA	76
Sławomir Matusz ZARAŻONY WOJACZKIEM	76
Wiesława Konopelska HOLOCAUST OZCZAMI DZIECKA	77
Halina Witek JESIEŃ, KORONA I BEATRYCZE	77
Wojciech Janota GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	81
NOTATNIKI KULTURALNE	82
Wiesława Konopelska KATOWICE	84
Jan Picheta BIELSKO	85
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	86
Marek Świercz OPOLE	87
Jacek Sikora ZAOLZIE	88
LISTY	88

Pismo
wspierane
finansowo przez:
ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO



URZĄD
MIASTA
KATOWICE



oraz
MINISTERSTWO
KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

W kolorze:

● Galeria Sztuki Współczesnej ESTa w Gliwicach (str. A) ● Janusz Karbowniczek - malarstwo (str. B) ● Jan Młodziejewicz - plakaty (str. C) ● Znaki i Tworze Miasta Katowice - Odsłonięcie tablicy poświęconej Marianowi Sołbańskiemu - dyrektorowi Teatru Śląskiego w latach 1927-1939 (str. C)

Na okładce:
Stacja XIII „Golgoty Jasnogórskiej” pędzla Jerzego Dudy Gracza

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.
e-mail: zagran@pol.pl

z listów do redakcji

W 110. rocznicę urodzin Gustawa Morcinka

Dnia 25 sierpnia 2001 r. prawie niepostrzeżenie minęła 110 rocznica urodzin piewcy ziemi śląskiej, GUSTAWA MORCINKA. Wśród górników, z których kręgu się wywodził zyskał wielką popularność poświęcając im wiele swoich książek.

Jako nauczyciel stał się wielkim przyjacielem i orędownikiem zagłębiowskiego pisemka młodzieży szkół powszechnych w Zagłębiu Dąbrowskim. Liczebnością wydanych numerów (47) od grudnia 1931 r. do marca 1938 r. znacznie przewyższyło pokrewne, nieregularnie wydawane periodyki ówczesnych szkół średnich w Zagłębiu. Inspiratorem i opiekunem pisma był Lucjan Balcerowski, nauczyciel Szkoły Powszechnej nr 3 w Dąbrowie Górniczej, gdzie mieściła się również redakcja „POWSZECHNIKA”.

Treścią pisemka były najczęściej artykuły pisane przez dzieci i młodzież. Zamieszczano też udane przykłady debiutów poetyckich, wiadomości o regionie pisane przez nauczycieli. W pozycjach regionalnych najbardziej ceniono opowiadania Gustawa Morcinka. Pisarz udzielił redakcji zgody na publikowanie swoich artykułów i opowiadań, nie żądając honorarium. Przyznał się również do popularyzacji pisemka zamieszczając o nim spory artykuł w „GAZETIE POLSKIEJ”. Teraz jako periodyk zagłębiowski „POWSZECHNIK” zaczął docierać do Mysłowic i Katowic, gdzie zainteresowały się nim miejscowe władze oświatowe.

Na V Zjeździe „POWSZECHNIKA” w 1936 r. pod hasłem zbliżenia Śląska i Zagłębia zastanawiano się nad wspólnymi działaniami dzieci po obydwu stronach rzeki BRYNICY. Gościem zlotu wraz ze swoimi uczniami ze Skoczowa był Gustaw Morcinek. Wzbudził wielki zachwyt wśród uczestników opowiadając bajki śląskie swoją gwarą beskidzką.

Dobrze układającą się współpracę młodzieży mogła przynieść pożądaną owoce. Niestety zawiodły finanse, z jakimi stałe borykała się redakcja. Nikt nie dotował „PO-

WSZECHNIKA” drukowanego ze skromnych wpływów własnych i składał członkowskich. Zawiedli również ci, którzy z urzędu powinni się interesować takimi działaniami młodzieżowego czasopisma. Morcinek zawitał do Dąbrowy Górniczej jeszcze w marcu 1939 r. gromadząc na spotkaniu autorskim w sali „RESURSY” prawie dwieście osób.

Po II wojnie światowej pisarz zaglądał jeszcze kilkakrotnie do Dąbrowy Górniczej zapraszany przez miejscowy Klub Literacki.

WŁODZIMIERZ
STAROŚCIAK
W sierpniu 2001 r.

Liceum Ogólnokształcące w Bytomiu przy ul. Strzelców Bytomskich 9, noszące imię Jana Smoleń, pierwszego powojennego tragicznie zmarłego w 1945 r. kuratora śląsko-dąbrowskiego, jest kontynuatorem Polskiego Gimnazjum w Niemczech założonego w 1932 r., działającego do września 1939 r. (por. „Dzieje Górnośląska w latach 1816–1947” — Instytut Śląski w Opolu 1981 r. str. 360–361 i 453–455).

Po wojnie dla absolwentów 4-letnich gimnazjów utworzono dwie klasy — humanistyczną i przyrodniczą. Nauka w liceum trwała dwa lata. Uczęszczałam do klasy typu humanistycznego (1946–1948). W maju 1948 r. przeprowadzona została tam pierwsza po wojnie matura, którą zdało 27 uczniów.

W roku 1973 („srebrny” jubileusz matury) odbyło się pierwsze spotkanie maturzystów rocznika 1948 z udziałem profesorów. Od tego czasu — rocznie (!) — spotkania te są powtarzane, co stanowi niewątpliwie ewenement. Niestety nie ma już żadnego pedagoga (wszyscy zmarli) oraz znacznej części kolegów (też nie żyją, choć pamięć o nich jest wciąż żywa).

Spotykamy się w ostatnią sobotę maja między godz. 12 a 13 w szkole w naszej dawnej klasie. Jest nas już tylko mała garstka. Przychodzi każdy, kto może. Przebieg tych spotkań obrazują załączone teksty prasowe. Stroną organizacyjną zajmuję się kolega dr med. Artur Wentkowski.

STEFAN CEBULSKI
(Chorzów)

Sprostowanie

Z przykrością stwierdziliśmy, że do recenzji Sławomira Matusza o książce Edwarda Szopy pt. „Chińska róża”, zamieszczonej w „Śląsku” nr 8 wkraśl się błąd: Wydawcą książki było Wydawnictwo „Śląsk” a nie, jak omyłkowo podaliśmy — „Książnica”. Wydawcę, Autora i Czytelników przepraszamy.

Początek roku akademickiego ma swój stały obrzędowy rytm, z podniosłym „Gaudeamus...”, orszakami senatu w togach i zawsze wzruszającą immatrykulacją studentów. Także sami cofamy się wówczas na chwilę do tego oczekiwanego dnia rozbudzonych nadziei, skoro rozpoczęcie studiów jest również aktem nobilitacji. To zawsze ważna graniczna data otwierająca rozległą przestrzeń życiowych aspiracji, choć to dopiero początek drogi pełnej niewiadomych.

Od kilku lat dane mi jest uczestniczyć w roli gościa w inauguracji roku akademickiego na śląskich uczelniach. Tym razem przeżywałem jednak ten doroczny rytuał ze ściśniętym sercem. Nie tylko dlatego, że wtopiona w studencką ciżbę przystąpiła do aktu immatrykulacji także moja córka, przejęta oczywiście tą ceremonią, choć bez ostentacji. W pamięci pulsowała wciąż tamta niepokojąca liczba wyrażająca wskaźnik rosnącego bezrobocia także wśród osób z wyższym wykształceniem, obejmująca w większości absolwentów, z których coraz więcej po ukończeniu studiów nie może znaleźć pracy. Jeśli do niedawna wskaźnik ten wynosił 2 proc. bezrobotnych w tej grupie, co było mimo wszystko faktem krępującym, ostatnio wzrósł już do 8 proc., zaś prognozy nie zapowiadają zatrzymania, czy ograniczenia tego procesu. Wręcz przeciwnie: wszystko uzasadnia raczej obawy, że będzie jeszcze gorzej. Co roku setki tysięcy absolwentów wszelakich uczelni wyższych napierają na niestabilny rynek pracy, który rządzi się nieprzewidywalnymi prawami gospodarki w stanie chronicznej arytmii i postępującej recesji.

To dziś dominujący problem polskiego życia — bezrobocie, które od kilku lat nie tylko wzrasta, ale może osiągnąć niedługą — a nawet przekroczyć — poziom 20 proc., bez skutecznego szans rychłego zablokowania tego porażającego procesu o katastrofalnych następstwach. Kiedy więc tego dnia wpatrywałem się w promienne twarze studentów podczas aktu immatrykulacji, gdy obserwowałem rozgorączkowane grupy studiujących młodzieży, nie mogłem się uwolnić od niepokojących myśli i pytań, co ją w przyszłości czeka, a co już wielu trapi. Czy po ukończeniu studiów, zdobytych często nie bez wielkich obciążeń finansowych, będzie mogła rozpocząć godny start życiowy, czy też nastąpi upokarzające wystawienie w urzędach zatrudnienia i kierowanie ofert bez odpowiedzi. Te obawy i rozterki towarzyszą dziś wielu rozpoczynającym studia coraz bardziej poruszonych wysokim bezrobociem.

Psychoza lęku o przyszłość będzie niestety narastać, jeśli bulwersujące prognozy potwierdzą w tej grupie kolejne sondaże. Do niedawna panowało optymistyczne przekonanie, utwierdzone oficjalnie, że studia wyższe zapewniają w miarę stabilną przyszłość i stanowią gwarancję znalezienia satysfakcjonującej pracy, jeśli nawet nie do końca zgodnej z kierunkiem studiów i trzeba nawiązać się na przekwalifikowanie. Tak zresztą się dzieje, co skwapliwie bywa przypominane, w krajach wysoko rozwiniętych, gdzie każdy kilkakrotnie zmienia zawód w zgodzie z regulami cywilizacyjnego postępu. Dostosowanie do zmiennych potrzeb rynku pracy wymaga znacznej mobilności, częstych przemian i elastyczności w adaptacji zawodowej, co gwarantują szczególnie studia o szerokim profilu programowym. Czasy gdy można było w państwowym przedsiębiorstwie, czy instytucji, pracować do emerytury, nie zmieniając nawet adresu, minęły bezpowrotnie — i tego faktu nic już nie zmieni, na co wiele dowodów a i życiowych katastrof... dopowiadają znawcy problemu. Jest to jednak szczególnie ważne dla obszarów takich jak Śląsk, gdzie monolityczny ciężki przemysł wiązał ludzi przez pokolenia... a teraz?!

Teraz już tysiące tegorocznych absolwentów błąka się w poszukiwaniu pracy zgodnej z kwalifikacjami i doświadcza poczucia zbędności. Czy po agonii masowego ongiś szkolnictwa zawodowego i nieodwracalnym regresie średnich szkół technicznych, dla których już także nie ma być miejsca, również szkolnictwo wyższe może wejść w fazę chronicznego kryzysu, no bo jeśli studia nie okażą się kapitałem na życie, w co wielu chce nadal wierzyć?

W tym roku na uczelniach wyższych wszelkiego typu rozpoczęło w Polsce rok akademicki łącznie około 1,6 mln studentów i jest to liczba wysoka, potwierdzająca gorączkowy w ostatnich latach trend do zdobywania wyższego wykształcenia, dzięki czemu około 40 proc. maturzystów podejmuje

już studia. Nie wchodząc w szczegóły, a więc i w to jak zmieniają się preferencje z wyraźnym obniżeniem zainteresowania studiami politechnicznymi i rolniczymi, fakt pozostaje faktem: napór na studia trwa. Przede wszystkim na studia dzienne w uczelniach państwowych, gdzie niektóre kierunki są od kilku sezonów wręcz obłożone a na 1 miejsce przypada nierzadko po kilkunastu kandydatów. Toteż stało się normą, iż wielu zdaje na kilka kierunków by zabezpieczyć sobie względnie korzystną pozycję wyjściową, nawet jeśli starania nie pokrywają się w końcu z autentycznymi zainteresowaniami. Znaleźć się na liście przyjętych na studia dzienne, nie tylko (mimo wszystko) bezpłatnie, ale zapewniające z reguły wyższy poziom, nie mówiąc już o uczelniach przodujących od lat w rankingach, na czele z Uniwersytetem Jagiellońskim i Warszawskim.

Tych miejsc jest jednakże około 10 proc. w stosunku do liczby łącznej na wszystkich uczelniach, uwzględniając rozbudowane ponad wytrzymałość studia wieczorowe, zaoczne i eksternistyczne (jak wiadomo - płatne, to zaś ponad 50 proc. miejsc). W minionym dziesięcioleciu doszło równocześnie do żywiołowego rozwoju różnego typu uczelni niepaństwowych, których jest już w Polsce 216 i kształcą ponad 500 tys. studentów, co oznacza, że co trzeci student ma indeks takiej właśnie szkoły wyższej. Są pośród nich uczelnie o wysokim prestiżu, w tym 47 z uprawnieniami magisterskimi, choć zaledwie 3 z prawami nadawania tytułów doktorskich.

Gaudeamus z cierniem

TADEUSZ KIJONKA

Właśnie te uczelnie (niepaństwowe, czy niepubliczne - nazwy wymienne...) zmieniły zasadniczo mapę polskiego szkolnictwa wyższego, skoro powstały i funkcjonują nierzadko w ośrodkach odległych od centrów, głównie w oparciu o lokalny nabór. Skoro już płacić za studia - najtaniej wychodzą na miejscu, w bezpośrednim zasięgu. Wysoki prestiż Wyższej Szkoły Biznesu w Nowym Sączu, która jako uczelnia prywatna zdobyła wyjątkową renomę, ma wpływ na nieźle samopoczucie wielu uczelni niepaństwowych, w tym często o mizernym poziomie, skazanych na negatywną selekcję kandydatów, często o zredukowanych już osobistych aspiracjach po wcześniejszych nieudanych egzaminach wstępnych. Wszyscy oni za studia płacą, więc są podstawą bytu tych uczelni, w większości o lokalnym prestiżu i niskim poziomie, mających coraz większe trudności z naborem. Które z nich ostaną się i przetrwają - okaże przyszłość, gdy minie kończąca się fala demograficznego wyżu. Nastąpi wtedy wnet ostra selekcja w tej grupie uczelni a i ograniczenie miejsc na studiach wieczorowych i zaocznych, gdzie czesne wynosi przecież nie tak mało i ktoś te koszty ponosi, skoro przez kilka lat na studia łoży.

Bezrobocie jako niebezpieczeństwo już realne, zagrażające dziś także absolwentom wyższych uczelni, skoryguje zapewne panujące dotąd przekonanie, że nie ma pewniejszego kapitału ani lepszej inwestycji życiowej niż studia. Postępująca recesja gospodarcza, upadek kolejnych zakładów pracy, w tym wielkich przedsiębiorstw państwowych, rzutuje na obecną sytuację na rynku pracy. Dla znacznej części młodzieży studia w tej sytuacji stają się swoistym okresem ochronnym przed nieuniknionym zderzeniem z rzeczywistością, która nie rysuje się krzepiąco. Toteż wielu studentów nastawionych pragmatycznie usiłuje już teraz zapewnić sobie dorywcze zatrudnienie aby móc się wykazać stażem pracy, skoro nieznany jeszcze przyszły pracodawca i ten warunek coraz częściej stawia: przedłożenie świadectwa aktywności zawodowej jako potwierdzenie przedsiębiorczości i samodzielności życiowej.

Do niedawna najlepszą gwarancją zapewnienia sobie miejsca na rynku pracy były studia i związane z nimi kwalifikacje. Toteż kosztem niemalych wyrzeczeń i obciążeń finansowych wyższe wykształcenie staje się wcale często inwestycją rodzinną.

W tej sytuacji ten skok: z 2 proc. — do 8 proc. bezrobotnych absolwentów jest złowieszczy, skoro młodego człowieka po studiach może czekać los osoby skazanej na „kuroniówkę”. Szczególnie jest to groźne w miejscach napiętnowanych tzw. „strukturalnym bezrobociem” gdzie brak jakichkolwiek nowych perspektyw i oznak przełomu. I nie jest żadną pociechą, że bez wykształcenia jeszcze trudniej znaleźć zajęcie, co potwierdza katastrofalna statystyka rzutująca na stan nastrojów z poczuciem życiowej degradacji często już na samym starcie.

A przecież w latach minionej dekady bezwzględnych praw zdziczalego kapitalizmu i neoliberalnych reguł gospodarczych wyeliminowane zostały całe grupy z dostępu do awansu zawodowego i społecznego. Teraz o wszystkim decyduje stan posiadania, przemoc pieniądza, pochodzenie, miejsce zamieszkania i dom, gdzie się kto urodził. Realnie biorąc, o czym szerzej pisałem już także przed 3 laty, dziecko wiejskie jest niemal całkowicie pozbawione możliwości wyrwania się z macierzystego środowiska i zdobycia wykształcenia. Zaledwie co piąte z rodziny robotniczej ma szansę podjęcia i skończenia studiów. I ten stan trwałego upośledzenia społecznego w każdej niemal dziedzinie stał się fatalną normą polskiego życia.

Nawet nie ma co pytać, w jakim stopniu nad tą ponurą sytuacją panuje nasze państwo: co może skorygować, co zmienić, co zapewnić i jakich instrumentów użyć by wypełnić swe konstytucyjne zobowiązania. Państwo polskie utraciło niestety kontrolę nad całymi polaciami życia i ma dziś ograniczony wpływ na realizację strategicznych narodowych celów, co jest wynikiem coraz bardziej ograniczonej suwerenności gospodarczej, czego następstwem w znacznej mierze jest także dotkliwie bezrobocie. Bezradność państwa, które nie może zapewnić bezpieczeństwa osobistego i socjalnego na elementarnym poziomie całym grupom społecznym doszła do granic najwyższego zagrożenia. Co jednak w tej sytuacji stanie się z naszym największym kapitałem narodowym: utalentowaną młodzieżą o wysokich aspiracjach, która postawia na wyższe wykształcenie bez względu na wyrzeczenia i koszty?

Dogmatyczni euroentuzjaści stwierdzą zapewne, że najzdolniejsi, najlepiej wykształceni, często po zagranicznych praktykach i stażach, a już nade wszystko wyselekcjonowani stypendyści obcych uczelni znajdą zawsze satysfakcjonujące zajęcia i to w przodujących krajach Unii. Lecz jak liczna jest to grupa na przykład na Śląsku w stosunku do blisko 170 tysięcy studiującej tutaj młodzieży (2 miejsce po województwie mazowieckim z Warszawą). No i co ostatecznie ta perspektywa życiowa oznacza, jeśli nie rozstanie z krajem ojczystym, który w coraz większym stopniu skazany jest na nieuchronny drenaż najbardziej uzdolnionej i najlepiej wykształconej młodzieży.

Nie w tym jednak rzecz, iż najzdolniejsi w swoich rocznikach, szczególnie obcy i przedsiębiorczy, mający przy tym odpowiednie oparcie rodzinne, godne miejsce w życiu znajdując. Co z resztą polskiej młodzieży, w swej masie studiującej, która już także zagrożona jest postępującym bezrobociem. Kto tedy odpowiada za zapewnienie jej przyszłości, czy nikt poza każdym zainteresowanym osobiście, aby wkuć się w niestabilny rynek pracy, którego przecież nie ma, zaś bezsilność państwa została dowiedziona.

Nie mogłem oprzeć się przed tymi pytaniami i rozterkami gdy rozbrzmiewało tegoroczne „Gaudeamus...” a oczy i twarze rozpoczynających studia istotnie promieniowały radością. Mój Boże, gdzie oni wszyscy się potem podzieją, co ich czeka za lat kilka, skoro już teraz znaczna część absolwentów — i to po studiach dziennych, w uczelniach z dużym prestiżem, błąka się w poszukiwaniu pracy. A pozostali?... przecież owe 8 proc. bezrobotnych dziś absolwentów to proporcjonalnie blisko połowa wskaźnika polskiego bezrobocia, które przekroczyło już 16 procent.

Zapewne młodzież po studiach ma i będzie miała zawsze większe szanse życiowe, bo w cenie są wysokie kwalifikacje. Prognozy jednak są niepokojące, bo i co one oznaczają w przypadku śląskiej młodzieży, gdy w tylu miejscach zapadły się naraż wielkie skupiska stabilnej dotąd pracy. A każdy taki upadek: kopalni, huty, fabryki z wielotysięczną często załogą, ma następstwa podobne do tonącego okrętu. Wiadomo, należy uciec możliwie prędko i jak najdalej, by nie zostać wessanym przez wielkie wiry. I ta psychoza też narasta na pozostawionym sobie Śląsku. Uciekać, uciekać — bo co nas tu czeka!

■ **WRESZCIE** kibice piłkarscy mieli swe święto: 1 września Polska pokonując Norwegię na Stadionie Śląskim zakwalifikowała się do finału Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej Japonia—Korea 2002. Piłkarze narreszcie przełamali chocholą niemoc, wygrywając z Norwegami aż 3:0.

■ **TEGOROCZNY V Śląski Konkurs Sygnalistów Myśliwskich** „O róg księcia pszczyńskiego” w Pszczynie „wytrąbił” zajmując I miejsce i zdobywając główną nagrodę Zespół Sygnalistów Myśliwskich „Hubertus” z Rud Raciborskich. Najlepszym solistą ogłoszono Adama Migurskiego z Nadleśnictwa Rudziniec. Wystąpił też pierwszy w Polsce zespół sygnalistek myśliwskich w składzie: Michalina Kawka, Anna Samol, Agnieszka Stachelek i Elżbieta Tyrol.

■ **NAUKĘ** w nowym roku szkolnym 2001—2002 w województwie śląskim rozpoczęło 845.865 uczniów, w tym 348.312 w szkołach podstawowych, 20.498 w gimnazjach, 79.285 w liceach. Po raz pierwszy przekroczyło próg szkoły 51.985 uczniów klas pierwszych.

■ **NA** półtorej godziny odwiedził 4 bm. premier Jerzy Buzek Liceum im. J. Słowackiego w Chorzowie, które sam ukończył 44 lata temu.

■ **ŚLĄSKA** Kasa Chorych, jako pierwsza w kraju (i podobno w Europie) zaczęła wydawać karty chipowe, zastępujące dotychczasowe książeczki zdrowia. Zdrowsi nie będziemy, ale będzie nowocześnie.

■ **STADION** Śląski wraca do łask — i słuszenie! PZPN postanowił, że ostatnie spotkanie piłkarskie z Ukrainą w eliminacjach do mistrzostw świata odbędzie się jednak na śląskim gigancie.

■ **PISARZ**, tłumacz i dziennikarz Bolesław Lubosz (rocznik 1928) zmarł 7 bm. Pogrzeb odbył się w Tarnowskich Górach.

■ **CZTERDZIEŚCI** rodzajów chleba, 20-metrowa rolada, koncert orkiestry wojskowej, konkursy — tak wyglądało Święto Chleba w Bielsku. Najcenniejszą inicjatywą: zapowiedź piekarzy i cukierników o utworzeniu Banku Chleba dla najbardziej-szych. Oby im się udało!

■ **OKOŁO** czterech tysięcy pielgrzymów — mimo złej pogody — przybyło tradycyjnie w drugą niedzielę września 9 bm. do Pszowa, do słynącego łaskami obrazu Matki Boskiej Pszowskiej zwanej przez pątników i miejscowych Matką Boską Uśmiechniętą. Ceremoniom i modłom przewodniczył metropolita górnośląski abp Damian Zimoń.

■ **KATOWICE** otrzymały w tym roku trzy fontanny: na placach Miarki i Wolności oraz przed Urzędem Wojewódzkim. Koszt jednej fontanny wynosi 400 tys. zł.

■ **ŚLĄSCY** policjanci przekazali już 2000 materaców, 1000 koców, 500 poduszek, 500 śpiworów, 1500 podglówek, 4500 poszewek, kilkadziesiąt dużych garnków, ponad 1000 talerzy dla poszkodowanych przez powódź. Dary pochodzą z policyjnych magazynów.

■ **ZNISZCZONA** przez powódź nowosądecka gmina Łososina Dolna otrzymała od Żor — decyzją Rady Miejskiej — 25 tys. zł na usuwanie skutków powodzi.

■ **JEDEN** z ostatnich żyjących powstańców śląskich, Józef Dziubany, udekorowany został 11 bm. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

■ **TRAGICZNY** dla Stanów Zjednoczonych i całego cywilizowanego świata dzień 11 września odbił się echem i na Śląsku w panikarskiej formie. Na stacjach benzynowych na Śląsku ustawily się kolejki samochodów. Wiele kierowców przybyło z kani-



strami obawiając się podwyżki cen. Zanotowano również tłok w kantorach, zaostrożono kontrolę graniczną.

■ **JUŻ** po raz drugi filia Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej zorganizowała Festiwal Nauki i Sztuki, który rozpoczął się 12 bm.; impreza ma zachęcić młodzież do studiowania na uczelniach blisko domu i pokazać, że sztuka i nauka to naprawdę ciekawe rzeczy.

■ **PIERWSZY** w regionie ośrodek badań prenatalnych otwarto w Rudzie Śląskiej.

■ **KATOWICKI** Oddział Instytutu Pamięci Narodowej udostępnił od 13 bm. wszystkim zainteresowanym archiwum z materiałami zgromadzonymi przez służby bezpieczeństwa PRL-u. Kserokopie tych dokumentów będzie można zabrać do domu.

■ **WIECZOREM** 15 bm. mieszkańcy osiedla Paderewskiego w Katowicach uczcili pamięć ofiar zamachów w Nowym Jorku i Waszyngtonie zapalając białe świece na placu przed Pomnikiem Żołnierza Polskiego.

■ **PODCZAS** dnia otwartego budowy Akademickiego Centrum Medycznego w Zabrze przedstawiciele Śląskiej Akademii Medycznej zapewnili, że będą pieniądze na dalszą budowę Centrum. Prof. Z. Religa wręcz zarzucił kłamstwo tym, którzy twierdzą, że centrum to zbędny moloch.

■ **POMNIK** nagrobny żołnierzy organizacji niepodległościowych, pomordowanych w latach 1945—1956 na mocy wyroków komunistycznych sądów wojskowych odsłonięto i poświęcono 16 bm. na cmentarzu w Katowicach Panewnikach.

■ **ZA** postawę i ofiarność podczas lipcowej powodzi Czesław Kozok, komendant Wojewódzkiego Ośrodka Szkolenia Straży Pożarnej w Katowicach, został awansowany na stopień starszego brygadiera i odebrał Laur Jerzego Buźka 2001.

■ **PRAWIE** czterometrowy krzyż poświęcono 17 bm., w 62. rocznicę najazdu sowieckiego na Polskę, przed Grobem Policianta Polskiego w Katowicach.

■ **RYNEK** w Czeladzi nosi od 17 bm. nazwę placu Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

■ **KATOWICKI** Pałac Młodzieży działa już pół wieku. Z tej okazji kierownictwo Pałacu postanowiło zorganizować zlot wychowanków.

■ **KILOMETROWY** ODCINEK Drogowej Trasy Średnicowej w Chorzowie oddano do użytku w obecności premiera, mini-

stra i ponad stu innych gości — urzędników od wojewódzkiego szczebla w dół. Gdyby ich ustawić wzdłuż oddanego odcinka, co 10 metrów stałby ktoś „ważny”...

■ **NIEDZIELA**, 23 września — dzień wyborów kandydatów do Sejmu i Senatu. Wyборы przeszły spokojnie, bez widocznego większego zainteresowania. Wieczorem ogłoszono w mediach wstępne, nieoficjalne wyniki potwierdzające zwycięstwo Sojuszu Lewicy Demokratycznej, choć nie w takiej skali o jakiej marzyła. Natomiast klęska prawicy była zgodna z przewidywaniami — całkowita.

■ **GÓRNOŚLĄSKIE** Koło Ornitologiczne ma już 20 lat i skupia około stu miłośników ptaków. Obecnie pracują nad swym „pomnikowym” dziełem — przygotowują monografię ptaków Śląska.

■ **BIELSKIE** Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego obchodzi w tym roku swe półwiecze. Wykształciło 5.843 absolwentów, wśród nich tak znanych jak Jerzy Stuhr i Wiesław Dymny.

■ **PROFESOR** Józef Dubiński został naczelnym dyrektorem Głównego Instytutu Górnictwa. Dotychczasowy dyrektor Adam Graczyński jest senatorem z listy SLD-UP.

■ **METROPOLITA** górnośląski abp Damian Zimoń poświęcił 25 bm. kościół wotum pw. Matki Kościoła Niepokalanej Jutrzenki Wolności. Przejmie on funkcję kościoła parafialnego, którym dotychczas był zabytkowy kościółek pw. św. Michała w katowickim Parku Kościuszki. Proboszczem i budowniczym sakralnego zespołu parafialnego jest ks. Władysław Kolorz.

■ **POSZUKIWANIE** nowego lokum dla dzieci z Placówki Humanitarno-Opiekuńczej Jacka Pikuly zakończyło się szczęśliwie. Dzieci otrzymały mały domek, który jednak trzeba będzie wyremontować, wypocować, ozdobić.

■ **NIECODZIENNY** gość odwiedził 26 bm. wystawę „Budapeszt 1956” w galerii Piętro Wyżej w Górnośląskim Centrum Kultury. Była nim pani Judit Maletter, wdowa po straconym w 1958 r. węgierskim generale Pal Maletterze, jednym z bohaterów powstania węgierskiego w 1956 r.

■ **PRZEDSTAWICIELE** Departamentu Handlu i Rozwoju USA Przekazali Urzędowi Miejskiemu w Bytomiu 115 tys. dolarów na opracowanie studium nowoczesnej technologii usuwania niebezpiecznych i toksycznych substancji z odpadów komunalnych i przemysłowych.

■ **NA** jubileusz 15-lecia Kliniki Kardiologii Dzieci w Śląskim Centrum Chorób Serca przybyła m.in. jej współzałożycielka dr Lidia Goldstein, która założyła rodzinę w Szwecji.

■ **DYREKCJA** bielskiego Fiata Auto Poland zamierza zwolnić 700 osób. Produkcja samochodów zmalała bowiem o połowę.

■ **ZJAZD** Klubu Najstarszych Szkół w Polsce odbył się 28 bm. w Pszczynie. Klub skupia ok. 100 szkół. Najstarszą jest słynne Liceum Ogólnokształcące im. Nowodworskiego w Krakowie (1588 r.); najmłodsza szkoła to Zespół Szkół Budowlanych w Zakopanem — ma zaledwie 125 lat...

■ **NAJLEPSI** strażacy spotkali się na Powiatowych Zawodach Pożarniczych w Żywcu i Bielsku-Białej wyłonieni w gminnych eliminacjach. W Żywcu wygrali reprezentanci gminy Świnna, strażacy z OSP w Przyłękowie. W Bielsku-Białej zwycięzcami zostali strażacy z Komorowic Śląskich. Wśród pań w Żywcu, zwyciężyła drużyna z Szarego, w Bielsku-Białej z Kobiernic.

Jeśli telefonujesz dużo - nie musisz robić nic. Ale jeśli rozmawiasz mało, lub prawie wcale - policz, czy nie ma sensu zmiana taryfy. Zrób tak też, jeśli często prowadzisz rozmowy międzystrefowe, albo wiele czasu spędzasz w Internecie.

Od 1 lipca Telekomunikacja Polska S.A. proponuje abonentom z niektórych obszarów (Gliwice, Katowice, Rybnik) trzy nowe pakiety taryfowe: „Standardowy”, „Niedrogi”, „Oszczędny”. Od 1 września oferta wzbogaci się jeszcze o pakiet „Aktywny” i będzie dostępna dla wszystkich klientów.

Trzy pakiety (wyjątkiem jest „Standardowy”) zawierają bezpłatne impulsy. Abonenci, którzy je zamówią będą mogli rozmawiać bezpłatnie od 30 do 210 minut.* Posiadacze pakietów „Standardowego” i „Aktywnego” mogą też korzystać z niezwykle taniego dostępu do Internetu. Za 73,20 zł miesięcznie mogą surfować po sieci przez 30 godzin. W pakiecie „Aktywnym” bezpłatne są też niektóre usługi dodatkowe, np. gorąca linia, połączenie trójstronne, czy PG-SMS (posiadacze telefonów komórkowych sieci IDEA otrzymują SMS-y informujące o informacji oczekującej w poczcie głosowej telefonu stacjonarnego w sieci TP S.A.

Pakiet „Oszczędny”

Przeznaczony jest dla osób, które rzadko korzystają z telefonu, wykonują przede wszystkim połączenia lokalne i międzymiastowe i nie korzystają z Internetu.

Stanowi jedną z najatrakcyjniejszych cenowo ofert na rynku. Za najtańszy abonament, 28,06 zł, klient otrzymuje 15 bezpłatnych impulsów,



Nowe pakiety taryfowe Telekomunikacji Polskiej S.A.

co pozwala na 45 do 90* darmowych minut rozmowy. Połączenia międzymiastowe nie są droższe niż w pakietach „Niedrogi” i „Standardowym”.

Pakiet „Niedrogi”

Powinieneś go wybrać jeśli chcesz kontrolować wydatki na telefon, a z Internetu korzystasz bardzo rzadko. Za 36,60 zł miesięcznego abonamentu otrzymasz 10 darmowych impulsów, co pozwala na 30 do 60* darmowych minut rozmowy, abonament jest tańszy od „Standardowego”, a połączenia tańsze niż w pakiecie „Oszczędnym”.

Pakiet „Standardowy”

Jeśli często korzystasz z telefonu i Internetu nie zmieniaj abonamentu. Po pierwsze, połączenia w tym pakiecie są jeszcze tańsze niż w pakietach „Oszczędnym” i „Niedrogi”. Po drugie, pakiet ten daje możliwość zamówienia tańszego dostępu do Internetu dzięki zryczałtowanej opłacie (73,20 zł za 30 godzin).

Pakiet „Aktywny”

To propozycja dla osób, które dzwonią często, przeprowadzają wiele rozmów międzystrefowych do

sieci telefonii komórkowych oraz długo przebiegają w Internecie.

Pakiet ten zawiera 35 bezpłatnych impulsów, co umożliwia 105 do 210* darmowych minut rozmowy, najtańsze połączenia lokalne i międzystrefowe. Umożliwia też, dzięki zryczałtowanej opłacie i obniżonej taryfie, tańsze korzystanie z Internetu.

Jak zamówić

Abonenci dotychczas korzystający z pakietów „Standardowego” i „Oszczędnego”, których zadowala obecna taryfa, nie muszą robić nic, gdyż zostaną zakwalifikowani automatycznie. Zamówienie pakietów: „Oszczędnego”, „Niedrogi” i „Aktywnego” oraz dowolnego zestawu pozostałych usług oferowanych w ramach poszczególnych pakietów wymaga złożenia zamówienia w Biurze Obsługi Klientów. Zamówienie może być złożone na czas nieokreślony lub na konkretny czas.

Także w Biurach Obsługi Klientów dostępne są postanowienia ogólne, zasady zamawiania oraz regulamin. Można je także znaleźć w Internecie (pod adresem: www.tpsa.pl/pakiety) lub dzwoniąc pod bezpłatny numer 0-800 22 11 33.

* - w zależności od rodzaju połączenia i pory dnia

PRESELEKCJA DOBRA NA PREFIKS

Nie ma co ukrywać, wprowadzenie prefiksów nie ułatwiło nam życia. Konieczność wybierania jeszcze większej niż dotąd ilości cyfr, w celu uzyskania połączenia międzystrefowego, wielu abonentów odbiera jako sporą niedogodność. Właśnie dla nich, wymarzone wręcz rozwiązaniem jest - proponowana przez Telekomunikację Polską S.A. - preselekcja.

Zlecając TP S.A. preselekcję można uniknąć konieczności wybierania ciągu cyfr wydłużonego o cztery cyfry prefiksu. W takim przypadku, centrala będzie automatycznie kierować wszelkie rozmowy międzystrefowe przez sieć TP S.A. Co ważne, zlecenie preselekcji nie wyklucza możliwości doraźnego korzystania z usług innego operatora. Zlecenia na preselekcję nie można jednak złożyć kilku operatorom równocześnie.

W Biurach Obsługi Klientów TP S.A. są specjalne formularze zleceń. Można je też zamówić pod bezpłatnym

numerem telefonu 0-800 103300 lub ściągnąć z Internetu (adres: www.tpsa.pl/1033/formularz.html). Wypełniony formularz trzeba odnieść lub wysłać do właściwego BOK-u.

Nie zmienił się natomiast sposób realizacji połączeń lokalnych, międzynarodowych, z Internetem oraz do sieci komórkowych. W tych przypadkach nie jest wymagane wybieranie numeru dostępu, tzw. prefiksu (1033 w sieci TP S.A.). Numeru tego nie trzeba również wybierać korzystając z budek telefonicznych TP S.A.

TP S.A. uruchomiła bezpłatny telefon (0-800 1033 00), pod którym można uzyskać szczegółowe informacje na temat nowego sposobu realizowania połączeń międzystrefowych. Informacje te dostępne są także w Internecie na stronie www.tpsa.pl/1033 oraz w Biurach Obsługi Klientów TP S.A. na terenie całego kraju.



Globalizacja obejmuje dziś całą planetę i przenika wszystkie sfery życia; właściwie nie sposób przed nią uciec. Łatwość przenoszenia kapitału prowadzi do internacjonalizacji najkorzystniejszych warunków i tam lokują swe zakłady. Powszechnie uważa się to za szansę dla krajów tzw. nowo uprzemysłowionych. Zgodnie z teorią „skapywania bogactwa” bogaci dają zarobić biednym: kapitał, którym nasycone są kraje zachodnie „skapuje” do krajów rozwijających się. Rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana. O ile jedni na tym zyskują, to inni tracą. Problem polega na tym, że generalnie kapitału jest na świecie za mało. Kraje, by go przyciągnąć, konkurują między sobą w stwarzaniu mu jak najlepszych warunków. Ubocznym tego skutkiem jest „wyścig w dół”: coraz niższe standardy socjalne i ekologiczne — kapitał przenoszony jest do tańszych krajów.

Nowy podział świata

Jest regułą podstawową, że o ile ponadnarodowe korporacje chętnie lokują fabryki w krajach rozwijających się, o tyle swe centra badawcze i ośrodki zarządzania pozostawiają w metropolii. Jest to tym istotniejsze, że równolegle z globalizacją rodzi się społeczeństwo nazwane przez Petera Druckera informacyjnym — społeczeństwo, w którym bogactwo jest pochodną dostępu do wiedzy. Tym samym rośnie rola własności intelektualnej i drenażu mózgów (centrum ściąga naukowców z peryferii, by później sprzedawać peryferiom wynalazki). W rezultacie tworzy się na naszych oczach nowy podział świata: na centrum i peryferie. Nowe technologie nie tylko nie zmniejszają, ale wręcz pogłębiają rozdział między bogatymi i biednymi (najdobitniejszym tego przykładem niedostępność internetu w trzecim świecie: 90% jego użytkowników mieszka w krajach zamieszkałych przez 16% ludności świata). Według danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego wzrost bogactwa postępuje bardzo nierównomiernie. Obecnie są większe rozpiętości między bogatymi i biednymi niż na początku XX w. Jest to efekt przede wszystkim ostatnich lat: dochód ludności 5 najbogatszych do ludności 5 najbiedniejszych w 1960 r. wynosił 30:1, w 1990 — 60:1, a w 1997 74:1.

Globalizacja wyrzuca więc z siodła wszystkich nie potrafiących sprostać „zimnemu wiatrowi konkurencji” (określenie komisarza Unii Europejskiej van den Broeka), jaki ma hulać po świecie bez granic. Znaczące odłamy społeczeństw ulegają pauperyzacji, nie potrafią odnaleźć się w no-

Nie sposób myśleć dziś o czymkolwiek innym. Świat stał się istotnie „globalną wioską”, gdy tragedia zdarza się na jej głównym placu, to sięga również w odległe rejony.

Monstrualna zbrodnicość ataku na Nowy Jork i Waszyngton poraża wszystkich. To pewne, że bez względu na przekonania i poglądy polityczne nie można akceptować skalkulowanego na zimno zbiorowego mordu przypadkowych, niewinnych ludzi. Jeśli nawet ktoś nie zamierza współczuć wojskowym z Pentagonu, powinien pomyśleć o sprzątaczkach z World Trade Center, czy o potraktowanych jak pociski pasażerach.

Jednoznaczne potępienie nie może nas jednak zwalniać od próby zrozumienia fenomenu współczesnego terroryzmu. Tymczasem mamy dziś do czynienia raczej z jego demonizowaniem — wynikającym, jak sądzę, z szoku i bezradności: „terror szaleńców”, „szatan ukazał swe oblicze”, „międzynarodówka zbrodniarzy” — to przykłady tytułów prasowych. A przecież czyny te nie są zbrodniczym aktem demonów z zaświatów. Dokonali tego ludzie — i to nie dla kaprysu a w imię celów uznawanych przez siebie za racjonalne, w imię fanatycznej misji.

Pierwsza bitwa trzeciej wojny światowej

JAROSŁAW
TOMASIEWICZ

W swej książce o terroryzmie trzy lata temu napisałem: „Nie chcę być Kassandra, ale liczne przesłanki wskazują na to, że pro-

blem terroryzmu będzie się nasilał”. Przyczyną jest, w mojej opinii, postępująca globalizacja światowej gospodarki.

wych warunkach („syndrom PGR” nie ogranicza się tylko do Polski). Innych — nawet jeśli ich stopa życiowa rośnie — trawi frustracja wywołana niemożnością zaspokojenia rosnących aspiracji. Dzięki wszechobecnym mediom, dzięki nasilonej turystyce obrazy luksusu docierają do slumsów Dhaki, Luandy czy Rio de Janeiro, to zaś prowadzi do bezprecedensowej „rewolucji oczekiwań”. Desperacja wynikająca z trudnych warunków, a w jeszcze większym stopniu poczucie krzywdy są glebą, na której bujnie rozkrzewi się polityczna przemoc.

Konsekwencje globalizacji nie ograniczają się tylko do gospodarki. Mobilność kapitału powoduje osłabienie władzy państwowej. Kapitał ponadnarodowy jest poza zasięgiem władzy państwa. Korporacje internetowe, ubezpieczeniowe, kredytowe itp. operują na całym świecie, ale ich centrale znajdują się na terytorium USA lub Unii Europejskiej i pod parasolem ich suwerenności. Ale uważa: nie wszystkie państwa jednakowo tracą na znaczeniu. Rola Stanów Zjednoczonych właśnie rośnie — i to nie tylko jako państwa, ale jako swistego substytutu rządu światowego. Stany Zjednoczone podjęły się roli światowego policjanta. Jako ideologiczne uzasadnienie interwencji (np. na Haiti, w Somalii, Kosowie) służy doktryna praw człowieka w ich zachodnim ujęciu. Nie oznacza to oczywiście, że globalizacja jest (jak to widzą np. komuniści) narzędziem amerykańskiego imperializmu. Jest raczej odwrotnie: to USA są instrumentem globalizacji. Na horyzoncie pojawia się mglisty zarys wirtualnego imperium, współtworzonego przez niektóre organizacje międzynarodowe, jak ONZ i pozarządowe — rządy niektórych państw i wielkie korporacje. Znany publicysta Rafał Ziembkiewicz porównał to do tzw. pryncypatu w starożytnym Rzymie: formalnie wciąż istniały instytucje republiki, ale faktyczną władzę dzierżył niepodzielnie cesarz. Dla świata — zarówno dla zwyczajców, jak i dla przegranych globalizacji — Stany Zjednoczone pozostają jednak symbolem i opoką nowego ładu światowego.

Globalizacja głęboko przeorywuje także kulturę (rozumianą jako sztuka, obyczaje, mentalność ludzi). Z jednej strony następuje ujednolicanie kultury w skali świata, co leży w interesie wielkich koncernów. Najbardziej opłacalna jest produkcja masowa, której nie trzeba różnicować ze względu na takie czy inne lokalne mody czy obyczaje. Proces unifikacji kultury sprawia, że niezliczone grupy etniczne i wyznaniowe zostają wyrwane z dotychczasowego trybu ży-

cia i zderzone z ekspansywną cywilizacją zachodnią. Rezultaty takiego „zderzenia cywilizacji” widzieliśmy w Iranie, a ostatnio — w Algierii. Ludzie zaatakowani w swoich domach przez obcą i niezrozumiałą kulturę reagują agresją.

Z drugiej wszakże strony narasta tzw. wielokulturowość — zjawisko, gdy obok siebie żyją ludzie wyznający odmienne style życia, wartości, kultury. Spowodowane jest to bezprecedensowym nasileniem migracji. Migracje oczywiście zawsze miały miejsce, dawniej jednak liczba imigrantów była na tyle niewielka, że społeczeństwo było w stanie ich zasymilować. Dziś, na skutek skali zjawiska, jest to niemożliwe. Leszek Kołakowski, którego o ksenofobię posądzać nie sposób, zauważa istnienie w sercu zachodniej cywilizacji — w Londynie, Paryżu — całych „wysp” obcych kultur, odpornych na wartości Zachodu. W Europie żyje już 20 milionów muzułmanów. Sumę konfliktów powiększa wciąż rosnąca ruchliwość społeczna. W „społeczeństwie wielokulturowym” wymieszani zostaną ludzie praktykujący najróżniejsze obyczaje i wyznający sprzeczne nieraz wartości. Twierdzenie, że taka sytuacja doprowadzi do wzrostu tolerancji, jest raczej pobożnym życzeniem. Widzimy raczej głęboki podział wewnątrz społeczeństw: obcy sobie ludzie żyjący obok siebie. W rezultacie zauważamy zaostrzanie się konfliktów etnicznych (kulturowych), renesans ruchów nacjonalistycznych. Przyczyną jest częstszy niż dawniej kontakt z „obcymi” (na skutek migracji) czy też z ich kulturą (poprzez media). O istnieniu wielu bulwersujących zjawisk nie mieliśmy kiedyś pojęcia, teraz telewizja je prezentuje. Skutkiem szoku kulturowego może być fundamentalizm w stylu afgańskich talibów czy — *tout proportions gardees* — Radia Maryja.

Globalizacja terroru

Przyjmujemy na ogół, że globalizacja uczyni świat bardziej zintegrowanym. Tymczasem, jak widzimy, skutki mogą być zgoła odwrotne. Niejako na drugim planie rysują się kontury zgoła odmiennych zjawisk. Zdaniem Samuela Huntingtona w świecie ogarniętym chaosem nieustannej przemiany ludzie będą poszukiwali oparcia w jakichś wartościach absolutnych, np. religijnych. Fragmentacji kulturalnej towarzyszy fragmentacja ekonomiczna. Widzimy, że następuje nie tyle zacieśnianie więzi między różnymi częściami świata, co tworzenie bloków handlowych takich jak Unia Europejska czy NAFTA. Np. Handel zagraniczny Polski jest obecnie mniej globalny niż

w czasach PRL — dziś jesteśmy bardzo jednostronnie (bo aż w 90%) zwróceniu na Zachód.

Nasilające się ostatnio protesty „antyglobalistów” unaoczniają nam, że z nowego ładu światowego nie wszyscy są zadowoleni, że nie wszyscy z niego mogą skorzystać. Cóż jednak mogą zrobić niezadowoleni? Demonstrować na ulicach Seattle, Pragi, Genui? Stanowią tu ponętny żer dla mediów, ale ich wpływ na politykę możliwych tego świata jest, jak na razie, żaden. Nagromadzona frustracja nie potrafi więc znaleźć ujścia poprzez legalne instytucje. Trudno sobie wyobrazić, by wygrała wybory któraś z partii ekstremistycznych — ich potencjalny elektorat jest bierny i zdeintegrowany. Gdyby jednak taka możliwość stała się realna, to establishment zawsze ma w zanadru jeszcze „wariant algierski”: dyktatura w obronie demokracji. Nawet w przypadku udanego przejścia władzy przez radykalną opozycję jej swoboda manewru pozostaje bardzo ograniczona. Dowodzi tego przykład Peru, gdzie prezydent Alan Garcia poniósł spektakularną klęskę, gdy spróbował wypowiedzieć posłuszeństwo Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu. Agresja nie ujawni się również w formie regularnej wojny. Przekonał się o tym choćby Saddam Hussein — przewaga technologiczna państw wysoko rozwiniętego centrum jest po prostu miażdżąca.

Pozostaje odwieczna broń słabych — terrorizm. Przypomnienie, że jest ona równie niemoralna co nieskuteczna jest wołaniem na puszczy — desperacja jest głucha na głos rozsądku.

Współczesny terrorizm widzę właśnie jako przejaw desperacji ludzi, których świat rozpada się pod naporem cywilizacji zachodniej. „Zacofani” w stosunku do Zachodu — a czasem już przez ten Zachód wykorzystani — skupiają się pod różnymi sztandarami: czasem będzie to czerwony sztandar proletariackiej rewolucji (jak w Peru czy Kolumbii), czasem zielony sztandar Proroka (jak w Algierii, Iranie, Afganistanie), czasem różnokolorowe flagi zapomnianych narodów. Treść ich walki jest jednak ta sama — to opór wobec Zachodu, Nowego Ładu Światowego, globalizacji.

Ataki na World Trade Center i Pentagon są wyrazem owej wysublimowanej i stężonej nienawiści do Zachodu. Terrorizm żyje w sferze symboli — i właśnie symbole Zachodu zostały ugodzone: symbol amerykańskiego kapitalizmu i symbol amerykańskiej potęgi militarnej. Terrorizm jest zjawiskiem medialnym: atakuje przeciwnika za pośrednictwem mediów — bez nich byłby drzewem upadającym w pustym lesie (jak to określił

Benjamin Netaniahu). Zdaniem wielu specjalistów terroryzm pozbawiony zainteresowania mediów obumarłby niczym płomień bez dostępu tlenu.

Ale tym razem — proszę zwrócić uwagę — brakuje jednego niezwykle istotnego elementu. Otóż do autorstwa zamachu nikt się nie przyznał! Szokujące, gdyż do tej pory do każdego dokonanego aktu terroru terroryści ustawiali się w kolejce — zamach 16 października 1986 r. w Jerozolimie firmowało np. dziewięć organizacji. Cóż się stało tym razem? Może zbrodniarze sami przestraszyli się ogromu swojej zbrodni? O święta naiwności! Wytlumaczenie jest, moim zdaniem, inne. Kamikaze z 11 września postanowili zadać cios w serce Ameryki nie symbolicznie, medialnie, „wirtualnie” — ale realnie. Dla nich był to atak o charakterze wojskowym. Chodziło o zdestabilizowanie gospodarki, zadanie maksymalnych strat kierownictwu sił zbrojnych, w miarę możliwości — wyeliminowanie prezydenta USA.

Oznacza to zupełnie nową fazę terroryzmu — fazę globalnej guerilli, światowej wojny domowej. Dla jej wzniecenia ważki jest też aspekt propagandowy — swego rodzaju „wtórna fala uderzeniowa” (jak to mówią Amerykanie: „backlash”) ataku. Nieznani terroryści spowodowali też erupcję nastrojów antyarabskich i antymuzułmańskich. Palestyńczycy już dziś są przegranymi: taktyka Arafata polegała na pozyskiwaniu sympatii świata za cenę cywilnych ofiar palestyńskich, teraz ta taktyka runęła w gruzy. A islamofobia zawsze była bardzo silna — tę formę rasizmu łatwiej można odziać w politycznie poprawne szaty „otwartości”, „postępu” i „demokracji”. Teraz tendencje szowinistyczne i eurocentryczne ulegną na pewno wzmocnieniu, na własnej skórze odczują to imigranci. Partie takie jak Front Narodowy Le Pena bazują jednak przede wszystkim na niechęci wobec muzułmanów. Być może właśnie o to chodziło — o wykopanie przepaści między światem islamu a Zachodem po to, by można było podnieść sztandar Dżihadu.

Po wielkiej zbrodni

Areną tej wojny będzie raczej megalopolis niż zagubione w dżungli wioski. Terroryzm jutra stanie się prawdziwie indywidualny: jednostki i spontaniczne małe grupy mają coraz lepsze warunki by indywidualnie prowadzić walkę (a tym trudniej je wykryć i unicestwić). Regułą stanie się przenoszenie terroru poza rejon, który go zrodził — problemy Sri Lanki łatwiej nagłośnić w Londynie niż w Kolombie. Rozkład więzi społecznych w zatamizowanych spo-

łeczeństwach sprawi, że terrorysta jutra nie będzie miał żadnych skrupułów by zostawić bombę zabijającą przypadkowych — a zupełnie obcych mu — ludzi. Przypuszczać w dodatku można, że ostatnie ataki prędkiej czy później znajdą naśladowców, współczesnych Herostratów pragnących wygrać własne sprawy, rozładować własne frustracje. Do uzasadniania terroru niepotrzebne będą Wielkie Idee, sięgać będzie się po przemoc dla załatwienia drobnych nieraz interesów. W walce z partyzantką przewaga technologiczna przestaje mieć zasadnicze znaczenie. Wszelkie zdobyczne techniki da się kupić (posiadanie broni masowego rażenia jest już w zasięgu możliwości niektórych grup ekstremistycznych), a terroryści będą mieli przynajmniej jedną przewagę — fanatyzm i desperację.

Klucz rozwoju sytuacji leży w USA. Ameryka już nigdy nie będzie taka sama. Amerykanie zrozumieją, że nie są bezpieczni, że — właściwie po raz pierwszy w swej historii — mogą stać się obiektem ataku. Terroryzm wyszedł z telewizora, okazał się czymś realnym. Budzi to strach i zrozumiałą potrzebę zemsty. Może ona jednak prowadzić na manowce. Pod naciskiem opinii publicznej prezydent Bush musi zareagować, więc zaatakuję domniemanych terrorystów — ale czy przyniesie to realne skutki? Wbrew potocznej opinii, widzącej w Bin Ladenie demiurga zbrodni, terrorystyczna hydra nie ma głowy: to luźna sieć autonomicznych grup, głęboko zanurzona w codzienne życie muzułmańskich społeczeństw. Trudno przy pomocy czolgów i samolotów prowadzić wojnę z niewidzialnym przeciwnikiem, przypominałaby ona zabijanie moskitów maczetą. Nazbyt łatwo ugodzić kogoś przypadkowego. Krew każdej ofiary będzie wodą na młyn islamistów. Pamiętajmy, że choć rządy krajów islamskich są powolne Waszyngtonowi, to muzułmańska ulica uważa Osamę bin Ladena za bohatera. Nie tylko atak na Afganistan ale samo pojawienie się wojsk amerykańskich w Pakistanie może rozniecić konflikt na całym Środkowym Wschodzie, ba! — w całym świecie muzułmańskim. Czyż nie o to chodziłoby autorom zamachu?

Złe sytuacje nie miewają dobrych rozwiązań. Wątpię, by z tej tragedii — jak chcieliby niektórzy — mogło wynikać coś dobrego. Utopiści marzą, że skutkiem Wielkiej Zbrodni będzie zjednoczenie wolnego świata w walce z terroryzmem i ekstremizmem — a potem, oczywiście, zwycięstwo. Ale i w tym wariantcie będziemy mieli zapewne do czynienia z negatywnymi skutkami ubocznymi. Nastąpi swoista „militaryzacja globalizacji” — po integracji gospodarczej nadejdzie pora

na wojskowo-policyjną, nastąpi ograniczenie suwerenności państw narodowych na rzecz ponadnarodowych gremiów takich jak NATO. Liczyć się też można z zawężaniem swobód obywatelskich. Sami liberałowie, w imię obrony liberalnych wartości, będą musieli je ograniczać. A to by oznaczało koniec liberalizmu.

Wizja wszechświatowej koalicji sił Dobra wydaje mi się jednak i tak co najmniej naiwna. Oburzenie mieszkańców Zachodu niekoniecznie musią podzielać nędzarze z Trzeciego Świata: nienawidzący gringos Hitynosy, Japończycy wspominający Hiroszimę, Arabowie pamiętający 100 tysięcy irackich ofiar wojny o Kuwejt. Chińczycy i Rosjanie — choć ich także dotyka islamski terroryzm — nawet nie mają mocnej motywacji do udziału we froncie antyterrorystycznym pod gwiazdźdźistym sztandarem. Rywale USA z pewnością wykorzystają osłabienie Pierwszego Supermocarstwa do wytargowania ustępstw i umocnienia własnej pozycji. Rezultatem może być uformowanie się nowego (acz wieszczonego już od dawna), policentrycznego ładu międzynarodowego. USA utraciłyby swój bezapelacyjny dziś prymat, pozostając liderem Zachodu. Zachód będzie potrzebował nowego, innego niż liberalne, spoiwa. Nieuchronny stałby się powrót chrześcijańskich korzeni Euromeryki i scenariusz „zderzenia cywilizacji” nakreślony przez Huntingtona spełniłby się. Przypomnijmy: prorokuje on nową zimną wojnę pomiędzy blokami cywilizacyjnymi: zachodnim, prawosławnym, muzułmańskim, dalekowschodnim...

Ale i ten wariant nie jest jeszcze najczarniejszy. Czymś jeszcze gorszym byłoby stopniowe rozpalanie się wojny (z początku partyzantkiej) między bogatą białą Północą i biednym kolorowym Południem. Analogie z upadkiem Imperium Romanum nasuwają się same.

... a kraj nad Wisłą?

Polska jest nieustającym przedmurzem cywilizacji zachodniochrześcijańskiej, jest też członkiem wojskowo-politycznego sojuszu NATO. Konsekwencje terrorystycznego ataku dotycząją więc i nas. Wbrew uspokajającym deklaracjom naszych polityków, nie jesteśmy bezpieczni. Bogate kraje takie jak USA znajdują środki, by ochronić swoje terytorium. Terroryści zaczęli wówczas atakować słabe ogniwa Zachodu — takie jak Polska, postrzegana zresztą jako jeden z najbardziej gorliwych sojuszników Stanów Zjednoczonych. Obym był fałszywym prorokiem.

Zdrowotność mierzy się jej odwrotnością, np. chorobowością, a najczęściej... umieralnością. Takim syntetycznym wskaźnikiem zdrowotności jest przewidywany czas życia **noworodka**. Mówi on, ile lat żyłby statystyczny noworodek, gdyby w populacji, do której należy, w kolejnych latach jego życia taki sam odsetek ludzi umierał w trzydziestym roku życia, trzydziestym pierwszym pierwszym itd., co w roku jego urodzenia.

Przewidywany czas życia noworodka stopniowo wydłuża się w całym cywilizowanym świecie, ale w Polsce w latach 1965–95 zatrzymał się na poziomie roku 1965. Świat uciekał do przodu, my staliśmy w miejscu. W rezultacie był on o około 10 lat krótszy niż w krajach Europy zachodniej i Skandynawii. Godzi się przeto z zadowoleniem podkreślić, że czas ten w ostatnich kilku latach wydłużył się w Polsce o 2–3 lata i wynosił w r. 1999 dla mężczyzn — 68,8 lat, dla kobiet 77,5 lat. W województwie śląskim był jednakże krótszy niż w w kraju (o 0,26 roku dla mężczyzn i o 0,8 roku dla kobiet). Nadal jednak żyjemy dużo krócej niż mieszkańcy pozostałych krajów OECD. Porównanie tego wskaźnika ze światem obrazuje, ile przed nami jest do zrobienia w tej dotyczącej każdego z nas dziedzinie, skoro w r. 1997 w przypadku mężczyzn wynosił w Czechach o 2 lata więcej, we Francji o 6 lat, w Szwecji o 8 lat więcej niż w roku 1999 w Polsce. Jest więc lepiej niż było, coś mimo wszystko drgnęło, ale wciąż jeszcze długa przed nami droga w zakresie wydłużenia życia Polaków — na Śląsku szczególnie!

Inną miarą zdrowotności jest wskaźnik **umieralności niemowląt**. Wyrażamy go liczbą dzieci na 1000 żywo urodzonych, które umierają w pierwszym roku życia. Szczególnie ten wskaźnik zależy od szeroko rozumianej kultury społeczeństwa. Dla jego poprawy nie są konieczne kosztowne interwencje terapeutyczne, potrzebne są edukacja i wyciąganie wniosków z analizy przyczyn zgonu każdego niemowlęcia. **Wskaźnik ten obniżył się w Polsce podczas roku 1950 a 1998 ze 11,2 do 9,5, ale nadal jest dwukrotnie wyższy niż w sąsiednich Czechach i w Europie zachodniej.** W tymże 1998 roku wynosił on dla ówczesnego województwa katowickiego — 11,7, częstochowskiego — 10,2, bielskiego — 8,7. W roku 2000 omawiany wskaźnik wynosił dla całego kraju 8,1, dla województwa śląskiego 10,1 i był najwyższy z wszystkich 16 województw. Przekładając te różnice na liczby bezwzględne możemy powiedzieć, że gdyby umieralność niemowląt w województwie śląskim była taka jak średnio w Polsce, w roku 2000 umarłoby o 85 niemowląt mniej.

Niech czytelnik wybacz mi ten natłok liczb, ale bez nich nie sposób pokazać, jak wielkie wyzwania stoją przed nami w zakresie poprawy naszej zdro-

Raport o „śląskim zdrowiu”

MACIEJ
KRZANOWSKI

Każdy z nas ma swoje zdrowie. Jeden kaszłące, drugi — kulejące, trzeci — tęgie nad podziw, lecz wszystkie one, te nasze zdrowia, składają się na statystyczne zdrowie populacji: zdrowie publiczne. Wyrażane właściwymi wskaźnikami nadaje się do porównań ze zdrowiem innych społeczności. Gdy dotyczą dużych liczebnie populacji, gdy udział przypadku w wielkości tych wskaźników został zminimalizowany, porównania takie pozwalają na wnioski obiektywne. A te, albo przysparzają satysfakcji, że w tej dziedzinie jesteśmy „do przodu”, albo są źródłem postanowień, że trzeba działać.

wotności. Nie w całym województwie jest pod tym względem jednakowo źle, rysują się tu bowiem znaczne różnice regionalne. Wskaźnik umieralności niemowląt w latach 1997–2000 wynosił w wybranych dla przykładu powiatach „dobrych” czyli tyskim, cieszyńskim i tarnogórskim: 3,7, 6,4 i 6,5... podczas gdy w Bytomiu, Pikarach Śląskich i Zabru, odpowiednio — 14,9, 14,9 i 16,7!

Wskaźnik wyraża liczbę zgonów na 1000 urodzeń, a więc jest narażony na duży wpływ przypadku, gdyby go obliczać w małych populacjach. Dlatego dla uwiarygodnienia prezentowanych różnic regionalnych, został obliczony (dla potrzeb tego artykułu) w oparciu o materiał poszerzony, tj. wśród dzieci urodzonych w okresie 4 kolejnych lat. Trzeba jeszcze dodać, że statystyki dotyczące umieralności sporządzane są

w oparciu o miejsce stałego zamieszkania a nie zgonu, czyli nie są zafałszowane istnieniem w dużych miastach klinik dziecięcych.

Na co najczęściej umieramy

Trzy główne przyczyny umieralności w Polsce to choroby układu krążenia (około 50% wszystkich przyczyn zgonów), nowotwory złośliwe (20%) oraz urazy i zatrucia (8%). Wśród zgonów powodowanych chorobami układu krążenia ich przyczyną najczęstszą jest miażdżycy. Choroba polega, mówiąc najogólniej, na zwężaniu się a z czasem na zupełnym zamknięciu naczyń tętniczych. Skutki tego, niedokrwienie i w następstwie uszkodzenie niedokrwionego narządu, stają się szczególnie dotkliwe, gdy dotyczą naczyń wieńcowych zaopatrują-



Rys. Ryszard Twardoch

TW@R

cych mięśni serca i naczyń mózgowych. Zamknięcie lub znaczne zwężenie tętnicy wieńcowej jest przyczyną zawału serca. Umieralność z tego powodu jest na Śląsku relatywnie bardzo wysoka; na 100 tysięcy mieszkańców umiera tu co roku o 40 osób więcej niż średnio w Polsce. Stwarza to rocznie liczbę około 2000 „dodatkowych” zgonów. To tak, jakby rozbijał się co miesiąc, wyłącznie z mieszkańcami Śląska, duży samolot. Statystyka ta pochodzi wprawdzie sprzed 4–6 lat (nowszej nie opublikowano), ale zjawisko powtarza się sukcesywnie co roku i dotyczy terenów wszystkich 3 byłych województw składających się na aktualne województwo śląskie.

Dane te są tak niekorzystne, choć w zakresie techniki leczenia zaawansowanej choroby wieńcowej — czyli stanów gdy zwężenie naczyń dało już o sobie znać — Śląsk góruje nad resztą kraju... Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że 30 procent wszystkich zabiegów kardiologicznych wykonywanych w Polsce ma miejsce w klinikach Śląska, kliniki i szpitale kardiologiczne są dobrze oprzyrządowane oraz nasycone wysoko specjalistyczną kadrą medyczną. Mieszkańcy Śląska mają łatwiejszy niż w innych częściach kraju dostęp do leczenia kardiologicznego choroby wieńcowej (zabiegów omijających zwężenie tętnicy lub ją poszerzających) i leczenia fibrynolitycznego (rozpuszczającego skrzep powstały w zwężonej tętnicy czyli udrażniającego naczynie). Można też powiedzieć, że kardiologia stała się po reformie systemu finansowania ochrony zdrowia w Polsce specjalnością na tle innych uprzywilejowaną. A mimo to, choć wskaźnik przeżycia ostrego zawału serca jest względnie dobry w śląskich szpitalach, rozmywa się on w wysokiej zachorowalności.

Ale też pod względem umieralności spowodowanej zawałem serca są na Śląsku rejony bardziej tym problemem dotknięte i rejony względnie bezpieczne. Od lat w corocznych statystykach dzielą się umieralnością powodowaną zawałem serca najwyższą na przemian populację Katowic, Rudy Śląskiej i Chorzowa, w których to miastach jest ona blisko dwukrotnie wyższa niż w Tychach, Gliwicach i Jastrzębiu. Niestety, nawet w tych ostatnich jest ona wyższa niż średnio w kraju.

Umieralność spowodowana nowotworami złośliwymi kształtowała się w województwie katowickim w wybranym roku 1996 na poziomie podobnym jak średnia dla Polski (208,8 zgonów rocznie na 100 tysięcy mieszkańców vs 206,8). Informacja ta w pewnym stopniu zaskakuje, gdyż obiegowe poglądy łączą zachorowalność na raka ze złym stanem środowiska. Być może względnie dobra statystyka w tej dziedzinie jest rezultatem bliskości Instytutu Onkologii z nowoczesnymi możli-

wościami terapii. Na Śląsku, nieco częściej niż przeciętnie w kraju, umierają na raka kobiety, nieco rzadziej mężczyźni. Wyższa niż średnio w Polsce jest na Śląsku umieralność z powodu raka sutka i raka jelita grubego.

Umieralność spowodowana nowotworami złośliwymi wykazywała w naszym województwie również znaczne różnice geograficzne. W kolejnych latach 1993–96 była ona w Chorzowie i w Katowicach około dwukrotnie wyższa niż w Jastrzębiu, Tychach i Rybniku. Jako porażkę śląskiej medycyny trzeba uznać to, że umieralność powodowana nowotworami, które ze względu na lokalizację są łatwe do wczesnego rozpoznania (rak sutka, rak szyjki macicy), a których udział w przyczynach zgonów odróżnia kraje cywilizowane od tych, w których prewencja nie jest dostatecznie zorganizowana, nie zmniejsza się na przestrzeni ostatnich lat a nawet wzrasta.

Są jednocześnie i pewne wskaźniki. W trzeciej co do kolejności przyczynie zgonów: „urazy i zatrucia”, umieralność na Śląsku jest niższa, niż z racji uprzemysłowienia regionu można by oczekiwać.

Dlaczego gorzej – i co robić?

Osiągnięciem ogromnej wagi, tak na Śląsku jak i w całym kraju, jest znaczny spadek zachorowań na wszczepienne zapalenie wątroby typu B. To bez wątpienia rezultat szczepień przeciwko zakażeniu wirusem WZW typu B prowadzonych od kilku lat u wszystkich dzieci a także dorosłych poddawanych planowanemu leczeniu chirurgicznemu. Doniosłość tego osiągnięcia polega na tym, że choroba w pewnym odsetku przypadków przechodzi w stan przewlekłego zapalenia wątroby, schorzenia powodującego inwalidztwo, często z następstwami śmiertelnymi. Właśnie wirus WZW typu B jest po tytoniu najczęstszym znanym czynnikiem rakotwórczym, na który człowiek może mieć wpływ. Przed erą szczepień noworodki zarażające się wirusem WZW typu B od swych matek nosicielek wirusa w większości nie dożywały wieku dojrzałego. Niestety te pojedyncze wyróżniki zadowolenia nie zmieniają faktu, że sytuacja zdrowotna populacji Śląska jest pod wieloma względami gorsza niż średnio w kraju i dużo gorsza niż w krajach Europy zachodniej. Nie jest to skutek niedoboru lekarzy, łóżek szpitalnych, sprzętu, niedostatku leków, czy nawet pieniędzy. Złe wskaźniki zdrowotności mieszkańców województwa nie mają uzasadnienia w stanach, wobec których ludzkość na początku XXI wieku byłaby bezradna. Dla ich poprawy potrzebne są działania w zakresie zdrowia publicznego; potrzebna jest wytrwała promocja zdrowia, skuteczna profilaktyka oraz wczesne rozpoznawanie zagrożeń.

Mamy dziś do czynienia z takim paradoksem, że znajdują się pieniądze publiczne (choć szczęście, że znajdują) na wymagające znacznych środków leczenie zaawansowanej choroby wieńcowej, ale zbyt późno wykrywany jest przez lekarzy rodzinnych u ich podopiecznych podwyższony poziom cholesterolu i zbyt późno wykrywane jest nadciśnienie tętnicze, głównie dlatego, że przez szereg lat nieprawidłowości te nie muszą przysparzać choremu dolegliwości zaś prewencyjne badania osób czujących się zdrowo nie są powszechne. A wczesna identyfikacja osób obarczonych tak zwanymi czynnikami ryzyka miażdżycy (najważniejsze z nich to nadciśnienie tętnicze, wysoki poziom LDL-cholesterolu, nawyk palenia tytoniu, cukrzyca... szczególnie u osób z predyspozycją genetyczną do choroby wieńcowej) i podejmowanie właściwych kroków zaradczych kosztuje o dużo, dużo mniej niż leczenie choroby w jej stadiach zaawansowanych i daje znacznie lepsze wyniki. Podobnie, okresowe badania cytologiczne kobiet, szczególnie w środowiskach charakteryzujących się częstymi zmianami partnerów seksualnych, to droga do pomniejszenia zachorowań na raka szyjki macicy. Działalność tak niekosztowna, jak edukacja przyszłych matek (higiena, zakaz palenia tytoniu w ciąży), opieka nad ciążą, stymulacja matek do karmienia piersią przez co najmniej kilka miesięcy, to klucz do zmniejszenia umieralności niemowląt.

Rozważmy tedy, co robić. Konieczna jest niewątpliwie pilna „inventaryzacja” i analiza sytuacji wyjściowej w celu stworzenia na ich gruncie racjonalnej polityki prozdrowotnej województwa. Jest to zagadnienie zbyt poważne, aby powierzać jej sporządzenie kilku osobom z zarządu Kasy. Sądzę, że kierunki i zasady działań dla poprawy zdrowotności populacji województwa powinny powstać w Śląskiej Akademii Medycznej, w zespole konsultantów wojewódzkich pod przewodnictwem któregoś ze specjalistów w zakresie epidemiologii lub zdrowia publicznego. W ogóle Śląska Akademia Medyczna powinna potraktować zadanie stworzenia koncepcji działań z zakresu zdrowia publicznego, mających na celu poprawę zdrowotności województwa, priorytetu swej działalności badawczej i nie powinna czekać z tym do chwili wybudowania Akademickiego Centrum Medycznego, w którego programie użytkowym przewiduje się tego rodzaju działania. Zgłasza gotowość prac w tym zakresie również sosnowiecki Instytut Medycyny Pracy, gotowy poszerzyć swą ofertę o problematykę zdrowia publicznego. To bardzo cenna propozycja, gdyż pracownicy tego Instytutu są z założenia wyczerpani na prewencję i usuwanie zagrożeń.

Identyfikacja wszelkiego rodzaju różnic pomiędzy pobliskimi przecież rejonami, korelujących z różnicami

w zdrowotności społeczeństw w nich mieszkających, mogłaby pomóc samorządom w tworzeniu lokalnej polityki na rzecz zdrowia. Na razie samorządy, które są nawet gotowe wydać trochę pieniędzy na poprawę zdrowotności swych mieszkańców, niejednokrotnie wydają je niecelowo na badania skринingowe, nieuzasadnione aktualną wiedzą medyczną, których dobór ktoś przygodny im podpowie. Zarząd Województwa dofinansował ostatnio kwotą 30 tysięcy złotych badania skринingowe w kierunku rozpoznawania przerostu stercza, co uwzględniając wagę tego problemu w hierarchii potrzeb nie było jak sądzę zasadne.

Zarys polityki zdrowotnej województwa powinien zostać podniesiony do właściwej rangi uchwałą Sejmiku Województwa Śląskiego. Jak dotąd, uchwały Sejmiku w tej sprawie to deklaracje, że Kasa Chorych powinna realizować program kardiologiczny, program onkologiczny i jeszcze wad postawy, i jeszcze stomatologiczny, ale bez pomysłu na egzekucję tych oczywistości. Poprawiają one samopoczucie radnym, ale nie zmieniają sytuacji.

O skuteczną politykę zdrowotną

Nasze prawodawstwo nie określa wyraźnie, kto w Polsce jest odpowiedzialny za zdrowie publiczne. Temat „promocja i ochrona zdrowia” został powierzony przez ustawodawcę Kasom Chorych, San-Epidowi, wszystkim 3 szczeblom samorządu. Zapobieganie zagrożeniom zdrowia należy też do obowiązków wojewody, wreszcie do oceny jakości pracy lekarzy mają prawo samorządy zawodowe. Na dodatek — samorządy lokalne różnych szczebli są z zasady niezależne od siebie. Czytamy więc w ustawie o samorządzie województwa, że należy do niego zadania z zakresu promocji i ochrony zdrowia o charakterze wojewódzkim; podobnie samorząd powiatowy jest odpowiedzialny za ochronę zdrowia o charakterze ponadgminnym, wreszcie **zadaniem własnym gminy jest zaspokajanie zbiorowych potrzeb wspólnoty, w tym ochrony zdrowia. A przecież Kowalski chorując na chorobę wieńcową choruje jednocześnie w gminie, w powiecie i w województwie. Więc kto ma podjąć starania, aby obniżyła się umieralność niemowląt w Gliwicach i Zabrze a spowodowana zawałem serca w Katowicach, Rudzie Śląskiej i Chorzowie... to jest pytanie?** Gdy podmiotów jest wiele, zwykle nie robi się nic.

Przy wspomnianej wielości instytucji odpowiedzialnych za zdrowie tylko Kasa Chorych ma żołnierzy i armaty. Lekarz rodzinny jest niezależny od wójta i starosty, ale musi liczyć się z płatnikiem swego kontraktu, z Kasą Chorych. Niestety Kasa Chorych zainteresowana jest przede wszystkim świadczeniami naprawczymi. Wbrew obiegowym ne-

gatywnym opiniom o skutkach reformy w Służbie Zdrowia uważam, że jest ona wyraźnym krokiem do przodu w zakresie dostępności do świadczeń, szczególnie lecznictwa podstawowego, ale postęp nie dotyczy zapobiegania zagrożeniom. Mimo, że ustawa o ubezpieczeniu zdrowotnym wymienia na pierwszym miejscu wśród świadczeń zdrowotnych przysługujących ubezpieczonemu „zachowanie zdrowia oraz zapobieganie chorobom i urazom”; na miejscu drugim „wczesne wykrywanie chorób”, a wśród obowiązków zastępcy dyrektora ds. medycznych umieszcza „dokonywanie ocen zachorowalności i chorobowości wśród ubezpieczonych... oraz opracowywanie wniosków dotyczących działania Kasy w tym zakresie”. Te zapisy ustawy nie są w naszym województwie realizowane lub są realizowane fragmentarycznie; tworzy się np. program edukacyjny dla kobiet w ciąży zamieszkałych w jednej miejscowości.

Wracam do pytania „co robić?” Wspomniałem, że najsłabszą stroną przeprowadzonej reformy Służby Zdrowia jest brak jednoznacznego ustalenia, kto ma być odpowiedzialny za zdrowie publiczne. Niezależnie od wspomnianej na wstępie przewagi pozamedycznych czynników wśród odpowiedzialnych za zdrowie, funkcję organizatorską, tak sądzę, powinna przejąć Śląska Regionalna Kasa Chorych. Nad realizacją przyjętej polityki zdrowotnej natomiast powinni czuwać konsultanci wojewódzcy. Są to wysokiej klasy specjaliści w poszczególnych dyscyplinach medycznych powoływani przez wojewodę w porozumieniu z ministrem zdrowia. Do ich obowiązków należy między innymi prowadzenie doradztwa w zakresie realizacji zadań wynikających z Narodowego Programu Zdrowia i innych programów polityki zdrowotnej jak też wydawanie opinii o stosowanym na terenie województwa postępowaniu diagnostycznym w zakresie zgodności z aktualnym stanem wiedzy. To prawda, że zadania konsultanta wojewódzkiego w naszym województwie, jeśli chciałby wywiązać się z nich należycie, są ogromne, a przewidziane przepisami godziny zatrudnienia i wynagrodzenie za nie śmiesznie małe. Ale konsultant, jeśli jest jednocześnie kierownikiem kliniki, dysponuje armią chętnych do pracy i zależnej od szefa młodzieży lekarskiej, która mogłaby mu w tym zbożnym dziele pomagać. W przyszłości ustawodawca powinien urząd konsultanta wojewódzkiego rozbudować, przynajmniej w dyscyplinach podstawowych.

Ostateczny przebieg interakcji zapewniających tworzenie polityki zdrowotnej i jej egzekwowanie wyobrażam sobie następująco: Sejmik uchwała zaproponowane przez ekspertów we współpracy ze swą komisją ds. promo-

cji i ochrony zdrowia zasady polityki zdrowotnej obowiązującej przez okres najbliższych kilku lat i zwraca się do Śląskiej Regionalnej Kasy Chorych i samorządów lokalnych niższych szczebli z prośbą o ich realizację. Konsultanci wojewódzcy oceniają następnie, czy Kasa Chorych dyspozycję Sejmiku wypełnia: Z tej informacji korzysta Rada Kasy Chorych, którą powołuje Sejmik. Rada ma duże kompetencje (powołuje i odwołuje zarząd Kasy Chorych), ale małe zdolności merytorycznej oceny pracy Kasy Chorych, jako iż ustawa o powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym praktycznie wyklucza lekarzy z uczestnictwa w Radzie. A właśnie do jej zadań należy uchwalanie planu pracy Kasy Chorych oraz rozpatrywanie i zatwierdzanie kwartalnych i rocznych sprawozdań z jego wykonania. Dlatego, aż się prosi, aby kompetencje Rady uzupełnić o wiedzę konsultantów. Gdyby ich ocena realizacji uchwalonej polityki zdrowotnej była niekorzystna, Rada kierowałaby pod adresem zarządu Kasy stosowne sygnały, a gdyby i to nie pomagało, byłaby zobowiązana odwołać nie współpracujący z nią zarząd i powołać nowy, który w ramach postępowania konkursowego złożyłby zobowiązanie, że **będzie traktować zalecenia Sejmiku w zakresie polityki zdrowotnej za obowiązujące.**

Mam świadomość, że proponowane rozwiązania mogą budzić zastrzeżenia. Można snuć obawy, że duża rola konsultantów w proponowanym systemie będzie przekładać się na lobbing w Kasie Chorych na rzecz klinik czy ambicji poniekąd profesorów. Traktuję rzuczone tu myśli jako zaczyn pod ewentualną dyskusję. Niezaprzeczalnym jest natomiast, że **nie wolno nam udawać, że problemu nie ma, ani uspokajać naszych sumień poprzez wydawanie papierowych apeli.**

Złe parametry zdrowotności Śląska i Polski w ogóle to, poza wszystkim, także kwestia naszej dumy narodowej. Wskaźnik umieralności niemowląt i przewidywany czas życia noworodka wymieniane są obecnie w wizytówkach cywilizacyjnych różnych krajów obok takich danych jak PKB i stopień skażenia środowiska i są świadectwem prestiżu. **Poprawa zdrowotności mieszkańców Śląska jest najważniejszym spośród realnie możliwych do wykonania zadań stojących dziś przed Sejmikiem Województwa Śląskiego.** Dość wyświechtanych hasła i chronicznej niemocy. Zdrowie publiczne wymaga wypracowania skutecznego programu, stanowczych działań. A wskaźniki statystyczne dowodzą, jakie ono jest. Ma się wciąż złe, choć może być inaczej.

Autor jest doktorem nauk medycznych, znanym cieszyńskim społecznikiem i radnym wojewódzkim. Był senatorem RP.



Kombatanci

AGNIESZKA
GRUSZKA

Kombatanci i represjonowani. Ci, którzy walczyli w organizacjach zbrojnych i ci, którzy prowadzili intelektualną walkę polityczną. Kiedyś łączył ich wspólny cel: walka o Polskę. Dzieliła jej wizja. Część widziała ją jako Polskę Ludową, część jako Rzeczypospolitą Polską. Dziś skupiają się wokół związków i stowarzyszeń. Jedne przyjmują w swoje szeregi członków wywodzących się tylko z jednego środowiska, inne jednoczą osoby o różnych rodowodach.

Do 1989 roku istniały jedynie dwa wielośrodowiskowe stowarzyszenia kombatanckie: Związek Bojowników o Wolność i Demokrację oraz Związek Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej. Ustawa o stowarzyszeniach z 1989 roku pozwoliła na tworzenie nowych organizacji. Dziś w Polsce jest ich prawie 400, w województwie śląskim około 30. W rejestrze Urzędu d.s. Kombatantów i Osób Represjonowanych wciąż widnieją: Związek Legionistów Polskich, Stowarzyszenie Weteranów Wojny Polsko-Bolszewickiej 1920 czy Związek Piłsudczyków choć najstarsi weterani walk o Polskę już odeszli. Praktycznie nie ma także w szeregach organizacji kombatanckich byłych powstańców śląskich. Dziś trudno określić ilu kombatantów i represjonowanych jest wśród nas. Nie wiadomo też, ilu mieszka na terenie województwa śląskiego. Sytuacja ta jest konsekwencją zmian administracyjnych w kraju. Do roku 1998 rejestr osób posiadających legitymację kombatantów i represjonowanych mogły prowadzić urzędy wojewódzkie. Urząd Wojewódzki w Katowicach dysponował więc danymi, które podawały mu poszczególne związki. Obecnie informacje dotyczące kombatantów i osób represjonowanych mogą gromadzić władze gminne. W Urzędzie Miasta Katowice nikt

jednak takiej statystyki nie prowadzi. Jedyne dane na temat liczby kombatantów i represjonowanych można uzyskać w poszczególnych związkach. Nie dają one jednak prawdziwego obrazu statystycznego tego środowiska, ponieważ z jednej strony nie wszyscy kombatanci i represjonowani są zrzeszeni w związkach, z drugiej zaś niektórzy z nich należą do kilku organizacji jednocześnie.

Odbicia historii

Najstarszą działającą organizacją kombatancką jest Związek Inwalidów Wojennych RP, zrzeszający obecnie 53. tys. członków na terenie kraju, w tym 2524 z okręgu katowickiego.

- *Nasz związek został powołany w 1919 roku jako organizacja o zasięgu ogólnopolskim, zrzeszająca inwalidów wojennych - żołnierzy zranionych i kontuzjowanych, walczących na różnych frontach i w różnych armiach I wojny światowej.* - mówi podpułkownik Ludwik Marowski, prezes Zarządu Okręgowego w Katowicach Związku Inwalidów Wojennych RP. *Od początku swego istnienia zrzeszał też wdowy i wdowców oraz sieroty po poległych żołnierzach i zmarłych inwa-*

lidach wojennych. Po II wojnie światowej przyjmował w swoje szeregi osoby poszkodowane na polach walki tej wojny, bez względu na armię, fronty, sztandary, orientację polityczną i światopoglądowe, a od roku 1976 także osoby represjonowane legitymujące się zaświadczeniem kombatanckim i książeczką ZUS inwalidy wojennego nie wojskowego. Związek działał od 1919 roku do 1940 roku nieprzerwanie. W okresie okupacji hitlerowskiej przeszedł do podziemia. Po II wojnie światowej z inicjatywy członków został reaktywowany. Odrodzona organizacja przetrwała jednak tylko pięć lat. W 1950 roku władze polityczne PRL-u uznały, że wszystkich ludzi łącznie z inwalidami wojennymi i wojskowymi otacza opieką, w związku z czym organizacje m.in. ZIW, nie mają potrzeby prowadzenia swej działalności. W następstwie postanowienia władz, ZIW został rozwiązany. Z inicjatywy byłych członków w 1956 roku został reaktywowany już po raz drugi. Od tego momentu działa po dzień dzisiejszy.

Przywrócenie organizacji do działania nie było jednak równoznaczne z przywróceniem jej wcześniejszych przywilejów. Związek nie odzyskał posiadanych w latach 1945-50 nieruchomości, w tym sanatoriów, w których leczyli się i rehabilitowali inwalidzi wojenni. Nie przysługiwały mu także dotacje finansowe, które wcześniej otrzymywał i mógł przeznaczać np. na stypendia dla młodych inwalidów. Sprawę pomocy finansowej dla inwalidów wojennych i ich rodzin uregulowała dopiero ustawa z 1974 roku. Niektóre jej artykuły obowiązują po dziś dzień.

Obok Związku Inwalidów Wojennych RP długoletnią historię ma także Związek Bojowników o Wolność i Demokrację dziś noszący w nazwę Związek Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. Na terenie województwa śląskiego zrzesza 28. tys. członków.

- *ZBoWiD powstał w 1947 roku na kanwie WiN-u i ZWZ-u. Od tego momentu działa nieprzerwanie. W 1990 roku przekształcił się w Związek Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych* - mówi pułkownik Eugeniusz Bról, sekretarz Zarządu Okręgowego w Katowicach Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. *- Moim zdaniem to jest ucieczka od prawidłowej nazwy. Ponieważ ZBoWiD był wielokrotnie opluwany chciano uwolnić się od oskarżeń, które padały pod adresem jej członków. Nasza organizacja zrzesza przecież wiele środowisk. Są u nas uczestnicy walk obronnych 1939, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, byli żołnierze Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej, są też więźniowie politycz-*

ni obozów koncentracyjnych i hitlerowskich więzień, naszymi członkami są również byli żołnierze Armii Radzieckiej, uczestnicy walk z bandami UPA i Werwolfu, a także tzw. „synowie pułku”.

Nie jest tajemnicą, że ZBoWiD był organizacją pod auspicjami partii, a wśród jej członków można było znaleźć byłych milicjantów, funkcjonariuszy UB i SOK. W 1991 roku rozpoczęto weryfikację uprawnień kombatanckich, która trwa do dnia dzisiejszego. Część już skontrolowanych osób pozbawiono przyznanych im wcześniej praw. Tytuł kombatancka przysługuje im jednak dożywotnio. Osoby te, jeśli wyrażą taką chęć, mogą również nadal pozostawać członkami ZKRPIBWP. Budzi to wiele zastrzeżeń ze strony innych związków. Związek, choć deklaruje swoją apolityczność, postrzegany jest wciąż jako ogólnie lewicowe.

Pierwszym związkiem będącym przeciwwagą dla monopolistycznego ZBoWiD-u był utworzony na fali wydarzeń sierpnia '80 Związek Solidarności Polskich Kombatanatów.

- Skupiliśmy różne środowiska. Są w naszych szeregach byli żołnierze wojny obronnej 1939, żołnierze Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz więźniowie polityczni. To są osoby, które nie chciały wstąpić do ZBoWiD-u, albo niechciane przez ZBoWiD. Są też tacy, którzy wyszli ze ZBoWiD-u i przyszli do nas - opowiada Konrad Graca, prezes Związku Solidarności Polskich Kombatanatów Regionu Śląskiego. - Kiedy wprowadzono stan wojenny, nasz Związek przeszedł do konspiracyjnych struktur „Solidarności”. Legalną działalność podjął dopiero z dniem ponownej legalizacji NSZZ „Solidarność”. Idee jakimi kierował się nasz Związek podczas zakładania w 1980 roku są nadal aktualne. Ubolewamy nad rozbięciem ruchu kombatanckiego w Polsce i zawsze będziemy dążyć do zjednoczenia.

Deklaracje chęci zjednoczenia ruchu kombatanckiego pojawiają się często w wypowiedziach członków różnych związków. Żadna z organizacji nie wyobraża jednak sobie, by do tego zjednoczonego ruchu kombatanckiego mogli wejść także członkowie ZKRPIBWP. Natomiast członkowie byłego ZBoWiD-u wierzą w możliwość zjednoczenia. Wyszuli nawet postulat utworzenia, na wzór zachodni, federacji związków. Jednak czy inne związki zechcą do niej przystąpić?

Z pewnością tej próby nie podejmie Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. Zrzeszenie powstałe w 1989 roku skupiające wszystkich więźniów politycznych lat 1945-1956. Na terenie województwa śląskiego liczące 490 osób.

- Trudno żebyśmy żyli w zgodzie z byłymi ZBoWiD-owcami, przecież tam należą ci, którzy nas katowali w śledztwach - mówi Wincenty, Bogusław Pyka, członek Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego w Katowicach, były więzień Więzienia Progresywnego w Jaworznie. - Pani sobie nie wyobraża jak kiedyś wyglądało śledztwo. Teraz pobyt w więzieniu to jest luksus. W 1951 roku w Jaworznie w byłym więzieniu hitlerowskim utworzono Więzienie Progresywne, w którym miano reedukować młodzież należącą do nielegalnych organizacji. Trzymano nas w strasznych warunkach. Głodzono i katowano. Twórcy tego więzienia, jak mówili, chcieli nam stworzyć Polskę w miniaturze, aby nas przystosować do życia w socjalistycznym społeczeństwie. Do 1956 roku więzienie było otoczone drutem kolczastym pod napięciem.



Były też wewnętrzne aresztowania i skazania „wrogów narodu”. To było objęte tajemnicą, ale niektórzy członkowie ZBoWiD-u o tym wiedzieli.

Tych ran czas nie zaleczy. Wzajemna niechęć pozostanie już na zawsze, choć dziś otwartego konfliktu nikt nie prowadzi.

Podziały

S środowisko kombatanckie jest silnie podzielone. Wciąż żywe są konflikty na tle politycznym, istnieje też wiele wewnętrznych podziałów wśród ludzi wywodzących się z tych samych środowisk. Świadectwem rozbitcia jest ilość związków i istnienie wielu podobnych organizacji, które już samą nazwą sugerują, że skupiają środowiska zrzeszone w innych związkach. Największe rozbitcie widać wśród środowiska byłych żołnierzy AK, którzy skupieni są w rozmaitych związkach akowskich, część jest także członkami związków wielośrodowiskowych.

Stowarzyszeń zrzeszających tylko byłych żołnierzy AK jest w Polsce ponad 17. Są wśród nich duże organizacje jak Niezależny Ruch Kombatanatów AK, Stowarzyszenie Środowiska Żołnierzy AK, są też i mniejsze jak Środowisko Żołnierzy Pułku AK „Baszta” i Innych Mokotowskich Oddziałów Powstańczych czy Stowarzyszenie Okręg Wileński AK „Wiano”. Na terenie województwa śląskiego swoje okręgi mają tylko dwa największe: Światowy Związek Żołnierzy AK, Ogólnopolski Związek Żołnierzy AK.

Najwcześniej utworzonym związkiem akowskim jest Światowy Związek Żołnierzy AK.

- Na skutek polityki i totalitarnego ustroju my żołnierze AK musieliśmy się kryć. Byliśmy na indeksie. AK nie było armią, która odpowiadała systemowi ZSRR, a przede wszystkim Stalinowi. Wydawano na nas wyroki więzienne i śmierci - opowiada porucznik Marian Piotrowicz, prezes Zarządu Okręgu Śląskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. - Pod koniec maja 1989 roku w Warszawie zarejestrowano Stowarzyszenie Żołnierzy AK. Krótko wcześniej w Krakowie powstał Związek Żołnierzy AK. Połączone w jedną organizację utworzyły Światowy Związek Żołnierzy AK. Obecnie w kraju jest kilkanaście organizacji, do których należą żołnierze AK. Staramy się współpracować z innymi związkami. Na Śląsku jest porządek, nie ma kłótni. Nasi członkowie mogą należeć również do innych stowarzyszeń. Nie uznajemy jedynie, żeby ktoś należał do nas i do Związku Kombatanatów RP i Byłych Więźniów Politycznych.

I znów do głosu dochodzą antagonizmy. SZŻAK pozostaje także w konflikcie ze Związkiem Represjonowanych Politycznie Żołnierzy Górników zrzeszającym skierowanych do służby zastępczej w batalionach pracy w kopalniach węgla kamiennego i uranu.

- Służba zastępcza w kopalniach realizowana w takiej formie, to był ewenement w skali światowej. Nie mieliśmy umów o pracę, pracowaliśmy na rozkaz. W zależności od miesiąca zarabialiśmy od 530-650 zł. Wojsko co miesiąc zabierało nam z tego 600 zł na umundurowanie, wyżywienie i opłacenie kadry oficerskiej. Jeżeli w danym miesiącu zarobiło się mniej, to resztę potrącano z kolejnego miesiąca. Do 10. grudnia spaliliśmy pod namiotami, potem przeniesiono nas do baraków. Obok w barakach mieszkali więźniowie, którzy też pracowali na kopalni. Praca żołnierza różniła się tym, że jeden dzień pracy liczył się za jeden dzień pracy, a więźniom za dwa - opowiada Franciszek Musiolik wiceprezes Okręgu Śląskiego Związ-

ku Represjonowanych Politycznie Żołnierzy Górników. - *W latach 1950-52 część osób kierowano do kopalni uranu. Prace były wykonywane bez zabezpieczenia. Nie zwracano uwagi na przepisy BHP. Pracowało tam około 3,5 tys. osób; dziś w Polsce żyje jeszcze około 300. Wszyscy ucierpieli na skutek tej pracy. Wiele osób zapadło na ciężkie choroby, część umarła. Potomstwo byłych pracowników kopalni uranu niejednokrotnie rodziło się z wrodzonymi wadami fizycznymi i umysłowymi.*

Zarząd Główny SZŻAK poddał w wątpliwość słusność przyznawania części uprawnień kombatanckich represjonowanym w ten sposób. Uważa bowiem, że ich ofiara żołniersko-górników jest znacznie mniejsza niż żołnierzy AK walczących z bronią w ręku. Wywołało to konflikt o charakterze ogólnopolskim. Na Śląsku jednak obydwa związki współpracują ze sobą i jest on zupełnie niewidoczny.

Większość związków i stowarzyszeń kombatanatów i represjonowanych zrzesza ludzi w podeszłym wieku, bo też wydarzenia, w których brali udział miały miejsce dziesiątki lat temu. Średnia wieku wśród nich wynosi 78 lat. Obok tych związków istnieją także zrzeszające represjonowanych uczestników wydarzeń późniejszych. Taką organizacją jest Stowarzyszenie Represjonowanych w Stanie Wojennym Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Zrzesza 250 członków w wieku od 40 do 70 lat. Związek powstał w sposób niecodzienny.

- *W 1996 roku ludzie zaczęli przynosić, z własnej inicjatywy, do nas dokumenty świadczące o ich pracy w podziemiu, o internowaniu, o wyrzuceniu z pracy. W końcu postanowiliśmy ogłosić, że zbieramy dokumenty do archiwum „Solidarności”. Przychodziło coraz więcej osób - opowiada Grażyna Zaremba, sekretarz Stowarzyszenia. - Potem okazało się, że w Gdańsku istnieje już Stowarzyszenie Represjonowanych w okresie Stanu Wojennego. W 1997 roku taką organizację stworzyliśmy u nas, na Śląsku. Tutaj bowiem jest największe skupisko ludzi więzionych, internowanych, których dotknęły represje polityczne. Nasze Stowarzyszenie jest jednym z wchodzących w skład ogólnopolskiej federacji stowarzyszeń represjonowanych w stanie wojennym.*

Wszystkie związki i stowarzyszenia kombatanatów i represjonowanych utrzymują się ze składek, a ich władze działają społecznie. Mimo tego chętnych do ich prowadzenia jest wielu, co odzwierciedla ich liczba. Nie sposób scharakteryzować wszystkich związków kombatanckich i represjonowanych mających

siedziby na terenie naszego województwa. Obok tych dość dużych istnieje też wiele związków małych, których działalność ogranicza się do wspólnego opłatka podczas Świąt Bożego Narodzenia i reprezentowania członków na oficjalnych spotkaniach. Ich siedziby są czynne raz w tygodniu przez dwie, trzy godziny. Niemniej jednak każdy z nich zrzesza ludzi, którzy są świadkami kawałka historii Polski XX wieku, historii zawiłej, pełnej ludzkich cierpień i antagonizmów politycznych.

Z mocy prawa

Niezaprzeczalnie kombatancki wojenni i represjonowani okresu stalinowskiego, to pokolenie wygasające. Niejednokrotnie to ludzie schorowani, niektórzy przykuci do



łóżka. Dziś podziały polityczne nie są wśród nich sprawą najwyższej wagi. Najistotniejszym problemem są warunki materialne. Wszystkie związki kombatanckie mają jeden cel: pomóc swoim członkom w walce o przywileje. Zgodnie z ustawą z dnia 24 stycznia 1991 roku o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego wszystkim kombatancom przysługują 50% ulgi na przejazdy środkami komunikacji miejskiej, 10% zniżki przy zakupie mieszkania lub domku jednorodzinnego. Osoby znajdujące się w szczególnie trudnej sytuacji materialnej mogą również starać się o przyznanie pomocy finansowej z Państwowego Funduszu Kombatanatów. Kombatancki zatrudnieni w zakładach pracy mają prawo do dodatkowych 10 dni urlopu wypoczynkowego, objęci są także ochroną prawną na dwa lata przed nabyciem praw emerytalnych. Wyjątek stanowią zwolnienia grupowe. Kombatancki-emeryci, -renciści i -inwalidzi mają prawo do 50% zniżki na bilety PKP i PKS. Zwolnieni są także z opłat abonamentowych za radio i telewizję, bez względu na

wiek. Przysługuje im również 50% zniżka opłat za abonament telefoniczny oraz 20 darmowych jednostek taryfikacyjnych i ryczałt energetyczny w wysokości 50% taryfowych opłat za korzystanie z energii elektrycznej, gazowej i ciepłej. Kombatancom-rencistom i -emerytom przysługuje również dodatek kombatancki w wysokości 10% przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia. Natomiast inwalidzi wojenni uprawnieni są do pobierania, według własnego uznania, całej renty inwalidy wojennego i 50% emerytury lub odwrotnie. Kombatancom-inwalidom przysługuje także 50% zniżka w opłatach za ubezpieczenie OC oraz 50% zniżka w opłatach rejestracyjnych samochodu.

Wydawałoby się, że tych przywilejów jest niemało. Okazuje się jednak, że Ministerstwo Finansów, które dotychczas pokrywało koszty udzielonych zniżek na ubezpieczenie i rejestrację samochodu inwalidy wojennego i wojskowego, nie ma na to pieniędzy. W tej sytuacji od dnia 1. października bieżącego roku PZU nie udziela takich ulg. Inne firmy ubezpieczeniowe np. Warta wycofały się już wcześniej.

Z Państwowego Funduszu Kombatanatów, z którego corocznie związki otrzymywały pieniądze na pomoc dla ludzi wymagających szczególnego wsparcia, w tym roku organizacje miały otrzymać tylko połowę tego, co w roku ubiegłym.

- *Pieniądze z Funduszu Kombatanatów miały zostać wypłacone w trzech ratach. Dwie pierwsze, które otrzymaliśmy, miały być minimalne, trzecia wyższa - mówi Ludwik Marowski. - Natomiast Fundusz Ministra Obrony Narodowej dla Inwalidów Wojskowych w tym roku został zlikwidowany. Naszym członkom odebrano także prawo do otrzymywania bezpłatnych lekarstw. Inwalida wojenny nie płaci dziś jedynie za leki z tzw. tabeli podstawowej. Małżonkowie inwalidów nabywają natomiast prawo dopiero po ich śmierci.*

Bez wątpienia ceny lekarstw są poważną barierą w leczeniu ludzi starych i schorowanych. Na notoryczne nie wykupywanie lekarstw wpływa także wysokość rent i emerytur. Kombatancom w jakimś stopniu sprawę mogłyby rozwiązać dodatki. Jednak ich wysokość problemu nie likwiduje. Dodatki kombatanckie, które mają wynosić 10% aktualnego średniego wynagrodzenia krajowego, co obecnie stanowiłoby 210 zł, są waloryzowane wg wzrostu cen z 1995 roku i ich wysokość wynosi obecnie 135 zł 96 gr. Podobnie jest z rentą inwalidy wojennego i wojskowego. Osoby, które zaczęły pobierać to świadczenie przed rokiem 1996 otrzymują rentę

waloryzowaną wg wzrostu cen. W 1996 roku uznano, że prawo otrzymywania renty inwalidzkiej mają także osoby represjonowane w okresie stalinowskim. Waloryzacja rent dla osób, które otrzymały prawo do jej otrzymywania w 1996 roku lub później odbywa się wg wzrostu płac. Różnica między rentą inwalidy wojennego i osoby represjonowanej zwiększa się więc z roku na rok.

- *Spowodowało to, że renta osoby, która uzyskała prawo do jej otrzymywania jest o około 400 zł wyższa od renty osoby, która uzyskała to prawo wcześniej. Związek Inwalidów Wojennych uważa to za niesprawiedliwe* - mówi Ludwik Marowski. - *Chcieliśmy doprowadzić do zrównania tych rent. Nasze dążenia były już dobrej drodze, ale obecna dziura budżetowa przekreśliła nasze starania.*

Uprawnienia kombatanckie przysługują, zgodnie z tytułem ustawy, kombatanom i niektórym grupom represjonowanych w okresie wojny i po jej zakończeniu. Nie obejmują jednak represjonowanych żołnierzy-górników, zesłanych do obozów pracy w okresie stalinowskim. Tej grupie przysługuje jedynie prawo do dodatku energetycznego oraz tzw. świadczenia samoistnego, które wynosi niewiele ponad 100 zł miesięcznie. Osoby niegdyś pracujące w kopalniach uranu, dzięki staraniom Związku Represjonowanych Żołnierzy-Górników, otrzymały jednorazowe odszkodowania. Natomiast represjonowanym w okresie stanu wojennego nie przysługują żadne ulgi.

- *Jedynym świadczeniem na korzyść tych osób było przywrócenie do pracy zwolnionych na podstawie dekretu o stanie wojennym* - mówi Eugeniusz Karasiński, przewodniczący Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. - *Obowiązuje ustawa o kombatanach i represjonowanych została rozszerzona o rozporządzenia dotyczące represjonowanych na Wybrzeżu w 1970 roku. Nie obejmuje natomiast osób represjonowanych w okresie późniejszym, w tym stanu wojennego. Problem dotyka przede wszystkim osób, które w latach 90. udawały się na renty i emerytury. Są one szczególnie poszkodowane, bowiem okres naliczania wysokości tych świadczeń obejmuje także lata, w których przebywały w więzieniach lub zostali zwolnieni z pracy dekretem o stanie wojennym. Wskaźnik naliczania rent i emerytur za ten okres ustalono na 0,7 średniego wynagrodzenia. Natomiast osoby, które w tym czasie były w służbach mundurowych mają naliczane renty i emerytury wg*

wskaźnika 1,8. Postulowaliśmy żeby wskaźnik dla osób represjonowanych w ten sposób w stanie wojennym wynosił 2,0, bo w obecnej sytuacji osoby te żyją na skraju marginesu materialnego.

Nie ma chyba związku, który obecnie obowiązującą ustawę o kombatanach i represjonowanych uznawałby za dobrą. Wiele jest głosów za jej zmianą.

- *Ta ustawa wprowadziła spore nieprawidłowości. Podzieliła środowisko kombatanckie na dobrych i złych* - mówi Eugeniusz Brol.

Wiele osób postuluje także, by stworzyć dwie osobne ustawy: jedną regulującą prawa kombatanów, drugą - represjonowanych. Takie projekty już powstały. Według nowych regulacji prawnych prawdopodobnie kombatanaci będą podlegali pod Ministerstwo Obrony Narodowej, natomiast represjonowani



pod Ministerstwo Pracy i Spraw Socjalnych. Choć ustawy jeszcze nie ma, to prawdopodobne rozwiązanie już budzi obawy w środowisku represjonowanych. Czy do zmian dojdzie w najbliższym czasie? I jakie one faktyczne będą? Z odpowiedzią na te pytania trzeba jeszcze poczekać.

Odfalszowanie historii

Obok spraw materialnych istotną sprawą dla środowiska kombatanów i represjonowanych jest walka o prawdę historyczną. SZŻAK jako sprawę priorytetową swojej działalności uznał odkrycie „białych plam” w historii Polski. W parze z działaniami w zakresie uzupełnienia wiedzy historycznej lat 1918-1945-1989 ma iść krzewienie postaw patriotycznych wśród młodzieży.

- *Dzisiaj nikt nie myśli o wychowaniu młodzieży w obliczu patriotyzmu* - mówi Marian Piotrowicz. - *Przed wojną w szkołach prowadzono kursy sanitariuszy. Każdy też był przydzielony do określonej jednost-*

ki w razie wybuchu wojny. Dzisiaj nikt o tym nie myśli. Nikt nie umie przekazać młodzieży prawdy o tym, co działo się na Śląsku w dniach wrześnieowych. Ludzi ze Śląska, ich męstwa, nikt nie ceni. Chcemy powołać kół przyjaciół Światowego Związku Żołnierzy AK, aby kultywować w nich patriotyzm.

ZKR PiBWP też angażuje się w przekazywanie młodym obywatelom postaw patriotycznych.

- *Co roku w Gostyniu organizowane są obchody upamiętniające napad Niemiec na Polskę* - opowiada Eugeniusz Brol. - *Do uczestnictwa w nich zapraszamy młodzież z różnych szkół z terenu naszego województwa. Co roku jest ich więcej. Przyjeżdżają także reprezentacje ZHP.*

Odkrywaniu prawdy historycznej ma służyć także rozpoczęta w 1991 roku weryfikacja osób dotychczas pobierających świadczenia kombatanckie, a obecnie otwieranie teczek IPN-u. Jaka jest ta prawda? Bez wątplenia trudna i bolesna. Wydarzenia historyczne odcisnęły piętno w dziejach Polski. Pozostawiły także swój ślad w psychice ludzkiej.

- *Niektórzy walczący o wolną Polskę utracili pracę, rodziny* - opowiada Eugeniusz Karasiński. - *Wpadli w choroby psychiczne, manie prześladowcze. Część z nich ma lęk do dnia dzisiejszego.*

W środowisku kombatanów i ludzi represjonowanych jest wiele osób zakompleksionych, wciąż opowiadających swoje historie jakby czekając na isierkę uznania ze strony innych.

Są jednak i tacy, którzy wciąż wierzą, że jeszcze coś znaczą, że odegrali historyczną rolę.

- *Jestem usatysfakcjonowany, że jestem kombatanem* - mówi Eugeniusz Brol. - *Widzę to środowisko i wiem, że ci ludzie są ze sobą zżyci. Widzę też jak władza nas honoruje.*

Niektórzy podejmują kolejne próby zaznaczenia się w dziejach współczesnej Polski.

- *Ci, którzy mają zdrowie fizyczne próbują walczyć* - mówi Wincenty, Bogusław Pyka. - *Próbują kandydować na posłów i senatorów. Choć rezultaty tej walki są znikome.*

Część środowiska kombatanckiego ma jednak świadomość, że ich rola dobiegła już końca. Choć są środowiskiem dość licznym ich siła jest znikoma.

- *Dzisiaj kombatan jest jedynie statystą na uroczystościach* - mówi Marian Piotrowicz. - *Często jesteśmy zapraszani na uroczystości, ale jesteśmy tam tylko dla oprawy.*

Gorzka to prawda. Kombatanaci, choć nie wszyscy chcą w to wierzyć, dziś są środowiskiem zapomnianym i opuszczonym.

W dzień ataku na World Trade Center

spikier po niemiecku mówił coś o katastrofie w Nowym Jorku
 ale zaraz potem popłynęła zwykła muzyka wypełniająca dziury
 w myśleniu prowadzących samochodów czy tak jak my jedzących brokuły
 powiedziałam do Błażeja – koniec świata – prawie nie znaliśmy języka
 a nikt w radiu austriackim nie wracał do tematu dlatego pochylaliśmy się
 spokojnie nad zielonym bukietem skropionym masłem Błażej zaczął
 nawet szukać polskiego programu ale zabroniłam mu chcąc pozostać
 z tą poobiednią rozleniwiającą niewiedzą z tym popołudniem w Wiedniu
 które zapowiadało się wesoło w towarzystwie Agnieszki
 zaczynającej tu studiować gerministykę a więc znakomicie znającej język
 ale ona także o niczym nie wiedziała czy nie wiedzieli też ci
 wszyscy roześmiani goście zaglądający do rozgrzanej winiarni
 wysoki mężczyzna z konspiracyjnie siwymi włosami przypominający
 Greka Zorbę wesoły Szwajcar w dobrze skrywającym honor

i tuszę garniturze
 każdego wieczoru grający tu na harmoniach czarnoocy

muzycy zagłuszali
 naszą rozmowę śpiewając piosenki o końcu małego świata

kiedy dziewczyna
 wyjeżdża z domu do szkół o końcu miłości kiedy chłopak zapomina
 o kwiatach dla swojej ukochanej śpiewali tęsknie kasując wynagrodzenie
 od hojniejszych słuchaczy nawet Błażej nad sokiem z świeżych winogron
 uśmiechał się jak po kilku winach dojrzały do spokojnego oparcia się

o stół
 pokryty zieloną farbą jak trawą z małym wazonem z okiem słonecznika
 stabilny stół z niedużą kartą win lemoniady soków i słuchał

szmeru rozmów
 słowackich czeskich austriackich włoskich przelatujących stadami

z jednego
 końca sali na drugi bo okna były zamknięte wyglądało na to że nikt z nas
 nie wiedział o ataku na World Trade Center o ataku na nasz spokój
 szybki wrześnieowy wieczór zagarniający ludzi do rozśpiewanych winiarni
 gdzie rozstrzygają się spokojnie w piosenkach losy tego świata

gdzie piosenki
 i opaleni śpiewacy łagodnie przygotowują nas na utratę wszystkiego
 kiedy bezboleśnie za oknami zapada noc i za chwilę zagarnie

nas wychodzących



Rys. Wojtek Łuka

Kilka godzin później

w pokoju już wszyscy żyli tragedią
pachniało spalenizną z płonącego
World Trade Center
szary jak pióro gołębi pył z wulkanu drapacza
pokrywał niepostrzeżenie stolik wieszaki
i nasze zawieszane na nich przed chwilą płaszcze
wróciliśmy z winiarni na Grinzingu

gdzie dopełnialiśmy
dobry humor szklankami czerwonego wina
do szczęścia zabrakło nam tylko bukiecików
drobnych suszonych kwiatków sprzedawanych
przez obrotną kwiaciarkę nie wydającą reszty
eleganckim panom ta reszta

była wynagrodzeniem
za życzenia dla towarzyszących im pań
za roznoszący się bezpłatnie po całej winiarni
zapach krótkotrwałego szczęścia zachowanego
w płatkach przy pomocy wonnych olejków
i perfum

teraz oko w oko ze spadzistą ścianą
wznoszącego się naprzeciw telewizora
staliśmy przestraszeni bez jakichkolwiek
lin zabezpieczających kombinezonów

butli tlenowej
i wtedy pomyślałam nie o ludziach którzy zginęli
roztrząskani przez gorący wiatr nisko

sunącą chmurę
przez inne wystrzelone jak pociski ciała
w naglej lawinie

ale o dwóch kupionych dzisiaj tego dnia
różowych bluzkach
dwóch bluzkach leżących ze złożonymi rękawami
w ciasnej szufladzie bluzkach w których

byś nigdy
mnie nie zobaczył gdybym tam była
o delikatnych szwach i czułym materiale
niepotrzebnym właścicielom
unoszącym się jak skrzydła opadającym
jak skrzydła

12 września dzień po ataku

na drugi dzień pokłóciłam się z synem
mieliśmy iść do muzeum tytoniu

na Mariahilferstrasse
ale zapomnieliśmy aparatu fotograficznego

i z tego powodu
wycieczka straciła wartość cenne były

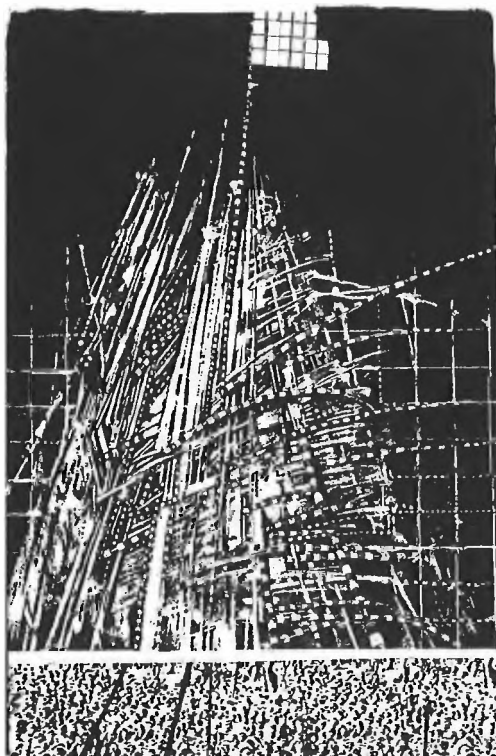
zdjęcia dowody
na obecność w miejscach których nie widzieli

szkolni koledzy
zrobiło się zimno szłam szybkim

marszowym krokiem
defilując zwirowymi alejami przed Belwederem

były idealnie
prosto wykreślone wśród zieleni prowadząc
do wystyglących ławek

siadłam na jednej z nich żeby wysłać
telefoniczną wiadomość
o swoim zdenerwowaniu komunikat musiałam
skrócić do minimum
dlatego nieco zmniejszyła się moja złość
i napisałam:
kupiłam ci niebieskie majtki oryginal
deszcz za karę
za nieskromne myśli zaczął bić mnie po twarzy
i iluminowanym
ekraniku bojąc się że rozmaże twoją odpowiedź
schowałam telefon
do kieszeni i tak zrobiłam dłuższą przerwę
w rozmowie
odblokowałam klawisze dopiero w tramwaju
na zakrętach ulic pisały wozy policyjne
sygnalizując
że nie mają nic poważniejszego oprócz
patrolowania do roboty
przed dworcem Franz Joseph stały
wykarmione czarne
rotweilery z młodymi wojskowymi
w jednomyślnym szeregu
gotowości na jakiegokolwiek zagrożenie
twoja odpowiedź przyszła
kiedy wysiadałam na siekaną odłamkami
deszczowych kul
Spitalgasse zwięzła jak wojskowy rozkaz:
cieszyć się Wiedniem



Rys. Wojtek Łuka

Wiwat akademia!



Foto: ARC

Prof. Marek Trombski

Z prorektorem Politechniki Łódzkiej ds. Filii w Bielsku-Białej, współtwórcą Akademii Techniczno-Humanistycznej, prof. dr. hab. inż. **MARKIEM TROMBSKIM**, rozmawia **JAN PICHETA**

- Pamiętam, że gdy dwadzieścia lat temu próbowano stworzyć uniwersytet w Białymstoku, niektórzy dziennikarze powątpiewali w istnienie potencjału intelektualnego, który predestynowałby tamtejsze środowisko do powołania uczelni humanistycznej. Obecnie w Bielsku-Białej, ośrod-

ku porównywalnym z Białymstokiem, ma rozpocząć działalność uczelnia techniczno-humanistyczna. Czy Pan Rektor jest pewien, że bielski potencjał naukowy gwarantuje już dziś wysoki poziom nauczania w nowej wszechnicy?

- O potencjale intelektualnym świadczą wypowiedzi wszystkich

parlamentarzystów, którzy zabierali głos w Sejmie na temat naszej uczelni. Wiceminister edukacji narodowej do spraw szkolnictwa wyższego, Jerzy Zdrada, powiedział na przykład, że uczelnia nie jest pod warunkiem postów, lecz rezultatem stanu organizacyjnego i potencjału, który został stworzony w Bielsku-Białej. Jej powstanie wynika również z potrzeb edukacyjnych, które doskonale rozumieją wszyscy posłowie. Był przygotowywany projekt rządowy, ale posłowie uznali, że tryb prac parlamentarnych mógłby stanąć na przeszkodzie do jego uchwalenia. Dlatego przedstawiono projekt poselski. MEN uważało, że zaproponowana w toku prac zmiana nazwy - Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej zamiast Państwowej Techniczno-Humanistycznej Szkoły Wyższej jest w pełni uzasadniona, gdyż ostatnio został uzupełniony stan kadry naukowej. Powiększyła się liczba nauczycieli akademickich i wniosek spełnił wszystkie kryteria, jakie środowisko wyznaczyło nowej placówce. Przekształcenie Filii Politechniki Łódzkiej w samodzielną Akademię Techniczno-Humanistyczną w Bielsku-Białej uznano za inicjatywę wpisującą się znakomicie w cały nurt zmian struktury polskiego szkolnictwa wyższego, które prowadzi do wzmocnienia potencjału dydaktycznego i naukowego. Dobra filia staje się w sposób naturalny samodzielną uczelnią akademicką. Powstaje więc uczelnia o szerokim zakresie kształcenia, która przedstawia ofertę edukacyjną bardzo potrzebną lokalnemu środowisku i otwiera perspektywę dalszego kształtowania w przyszłości swojego charakteru i swoich struktur edukacyjnych.

- Na czym Pan Profesor opiera przekonanie o rozwojowych możliwościach nowej uczelni?

- Rozwój zapewnia współpraca naukowa z dużymi uczelniami regionu śląskiego, uczelniami krakowskimi, w tym Uniwersytetem Jagiellońskim oraz macierzystą Politechniką Łódzką. Powstanie nowej akademii jest bowiem także osiągnięciem środowiska łódzkiego, które dostrzegło korzyści, jakie płyną dla szkolnictwa wyższego w Polsce z rozwoju filii, a następnie usamodzielnienia jej w dużą uczelnię akademicką. Dzięki temu Bielsko-Biała może się stać miastem w pełni akademickim. Chcę jeszcze podkreślić, że parlamentarzyści wszystkich klubów wyrazili jednoznacznie pozytywną opinię o powstaniu nowej uczelni i zgodnie poparli wniosek. W parlamencie niezwykle trudno

o taką jednomyślność. W kularach sejmowych potwierdzano, że mamy lepszy dorobek niż inne, podobne uczelnie. Posiadamy prawo habilitacji i dwa prawa doktryzowania, a do powstania akademii wystarczy tylko dwa prawa doktryzowania albo jedno prawo habilitowania. Profesorów też mamy wystarczająco dużo. Spełniliśmy ostre kryteria, które obowiązują przy powstaniu akademii. Pracownicy na przykład nie mogą być zatrudniani, lecz mianowani. Profesorowie, zatrudniani na zasadzie umowy o pracę, musieli zostać mianowani. Ogłosiliśmy konkursy. Obecnie mamy 45 profesorów i doktorów habilitowanych. Prawa habilitacji bardzo nam przyspieszyły rozwój kadry, zwłaszcza w części technicznej uczelni.

- Ale ma to być równocześnie - a ściśle mówiąc już jest - Akademia Humanistyczna. Jak przedstawia się stan kadry humanistycznej?

- Jeśli chodzi o humanistów, to mieliśmy katedrę humanistyczną na Wydziale Zarządzania i Informatyki, która działała już od pewnego czasu. Pomoc obiecali ponadto profesorowie z Uniwersytetu Śląskiego - Marek Szczepański i Uniwersytetu Jagiellońskiego - Krzysztof Frysztański. Dużo dała mi też wizyta u rektora UJ, który obiecał, że będzie pomagał we wszystkich dziedzinach humanistycznych, gdyż w Krakowie mają po prostu nadmiar kadry. Z prof. Ziejką byłem zresztą ostatnio - wraz z Konferencją Rektorów Akademickich Szkół Polskich - z wizytą u papieża Jana Pawła II w Castel Gandolfo. Tam także potwierdził chęć pomocy naszej uczelni. Profesor Tadeusz Sławek natomiast początkowo odnosił się do nas trochę sceptycznie - przypuszczam, że z tego powodu, iż jesteśmy pewną konkurencją dla cieszyńskiej filii Uniwersytetu Śląskiego - ale także zadeklarował pomoc. W istocie jesteśmy jakąś konkurencją, gdyż już dwóch profesorów z Cieszyna przyszło do nas. Jeden kiedyś odszedł do Cieszyna i zastanawia się, czy nie wrócić. Jeszcze inny złożył podanie, ale nie chcą go puścić, czemu się nie dziwię. Nie jest bowiem tak, że mamy nadmiar profesorów. Dla województwa śląskiego, które ma pewien niedobór kadry, bardziej korzystne jest ściąganie profesorów z Krakowa niż ze Śląska. Dlatego nie staram się zabrać nigdy nikogo ze śląskich uczelni. Mamy jednak takie przypadki, jak profesora Franciszka Ziemskiego, który nie dostał zgody na przeniesienie

z Cieszyna, a mieszka tuż obok najbliższego od naszej uczelni przystanku autobusowego i łatwiej jest mu przejść na drugą stronę ulicy, niż dojeżdżać do Cieszyna. Zresztą z Bielska-Białej do Cieszyna, czy nawet Katowic, dojeżdża dość dużo osób i trudno się dziwić, że niektórzy chcą pracować w mieście zamieszkania. Wiele z nich się do mnie zgłosiło i obecnie mam już listę około stu osób, które chcą pracować na Wydziale Humanistycznym naszej uczelni! Zawsze jednak będziemy zaczynali od przyjmowania profesorów, gdyż oni tworzą siłę wydziału i będą sobie dobierali ludzi. W tej chwili deklarowało pracę u nas na pierwszych etatach ośmiu profesorów doktorów habilitowanych. Dwoje już zostało przyjętych, np. prof. Ewa Jurczyńska wygrała konkurs i została przyjęta od 1 lipca. Podobnie prof. Franciszek Piątek - specjalista od spraw międzynarodowych, który u nas będzie prowadził europeistykę. Dlatego, jest już kilku profesorów, którzy będą pracowali tylko u nas. O innych wolałbym jednak jeszcze nie mówić. Na razie powiem jedynie, że wykład inauguracyjny wygłosi prof. Andrzej Zoll.

- Jak będzie wyglądała struktura nowej uczelni?

- Będą cztery wydziały. Przede wszystkim „sztandarowy” dla naszej uczelni Wydział Budowy Maszyn i Informatyki. Wydział Inżynierii Włókienniczej i Ochrony Środowiska, na którym ze zrozumiałych względów, większy nacisk położony zostanie na ochronę środowiska. Będzie Wydział Zarządzania i Informatyki, obejmujący inżynierię produkcji, zarządzanie i marketing. Czwartym będzie Wydział Humanistyczny, do którego chcemy przenieść socjologię z Wydziału Zarządzania, gdyż już tam została powołana. Obecnie trwają dyskusje, czy stosunki międzynarodowe znajdą się jeszcze w Wydziale Humanistycznym, czy zostaną na Wydziale Zarządzania i Informatyki. Planowana jest filologia, przy której tworzeniu pomoc swą ofiarował rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Tadeusz Sławek, a także filozofia, którą to u nas już od lat zajmuje się absolwent KUL-u, a obecnie także profesor tej uczelni Adam Jonkisz. W jednej z poprzednich kadencji wyraziłem nawet zgodę na jego odejście do Cieszyna, gdyż uznałem, że może mi się tu zmarnować jako czysty filozof wśród techników; ale nie stracił nigdy z nami kontaktu. Osobny problem dotyczy historii,

gdyż nie wiadomo, czy zaistnieje potrzeba kształcenia dużej ilości studentów na tym kierunku. Brane jest także pod uwagę utworzenie katechetyki. Konsultowaliśmy się z Instytutem Teologicznym św. Jana Kantego, z którym nadal będziemy współpracowali. Sprawy kształcenia w tym zakresie są jednak objęte konkordatem.

- Duża ilość nowych kierunków sprawi, że uczelnia będzie jednak rozproszona po całym mieście...

- Niestety tak. Ostatnio dostaliśmy od wojewody do wynajęcia drugie piętro w kuratorium. Dostaliśmy również od biskupa zgodę na korzystanie z pomieszczeń dla humanistów w Instytucie Teologicznym św. Jana Kantego, koło budynku kurii biskupiej. Jeszcze nie wiemy, gdzie umieścimy rektorat. Obecnie wygląda na to, iż znajdzie się w pałacyku Sixta przy ul. Adama Mickiewicza. Instytut Włókiennictwa i Ochrony Środowiska wciąż mamy przy Placu Fabrycznym. Humanistykę planujemy umieścić w budynku Instytutu św. Jana Kantego i w budynku kuratorium. Rektorat znalazłby się więc pośrodku kilku budynków uczelni. Wciąż czekamy na ukończenie budowy obiektu na Błoniach. W ubiegłym roku dostaliśmy dwa miliony, w obecnym trzy miliony zł, lecz koszt jego budowy - wraz z wyposażeniem - wynosi 25 milionów zł. Co będzie z nim dalej, nie wiadomo. Widzimy przecież co dzieje się z budżetem państwa. Po wybudowaniu znalazłoby w tym budynku miejsce do nauki aż dwa tys. studentów. Obecnie mamy już sześć tysięcy słuchaczy, a planujemy, że wraz z humanistami będzie osiem tysięcy. Liczymy także na przychylne załatwienie przez władze miejskie spraw własnościowych terenów przy ulicy Kustroń, gdzie były kiedyś zakłady papiernicze. Mieliśmy tam także Instytut Technologiczno-Samochodowy. Tereny te moglibyśmy sprzedać, a pieniądze zainwestować w budowę nowych obiektów. W przeciwnym razie możemy budować bardzo długo. Nowe kierunki będą powstawały nie tylko na Wydziale Humanistycznym. W tych dniach zgłaszam wniosek o utworzenie nowego kierunku o nazwie automatyka i robotyka na Wydziale Budowy Maszyn. To kierunek uniwersalny, gdyż będzie można się specjalizować np. w budowie aparatury medycznej itp. Mamy już dostatecznie dużo fachowej kadry akademickiej, możemy więc tworzyć nowe kierunki.

- Kiedy przewiduje się skupienie wszystkich wydziałów w jednym miejscu?

- Niestety, nie sądzę, by mogło to nastąpić wcześniej niż za pięć, dziesięć lat. Takie są możliwości polskiego szkolnictwa wyższego, a także naszej uczelni. Mamy już przygotowane plany budowy i zagospodarowania terenów, ale to wszystko będzie trwało.

- Jakich jeszcze kierunków można oczekiwać na Wydziale Humanistycznym? Czy możliwe jest np. utworzenie teatrologii; w końcu istnieją w Bielsku-Białej dwa prężnie działające teatry?

- Jeśli mianuje mnie minister i stanę rektorem nowej uczelni, będę otwarty na nowe propozycje. Uważam, że powinno się iść w nowych kierunkach, także artystycznych. Otrzymaliśmy oferty współpracy, na przykład od prof. Leona Jończyka, dziekana Wydziału Sztuk Pięknych Polskiego Uniwersytetu w Londynie.

- Jakie atrakcje proponuje uczelnia swym studentom poza nauką?

- W tej chwili nie jest z tym do końca tak, jakbym sobie życzył. Działalność sportowa jest dość ładnie rozwinięta. Są koła zainteresowań. Obserwuję jednak pewien zastój działalności studenckiej. Nie wiem, czy nie wynika to z tego, że studenci muszą gonić za pieniędzmi; po prostu nie mają czasu na działalność społeczną. Wszystko mogą sobie zorganizować tak jak kiedyś, gdy było kółko teatralne czy żeglarskie, jednak teraz nie wykazują takiej inicjatywy. Jeżeli chodzi o bazę socjalną, to dysponujemy dwoma domami akademickimi, a braki uzupełniamy kwaterami prywatnymi. Korzystamy też z internatu Zespołu Szkół Samochodowych. Dla kadry nauczycielskiej miasto przekazało siedem mieszkań przy ulicy Korna, za co jesteśmy władzom wdzięczni. Prezydent Bogdan Traczyk jest bardzo konkretny w rozmowach, ale nie dziwię się. Ukończyliśmy tę samą specjalność, więc łatwo nam się dogadać.

- Czy studenci po zakończeniu studiów mają szansę na znalezienie satysfakcjonującego miejsca pracy? Innymi słowy - czy uczelnia jest dostosowana do wymogów rzeczywistości?

- Uważamy, że naszą ofertę edukacyjną będą uzupełniały studia podyplomowe. Wzorce zachodnie wskazują, że człowiek trzykrotnie w ciągu życia zmienia zawód. Powstają profesje i specjalności, które

nie istniały. Na tym opieramy naszą przyszłość. Pojawiają się tendencje, które kładą nacisk na szerokie wykształcenie. Jeszcze zanim zostałem wojewodą, zorganizowałem na naszej uczelni Centrum Studiów Zawodowych i Podyplomowych. Miało ono na celu dostosowanie wykształcenia ludzi do sytuacji panującej na rynku pracy, czyli zmianę specjalności zgodnie z zapotrzebowaniem. Obecnie mamy np. ogromne zapotrzebowanie na informatyków i specjalistów od zarządzania. Nie wiem jednak, czy wciąż będą potrzebni, kiedy skończą studia. Na razie nasi absolwenci pracę dostają. Nie stoi jednak nic na przeszkodzie, by absolwent mechaniki został handlowcem. Po prostu studia mają nauczyć myślenia. Ja spotykam swoich studentów w bardzo różnych miejscach: w administracji rządowej, w bankach. Jeden z naszych profesorów chemii jest dyrektorem banku. Studia techniczne przygotowują więc do różnych sposobów wykonywania pracy zawodowej.

- Kogo uczelnia będzie kształcić? Czy będą to ludzie z Bielska-Białej i okolic, czy też uczelnia będzie na tyle atrakcyjna, by ściągać młodzież z innych regionów kraju?

- W zasadzie kształcimy ludzi z naszego regionu i z tym musimy się liczyć. Trafiają się też ludzie z innych regionów Polski, także zza granicy - Czech, Słowacji i nie tylko. Sytuacja jest taka, że ci, którzy mają pieniądze, wysyłają dzieci, by się kształcili za granicą - do Oxfordu, Cambridge czy na Sorbonę. Ci, co mają trochę mniej pieniędzy, wysyłają do Warszawy czy na Uniwersytet Jagielloński, a ci co nie mają pieniędzy - do nas. Na pewno nie będziemy kształcili gorzej, jeżeli chodzi o sam zasób wiedzy. Z pewnością jednak środowisko warszawskie czy krakowskie inaczej wychowuje. Dlatego ważne jest, by na naszej uczelni były różne kierunki studiów. Ja na przykład mam chrześniaka w Cambridge, który się tam doktoryzuje i widzę, że w tamtejszych college'ach studiuja i pracują ludzie różnych specjalności i kierunków. Ich wzajemne obcowanie powoduje, że rozwijają się lepiej, niż koledzy studiujący na bardziej hermetycznej, jeżeli chodzi o różnorodność kierunków, uczelni, którzy nie mają styczności z inaczej kształcącymi się rówieśnikami.

- Czy w przyszłości istnieć będzie możliwość, by student przechodząc na pierwszy rok, mógł

jeszcze nie być zorientowany, jaki kierunek studiów wybierze, gdyż możliwość wyboru otrzymałby w latach późniejszych?

- Sądzę, że tak, ale nie od razu możemy do tego dojść. Z podobną próbą spotkałem się dwa czy trzy lata temu na SGH w Warszawie, gdzie studenci po drugim roku mogli wybierać kierunek studiów. Uważam, że to jest właśnie przyszłość. Przypuszczam również, że będziemy kształcili tak zwanych studentów mieszanych, na przykład „filologo-mechaników”, studiujących mechanikę i jednocześnie języki na innym wydziale. Trudno powiedzieć, ile trzeba czasu, by do tego dojść. Mamy również zamiar wprowadzić punktowy system oceny. Jest to system niezbędny do tego, aby nasi studenci mogli również studiować za granicą. To jest moim zdaniem krok do tego, by nauczyć studentów sposobu myślenia, a nie uczenia się pewnych przedmiotów na pamięć. Wszystko zmierza więc będzie do pewnej koegzystencji różnych kierunków studiów. Myślę także, że nie tylko nasi studenci będą wyjeżdżać na studia za granicę. Będziemy coraz częściej obserwować przykłady odwrotne. Dostałem teraz z Libii e-mail od młodego człowieka z pytaniem, czy można u nas robić doktorat, bo otrzymał stypendium rządowe. Podobne pytanie przyszło również z Indii.

- Jakie będą intelektualne korzyści z powstania kierunków humanistycznych na uczelni?

- Na pewno uczelnia oddziałuje na nasz region. My w Bielsku-Białej pod względem wykształcenia technicznego zawsze byliśmy dobrze przygotowani, natomiast pod względem prawno-ekonomicznym słabo. Nasze miejscowe elity intelektualne nie były spójne. Część z nich była po uczelniach krakowskich, część po śląskich i w zasadzie nie istniała zwarta społeczność bielska. A uczelnie przecież zespalały. Ci, którzy razem studiowali, trzymają się razem. Przywódcami nie są jednak technicy, a raczej humaniści. Mam więc nadzieję, że uczelnia zintegruje intelektualne elity Bielska-Białej. Mój optymizm wynika m.in. z obserwacji ludzi na Podbeskidziu. Tutejsi mieszkańcy są pełni inicjatywy i umieją się dostosować do sytuacji gospodarczej czy politycznej. Będąc wojewodą dostrzegłem ponadto, że potrafią pracować, a tacy ludzie stanowią największy skarb tej ziemi.

Historia opowiedziana przez Lecha J. Majewskiego (współscenarzysta i reżyser) oraz Adama Sikorę (autor zdjęć) jest w najwyższym stopniu intrygująca: oto umiera stary mistrz gminy okultystycznej w Janowie koło Katowic, na swojego następcę wyznacza Teofila, przekazuje mu tajemne księgi wraz z przepowiednią, która ma się ziścić w trzech fazach: 1. wybuch wielkiej wojny. 2. inwazja świata astralnego i rządy jego demonów, 3. apokalipsa - zniszczenie świata przez promień z Saturna, co nastąpi wówczas, gdy ludzkość sprzeniewierzy się prawu moralnemu i boskiemu.

Dwie pierwsze przepowiednie sprawdzają się co do joty. Wybucho wielka wojna, demony wcielają się w nazistów i komunistów. Z tym, że figurą groźniejszą od Hitlera wydaje się Stalin, pierwszy bowiem zdradza się z niepokahamowaną żądzą władzy nad światem fizycznym, drugi odbiera człowiekowi Tajemnicę: duszy nie ma, mówi Stalin, nie warto walczyć z czymś, czego nie ma! Lech Majewski nie zatrzymuje się dłużej na okupacji nazistowskiej. Scena z Hitlerem, dobra i komiczna, pozbawiona jest wszakże pierwiastka diabelskiego. Zmory są gdzie indziej. W komunizmie. Lech Majewski urodził się w Stalinogrodzie. W „Angelusie”, scena zamiany Katowic na Stalinogród, niby pogodna i bezbolesna, działa precyzyjnie jak nóż chirurgiczny. Ten Stalinogród zwyczajnie, po ludzku, boli Lecha Majewskiego, rani jego serce. To jest ważna kwestia, ponieważ zamiana imienia miasta jest jak zdarcie skóry z żywego człowieka i ubranie go w skórę obcą, nie przylegającą do jego ciała. W podobny sposób ma się dokonać proces przerabiania Polaka, w „Angelusie” Polaka-Ślązaka, na człowieka sowieckiego.

Tu i ówdzie komunistyczni inżynierowie ludzkich dusz odnosili jakieś sukcesy. Ale ich trud okazał się całkowicie daremny w Janowie, w każdym razie w przypadku grupy skupionej wokół Mistrza Teofila. Myślę, że można w tym miejscu dodać nazwisko: Ocieпки. Chociaż film ucieka od nazwisk - autorzy utrzymują, że ich historia jest zmyślona, prawdziwy jest tylko ów janowski zaczyn, fakt, że była tam grupa okultystyczna, powstała w latach trzydziestych i żywo działająca w dwóch pierwszych dekadach powojennych. Mistrz Teofil Ocieпка nie uległ inżynierom dusz; od świata ordynarnej manipulacji i propagandy uciekł w rejony swojej fantastycznej wyobraźni. W baśń, w śląskie bery i bojki, w rzeczy tajemne, w mistykę. Co do innych pierwszoplanowych postaci „Angelusa”, nie ma chyba wątpliwości: są fikcyjne. Zróżnicowane i rozpoznawalne, co jest sukcesem reżysera, który zaangażował głównie amatorów. Niezliczona mnogość rodzajowych scen, scenek osadzonych silnie w realiach śląskiego familoka, krajobrazu szybów i hald; rubasność tego filmu; dosadny język, dla uszu Polaków spoza Śląska być może



ANGELUS

nawet obsceniczny; państwowy rytuał przemówień, wieców, nawet zabaw przełamywany uporczywie i skutecznie przez swojski, tutejszy obyczaj i zwyczaj (kapitałna sekwencja zabawy, która z każdą chwilą oddala się od peerelowskiej ludowej potańcówki na cześć przekroczenia iluś tam procent normy dziennego wydobycia, przemieniając się w swoisty śląski piknik z tyrolskim jodlowaniem dla okrasyl!), to tylko niezbędna gleba, po której stąpa człowiek, bo myśl jego ulata ku Saturnowi.

Mistrz Teofila i jego wyznawców (wśród których naturalnie znajdzie się Judasz) zaprzęta poza fedrowaniem zagadka bytu. Rano wstają, idą na kopalnię, pracują, aby utrzymać rodziny, ale tak naprawdę pochłaniają ich kwestie ontologiczne. Wszyscy są prości, niewykształceni, wiedza Mistrza Teofila bierze się głównie z jednej księgi, z dzieła pt. Saturn” niejakiego Wolfa, może jeszcze z dwóch, trzech ksiąg, które trzyma w lodówce. Czyta je z nogami uniesionymi, opartymi piętami o ścianę, z głową zwieszoną w dół - księgę trzymającą w powietrzu, przed oczami; czyta więc „do góry nogami”, jak opowiada narrator filmu. Prostaczkowie boży, którzy mówią o rzeczach jakby ich przerastających. (Ale kogo te rzeczy nie przerastają?) Oni są wzruszający, gdy tak samo jak „godają” o byle czym, tak też „łosprowadzają” o esencji i egzystencji. Przypominają filozofujących górali księdza profesora Józefa Tischnera, ale są od nich bardziej „pofyrtani”.

Aby ocalić świat, muszą przygotować do ofiary Przeczystego Młodzieńca. Sposób, w jaki to czynią, jest rozbrajająco nieporadny. Najpierw przepada zdawałoby się stuprocentowy kandydat. Pozostaje szesnastolatek, na którego ostrzy sobie ząbki urodziwa rówieśnica - znając się od urodzenia. Ludzie Mistrza Teofila dosłownie wyrwywają „Przeczystego

POZA KADREM

Młodzieńca” z objętych dziewczyny, aby po stosownych ablucjach umieścić go na dachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR; tam bowiem, wedle obliczeń Mistrza Teofila, ma uderzyć promień z Saturna.

Bunt przeciwko Mistrzowi i zdrada Judasza - oto znaki, symbole, które odwołują się do naszej chrześcijańskiej wrażliwości, lecz jest to analogia powierzchowna, moim zdaniem zaledwie dekoracyjna. Nawet przyjmując, że cała

ta historia z ofiarą, która jest konieczna, aby zbawić świat, jest w janowskim wydaniu zniewalająco niedorzeczna, trudno przystać na tak pocziwy jak w „Angelusie” finał konfliktu z Urzędem Bezpieczeństwa. Niezależnie od tego, czy owi janowscy „spiskowcy” byłiby dziwakami, półwariatami, czy też głupich by udawali, wyroki byłyby beztłosne i surowe. Zderzenie sacrum i profanum byłoby tragiczne. Czujemy więc, że autorzy filmu zawiedli nas do Krainy Nieprawdopodobieństwa, ale urok tej kolorowej bajdy działa. Momentami zachwyca. Jest to bez wątpienia film niepowszedni, różny od całej naszej produkcji, wzięty spod serca. Jednak nie wybitny. „Angelus” jest, na mój gust, zbyt „jajcarski”. Rozbuchana ludyczność bawi, lecz okazuje się niewygodnym balastem, gdy film chce wzbić się ku Tajemnicy, w rejony wielkiej sztuki. Szkoda, bo Lech Majewski był o krok od filmu rewelacyjnego, samoswojego, do gruntu lokalnego i jednocześnie uniwersalnego, możliwego do odczytania w wielu miejscach świata, w kulturach dalekich od tej, z jakiej wywodzi się „Angelus”. Olśniewające zdjęcia, reżyser w świetnej formie, znać, że Lech Majewski stąpa po własnej ziemi pod własnym niebem, scenografia, kostiumy i muzyka - to wszystko jest wiarygodne, ani grama w tym fałszu. Powiem z pełnym przekonaniem, że tym razem twórca „Ewangelii według Harryego” i „Wojaczka”, był bardzo blisko arcydzieła. Co stało na przeszkodzie?”. Myślę, że brak „Angelusowi” poczucia tragizmu istnienia. Gdy Przeczysty Młodzieniec idzie na Najwyższą Haldę, nie czujemy, aby była jego drogą na Golgotę. Jest tu zabawa, jest odrębność kulturowa, własna mowa, glód Tajemnicy, są bohaterowie wyraźnie odstający od normy, a więc „szaleńcy Boży”, to dobrze, jest mieszanie realności z baśnią. I tylko oddech tej opowieści jest zbyt płytki: bohaterowie nie zostają poddani ostatecznej próbie, która by w nas wyzwoiliła litość, a właśnie litość jest sprężyną tragedii.

FELIKS NETZ

Za wydarzenie bez precedensu należy uznać uroczyste przekazanie i poświęcenie „Golgoty Jasnogórskiej” Jerzego Dudy Gracza 8 września 2001 roku. To wielkie, wotywno dzieło złożone z 18 obrazów, składających się na stacje Drogi Krzyżowej - dar artysty dla Jasnej Góry - znalazło miejsce wyjątkowe: w górnej części zabudowań Kaplicy Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

W miejscu, gdzie schodzi się co dnia Polska

Z JERZYM DUDĄ GRACZEM

o „Golgocie Jasnogórskiej”

rozmawia JUSTYNA KIJONKA

- Urodził się Pan w Częstochowie przy ulicy Śniadeckich 40, nieopodal Jasnej Góry. To oczywiście, że od najmłodszych lat bywał tam Pan często. Pana najwcześniejsze wspomnienia z Jasnej Góry?

- Żeby mówić o wspomnieniach, trzeba ogarnąć całe dzieciństwo, tego smutki i biedy oraz chwile spędzone w cieniu wieży jasnogórskiej, w atmosferze nabożeństw, odpustów, pielgrzymek i tego wszystkiego co zapamiętałem z tamtych lat. Były to też częste marszruty razem z Matką na długie, piękne, jeszcze w przedsoborowej formie nabożeństwa, podczas których przyglądałem się celebrazom, sztandarom, przysłuchiwałem modlitwom, oczywiście jako mały chłopak niemiłosiernie się nudząc.

To był okres najwcześniejszy, kiedy kształtuje się świadomość człowieka. Widziałem wielu ludzi modlących się bardzo gorąco, którzy

składali w tym miejscu z nadzieją i ufnością całe swoje życie.

Późniejszy okres młodzieńczych buntów, mniej uduchowiony, ale za to wypełniony pracą, był także nasycony obserwacją Jasnej Góry i jej okolic, jej egzotyki; myślę tu o pielgrzymach, proboszczach, chłopskich strojach, żebrakach, ukwieconych furmankach. Były to niezwykle barwne żywe obrazy nawiązujące do tego co już wówczas było ukochane - do malarstwa młodopolskiego, które znałem z domowej biblioteki, reprodukcji, pocztówek.

- Od początku Jasna Góra jako miejsce inspiracji artystycznej. To ważne stwierdzenie.

- Kontakt z Jasną Górą był także pierwszym kontaktem ze sztuką. Całe moje malarstwo wywodzi się z pierwszych zachwyty, z tego pierwszego dziecięcego rozdziału gęby. To tam były sarmackie portrety trumienne, które są fundamen-

tem mojej twórczości, także kościelne malarstwo barokowe, które stało się bardzo zapładniające. Tamten okres raz na zawsze mnie uformował z czego wtedy, także później w czasie studiów i w pierwszych latach po studiach nie zdawałem sobie sprawy. To miejsce ugruntowało mój sposób widzenia świata. W tym miejscu dochodziło do zderzenia z jednej strony z sacrum, z drugiej profanum: zderzenia tego czego uczył - dom z bezpośrednią rzeczywistością. Takie są moje częstochowskie korzenie. I tak mogę dziś spojrzeć na to miejsce.

- Jako dziecko uczestniczył Pan w świątach religijnych, także w Drodze Krzyżowej. Tamte przeżycia wywarły trwałe wpływy na Pańską wrażliwość. Jak zapamiętał Pan obrazy Drogi Krzyżowej z dzieciństwa?

- Trudno mówić tylko o obrazach. Najmocniej pamiętam bardzo piękne ze względu na „akcję w przestrzeni” nabożeństwa Drogi Krzyżowej. Każda pielgrzymka obchodziła wały jasnogórskie z najsłynniejszą Drogą Krzyżową dłuta Piusa Welońskiego zbudowaną w latach 1900-1913, z rzeźbami wkomponowanymi w pejzaż parku okalającego mury klasztoru. To było pierwsze zetknięcie się z Drogą Krzyżową, z atmosferą celebry, zachowań ludzkich i z sensem Drogi Krzyżowej. Muszę jednak wspomnieć o bardzo ważnym incydencie. Gdzieś w wieku dziewięciu lat podczas przydługich nabożeństw przed szczytem zadałem sobie dziecięce, naiwne pytanie, które do mnie po latach wróciło jako pytanie fundamentalne: co by było gdyby teraz pojawił się Chrystus i powiedział, że jest Synem Bożym? To pytanie, które zadałem sobie jako dziecko, potem zapomniane, wróciło po wielu latach jako problem, który chciałem będąc malarzem po swojemu rozstrzygnąć.

- W to święte miejsce schodzi się co dnia cała Polska ze swoimi troskami, kalectwem, bólami a także by wyrazić wdzięczność za otrzymane łaski. Jak oddziaływało wówczas na Pana obcowanie z anonimowym cierpieniem, bo na pewno odżyło podczas prac nad „Golgotą Jasnogórską”?

- Tak. Najbardziej zapamiętałem moment odsłaniania i zasłaniania obrazu. Używane do tego XVII wieczne instrumentarium robiło wrażenie. Na dźwięki tej bardzo przejmującej muzyki nakładały się ludzkie głosy, szlochy, modlitwy. Było to działanie i przeżycie, które przetrwało późniejsze zwątpienia i zakręty życiowe. Ta ciżba, ten zbity tłum „w sercu narodu” pozostał. Z drugiej strony obserwacja ludzkich zachowań bardzo wzruszających. Pamiętam osoby od-

bywające drogę na kolanach - to co do dzisiaj jest tak widoczne w liturgii prawosławnej. Gdy parę lat temu byłem w Grabarce przypomniało mi się dzieciństwo, gdzie zbliżenie się do ołtarza odbywało się wyłącznie na kolanach. To są najmocniejsze wrażenia. Jednocześnie Jasna Góra miała wiele miejsc sprzyjających zadumie i refleksji, w których w jakiś sposób obcowało się z czasem przeszłym. Myślę, że to miało ogromny wpływ na formowanie się mojej twórczości i jej filozofii, mojej postawy jako człowieka, jako Polaka. Następowało formowanie „wierzenia po polsku”. W kontekście naszych dzisiejszych europejskich aspiracji być może trąci to tandetą, peryferią i ciemnogrodem. Cóż to jednak za uczucie dotykać ławek wyklęczanych przez wieki, wachać jak pachnie drewno i próbować wnikać w atmosferę czasu minionego. To jest niezwykle działanie tego miejsca z pogranicza religii, mistyki, gdzie człowiek - mówię tu o sobie - mniej myśli o Bogu - wszechstworcy, a bardziej o tym jakby lokalnym, odrębnym, bardzo polskim sposobie pojmowania wiary. Ma to dla mnie ścisły związek z uświadamianiem sobie, że jest się częścią narodu, będąc sukcesorem nie tylko cnót ale wszystkich wad i wszystkich polskich grzechów głównych.

- Pana nauczycielem w liceum plastycznym w Częstochowie był prof. Edward Mesjasz. Nazwisko Mesjasz ma więcej znaczeń. Czy nie okazał się on Pana mesjaszem w wejściu do sztuki?

- Rzeczywiście tak. To mój ukończony, najważniejszy mistrz. On jest dla mnie jak pierwsza miłość. Otworzył mi oczy na sztukę, ukształtował raz na zawsze. Nauczył patrzenia na naturę, obcowania z nią. Nauczył tego co później stało się praktyką: czyli „ani dnia bez kreski”, codziennego rysowania, raz żmudnego, raz pobieżnego, w zależności od czasu. On nauczył noszenia przy sobie szkicownika. On rozkochał nas w tym co polskie, w sztuce i w życiu. Jednocześnie był to człowiek, który oprócz wiedzy, którą przekazywał, dał nam coś najcenniejszego - zasadę wierności sobie. Udowodnił samym sobą, że nieraz trzeba dużo tracić w życiu jako człowiek i artysta, żeby być wiernym swojemu ja, swojej artystycznej moralności. To jest największy skarb jaki nam przekazał, czego jestem świadom dzisiaj, skarb prawdziwej artystycznej wolności, czyli poddania się z całą siłą niewoli własnych poglądów. To zawdzięczam mojemu Mistrzowi. Istnieję dzięki temu. To On mnie stworzył.

- Od dzieciństwa porusza się Pan ze szkicownikiem. Pierwsze Ma-

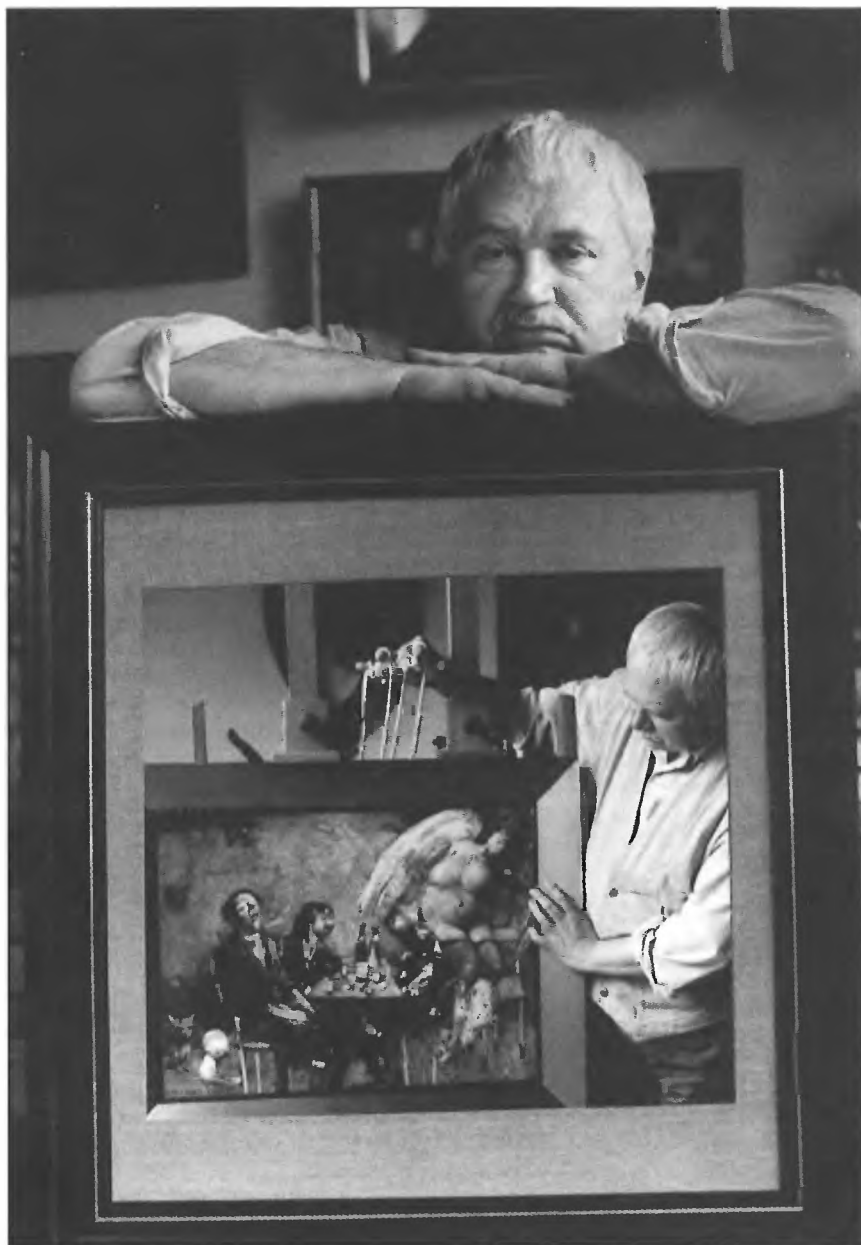


Foto: Janusz Mielcarek

donny, Piety i sceny Ukrzyżowania stworzył Pan będąc uczniem liceum. Czy wynikało to ze stałego obcowania z mistyką i codziennością Jasnej Góry?

- Doszliśmy do takiego wątku rozmowy, że trzeba ją odbrzązować, bo jeszcze okaże się, że jestem malarzem przykościelnym, czego bardzo bym nie chciał. Maluję po prostu Polskę. A szkicownik i codzienne rysowanie to oczywiste elementy pracy - posiadanie przy sobie środków do zapisania myśli w jednej chwili. Jeśli chodzi o tematykę sakralną, to ona się przewija w tej twórczości nieraz bardzo sprzecznie ze sobą, gdy porównuję wczesne szkice z lat 50., wykonywane z taką nabożnością - i prace późniejsze, gdzie pojawiają się momenty pasyjne w tematyce świeckiej, obyczajowej, publicystycznej a nawet w pejzażu. Ten wątek Pasji, ukrzyżowania, ciągle wraca. W okresie, kiedy powstawały

pierwsze podyplomowe, suwerenne prace ujawniło się pełne złości wierzenie przeciwko światu, z którego wyszedłem, czyli Częstochowie, która w tamtych latach wydawała mi się kwintesencją polskiego prowincjonalizmu, kołtuństwa, świata strasznych mieszczan i dewotek. Te motywy się powtarzają na różne sposoby, w różnych aspektach, nieraz bardzo krytycznych i przenoszonych na obszar życia społecznego, nieraz dla wyrażenia osobistych dramatów, kiedy odchodzili najbliżsi: ukochany Ojciec lub wielki artysta, którego nie miałem szczęścia poznać. Jednych to uwodzi, dla innych staje się przedmiotem oskarżeń, bo i tak się zdarzało, że te obrazy, które malowałem w jak najbardziej „prawomyślnych” intencjach religijnych budziły agresję osób „świętszych od papieża”. Zdarzały się sytuacje takie jak związane z „Pietą Limanowską”, doniesienie złożone w prokuraturze o ob-

razę uczuć religijnych. Wszystko co robię jest polskie, a więc gdzieś tam w tym co dobre i złe musi być katolickie. Nawet jeśli to jest pejzaż, to jest w nim, czasem przypadkowo taki nastrój, że można go zatytułować: Ojciec nasz, czy Anioł Pański...

- Wydany z okazji ukończenia „Golgoty Jasnogórskiej” okazały album, obok scen Drogi Krzyżowej zawiera okazałe kalendarium rodzenia się tego dzieła, opatrzone zapiskami, szkicami i komentarzem twórczym. Są tam również rysunki i akwarele spod Jasnej Góry z lat wczesnych, pełne żywych obserwacji. Procesję z monstrancją i scenki żebracze, obrazy Madonny, sceny Ukrzyżowania i Piety. Stwierdził Pan to, o czym była już mowa: „Jasna Góra była moim pierwszym plenerem i poligonem ćwiczebnym”. Kiedy pojawił się pierwszy zamiysł stworzenia „Golgoty Jasnogórskiej” i jak przedstawiała się tamta wczesna wizja?

- Na początku była propozycja złożona przez kuratora zbiorów sztuki na Jasnej Górze Ojca Jana Golonkę w 1982 roku podczas pleneru z okazji 600-lecia obecności obrazu Matki Bożej, kiedy przyszedł mi do głowy tamten pomysł z dzieciństwa: co by było gdyby Chrystus się dzisiaj pojawił?... Namalowałem wtedy Stację IV: Spotkanie Jezusa z Matką, czyli spotkanie Jezusa z częstochowską Hodegetrią, Wskazaniem Drogi. Bardzo chciałem tę wotywną Drogę Krzyżową zrealizować. Warsztat, płótna i szkice kartonów były gotowe. Później jednak nastąpił cały szereg rozbieżności, sporów, lęków i wątpliwości. Korzystając z każdego pretekstu, najpewniej bojąc się, że nie podołam uciekłem z Jasnej Góry. Dopiero po latach zrozumiałem, że w 1982 roku nie byłem na tyle dorosły, żeby zrealizować wizję swojego dzieciństwa. Potrzeba było iluś lat żebym artystycznie i duchowo dojrzał do tej pracy. Spełniło się to o czym Ojciec Jan Golonka napisał do mnie w 1983 roku „drobne sprawy dziwnie leczą Boży Czas”. „Golgotę Jasnogórską” zawdzięczam wierze Ojca Golonki, który nigdy nie wątpił, że ona powstanie, nawet wtedy kiedy mnie się wydawało, że do tego tematu nie wróć... To jest właściwie Jego Droga Krzyżowa, Jego zwycięstwo nad tym co niesie ze sobą zły czas, brak możliwości porozumienia się, mali ludzie, małe sprawy. Ja jestem tylko narzędziem. Ale to już są tematy, o których nie bardzo chcę mówić „do gazety”.

- Jest Pan autorem wielu scen i cykli mających za temat Drogę Krzyżową. Proszę może je przypomnieć.

Drogi Krzyżowe w sposób naturalny są integralną częścią mojej twórczości na zasadach równowag, jak kiedyś obrazy o tematyce społeczno-politycznej, jak portrety polskie, obrazy jurajskie i cykle prowincjonalno-gminne. Drogę Krzyżową jest kilka. Pierwsza była graficzną wersją Drogi Krzyżowej do poematu Joanny Kulmowej „Jak to Pan Jezusik cierniowy po świecie przypatrywał”. Wydaliśmy ją w 1973 roku własnym nakładem. Druga Droga Krzyżowa to Droga z 1984 roku z Brennej w Beskidzie Śląskim. Drogę Krzyżową dla Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej przy ulicy Granicznej w Katowicach nazwałem Eremicką (1990). Czwarta Droga Krzyżowa jest w Nadrzeczcu na Zamojszczyźnie w Kaplicy Przydrożnej. Te „Drogi” mają charakter wotywny i zawsze musiały zaistnieć jakieś bardzo istotne i ważne okoliczności duchowe, żeby powstały. To mogę również powiedzieć o „Golgocie Jasnogórskiej”, gdyby to było zlecenie Ojców Paulinów - zrezygnowałbym z tej pracy, nie potrafiłbym dokonać takiego wysiłku. Nie potrafiłbym będąc krnąbrnym dzieckiem swojego Kościoła zdobyć go swoją twórczością za pieniądze. Zostawiam to tym pobożnym, ale niewierzącym.

- W Pańskim życiorysie artystycznym jest wyraźna linia graniczna, o której przypomina pan wielokrotnie - przejście ciężkiej choroby. Po niej następuje zwrot w Pana malarstwie. Pojawiają się motywy cierpienia, śmierci i przemijania. W jakim stopniu to doświadczenie wpłynęło na Pańskie widzenie świata i koncepcję człowieka znajdując odbicie w malarstwie?

- Może to tak wyglądać, ale choroba była tylko jednym z elementów, bo nastąpiła w czasie konkretnych wydarzeń przelomu lat osiemnastych. Uświadomiłem sobie wtedy całą mialkość haseł o wolności a przede wszystkim o solidarności Polaków doświadczając na swojej skórze czegoś zupełnie przeciwnego, tylko dlatego, że miałem własne poglądy i własną moralność. To były powody, które kazały mi odejść od tego etapu pracy, który przyniósł mi odrobinę popularności, czy wątpliwe - jak dziś na to patrzę - splendory zawodowe. Straciłem motywację do dalszego utrwalania paranoi PRL-u, na rzecz tego co najbliższe, czyli człowieka, jednostki ludzkiej z jej uniwersalnością. Ten okres uświadomił mi również, że to co robiłem wcześniej układa się w wielki życiowy i najistotniejszy nurt w mojej twórczości to jest w tematykę Drogi: życia, przemijania i śmierci.

- Wcześniej był Pan autorem licznych wielkich malowideł. Czy to dosadnie portretując sceny z PRL-u, czy też tak potężne wizje jak słynny „Exodus”. Teraz ramy wypełniły sceny pełne cierpienia, biedy, opuszczenia, postaci szpitalne i z przytułków, jak np. Stacja VI z obrazem św. Weroniki. Co wpłynęło na to, że w tej Drodze Krzyżowej cierpienie Chrystusa wyraża często cierpienie otoczenia?

- Z wielkością tematów (i formatów!) jest różnie. Często kusily mnie małe formaty, bo trudniej nimi poruszyć widza niż dużym obrazem. Niezmiennie ich bohaterem był zawsze człowiek. Nie widzę tu żadnej różnicy czy metamorfozy. Dla mnie jest to ciągle ten sam świat, podobnie jak człowieczeństwo Chrystusa, który jest główną i samotną postacią w „Golgocie”. Jedną z postaci tego świata, która zbawia, i do której jest najbliżej w momencie cierpienia i swoistego „błuznierstwa”. On, syn Boży, pyta się Boga, czemu go opuścił? Myślę, że tu jest istota tego, że Chrystus jest Bogiem słabych. Ja upodobałem sobie właśnie świat ludzi słabych i tu następuje zbieżność tego samego wątku.

- Ktoś niezorientowany może być zaskoczony formą tych malowideł o łukowym zwieńczeniu. W jakim stopniu architektura miejsca zawazyła nad tym kształtem i dlatego „Golgota Jasnogórską” składa się z 18 scen a nie 14 jak nakazuje tradycja?

- Jeśli chodzi o formę obrazów, to jest ona związana z architekturą wnętrza, które zdecydowało, że mają formę prostokąta zwieńczonego łukiem. Staralem się również nawiązywać do malarstwa jasnogórskiego, gdzie wiele obrazów jest skomponowanych na podobnej zasadzie. Jak powiedział jeden z przeorów Jasnej Góry, właśnie z okazji poświęcenia Drogi Krzyżowej dłuta Piusa Welońskiego, „Polacy kochają nabożeństwo Drogi Krzyżowej”. Tylko, że ja mam wrażenie, patrząc dzisiaj na to zjawisko, że sprawujemy Drogę Krzyżową ze zbyt dobrym samopoczuciem, które chciałem nieco „popsuć”. Sprawujemy je w przekonaniu, że jest to wydarzenie, które kiedyś odbyło się w „czternastu odciskach”, jak historyczny komiks, z którym my nie mamy nic wspólnego. Pokazałem to dzisiaj, teraz i w konkretnych warunkach, w których uczestniczymy. Idealem byłoby, jak to się częściowo udało w Brennej, żeby każda Droga Krzyżowa zamykała się ołtarzem, czyli Żywą Eucharystią. Chodzi o pokazanie Drogi Krzyżowej zamykanej nie faktem śmierci a wręcz przeciwnie - niekończącego się Życia i Zbawie-

nia, czyli wyrazistego wyobrażenia sensu i celu Ofiary Chrystusa.

- W wydanym przez Pana albumie każda stacja „Golgoty Jasnogórskiej” opatrzona jest komentarzem odautorskim. Jak z tego widać podjął Pan studia nad Nowym Testamentem i komentarzami do ukrzyżowania Chrystusa.

- Należało się po prostu przygotować biorąc pod uwagę to, że swoją Drogę Krzyżową chcę zrealizować w realiach polskiego katolicyzmu, bez popełniania błędów teologicznych. Stąd oparłem się o rozważania kardynała Karola Wojtyły z 1976 roku na temat Drogi Krzyżowej wygłoszone podczas rekolekcji w Watykanie. Następnie o rozważania Drogi Krzyżowej księdza Jana Twardowskiego oraz księdza profesora Józefa Tischnera.

Miałem również to szczęście, że z księdzem Tischnerem mogłem rozmawiać o swojej idei fix czyli o wędrówkach Chrystusa po polskich drogach. Na tym opierałem, między innymi, to, co teologiczne. Jeśli chodzi o własny komentarz, to jest on idący w kierunku interpretacji ikonograficznej. Wiem, że to złe, jeśli autor próbuje jeszcze dodatkowo dopowiadać coś do obrazów, ale pewne rozwiązania są zupełnie nowe. Jeśli pojawia się na przykład: ponowne odczytanie księgi Genesis, w Stacji XIV - Zmartwychwstanie, kiedy Chrystusa przedstawiam jako „Ducha Bożego” unoszącego się nad ludzkimi „wodami”, to uważam, że takie wyjaśnienie jest konieczne. Jeśli jest to Stacja IV - Spotkanie Jezusa z Matką czyli z Obrazem Jasnogórskim, to wydawał mi się komentarz ikonograficzny istotny, bo jest to jedno z nielicznych rozwiązań kiedy spotyka się Zbawienie - Chrystus Pasyjny z Chrystusem - Emanuelem, Początkiem Drogi na ramieniu Madonny Częstochowskiej. Chodzi mi o to, żeby w miarę możliwości te intencje teologiczno-ikonograficzne były odczytywane w sposób prawidłowy. Nie chcę ludziom zabierać możliwości subiektywnego odbioru, tym niemniej chciałem - nie ukrywam - pokierować nim ze względu na elementy dotyczące treści. Jeśli chodzi o formę, to jest ona, jak w przypadku mojego malarstwa, tradycyjna, zachowawcza, czy jak twierdzą niektórzy, anachroniczna tylko znaczenia są nowe.

- Interpretacja Drogi Krzyżowej w „Golgocie Jasnogórskiej” jest interpretacją bardzo autorską i śmiałą. Czy dochodziło do sporów z Paulinami na tym tle i czy Pana pomysły były z nimi konsultowane?

- Szkice koncepcyjne do Drogi Krzyżowej były konsultowane. Miałem przecież mieć zgodę Ojców

Paulinów i traktuję to jako wydarzenie, że w lipcu 2000 roku taką akceptację z ust ojca Przeora uzyskałem. Może Ojcowie nie byli świadomi jak to był tryumf ich otwartości na ten temat w stosunku do sceptycyzmu ludzi świeckich, którzy w swojej gorliwości w ogóle czasami nie brali pod uwagę tego, że uda mi się tę moją rzekomo kontrowersyjną wizję „sprzedać”. Tymczasem po przedstawieniu założeń teologicznych i malarzskich, po rzeczowej dyskusji po prostu było to życzliwie pobłogosławione. I w końcu Ojcowie Paulini przyjmując „Golgotę” do sanktuarium narodu brali na siebie odpowiedzialność nie tylko za treść obrazów, ale za mitologię, która mi towarzyszy. Za Ich życzliwość i wyobraźnię dziękuję z całego serca.

- Do każdej stacji Ernest Bryll napisał wiersz. Czy jego wiersze powstały później, czy też towarzyszyły pańskiej pracy nad „Golgotą Jasnogórską”?

- Wiersze, którymi Ernest Bryll zaopieczniał moją pracę, powstawały

mniej więcej w tym samym czasie. Pewne stacje były gotowe, kiedy Ernest przystąpił do pisania swoich wierszy. Oczywiście było wiadomo, że będą występować obok siebie razem obrazy i wiersze. W żadnym sensie wiersze Ernesta nie miały być ilustracją literacką tego co jest na obrazach. Wiersze Ernesta są suwerennymi 18 tekstami, jego rozważań na temat Drogi Krzyżowej. Jest to pewnego rodzaju artystyczny ekumenizm poezji i malarstwa, myślę, że dość istotny w epoce ciągłego ogłaszania śmierci tych dwóch dyscyplin sztuki.

- W albumie „Golgota Jasnogórską” pokazane są kolejne etapy Pana pracy nad dziełem. Niektóre ze stacji pierwotnie wyglądały inaczej. Ile wersji miały niektóre sceny? W którym momencie był Pan pewien, że „Golgota Jasnogórską” jest zakończona?

- Przemalowanych zostało w całości 7 stacji. Popeliłem cały szereg błędów zaraz na początku. Przez parę miesięcy nie miałem pełnej świadomości, gdzie tkwi błąd. Wiedzia-



łem tylko, że jest źle. Upłynęło trochę czasu zanim zrozumiałem na czym polega słabość. Zgubiła mi się idea samotności Chrystusa. Ta idea, która jest nadrzędną we wszystkich wcześniejszych Drogach Krzyżowych. Powstało 7 scenek rodzajowych, gdzie Chrystus był jednym z uczestników tego niezwykłego dramatu. Zapomniałem o tym, że ma to być postać pierwszoplanowa, tak dalece pierwszoplanowa, żeby w sensie i malarskim i ideowym był On przed - i poza obrazem. My ludzie, całe otoczenie, cały tłum, który mu towarzyszy w drodze na Golgotę jesteśmy tylko tłem. Dopiero wtedy, kiedy zrozumiałem, że tutaj tkwi istota błędów jakie popełniłem na początku i już po skorygowaniu tego, czyli właściwie po zniszczeniu tych obrazów, mogłem swoją pracę kontynuować. Zaczęło się to układać w logiczną całość w sensie tematycznym, ideowym i artystycznym

- Bardzo często tworzy Pan swoje autoportrety, niekiedy tak szokujące, czy autoironiczne, jak „Ora et Colabora”. W „Golgotcie Jasnogórskiej” występuje Pan w postaci Cyrenejczyka. Dlaczego właśnie z nim Pan się utożsamiał?

- W swoich rozważaniach Karol Wojtyła bardzo pięknie mówi, że warto się zastanowić, dlaczego akurat Cyrenejczyka wybrali oprawcy, żeby pomagał Jezusowi, aby był najbliższym, bliżej niż Jan, bliżej niż Matka, chociaż „manifestował”, że nic go nie łączy ze skazańcem. Tę niezwykłą bo poniżającą i wyróżniającą rolę przypisałem sobie. Oczywiście mogłem namalować jakkolwiek postać, ale w tym momencie moja własna wydawała mi się „najbardziej na miejscu”, bo jest to krytyczny wizerunek mojej kiepskiej wiary.

Jest też oczywista i jasna konstatacja, że dopiero w momencie poniżenia, odebrania godności, przymuszenia do czegoś, człowiek jest zdolny do tego, żeby postrzec poniżenie drugiego człowieka - w tym wypadku poniżenie Ciała Chrystusa, czyli Chleba. Na tym obrazie jest również sponiewierany chleb.

- W jednej z not przytacza Pan słowa znanego krytyka Andrzeja Matyni, który dostrzegł w Pańskiej twórczości jako temat najważniejszy - przemijanie i śmierć, a więc temat Drogi. W jakim stopniu ta Droga Krzyżowa jest drogą ludzką każdego człowieka i jego drogą przez mękę, a w jakim drogą Polaki i Polaków?

- Jeszcze raz skorzystam z okazji, żeby oddać sprawiedliwość Andrzejowi Matyni, który w przeciwnieństwie do swoich kolegów krytyków, oprócz wiedzy, erudycji i elokwencji

posiada jeszcze oczy. On należy do tych niezwykłych krytyków, którzy widzą obraz. Andrzej Matynia jest pierwszym, który w moim malarstwie bardzo wcześnie, bo już w połowie lat osiemdziesiątych dostrzegł ten istotny motyw Drogi. Za to jestem mu wdzięczny.

- W scenach tych odnajdujemy również charakterystyczne typy i pospolite postaci z Pana wcześniejszych obrazów, z cyklu prowincjonalno-gminnych, a także z lat 70. i wcześniejszych. Czy to ogromne dzieło stanowi syntezę dokonanych twórczych? Uderza także to, że „Golgota Jasnogórska” nie przypomina bogatej ikonografii na ten temat. Ta Droga Krzyżowa rozgrywa się w Polsce, pośród Polaków, w codzienności polskiej, nawet jeśli pojawia się historia.

- Myślę, że nie można tego rozdzielać. Polacy nie są jakimś wyjątkowym narodem, są mi tylko z oczywistych względów najbliżsi, dlatego uważam, że pokazując Chrystusa wśród nas w polskich realiach, na polskich drogach, pokazuje swoje postacie, nas wszystkich, przez wieki i dzisiaj. I nie rozdzielałbym tego na wątek teologiczny, religijny i wątek świecki. Po prostu my tak idziemy swoją Drogą. Ten sam moment i ten sam motyw został zawarty w obrazie „Exodus” z 1983 roku (obecnie w zbiorach watykańskich), gdzie Jan Paweł II to jednocześnie współczesny Mojżesz i Piotr. Postać samotna, szarpana wiatrem, która prowadzi swój lud i spełnia tę samą rolę co Chrystus, będąc przez Golgotę - Cierpienie, Drogą do zbawienia.

- Chrystus podczas Drogi Krzyżowej namalowanej przez Pana jest samotny wśród otaczającego go tłumu. Jedynymi istotami naprawdę współczującymi są dziecko, pies i stara kobieta. Czy Chrystus jest tak samotny, bo chorobą naszej cywilizacji jest samotność.

- Tak, zdecydowanie tak. Wydaje mi się, że jest to największy dramat współczesności. Im głośniejsze mówi o integracji, solidarności, wspólnocie narodów, tym bardziej widać jak źle lub wcale nie funkcjonują te wszystkie hasła wspólnotowe, które w przełożeniu na rzeczywistość okazują się frazeologią społeczną. Chciałem pokazać w sposób drastyczny, Chrystusa samotnego, którego w tłumie jego wyznawców dostrzeżę i rozpoznaje dziecko i staruszka, bo wierzą, lub kundel, który nie klasyfikuje, lecz ma instynkt.

- Miejsce, w którym umieszczona jest „Golgota Jasnogórska” będzie odwiedzane co dnia przez tłumy. Jest to otąd jednocześnie miejsce sakralne, ale i wpisanej w nią na trwałe Drogi Krzyżowej Jerzego

Dudy Gracza. Nikt z polskich artystów nie dysponuje tak wyjątkowym miejscem. To wielkie wyróżnienie i ogromna odpowiedzialność. Często Pan wraca teraz w myślach do „Golgoty Jasnogórskiej”?

- To oczywiście, że z tym są związane emocje, bo ciągle napływają nowe relacje; zainteresowanie mediów jest ogromne, dochodzą mnie opinie ludzi, którzy byli, widzieli, próbując wymieniać poglądy. Myślę, że usytuowanie Drogi Krzyżowej w tym miejscu jest faktem wyjątkowym w moim życiu, gdyż mówiąc bez specjalnej przesady, „Golgotę” malowałem przez 50 lat, poczynając właśnie od tej wizji 9-letniego dziecka, aż do jej zmaterializowania i lokalizacji w Sanktuarium Jasnogórskim. Zastanawiam się, dlaczego ja i czym zasłużyłem sobie na to, żeby w tym miejscu, najbliżej serca tego sanktuarium, była umieszczona moja Droga Krzyżowa?

- Z rodzinną Częstochową mocował się Pan przez całe życie tocząc spór z jego dziedzictwem i własną pamięcią. Wracał Pan i wyjeżdżał. Teraz ofiarował Pan Częstochowie - jako dar wotywny „Golgotę Jasnogórską”: największe dzieło swojego życia. Czy w tym wielkim akcie obok wspaniałomyślności nie ma jednak też pewnego rewanżu?

- Jest to spłacenie tego co jestem winien Jasnej Górze i pamięci moich najbliższych: mojej Matce, Ojcu, Bratu, którzy nie mieli łatwego życia w tym mieście. Jest to również podziękowanie profesorom, ludziom którzy mnie ukształtowali na czele z moim najważniejszym pierwszym mistrzem Edwardem Mesjaszem. A wreszcie podarowanie pracy miastu, które ukochałem całym sercem, choć zdarzało się, że mówiłem o nim wiele ciekrych, słów, bo były tego powody. Niezależnie od opinii i sądów wygłaszanych na temat mojej twórczości, czy mojej osoby, jest to wotum złożone przede wszystkim Opiekunce i Patronce tego miasta, dokąd naród zawsze podążał, gdzie gromadzi się życie duchowe Polski i Polaków. Uważam też, o czym już mówiłem, za coś oczywistego, że akt ten nie mógł mieć innej formy, jak wotywną, dziękczynną. Mam prawo z perspektywy swoich 60 lat życia czuć się szczęśliwym, że otrzymałem tak dużo, iż jestem wciąż oszolomiony tym cudownym darem, którym było moje życie w każdym sensie. Życie spełnione - i w kategoriach prywatnych, i zawodowych.

- Dziękuję serdecznie za rozmowę.

* * *

Idąc do ciebie
liczę płyty chodnikowe

to nie pozwala mi zapomnieć
że do kogoś idę

i znowu ten głuchy pies
siedzi przy drodze

to pozwala mi pamiętać
że ktoś może nie słyszeć moich kroków

wróble uciekają spod moich nóg
tak jak ostatnio ty

dlatego teraz zamykam starannie drzwi
przyslaniając sobie usta palcem

przejazdem

Jej oko mruga do mnie
jak jarzeniówka

Jej oko rzuca przelotnie
cienie

Jej rozpięta koszula furkocze
jak sztandar

Jej oko to największa przeszkoda
do angielskiego wyjścia

Jej oko jest prawdziwie ciekawe
jak jej ręce dotykają zapiętego
w okulary studencika

Jej ręce to największa przeszkoda
do jej ust

Jej usta to
osobny przedział naszej rozmowy

Jej ciało to zestaw
wagonów sypialnych i restauracyjnych

Jej ciało jest przejazdem rżnięte
małym szelmowskim konduktorem z Wrocławia

A ja obok już skasowany
mówię że jestem tu tylko przejazdem

Dom nr 14

Drobny szczupły cień –
to moja matka
Niski szeroki cień który zawsze ją goni –
to mój ojciec

matka ma twarz myszy
ojciec to chomik – bokser
Ja to sen zimowy

matka jest zawsze cicha
ojciec prawie zawsze hałaśliwy
w kłozecie kartony słodczy aż pod sufit
na których śpi ojciec

matka nigdy nie śpi
Ja to sen zimowy

zdaniem babki
ksiądz to potężny człowiek –
zdaniem matki
dla księdza babka robi wszystko –
Ja to sen zimowy

moje oczy są ciemne
a lustro w którym je widzę nie błyszczy
często pada deszcz rozczesując włosy dachu
prześlizgując przed czołem twardy prawie
suchy ołów

Fale ssąc i drząc prą naprzód
a my gapimy się na tą kipiela
zataczamy się

skóra lepi się do ciała
padamy w błoto starego dywanu
i z trudem wstajemy na innym
dryfującym dywanie

nie mam już ubrania
ale mam jeszcze włosy

przede mną fotoaparat
a Ja myślę: ugryzie

i chciałbym żeby już ugryzł
a on łypie na mnie jednym okiem i trzaska

I jestem wszędzie tam gdzie ja jestem
w kuchni w aptece w saloniku a także w łóżku
więc się wstydzę i powtarzam:

gdzie moja matka?
gdzie mój ojciec?
ja to sen zimowy



Rys. Wojtek Łuka

Gliwice wczoraj i jutro

MATEUSZ
BABAK

Znamy Gliwice drugiej połowy XX wieku — miasto inteligencji technicznej, z politechniką, kilkunastoma instytucjami naukowymi. Z przemysłem wydobywczym i ciężkim. Miasto dziedziczy przecież przeszłość, ale najważniejsze jest pytanie o przyszłość. Kto będzie w mieście mieszkał i jak będzie się w nim czuł? W jakim kierunku Gliwice zmierzają?



Ratusz w Gliwicach

Miasto mało znane

— *To* jedno z nielicznych miast śląskich, które rozwijało się na średniowiecznym planie w przeciwieństwie do innych miast, powstających wzdłuż jakiejś tam ulicy, będących w drodze między czymś a czymś, tu kopalnia, tu osiedle... Gliwice stanowią centrum dla pewnego obszaru... Ziemi,

mającej swoją osobowość etniczną i kulturową. Zresztą nie bez powodów z sentymentem wspomina się, iż po wojnie był projekt, żeby właśnie Gliwice były stolicą województwa śląskiego i tylko wznieśiony już w Katowicach ogromny gmach urzędu zdecydował, że tam ulokowały się władze. Ile w tym prawdy — nie wiem — mówi mi dyrektor Gliwickiego Teatru Muzycznego, Paweł Gabara. Zapytany

o Gliwice prof. Ireneusz Opacki, dyrektor Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego, wspomina: — *Gliwice były w latach mojej młodości — i wydają się dziś poniekąd do tego wracać — bodaj najpiękniejszym miastem Górnego Śląska z pięknym, starym centrum, z obrzeżami wchodzącymi w zieleni pól i łąk. Mieszkaliśmy wówczas obok dzisiejszego Sikornika, na granicy pięknej, willowej dzielnicy „ptasiej”, która wrastała w taki właśnie rustykalny pejzaż, była z nim zharmonizowana. Potem to upiornie brzydło. Na tych łąkach i polach powstawało dzisiejsze betonowe blokowisko, koszmarny znak epoki wielkiej płyty, w której zatracal się kulturowy i własny smak tego miasta.*

Gliwickim patriotą jest mieszkający w nich od urodzenia Leszek Furman — pianista jazzowy, kompozytor muzyki teatralnej i filmowej, dziennikarz Telewizji Polskiej; gdy pojawia się temat Gliwic, włącza się do każdej rozmowy: — *To jest bardzo ładne miasto, sensownie w swej historii rozbudowywane, z przemysłowym systemem komunikacyjnym, no i z tym, co dla klimatu miasta istotne: z rynkiem i ratuszem... po wojnie było z tym już różnie.*

Gliwice w historii miały, jak wszystkie miasta, rozmaite okresy. Druga połowa XIX i pierwsza XX wieku były najlepsze. Powstawały wówczas piękne budowle i całe osiedla, czy to rezydencjonalne, czy robotnicze bądź urzędnicze. W XIX wieku wiele zbudowała firma Louisa Troplowitza, której właściciel zasiadał nawet w radzie miejskiej. Potem przeniósł się do Wrocławia, a jego syn, Oskar — miłośnik sztuki, pragnący studiować jej dzieje — dał światu krem nivea oraz wprowadził do masowej produkcji w dzisiejszej postaci m.in. pastę do zębów. Jedną z najbardziej znanych na świecie kreatorów perfum, Sophie Grojsman z Nowego Jorku, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia mieszkała — po wyrwaniu się z Białorusi — w Gliwicach i ukończyła tu technikum chemiczne. Byli więc w Gliwicach zawsze ludzie z twórczą żyłką. Do końca II wojny światowej mieszkał tu Horst Bienek. Gdy na niewiele lat przed śmiercią odbył podróż w krainę dzieciństwa, zaowocowała ona wspomnieniową książką pod takim właśnie tytułem. Wspomina w niej przedwojenny Teatr Miejski i Dom Strzelecki „Neue Welt”, będący po wojnie siedzibą Operetki Gliwickiej a dziś Gliwickiego Teatru Muzycznego (pamięta kiepską akustykę budynku, wątpiąc, zasadnie, w jej poprawę). To instytu-

cje składające się na tradycje kulturalne miasta.

Miasto znane powierzchownie

Horst Bienek docenił współczesne Gliwice pisząc o ich osiągnięciach w dziedzinie edukacji technicznej, zauważył však zaniebdania w dziedzinie kultury. Naturalnie była to ocena powierzchowna, gdyż jego wiedza sprowadziła się do obserwacji miasta w chwili jego odwiedziny, a był to moment wyjątkowo zły. Ale i w Polsce hasło o mieście inteligencji technicznej wprowadzało w błąd, jeśli ktoś uległ jego wątpliwemu czarowi. Gliwice były bowiem ośrodkiem kulturalnym.

Miasto inteligencji technicznej nie powstawało z niczego, ktoś je tworzył. Byli to pracownicy Politechniki Lwowskiej. Gdy pytam prof. Ireneusza Opackiego, czy odczuwał jako młody chłopak to techniczne piętno Gliwic, słyszę: — *Politechnika Lwowska, która w większości przyjechała po wojnie do Gliwic, miała wielkie tradycje kultury humanistycznej. Jej profesorowie, co było zresztą charakterystyczne dla kolorytu całego Lwowa, byli autentycznie zaangażowani w strefie kultury, była to kadra, by tak rzec, przesiąknięta kulturą humanistyczną. Przecież jeden z najbardziej interesujących dziś polskich poetów i humanistów, Adam Zagajewski, w takim właśnie domu wyrósł — w domu wybitnego profesora Politechniki Śląskiej. Po przybyciu do Gliwic w r. 1945 obracałem się w środowisku przybyszów ze wschodu, dla mnie więc podówczas klimat kulturowy w zasadzie się nie zmienił. W latach późniejszych to się zmieniało. Szalenie uzawodowiono — w wąskim sensie — Politechnikę, mentalnie ją zmatrycowano, brak było wyrównania ogólnokulturowego, tego, co rośnie w klimacie tworzonym przez uniwersytet. Z czasem zaczęto zdawać sobie z tego sprawę — gdy po dwudziestu latach wróciłem z Lublina na Śląsk, akurat ówczesny rektor Politechniki, prof. Szuba, próbował wprowadzić na tej uczelni cykl otwartych wykładów humanistycznych — prowadziłem je przez rok, przy sporym nawet zainteresowaniu studentów. Ale to była kropla w oceanie odlewnictwa, metalurgii i maszynoznawstwa. Były to však czasy, kiedy „budownictwo” usuwało z pola widzenia „architekturę”... Tylko nielicznym — jak np. prof. Tadeuszowi Pfuetznerowi — udawało się na tych studiach ocalić wyobraźnię przed matrycą mentalnościowej*

taśmy produkcyjnej, ale to też zasługa domu...

Dwa lata to krótki epizod. I elita intelektualna dehumanizowała się drogą kultu zawodowości. Może lepiej byłoby powiedzieć: uzawodowienia, bo przecież zawodowość ta nie miała wiele wspólnego z tym, co dziś tak chętnie i często nazywamy profesjonalizmem. Prof. Ireneusz Opacki mówił o humanizmie elit kresowych. Prof. Szuba urodził się w Samarze. A do uzawodowienia uczelni pasowało dobrze imię patrona. Był nim Wincenty Pstrowski, symbolizujący śląski etos pracy, czyli — jak trafnie określił to profesor Tadeusz Sławek — ciężkiej, fizycznej roboty. Skądinąd godnej szacunku, tylko dla wyższej uczelni niezupełnie to było odpowiednie. Wcześniej zresztą, już w 1945 roku Politechnika otrzymała imię Generała Inżyniera Tadeusza Kościuszki i gdzieś je zgubiła; w 1954 roku przyjęła je Politechnika Krakowska. Dziś jakoś się w gliwickiej uczelni pełnej nazwy nie używa, i nie wiem czy senat Politechniki Śląskiej z imienia zrezygnował, czy też jest tak, jak z Uniwersytetem Warszawskim im. Józefa Piłsudskiego; po wojnie do imienia nie było co się przyznawać i... tak już zostało.

W Gliwicach niemal od urodzenia do matury mieszkał Adam Zagajewski. Wyjechał do Krakowa, a potem w świat i dzieli dziś czas między Francję i Stany Zjednoczone. W „Dwóch miastach” pisze o metafizycznym poddawaniu się niekiedy Gliwicom, ale — nie da się ukryć — bliższych związków z Gliwicami nie czuje. Pytałem znakomitego poetę podczas jego ostatniej bytności w Polsce o Gliwice i usłyszałem, że postrzega miasto, gdy odpowiada ojca, jako niezbyt zachwycające targowisko, jak w wielu innych miastach, i tyle. Dwadzieścia lat mieszkał w Gliwicach Tadeusz Różewicz. Niewiele osób o tym wiedziało. Gliwickie ślady w twórczości Różewicza to właściwie tylko znakomita książka „Matka odchodzi”, a przedtem garść wierszy, w tym „Acheron w samo południe” oraz miniatura prozą „Niedzielny spacer za miasto”. Pomijając, naturalnie, związki ze „Stepem”, ale to zasługuje na osobne wspomnienie. Potem Różewicz wyjechał do Wrocławia, Julian Kornhauser po studiach w Krakowie tam pozostał i poszedł „w profesory” na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wiele znakomitości wydała gliwicka szkoła muzyczna: m.in. prof. Michalinę Growiec, prof. Jana Wojtachę i prof. Andrzeja Schmidta, Norberta Krocza, Leszka Furmana, Andrzeja Kurylewicza, Krzysztofa Zgraję, Stanisła-

wa Sojkę i Katarzynę Groniec. Do Operetki przybył z Poznania i jakiś czas mieszkał w Gliwicach Stanisław Ptak. Do matury mieszkała w Gliwicach, zachowując však do teraz wielki do rodzinnego miasta sentyment, Beata Rybotycka. W Gliwicach tworzyły zmarłe w ostatnich latach twórczynie fotografii artystycznej, Zofia Rydet i Kazimiera Dyakowska, torująca drogę aktowi w fotografii.

Miasto studentów

Co wtedy decydowało o obliczu Gliwic? Twórczość artystyczna studentów Politechniki Śląskiej. Teatr Studencki „Step” był miejscem prapremierych wystawień sztuk Tadeusza Różewicza, takich jak m.in. „Spaghetti i miecz” oraz „Świadkowie albo „Nasza mała stabilizacja”. Dzisiaj brzmi to dziwne, ale właśnie teatry studenckie, tak w Polsce, jak i za granicą, były parędziesiąt lat temu miejscem dla inscenizacji wielu sztuk Różewicza, dalekich od przyjętego przez oficjalne, zawodowe teatry, kanonu. A w „Stepie” był Jan Klemens, późniejszy dyrektor Teatru Zagłębia w Sosnowcu, był, pracujący aktualnie w Polskim Radiu w Katowicach, Tadeusz Chmiel. — *To była pierwsza, najstarsza kadra Politechniki, STG był kontynuatorem tego ruchu...* wspomina Leszek Furman. Ale jakim! W ciągu blisko czterdziestu lat w STG zrealizowano ok. czterdziestu premier, w tym światową prapremierę „Ślubu” Witolda Gombrowicza i „Wiosnę” wg Brunona Schulza, kultowy spektakl połowy lat sześćdziesiątych. Jerzy Malitowski, szefując Teatrowi, umożliwił artystyczne wypowiedzi takim twórcom jak Krystyna Zachwatowicz, Jerzy Jarocki, Roman Nowotarski, Kazimierz Wiśniak, Leszek Furman, Roman Kalarus i in.

Kiedy z dyr. Gabarą rozmawiam teraz o środowisku tzw. inteligencji technicznej, słyszę: — *To jest środowisko wielowymiarowe, jak każde zresztą, i zróżnicowane pokoleniowo, tak sądzę, nie biorąc za to żadnej odpowiedzialności socjologicznej. Są to ludzie, którzy wyrastali jako młodzież i wychowywali się jako studenci w najlepszym okresie funkcjonowania operetki, kiedy była ona najlepszym tego typu teatrem muzycznym w kraju, i kiedy bardzo dynamicznie rozwijała się kultura studencka; przecież tu działały już bez mała legendarne dwa teatry studenckie, „Step” i STG, i one wnosiły bardzo dużo do wartości kulturalnych miasta.*

Pytany o STG Leszek Furman wspomina dalej: — W 1984 r. trafiłem do STG, ponownie zresztą, i zaplanowałem taki cykl imprez teatralnych dla swoich, wewnętrzny, bez zysków i pozbierałem tych starszych ludzi, którzy byli już dyrektorami dużych przedsiębiorstw, jako że byli to zdolni inżynierowie. I chętnie przyszli, brali w tym udział, jeszcze raz stali się aktorami. Bo oni mieli dalej coś do powiedzenia w teatrze i chętnie dalej by to robili, gdyby dało się z tego wyżyć. STG skończył się, bo ludzie tworzący ten teatr musieli rozejrzeć się za zajęciem, dającym utrzymanie w życiu. Z muzyką było podobnie. Operetka, świetna muzyka Lehara, Straussa, była jednak sztuką z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, była dla starszego pokolenia. Dla młodego był jazz. To była muzyka kultowa, jak się dziś mówi. Ciemne, zadymione kluby studenckie, atmosfera jamów. High Society powstał w sześćdziesiątym czwartym roku jako zespół ZSP Politechniki Śląskiej. Graliśmy w „Gwarku”, klubie studenckim. Dopiero po nagrodach na festiwalu „Jazz nad Odrą”, staliśmy się zespołem Jazz Clubu, bo klubowy zespół studencki był uważany za taki trochę amatorski. Nagraliśmy trzy płyty. Ale to był zespół gliwicki, bardzo mocno związany ze swoim środowiskiem.

Świetne chóry miały Politechnika Wrocławska i Politechnika Szczecińska, a ta druga nadto bardzo dobry Teatr Pantomimy. Wrocławski Teatr „Kalambur” założył i inscenizował w nim Bogusław Litwiniec — student fizyki. „Kalambur” stał się ośrodkiem teatru otwartego z teatrem, galerią i współpracą z muzykami jazzowymi z „Pałacyku”. Nie uważam, żeby każdy ruch amatorski musiał się instytucjonalizować, ale w przypadku wrocławskim stało się dobrze i może szkoda, że nie mogło tak być w Gliwicach z STG. Środowisko STG w Gliwicach istnieje. Nie wyjechało. I jest widoczne.

Miasto bez kultury studenckiej

— **Ci** ludzie często przychodzą do Teatru, są otwarci na różne propozycje, także przekraczające granice dawnej, tradycyjnej operetki. Oni także w dużej części są odbiorcami Gliwickich Spotkań Teatralnych. My nie prowadziliśmy konkretnych badań, kto przychodzi na spotkania, jednak dostrzegamy, że wśród młodych ludzi, którzy adorują naszych gości w Ruinach czy tutaj w Muzycznym, czy na Placu

Krakowskim, dominuje jednak młodzież humanistyczna, która albo przyjeżdża z innych miast do Gliwic, albo z Gliwic dojeżdża na humanistyczne, uniwersyteckie kierunki studiów do Katowic — mówi Paweł Gabara. — Natomiast młodsza część inteligencji politechnicznej jest raczej obojętna na to, co proponuje teatr — dodaje.

Ci ludzie przychodzą też na Jazz Sessions do Teatru. Jan Kwaśnicki, żywa historia śląskiego jazzu, organizował też swego czasu Zaduszki Jazzowe w Zabrze, eksportową imprezę gliwickiego środowiska, a Andrzej Krupa, który przeniósł się do Zabrze, wspomaga obecnie Mariana Oslisło, dziekana Wydziału Grafiki katowickiej ASP i zabrzańskich fanatyków muzyki improwizowanej w dziele udżezowienia swojego miasta. Istniała jakaś sztafeta podtrzymująca twórczość artystyczną. Istniało środowisko akademickie. Czy istnieje? Najłatwiej zauważyć je podczas juwenaliów. Były one niegdyś demonstracją obecności studentów w społeczności miasta, prezentacją ich dorobku i mentalności, nawet epatowaniem tych, którym nie dane było studiować. Otrzymałszy od ojców miasta klucze od jego bram, usiłowano pokazać, jak powinno się rządzić. Śpiewano w pochodach, kim jest student:

*Święte obrazy wynosi z domu
A na ich miejsce wiesz bohomaż
Bo pomiędzy bogobojnym ludem
A niech cholera go pokręci
Zawsze się znajdzie jakiś student
Eeeech! studenci...*

— Uczestniczyłem w jednych chyba juwenaliach — mówi dyrektor Gabara. — Bez oceny intencji organizatorów, były one rachityczne, skromne, może i dobrze pomyślane, ale nie wciągały ogółu braci studenckiej. Jest inny model zachowania studentów. Zamykają się w swoich czterech ścianach akademika bądź w domach, siedzą przy Internecie lub w pubie; wieczorem, kiedy budzi się życie kulturalne — praktycznie Politechniki już nie ma.

Leszek Furman pamięta dawne juwenalia. O obecnych tylko słyszał: — Słyszałem, że wygląda to tak, że piją bardzo dużo piwa i bardzo głośno grają. Ja się zdziwiłem w ogóle, kiedy w tamtym roku zobaczyłem ogłoszenie czy plakat, że juwenalia Uniwersytetu Śląskiego są w Spodku, że w Spodku jest organizowany taki sam koncert, jak w stu innych miastach Polski, tylko bez juwenaliów. I tam przychodzą studenci, i tam piją piwo, i to są całe juwenalia. Kiedyś piwo też się pilo, ale były różne imprezy, które pokazywały środowisko studenckie. Bo kiedy

STG występowało w kinoteatrze X, to była sprawa elitarna, zamknięta. Natomiast w trakcie juwenaliów studenci bawili się w mieście, była to masówka, ale sympatyczna i zabawa była na pewnym poziomie, a teraz wygląda to tak, że studenci nie mają niczego do zaproponowania.

Miasto kultury instytucjonalnej

Na wiele spektakli w ramach Gliwickich Spotkań biletów nie można dostać już w pierwszym dniu przedsprzedaży. Na koncertach Jazz Sessions jest podobnie. I Kościół Katedralny pw. św.św. Apostołów Piotra i Pawła na koncertach w czasie Dni Muzyki Organowej jest pełny. Politechnika i jej środowisko odegrały w kształtowaniu dobrego, humanistycznego wizerunku miasta rolę trudną do przecenienia. Bo też mogła to zrobić w Gliwicach tylko ona. Świat się zmienia, ludzie się zmieniają. Politechniki się zmieniają. Na świecie już ich nie ma, tzn. nie ma pod takimi nazwami, gdyż przemianowały się na uniwersytety techniczne bądź technologiczne. Wprowadzają humanistyczne kierunki studiów; ot, w Irkucku można na politechnice studiować reżyserię. W Toronto — mówił podczas niedawnej bytności w rodzinnym Zabrzu-Końcyczach prof. Florian Śmieja — na uniwersytecie technologicznym jest łacina. Widocznie ktoś uznał, że jeśli humanistom może przydać się matematyka jako nauka myślenia, umysłem ścisłym przydatna może być precyzyjnie logiczna konstrukcja języka łacińskiego. A może i coś więcej, mądrość Horacego na przykład.

Ludzi ze studenckich klubów, teatrów, zespołów — zastępują dziś instytucje. Wraca pytanie, czy nie mógł powstać ośrodek STG? Aktywny jest Gliwicki Teatr Muzyczny, aktywna jest Fundacja Odbudowy Teatru Miejskiego Piotra Strzelczyka, której chyba nie tylko o sam teatr idzie, a także o wypełnienie testamentu tragicznie zmarłej Ewy Strzelczyk, wspaniałej postaci gliwickiej kultury, m.in. pomysłodawczyni Gliwickich Spotkań Teatralnych. Pisze Krzysztof Siwczyk i inni literaci, działa klub poetycki „Perelka” zrzeszający (choć to złe słowo) ok. 140 osób. Odbudowano imponującą willę Caro. Z inicjatywami wychodzi i Muzeum, i Miejska Biblioteka Publiczna. Kazimierz Szoltysek, znany grafik, specjalizujący się w ekslibrisie i mający w tej dziedzinie międzynarodowy autorytet twierdzi, że to Gliwice, a nie Kraków, są w dziedzinie ekslibrisu stolicą Polski. Jest wiele przejawów

troski o dziedzictwo, o historyczne pamiątki; świadczy o tym zainteresowanie wielu osób pomnikiem Friedricha Jahna i pomysł Bogusława Maluskiego utworzenia lapidarium, w którym znalazłyby miejsce odnalezione niemieckie pamiątki. Niechże będzie i hejnał — skoro jest ratusz...

Galeria Sztuki Współczesnej ESTA ma za sobą już bodaj 20 znakomicie zorganizowanych wystaw, m.in. Jerzego Nowosielskiego, Zdzisława Beksińskiego, Jana Tarasina, Wiesława Ochmana, czy — niedawno — prof. Jacka Gaję, artysty zaprzyjaźnionego z właścicielem i twórcą Galerii, Tadeuszem Stapowiczem. Skąd to się wzięło? — pytam Stapowicza:

— *To jest przede wszystkim moja pasja. Ja się interesuję sztuką dwadzieścia lat i cały czas szukałem kontaktu z artystami. Zbierałem albumy, chodziłem na wystawy, a potem to się przerodziło w poznawanie twórców, bywanie w pracowniach, minikolekcjonowanie prac. Wiele zawdzięczam wieloletniej przyjaźni z prof. Jackiem Gajem. To wszystko skumulowało się w pomysł utworzenia galerii w firmie. Ja to nazywam humanizowaniem miejsca pracy. Zyskałem akceptację swoich współpracowników. I dziś galeria wyszła już poza Gliwice, uzyskując wyłączność na organizowanie wystaw Zdzisława Beksińskiego.*

Wystawy organizowane są także w Ratuszu. Wiele ich w aktywnym, szczególnie wobec twórczości młodych, Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej. Dom wychodzi z inicjatywami i wspiera inicjatywy zmierzające do partnerskiej współpracy polsko-niemieckiej różnych środowisk oraz do integracji Polski z jednoczącą się Europą. To cenna praca dla przyszłości.

Fundacja Forum Dialogu Między Narodami upowszechnia tolerancję i kulturę demokratyczną oraz działania na rzecz zbliżenia między narodami, które na przestrzeni wieków żyjąc obok siebie współtworzyły historię, tradycję i kulturę Polski. Służą temu warsztaty „Tolerancja”, cykl „Spotkania na pograniczu”, sesje naukowe, wieczory kultury różnych narodów, koncerty, spotkania młodzieży. Ważnym elementem działalności jest program ochrony dziedzictwa kulturowego, zwłaszcza, iż dotyczy Gliwic i obejmuje projekt renowacji cmentarza żydowskiego wraz z Domem Modlitwy i projekt zagospodarowania miejsca po synagodze. Anna Zwolińska, wiceprezes Forum mówi: — *Chcę tworzyć*

otwarte i tolerancyjne społeczeństwo, najlepiej czynić to przez kulturę. Myślę, że np. ostatnie nasze działanie czyli wieczór kultury ukraińskiej, to projekt, który utrafił w samo sedno. Byliśmy nawet zdziwieni, że do Starego Browaru przyszło aż tyle młodzieży licealnej i z pierwszych lat studiów.

W życie miasta usiłuje włączyć się — i skutecznie to czyni — „enck”, czyli Niezależne Centrum Kulturalne, powołane przez skłotersów. Młodzi ludzie, studenci, pracujący i bezrobotni zajęli dwa lata temu pustą ruinę, wyremontowali i mieszkają tam pod wymalowanym na prześcieradle hasłem „Pustostany w ręce wyobraźni”. Takie wspólnoty nie są na świecie czymś nowym. Ponieważ ruina będzie wyburzona, myślą o nowym budynku, gdzie byłaby sala na koncerty i na wernisaże. Błażej opowiada mi o tym, co już się dzieje: — *To jest kultura anarchistyczna, nie ma nic wspólnego z jakąś komercją, sami to robimy dla siebie. Było już ponad dwadzieścia koncertów, był niezależny teatr SukaOff czy Skarpeta Squatersa. Mamy stałych bywalców z Gliwic, Rybnika, Sosnowca, Dąbrowy Górniczej. Razem z klubem „Perelka” organizowaliśmy spotkanie z Jackiem Podsiadłą, mamy kontakt z Domem Współpracy Polsko-Niemieckiej, z organizacjami ekologicznymi, z klubem Gaja. Oni dużo nam pomagają.*

Miasto młodych

Po przedstawieniu „Tamy” McPhersona w Ruinach Teatru próbuję porozmawiać z młodymi odbiorcami gliwickiej oferty kulturalnej. Justyna Arkit i Agnieszka Kalnik, gliwiczanki, licealistki, chyba zgadzają się z opinią Piotra Skrzyneckiego i Adama Hanuszkiewicza, że najlepiej byłoby Ruiny tak zostawić. Dziewczynom teatr jest bliski, bywają w Krakowie i na katowickim festiwalu Sztuki Reżyserskiej. No i — okazuje się — piszą. Debiutowały w zbiorczym tomiku. Przeobrażeń Gliwic, ze względu na wiek, nie dostrzegają, ale liczą, że przybywać będzie galerii. Justyna jest przekonana, że tak będzie: — *Myślę, że jest wiele osób, które to interesuje albo zainteresuje. Ja bym chciała, kiedy mam czas, żebym mogła pójść do jakiejś galerii. Dziś Gliwice to dla mnie teatr i ESTA. Obie planują studia na ASP. Co potem? To zbyt odległa perspektywa, ale na pewno zależeć to będzie i od tego, jakie Gliwice*

będą dla nich, czy będą przyjazne dla ich zainteresowań.

Wszyscy, z którymi rozmawiałem uważają, że Gliwice w sumie zmieniają się na lepsze. Są ładniejsze.

— *Chociażby taka, wydawałoby się prozaiczna rzecz, jak oświetlenie zabytków. Gliwice to bardzo piękne miasto. Goście, którzy tu przyjeżdżają, nierzadko też wybitni artyści jak np. prof. Łapiński ze Stanów, i mogą zobaczyć kawałek tego miasta, a ja im chętnie je pokazuję, są zachwyceni. Może mało ludzi zdaje sobie z tego sprawę, że Śląsk jest generalnie kojarzony z kopalniami, miejscem, gdzie wszystko brudne. I gdy przyjeżdżający przejadą ulicą Zwycięstwa, zobaczą Rynek, okolice Zamku Piastowskiego, podświetlone kościoły, wyjeżdżają oczarowani w przekonaniu, że dotąd nie znali Śląska. Ja do Gliwic nie muszę nikogo przekonywać. I to jest olbrzymia szansa Gliwic — mówi Tadeusz Stapowicz.*

— *Jedynymi z głównych odbiorców naszych imprez są studenci Politechniki, ale, oczywiście, jakby była jakaś humanistyczna uczelnia, byłoby znacznie łatwiej, dlatego, że byłby naturalny organizator tego życia kulturalnego — uważa Anna Zwolińska.*

— *Bardzo bym chciał, żeby w Gliwicach powstała jakaś bodaj odnoga Uniwersytetu. Wydaje mi się — i nie jestem w tym odosobniony — że jeśli Uniwersytet ma się równieź terytorialnie rozrastać, to nie powinien w tej ekspansji omijać ośrodków dużych, posiadających już własne, profesjonalnie niehumanistyczne środowiska akademickie — chodzi jednak o tworzenie akademickiej kultury elit, bez której te elity zabrną w ciśnie i ślepe zaulki. Gliwice są takim ośrodkiem elitotwórczym, są tu takie właśnie środowiska, one wręcz domagają się dopełnienia przez uczelnię humanistyczną. I tu Politechnika może zapewne odegrać ważką rolę — mogą nawet w jej ramach powstawać wydziały humanistyczne, tworząc nowy profil uczelni. Albo — we współpracy z nią — wydziały Uniwersytetu Śląskiego. Tego typu zjawiska rodzą się wszak w Bielsku, w Rybniku — wywodzi prof. Ireneusz Opacki.*

Rzeczywiście — Gliwice mogą i powinny być ośrodkiem intelektualnym Śląska, naukowym i artystycznym. I nie idzie tu o preferowanie humanistyki w miejsce techniki. Miasto powinno być miastem otwartym, przyjaznym, miastem równowagi. Ma do tego, jak widać, predyspozycje.

Niepocałowana żaba

BOGDAN WIDERA

Pan Macura został panem magistrem późno. Na pewno nie wtedy, kiedy obronił pracę dyplomową o zachowaniu uczniów szkół zawodowych w sytuacjach trudnych w zależności od ich ilorazu inteligencji. Ze studiowania psychologii (której nie uważał jeszcze za prawdziwą naukę) została mu tylko piosenka, którą czasem podśpiewywał przy goleniu:

*Żabo, żabo z instytutu fizjologii
może właśnie dziś nikt ciebie nie odmóżdzy,
może nikt ci dziś nie wyrwie nogi,
ani prądu też przez ciebie nie przepuści.*

*Może właśnie dziś przyjdzie profesor
(ale raczej bardzo to niepewne),
pocałuje i tym pocałunkiem
z żaby zmieni cię w piękną królową.*

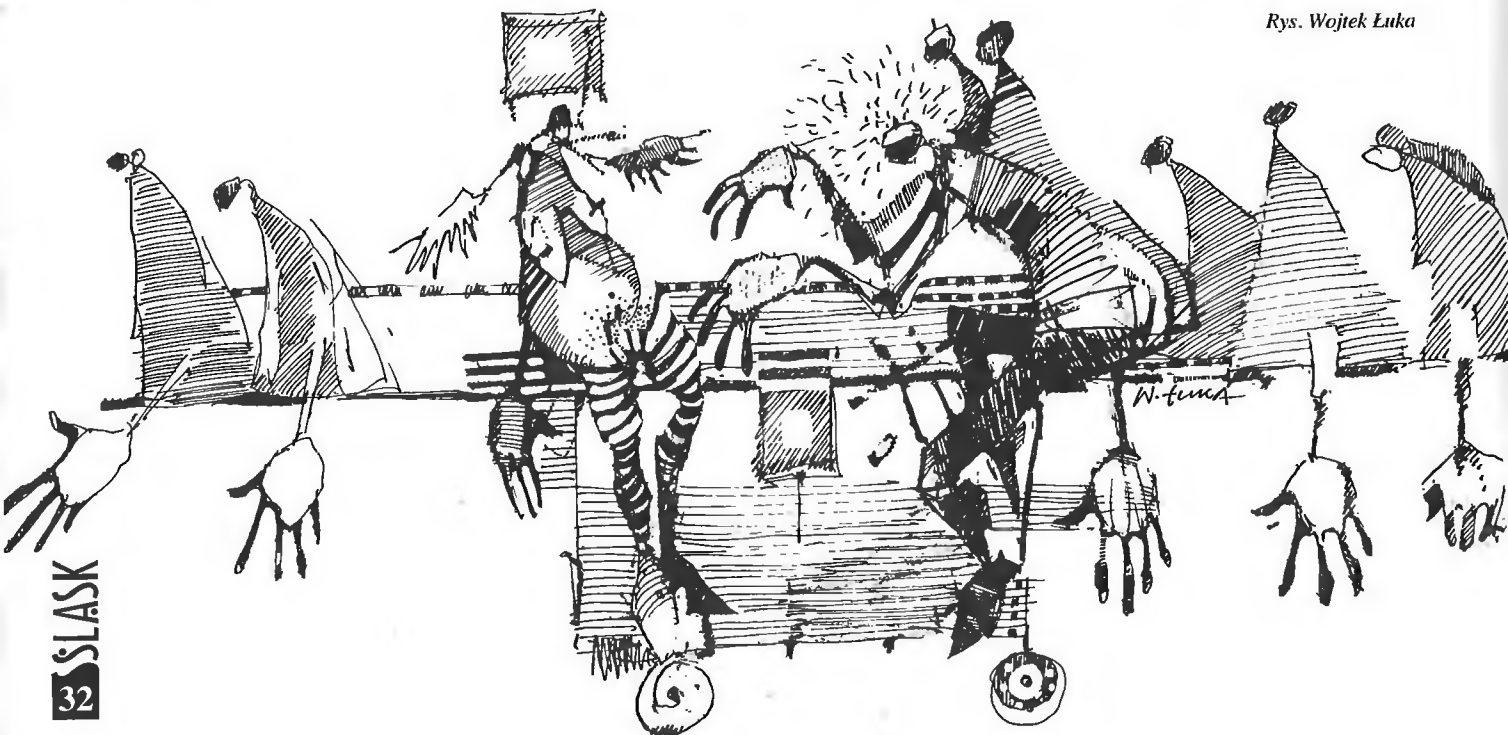
Napisał ją, kiedy był panem redaktorem i robił audycje rozrywkowe. Nie dlatego, że obchodziły go żaby, które się odmóżdża, żeby obserwować ich reakcje na

poziomie rdzeniowym, albo drażni się prądem ich obdarte ze skóry mięśnie tak cenionych we Francji udek. Uważał wprawdzie, że barbarzyństwem jest powtarzanie setki razy już przeprowadzonych eksperymentów, które niczego nowego w rozwój nauki nie wnoszą. Sądził, że są tylko zemstą naukowców na studentach (myśmy musieli mordować żaby, więc i wy to poznajcie). Jednak jego piosenka była tylko satyrą na niczym nieusprawiedliwione nadzieje.

Pan Macura przestał być redaktorem w marcu 1982 roku, kiedy przerwano mu czteromiesięczny urlop, na który Prezes Radiokomitetu posłał część dziennikarzy 13 grudnia. Teraz był palaczem c.o. Ale jednocześnie został wreszcie panem magistrem, bo tak tytułowała go cała administracja w Okręgowym Przedsiębiorstwie Transportu i Utrzymania Dróg. Mechanicy, kierowcy, zmiennik Czesio i portierzy (nie wszyscy) od początku mówili mu na ty.

Pan Macura obudził się, wyłączył budzik, nie dając mu szansy wykazania użyteczności, zebrał się cicho, żeby nie obudzić żony i wyszedł w zimną ciemność.

Rys. Wojtek Łuka



Do dworca miał trzynaście minut drogi szybkim krokiem. Przeszedł przez ulicę, potem na ukos między blokami, wszedł w uliczkę starych domków jednorodzinnych, skręcił przy ogrodzeniu szkoły i znalazł się pomiędzy cichymi o tej porze hotelami robotniczymi, na które tutejsi mówili „wulce”. Włożył rękę do torby. Kiedy dowiedział się, że w podobnej okolicy pobili i obrabowali jego brata, zaczął nosić przy sobie ciężki klucz francuski na mocnym rzemieniu. Ale i tym razem nikt go nie zaczepił.

Pociąg przyjechał punktualnie 5.56.

Pan Macura powinien dojeżdżać wcześniejszym, o 5.10. Zrobił to tylko raz, na samym początku. Dyżurny portier z Dużej Portierni powiedział mu jednak wtedy, że kartę zegarową już mu odbił. Dodał, nabijając się wyraźnie ze zdyscyplinowania nowego palacza, że Czesiu, zmiennik z kotłowni, nigdy tak wcześniej nie przychodzi. Przecież wystarczy być zanim przyjedzie przewóz z urzędnikami.

Pan Macura wszedł do pierwszego wagonu i usiadł na swoim stałym miejscu, w drugim rzędzie siedzeń, przy oknie, przodem do kierunku jazdy. Wolałby pierwszy rząd, ale tam z ustępu dochodził smród moczu, którego nie łagodził nawet unoszący się w całym wagonie zapach dymu z najtańszych papierosów.

W chwilę po nim wsiadła Śnieżka. Zajęła miejsce dokładnie naprzeciwko pana Macury i momentalnie zasnęła. Nie wiedział, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy. Nie pamiętał, kiedy ją tak nazwał. Nie potrafił nawet przypomnieć sobie, kiedy stała się częścią jego życia. Od tygodni nie czytał jednak w pociągu. Od tygodni nie rozmyślał o znikającym biurku biskupa Berkeleya, o złudzeniach, które w Indiach nazwano maya. Zapomniał nawet o powieści o Yoricku, swoim marzeniu – wariacji na temat książek biograficznych – z obszerną bibliografią, odsyłaczami i przypisami w całości zmyślonymi. Patrzył na śpiącą.

Dziewczyna była ładna. Tak przynajmniej uważał pan Macura, który jednak nie za bardzo znał się na dziewczynach. Zresztą czasem zmieniał zdanie i dochodził do wniosku, że jest fładrowata, niedomyta i przeciętna. Niekiedy zaś stwierdzał, że nic nie da się powiedzieć o jej urodzie, bo Śnieżka jest pod tym względem niepoznawalna, podobnie jak większość kobiet okutanych w zimową odzież, kryjącą skutecznie zarówno cienie jak blaski.

Zachwytał się natomiast jej zasypianiem. Wchodziła, siadała i natychmiast odpływała w świat snu. To były sekundy. Najpierw nie mógł w coś takiego uwierzyć, sam miał bowiem ciągle problemy z zaśnięciem. Myślał, że dziewczyna tylko zamyka oczy. Ale jej głowa poruszająca się w rytmie pociągu, czasem zaś ciuchotkie pochrapywanie przez lekko uchylone usta, przekonały go, że ona naprawdę śpi. I rzeczywiście zasypia w jednej chwili. Wchodziła do wagonu na sekundy przed odjazdem, zmierzała zawsze tam, gdzie już siedział, odwracała się, żeby wrzucić torbę na półkę, rozpiniała grubą kurtkę, siadała i już spała.

– Jak zwierzę – myślał pan Macura. – Na te pół godziny nie opłaca się odkładać torby na półkę, ale jej potrzebny jest rytuał. Mój pies też musi się obrócić w kółko, żeby wyciągnąć się na dywanie i zasnąć. Nie jest, jak jego przodkowie, na stepie, nie musi wydeptywać sobie w trawie legowiska, obraca się jednak, bo tamto zachowanie sprzed tysięcy lat przekazały mu pokolenia przodków. Ona też wydeptyuje swoje miejsce w trawie, tak każe jej pamięć... gatunku? komór-

kowa? Już nie pamiętał. Śnieżka ma jednak świadomość i sam nagi obrót wydaje się jej dziwaczny, kamufluje więc atawizm odkładaniem torby na półkę.

W pół godziny później pociąg wjeżdżał na „ich” stację i zwalniał, dziewczyna budziła się błyskawicznie, łapała szmacianą torbę i ruszała ku wyjściu. Gdy zaczął ją obserwować, przez długi czas nie wiedział, jakiego koloru ma oczy. Zamykały się bowiem zaraz po wejściu, a potem, kiedy już wysiadali w M., nie było czasu się przyjrzeć. Postanowił to zbadać, ale przez jakiś czas nic z tego nie wychodziło, bo zapominał o swoim celu, a gdy sobie przypominał, było już za późno. Spała. Wreszcie jednak udało mu się zobaczyć, że oczy ma zielone, z jakąś domieszką brązu. Chyba. Albo wpadającej w brąz szarości. Zobaczył jeszcze coś. Dziewczyna, przed zamknięciem oczu, obrzucała go szybkim lecz uważnym spojrzeniem. Do tej pory był przekonany, że w ogóle go nie widzi. Teraz przekonał się, że to nieprawda. Kiedy o tym myślał, doszedł do wniosku, że jest dla niej czymś w rodzaju znaku orientacyjnego, jak drzewo, albo neon. Śnieżka dostrzega go i wie, że nie pomyliła wagonu, pociągu, miejsca.

Wyobrażał ją sobie w domu. Na pewno miała własny pokój, do którego uciekała od ponurego świata, przynoszonego codziennie do mieszkania przez telewizor. Ubrana w spodnie i stary sweter siadywała na podłodze, słuchając muzyki z kasetowego magnetofonu, a ze ścian spoglądali na nią aktorzy i muzycy z rockowych kapel, Maryla Rodowicz, może nawet Dustin Hoffman. Na meblościance stały kolorowe puszki po zachodnich piwach, opakowania po „camelach”, „chesterfieldach” i „lucky strike’ach”, jakaś pękata, zielona butelka ze złotą etykietą „napoleon”. Na półce książki: trochę szkolnych lektur, „Mały książę”, rocznik „Poznaj świat” z czasów, kiedy chciała zostać nauczycielką geografii, wiersze Małgorzaty Hilar.

Innym razem zdawało mu się, że musi mieszkać w jakimś starym domku z ogródkiem. Na parapecie małego okna stoją w doniczkach pelargonie, aloes i geranium, niezawodne przy bólach ucha. Na ścianie, pomalowanej na ciepły kolor ze srebrnym szlaczkiem w kształcie kiści winogron, wisi w starej, złoczonej ramie obraz przedstawiający anioła prowadzącego przez kładkę nad przepaścią dziewczynkę i chłopczyka. W pokoju stoi metalowe łóżko, białe, ze złożonymi gałkami na poręczach, przykryte ręcznie wykonaną koronkową kapą, na której rozsiadła się duża, zamykająca oczy lalka w niebieskiej, połyskliwej sukience. Są tam jeszcze szafa, toaletka z lustrem, stół, krzesło, etażerka z książkami: jednotomową encyklopedią, wielkim atlasem zwierząt, trylogią, „Anią z zielonego wzgórza”, baśniami Andersena, kalendarzem rolniczym sprzed lat, wierszami Bułata Okudźawy i „Szaleństwami panny Ewy” Makuszyńskiego. Widział Śnieżkę przy stole. Pisała listy do dziewczyn i chłopców, interesujących się muzyką, tańcem, ikebana, podróżami, albo poważnymi rozmowami o życiu. Poznała ich dzięki rubryce „Chcę korepondować” w kolorowym tygodniku.

Wyobrażał sobie, że jeździ do unieruchomionej choroby babci z obiadem w menażkach, robi jej toaletę, sprząta dom, potem opowiada o pracy i słucha o tym, jak kiedyś ciężko się żyło i jakie dziadek robił wszystkim kawały.

Myślał też, że Śnieżka chodzi do wieczorowego technikum hotelarskiego, albo uczęszcza na kurs kro-

ju i szycia i już nawet szyje sobie sukienkę na uroczystość wręczenia dyplomów, prostą, czarną, na ramiączkach, z czarną różą przy staniku. Kiedy indziej myślał, że po pracy chodzi do klubokawiarni i z koleżankami do wieczora rozmawia o modzie, facetach i pieniądzach.

Rozmawiał z nią czasem. W myślach.

– Cóż za niewrażliwa klempa! – krzyczał na nią w swojej głowie. – Nie szkoda ci życia na ten tępy, bydlęcy sen? Jesteś jakąś tam kuchcią w zakładowym bufecie, marzysz o tym, żeby więcej nie stać przy piecu, żeby nie wracać do mieszkania, w którym pijany ojciec jest śmieszny i straszny zarazem, matka wrzeszczy o byle co, brat nienawidzi świata, a brzydsza siostra – ciebie, i co? Robisz coś, żeby się z tego świata wydostać? Nie, śpisz. Nie uczysz się języków, nawet się nie odchudzasz. A przecież możesz być wszystkim. Całym światem dla kogoś. Aktorką, piosenkarką (może masz ładny głos), poetką, szpiegiem jak Mata Hari. Możesz żyć. Ale nie, ty wolisz spać i śnić, że przyjdzie jakiś naiwny książę, wyrwie cię z tego letargu, da ci... No właśnie, co ci da? M-4? Bo o palacu nie jesteś nawet w stanie pomyśleć. A i twój królewicz upragniony to nie czuły, opiekuńczy i zakochany marzyciel, tylko jakaś parodia modlitwy dziewicy: „żeby przynosił pieniądze, za dużo nie pił, miał dodatkowe kartki na mięso i umiał naprawić cieknący kran”.

Tak było raz. Przeważnie myślał o niej z wielką tkliwością. Był sentymentalny i żałował tych wszystkich młodych, pięknych dziewczyn, które zrywają się o świcie, biegną na dworce kolejowe, przystanki autobusowe i tramwajowe, już zmęczone, potem osiem godzin harują, dźwigają więcej niż powinny, pocą się między kotłami z żarciem i zlewozmywakiem, marzną za ulicznym straganem, garbią się pod ciężarem torby z listami, w niszczącym urodę drelichu wykonują tyśiące tych samych ruchów przy maszynie, w smrodzie denaturatu odbijają na powielaczu głupie okólniki, byle jak przecierają podłogi, myją zasyfione muszle i umywalki, podają basen, odwijają zaropiałą bandaż, piorą i Bóg wie, co jeszcze robią. Potem młodość daje im jeszcze siłę na dyskotekę, miłość, plany na inne, lepsze życie. Pan Macura wiedział, że już gdzieś żyją ich przyszli mężowie, że już niecierpliwie czekają na urodzenie ich dzieci. Do tej roboty, która niszczy je teraz, dojdzie więc jeszcze mnóstwo innej szarpaniny, zmęczenie będzie rosło, rosło, rosło... Ale nikt już nie spojrzy z tkliwością na utraconą młodość i urodę. Bo nikt tak nie patrzy na żyłaki, zepsute zęby, cellulit, ufarbowane, przeredzone włosy.

Pociąg zatrzymał się w M. Szli we dwoje, w dużej grupie niewyspanych, szarych ludzi podziemnym przejściem z peronu, znaleźli się na zewnątrz budynku stacji, na ulicy tłum zaczął rzednąć, wreszcie zostali sami. Śnieżka szła szybkim krokiem jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów przed nim, zmierzali w tę samą stronę, skrótem między polami, potem była ulica domków i już osiedle, gdzie się roztawali. Pan Macura znowu wchodził między pola, za którymi majaczył betonowy plot jego firmy. Śnieżka skręcała między bloki i szła gdzieś ścieżką wydeptaną na osiedlowym skwerze.

Pan Macura przywitał się z portierką ze swojej portierni żwaną Małą Portiernią, panią Majak, do której mówiono: pani Hildziu i poszedł do kotłowni. Zobaczył, że wszystko jest w porządku. Czesiu musiał być trzeźwy, bo przed wyjściem dorzucił węgla i koks.

Wrócił więc na portiernię, żeby wypić z panią Hildzią herbatę. Dowiedział się znowu (chyba po raz szósty albo siódmy), że jej sześciolatnia wnuczka jest bardzo mądra. Pani Hildzia bardzo o siebie dbała. Miała już dobrze pod sześćdziesiątkę, ale ubierała się elegancko (tym razem miała na sobie piaskowy kostium z welny i białą bluzkę z koronkowym żabocikiem), robiła sobie owocowe maseczki na twarz, malowała paznokcie, używała też dobrej, zapewne drogiej i trudnej do kupienia farby do włosów, bo ich czerń była prawie naturalna. O wnuczce więc raczej w pracy nie wspominała, żeby się nie postarzać. Pan Macura poczuł się wyróżniony. Przez chwilę jeszcze obmawiali nocnego portiera, ale zajechał przewóz, z którego wysypali się urzędnicy, trzeba więc było wracać do kotłowni. Pan Macura przebrał się, nawiózł sobie węgla i koks, zdjął z pieca osłony i przeczyścił kanały drucianą szczotką na długim, żelaznym drążku. Wybrał popiół, dorzucił dziesięć łopat węgla i dziesięć koks, umył ręce, wyciągnął się na obitej kocami desce i pograżył się w czwartym tomie „Człowieka bez właściwości”. Doszedł do miejsca, w którym Agata mówi do Lindnera: „Mój brat twierdzi, że jestem tylko fragmentem istoty ludzkiej. To miłe, prawda? Nawet gdy się nie ma pewności, co to oznacza. Można by pomyśleć o nieskończonym tomiku nie wykończonych wierszy.” Zatrzymał się. I pomyślał o Śnieżce. A właściwie o sobie. On mógłby zostać Pigmalionem, ona – Galateą. Ale bez zakochania się, był przecież żonaty. Dzieliłby się z nią tylko swoimi odkryciami. Pożyczałby jej książki, płyty. Uczyl nazywania własnych uczuć i stanów. Pokazywał rozmaite cuda: obrazy Rembrandta, zwłaszcza portrety Saskii, cisa odkrytego w niedalekiej miejscowości, dziewiętnastowieczny zegar podróży w kształcie wielkiego jaja, który od prywatnego kolekcjonera dostało muzeum, wachlarz z całą rodziną cesarza Franciszka Józefa, nocną burzę letnią w górach... Wprowadziłby ją w świat, którego nie widać, ale który jest. Gdyby go nie było, należałoby się zabić, bo po co żyć tak szpetnie, w bloku, w Miłcu, w meblościance, w segregatorze, w słowach, które niczego nie znaczą. Więc zabrałby Śnieżkę w podróż po swoim niewidzialnym świecie, budowanym przez wszystkie wieki, równoległe z tym widzialnym, przez ludzi z – jak to nazywał – „nerwami na wierzchu”. Pan Macura nie był jednak naiwny. Wyobraził sobie, co by się stało, gdyby tak pożyczył Śnieżkę czytającego właśnie Musil. Sąsiadka opowiadała mu kiedyś, że zerwała ze swoim pierwszym chłopakiem, bo zabrał ją na koncert do filharmonii. Grali tam – opowiadała – za głośno i same symfonie. Rozbolała ją głowa. I jej adorator stał się w ten sposób ofiarą wielkiej sztuki. W głębi duszy miał jednak nadzieję, że Śnieżka jest zupełnie inna. Zaczął się zastanawiać, o czym też ona śni, ale przyszedł elektryk Sztwiertnia, wzięli stoiki i poszli po posiłek regeneracyjny. W bufecie Karolina, co miała męża kierowcę w tej samej firmie, którego stale podejrzewała, że zdradza ją co tydzień z inną wydrą z biurowych baraków, nie pożałowała im bigosu. Lubila ich, bo zawsze chwilę pogadali, poartowali, a poza tym nie wierzyli, żeby jej chłop latał za jakimiś babami, mając w domu takie cudo. Wrócili na kotłownię i zaczęli jeść, tylko wcześniej stoik Czesia pan Macura postawił na piecu, żeby zmiennik miał ciepłe jedzenie, jak przyjdzie na noc. Rozmawiali o historii. Przez szesnaście miesięcy „Solidarności” Sztwiertnia pociągał trochę bibuły.

O FON-ie, o Katyniu, Jalcie, procesach żołnierzy AK, poznańskim Czerwcu. Był młody, nie pamiętał śmierci Stalina, Października, Marca, stale więc o to pana Macurę pytał. No to opowiadał mu pan Macura na przykład o tym, jak w 1964 roku (chodził jeszcze wtedy do liceum) był na Targach Poznańskich i z kolegą mieszkali w prywatnej kwaterze. Pewnego wieczora napili się z gospodarzami i nagle znikła nieufność. Usłyszeli opowieści o buncie, strzelaniu, czołgach. Nazajutrz gospodarz wziął ich na wycieczkę po mieście. Pokazywał miejsca, postrzelane mury. Elektryk rewanżował się panu Macurze opowieściami o ludziach z OPTiUD. Potem wracali – jeden do pracy, drugi – do lektury.

O piętnastej robiło się cicho. Urzędnicy, robotnicy z warsztatu, kierowcy, wszyscy szli do domu. Zostawali tylko portierzy, palacze i Władek Król Nafty. W godzinę później opuszczał zakład pan Macura. Jego zmiana kończyła się o osiemnastej, płacili mu za nadgodziny, ale Czesiu wprowadził wychodzenie o szesnastej. Można było ufać portierom z Dużej Portierni, że nie zapomną w dwie godziny później o karcie zegarowej.

Nie było więc Śnieżki w życiu pana Macury już od południa aż do następnego ranka. Kiedy miał nocy, było jeszcze gorzej. Zapominał o niej całkiem na tydzień. A później pojawiała się znowu i zachwycała go zasypianiem, młodością, urodą. W kwietniu robiło się ciepło, pozbyła się więc zimowych okryć, pojawiła się w dzinsowym komplecie i już na pewno wiedział, że jest ładna. Niewysoka, zgrabna, brązowołosa. Miała smagłą skórę. Raz ukazała się nawet w krótkiej, wiosennej sukience, odsłaniającej smukłe, ale mocne nogi.

A potem skończył się sezon grzewczy. Pan Macura wziął ostatnią wypłatę, świadectwo pracy i opinię. Zastępca dyrektora d/s eksploatacji napisał o nim: „Obyw. mgr Macura był zatrudniony w tut. Zakładzie od dnia 6 listopad 1982 r. do dnia 30 kwiecień 1983 r. Początkowo był zatrudniony jako robotnik administracyjno-gospodarczy a następnie od dnia 10 listopad pracował w zawodzie palacz c.o. W okresie zatrudnienia w tut. Zakładzie dał się poznać jako pracownik bardzo sumienny, obowiązkowy, systematyczny i pracowity. We współpracy uczynny i koleżeński. Strona etycznie-moralna nie budziła żadnych zastrzeżeń. Rozwiązanie umowy o pracę nastąpiło z upływem okresu na który była zawarta umowa o pracę.” Po południu, kiedy już urzędnicy wsiedli do przewozu na kotłowni odbyła się uroczystość pożegnania. Była pani Majak, nocny portier Kudelski, Władek Król Nafty, elektryk Sztwiertnia, kierowcy, ludzie z warsztatu, zajrzał na chwilę zaproszony za odbijanie kart Gradowski z Dużej Portierni. Wszyscy chwalili bimber, który Karol, sąsiad pana Macury zrobił z ryżu, cukru i drożdży winnych malaga. Do tego były bezkarkowe puszki mielonki z zakładowego sklepiu i konserwowe ogórki. Pan Macura pomyślał nawet o Kingu, niemieckim owczarku nocnego portiera Kudelskiego, który dostał wielką kość ze schabu. Oczywiście King nie zwracał na nią uwagi, póki mu jego pan sam jej nie podał. Rozmawiali o tym co zawsze. Pili, jedli, palili najtańsze papierosy. Kiedy alkohol się skończył, zaczęli się rozchodzić. Wreszcie zostali tylko pan Macura, Kudelski i Władek Król Nafty, który poszedł do swojego kantorka i przyniósł butelkę czystej, prezent od wdzięcznego klienta. Fundator, lekko się zacinając, opowiadał



Rys. Wojtek Łuka

o tym, jak kiedyś przy prędkości 120 kilometrów na godzinę otwarła się maska jego „warszawy” i jak wyszedł z tego bez szwanku, kierując autem z głową wychyloną przez boczne okienko. Takie tam wspomnienia z przeszłości, dawno już bowiem milicja odebrała Władowi prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu. Potem pan Macura zebrał do dużej torby swoje rzeczy i wrócił do domu. I już nie jeździł do M.

Po kilku miesiącach, może roku, pijany dyżurny ruchu skierował pociąg, którym dojeżdżał pan Macura, na tor z wagonami pełnymi węgla. Zginęło kilka osób, kilkadziesiąt zostało rannych. Głośna sprawa. Gazety dużo pisały o kolei. O strasznym stanie taboru i torowisk, o nieodpowiedzialności pracowników, braku pieniędzy na zakup urządzeń zapewniających bezpieczeństwo podróży. Pan Macura znowu zaczął myśleć o Śnieżce. Odczekał półtora miesiąca. I pojechał znowu o 5.58 do M.

Usiadł w drugim rzędzie siedzeń, przodem do kierunku jazdy, wagon był chyba ten sam, tak samo śmierdziało, tylko na siedzeniu ktoś napisał „Górnicy – psy”. Śnieżka nie wsiadła. Pan Macura pomyślał, że może po wypadku woli jeździć w środku, albo z tyłu. W czasie jazdy do M. przeszedł cały skład. Dziewczyny nie było. Pocieszał się, że przecież też mogła zmienić pracę. Albo jest chora i ma zwolnienie lekarskie. A może właśnie dziś wychodzi za mąż i korzysta z dwudniowego okolicznościowego urlopu. W drodze powrotnej wymyślił jeszcze kilka innych możliwości. Nie pomogło. Ogarnęło go przynębiające uczucie, że czegoś nie dopilnował. Zawiodł. Było to bez sensu, ale pan Macura już taki był.

Uważał, że jest odpowiedzialny za cały świat.



Foto: Piotr Dłubak

Marek Perepeczko w „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza

Kocham stary, niemodny teatr

— Objął Pan stanowisko dyrektora w roku, w którym Teatr im. Mickiewicza obchodził 70-lecie. Taka rocznica siłą rzeczy zmuszała do oceny, podsumowania działalności teatru w Częstochowie. Widzowie oczekiwali nowych wydarzeń artystycznych. Rozpoczynając swoje urzędowanie, Marek Perepeczko był przede wszystkim popularnym aktorem. Jakie rozterki i obawy towarzyszyły Panu w przyjęciu tego stanowiska?

— Objęcie funkcji dyrektora teatru dla mnie samego było swego rodzaju niespodzianką. Nigdy nie starałem się o tego typu stanowisko, nie było to ani moje marzenie, ani tym bardziej cel mojego zawodowego życia. Uległem raczej usilnym namowom częstochowskiego środowiska — ludziom, którzy odpowiadają za kulturalne oblicze miasta i którzy mieli właśnie taki „pomysł” na teatr w Częstochowie. Władzom zależało, aby popularna osoba objęła posadę dyrektora i ożywiła swoją osobą ten teatr. Koncepcja ta sprawdziła się już przecież za czasów mojego poprzednika — Henryka Talara. Zresztą za pierwszym razem odmówiłem przyjęcia tej propozycji i nie była to — broń Boże! — z mojej strony żadna kokieteria. Stwierdziłem, że rzeczywiście nie mam zbyt dużego doświadczenia w kierowaniu teatrem. Jednak przyjeżdżając przez cały rok do Częstochowy, gdyż grałem w spektaklu „Lot nad kukulczym gniazdem” — miałem okazję samemu przyjrzeć się teatrowi, ludziom tu pracującym. Uznałem, że jest pewne grono osób — obecnie moi najbliżsi współpracownicy — z którymi można spróbować popro-

wadzić teatr w Częstochowie. Na podstawie własnych obserwacji i przemyśleń doszedłem do wniosku, że warto zaryzykować.

— Zwracając się do częstochowskiej publiczności z okazji premiery sztuki Fredry „Damy i huzary” (czerwiec 1998), spektaklu, który wieńczył pierwszy sezon Pańskiego dyktorowania stwierdził Pan m.in.: „... kończymy sezon artystyczny w częstochowskim teatrze. Sezon siedmiu premier, które w jakiś, myślę, sposób ukształtowały ogólny teatralny wyraz obecnej sceny przy ulicy Kilińskiego. Sezon obramowany polską klasyką. (...) Kiedy przed paroma miesiącami obejmowałem stanowisko dyrektora tej sceny, marzył mi się teatr widowiskowy, kostiumowy, oparty na znakomitościach aktorskich i reżyserskich”. Warto przypomnieć kilka premier, m.in.: „Pan Tadeusz” (listopad 1998), „Romanse i ballady” (marzec 2001) w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, „Rewizor” (maj 1999) w reżyserii Marka Mokrowickiego. Czyli wbrew wszystkim pesymistom warto postawić na klasykę?

— Muszę Panią, niestety, trochę rozczarować. Można przekornie stwierdzić, iż udaje się wystawić klasykę i nie udaje się. Ja z pewnością nie zrezygnuję z klasyki. Oczywiście stością pozostaje stwierdzenie, iż wystawianie klasyki jest rzeczą kosztowną. Jest to repertuar, który potrzebuje odpowiedniej oprawy. Ostatnie przedstawienie pana Hanuszkiewicza (mowa o „Romanse i balladach”, premiera marzec 2001 — E.W.) było „zrobione” na dekoracjach z „Pana Tadeusza”. Zresztą mieliśmy dużo szczęścia, gdyż zastosowana tak zwana pochylona scena czyni w teatrze cuda. Poza tym nie było żadnej innej dekoracji, po prostu „udało” się nam. Jednak nie zawsze tak można zrobić. Do najbliższej premiery trzeba zbudować normalną, prawie piętrową dekorację. Tu na szczęście pomagają nasi niezawodni sponsorzy, nasz „sąsiad” Zakład Energetyczny, częstochowskie oddziały banków. Jestem realistą. Jednak na przekór wszystkiemu należy robić swoje. Oczywiście musimy dostosować się do warunków, jakie stwarza nam zarząd miasta. Wielokrotnie podkreślałem w różnych sytuacjach, iż teatr nie ma wręcz prawa wymagać więcej niż budżet miasta jest w stanie wygospodarować. Ma świadomość istotnych problemów społecznych Częstochowy. Trzeba się dostosować do istniejących warunków i zmieścić, przyznając, w ciasnym gorsecie finansowym, który, przykro nawet o tym mówić, ogranicza działalność teatru.

— Czyli rozmowa o współczesnym teatrze to wciąż rozmowa o pieniądzu?

— Dla teatru nadeszły niezbyt łatwe czasy, niektórzy mówią nawet o kryzysie w teatrze, lecz nie jest tak, iż to publiczność odwróciła się od teatru. Teatr musi zmienić się organizacyjnie, wymaga on może nie tyle reformy, co nowego kształtu prowadzenia. Ja już kiedyś mówiłem, że najgorszy jest fakt, że teatr przegrywa z byle piosenkarką, podkreślam — lichą piosenkarką, której sponsorzy fundują koncerty, wydają jej dużych nakładach płyty. A wszystko to razem nie ma przecież żadnego znaczenia dla kultury naszego kraju. I żeby była jasność — nie mam nic przeciwko rzetelnie pracującym i utalentowanym piosenkarkom. Ale z masową kulturą teatr przegrywa straszliwie, nie mając środków finansowych na reklamę, na promocję. Działy promocji są w tej chwili najsłabszym ogniwem w teatrze. Jeżeli nie zmieni się systemu ich funkcjonowania, nagradzania i angażowania ludzi tam pracujących, to z pewnością grozi teatrowi krach. Teatr musi zdobyć się na efektowną reklamę. Standardowe oblepianie afiszami plotu już nie wystarczy, chociaż wciąż należy to robić. Na wszystko potrzeba pieniędzy, a biura promocyjne mają bardzo skromne środki.

— Walczy Pan o widza przede wszystkim poprzez repertuar i zapraszanie do teatru aktorskich gwiazd. Trudno w tej chwili wymieniać wszystkich, ale na częstochowskiej scenie gościliśmy m.in.: Emilię Krakowską (rola Pani Dulskiej w sztuce Zapolskiej wyreżyserowanej przez Ignacego Gogolewskiego), Barbarę Wrzesińską (rola Pani Orgonowej w „Damach i huzarach” Fredry w reżyserii Marka Perepeczki), Krystynę Jandę w roli aktorki w warszawskich przedstawieniach i jako

reżysera śpiewogry Brylla „Na szkle malowane”, Joannę Żółkowską w roli Celestyny w „Dzienniku panny służącej” Mirbeau.

— To są teatralne oczywistości, bo jeżeli nie będziemy proponować naszej publiczności ciekawych wydarzeń artystycznych, to teatr nie ma w ogóle sensu. Gwiazdy zawsze ożywiają teatr. Widz zanim kupi bilet, pyta, czy rzeczywiście pani Seniuk będzie grała w spektaklu? A następnie wszystkie bilety są sprzedane, to chyba mówi samo za siebie. Tak było zawsze i podejrzewam, że długo jeszcze się nie zmieni.

— Na ile w repertuarze częstochowskiej sceny ujawniają się Pańskie fascynacje literackie? Wiem, że jest Pan miłośnikiem Gogola, w ogóle literatury rosyjskiej.

— Uwielbiam też Fredrę. Chciałbym, aby jego sztuki przynajmniej co dwa lata gościły na deskach naszego teatru. Tym pomysłem podzieliłem się już z moimi współpracownikami. Mam nadzieję, że z okazji jubileuszu 75-lecia częstochowskiego teatru uda nam się wystawić jedną ze sztuk Pana Hrabiego. Fredro nadal jest „wielką rzeczą”, zarówno w polskim dramacie, jak i teatrze. Jest po prostu wspaniały dla reżysera, aktorów, dla wszystkich. Natomiast jeżeli chodzi o literaturę rosyjską, to ona po prostu jest wielka. Ja nie będę definiował w tej chwili owej wielkości literatury rosyjskiej, zostawię to już profesorom, oni z pewnością zrobią to lepiej ode mnie. Najważniejszy dla mnie jest fakt, że ona zawsze sprawdza się w teatrze, oczywiście pod warunkiem sensownej inscenizacji. Zawsze ma coś istotnego do powiedzenia widzowi i na dodatek cieszy się u niego powodzeniem. Na Gogolu i Czechowie wszyscy oddychają w teatrze, zresztą podobnie jak przy Fredrze. Moje fascynacje są jednak bardziej różnorodne. Dla mnie dobrze napisana farsa jest na scenie ważna.

Sprawnie zrobiona, świetnie wystawiona farsa ma zawsze ogromne powodzenie u widzów. I wcale nie mówię o „Mayday” (autorem farsy jest Ray Cooney, w częstochowskim teatrze wyreżyserował ją Wojciech Pokora, premiera odbyła się w styczniu 1998 roku — E.W.), która stała się wręcz „wydarzeniem ponadczasowym” — bo tego zjawiska nikt nie może zrozumieć w Europie — dlaczego jej nie można zdjąć z repertuaru. Trudno, bywają takie „dziwolagi”, że nie można ich zdjąć. U nas na malej scenie była grana 150 razy i są osoby, które przychodzą już któryś kolejny raz i dalej świetnie się bawią. I nie widzę powodu, by publiczności to odbierać. Tak jakoś dziwnie u nas się porobiło, że dla wysublimowanego środowiska teatralno-intelektualnego granie farsy jest dyshonorem. To już przecież przed wojną zarzucono Arnoldowi Szyfmanowi, że reżyseruje farsy i lekkie komedie, ale dzięki temu Schiller mógł spokojnie wystawić „Nie-Boską”, „Akropolis”... Jest rzeczą oczywistą, że pewien typ literatury, nazwijmy ją uświęconą, musi istnieć w teatrze, ale przecież to nie wszystko.

— Pan odważył się wystawiać Becketta, to przecież wciąż dla teatru ryzyko.

— U nas zaistniał Beckett, i to w reżyserii samego Antoniego Libery. („Czekając na Godot” premiera maj 1998 oraz „Fragment dramatyczny” wraz z „Ostatnią taśmą”, premiera kwiecień 2000 — E.W.) Nie jest ważne, że jedno z przedstawień było grane chyba, nie będę niestety precyzyjny, 18 razy na malej scenie, drugie nie wiem czy 10 razy, ale istotne jest samo wydarzenie artystyczne. Aktorzy grający w tych przedstawieniach zdobyli nawet na festiwalach prestiżowe nagrody. Teraz na deskach jest Schaeffer (mowa o ostatniej premierze — „Scenariuszu dla trzech aktorów”), doskonale zrobiony przez Bogusława Semotiuka. Aktorzy świetnie się przy tym bawią, zresztą propozycja wyszła właśnie od nich. Pomogłem im jedynie znaleźć reżysera. Niedługo młody absolwent Łódzkiej Szkoły Filmowej pan Szymczyk, będzie debiutował w naszym teatrze „Lekcją” Eugene Ionesco. Myślę również o sztuce Woody’ego Allena. Nasz repertuar naprawdę jest różnorodny. Zresztą to zakłada koncepcja teatru repertuarowego. Nie zarządzam teatrem autorytarnie, wspólnie ze swoimi współpracownikami szukamy dobrej literatury.

Z repertuarem współczesnym w ogóle jest dość dziwna sprawa. Mój kolega, Jurek Fedorowicz w Teatrze Ludowym

w Krakowie, robi kontrowersyjne przedstawienia. Nawet gdzieś ostatnio czytałem o jego scenie, iż w czasie spektaklu jedna połowa publiczności wychodzi oburzona, a druga na zakończenie wstaje i entuzjastycznie bije brawo. I, co ważne, wśród tej drugiej — bijącej brawo — połowy jest przede wszystkim młodzież. Przyciągnięcie młodzieży do teatru, odciągnięcie jej od telewizora i tych wszystkich innych zabawek medialnych, to jest wielki sukces dyrektora teatru. Uważam, że większego sukcesu dyrektorskiego chyba być nie może, takiego sukcesu bym sobie życzył. Mam nadzieję, że uda mi się przyciągnąć do teatru ludzi młodych przez Schaeffera, oni go lepiej rozumieją niż nawet wytrawni widzowie. W Częstochowie jest ponad 20 tysięcy studentów; po prostu nie wierzę, iż interesuje ich tylko miss mokrego podkoszulka. Oni muszą chodzić do teatru.

— W Pańskiej działalności wyraźnie widać, jak ważna jest dla pana młoda publiczność. Mam na myśli niedawne wydarzenia w teatrze.

— Wymyśliłem przegląd zespołów amatorskich działających w szkołach licealnych. No i wystawili swoje, bardzo sympatyczne, przedstawienia na scenie naszego teatru. Nie jest wcale ważna ich nieporadność, wszyscy wykonawcy nadrobili braki spontanicznością i wdziękiem. Chciałbym, aby ta impreza zaistniała na stałe na mapie kulturalnej Częstochowy. Przecież dziewczęta, które pracowały z Adamem Hanuszkiewiczem i w „Panu Tadeuszu”, i ostatnio w „Romansach i balladach”, też były amatorkami, a wypadły świetnie. Obecnie zdają egzaminy do szkoły teatralnej w Warszawie. Mnie wcale nie chodzi o to, by wszyscy uczestnicy szkolnych przedstawień zostawali aktorami. Sensowny sposób edukowania młodzieży to zabawa w teatr, nawet ten amatorski, nieporadny. Ja też debiutowałem w siódmej klasie rolą Cześnika w dziwnym przebraniu. Dla ludzi młodych ważna jest zabawa, radość, a to wszystko można odnaleźć, właśnie bawiąc się w teatr. Obserwowałem, jak oni się angażowali, grając dla swoich nauczycieli, koleżanek, kolegów na widowni. To było mile.

— Niewątpliwym sukcesem jest fakt zaistnienia naszego teatru „na zewnątrz”. Wiem, że były wręcz bardzo spektakularne wydarzenia.

— To jest sukces. Zawsze do tego dążyłem, aby teatr wyjeżdżał. Moim współpracownikom ciągle powtarzam, że musimy jeździć, konfrontować się z innymi, musimy się pokazywać. Zespół był w Chicago, gdzie „Dulska” Gogolewskiego zdobyła uznanie publiczności. Ośmielię się nawet stwierdzić, że odnieśliśmy za oceanem duży sukces. Wszystkie kolejne spektakle starałem się pokazywać również poza Częstochową. Zaistnieliśmy na scenie krakowskiej w teatrze „Bagatela”, w którym publiczność na stojąco okłaskiwała „Wesele” Hanuszkiewicza, byliśmy w Teatrze Śląskim w Katowicach z „Rewizorem”. Chciałby jeździć z zespołem wszędzie tam, gdzie są autentyczne sceny teatralne. Przed nami wyjazd do Cieszyna, do pięknego Teatru Polskiego, do Poznania. Zamierzamy raz jeszcze odwiedzić Warszawę, teraz z „Rewizorem”. Byliśmy już w stolicy z „Weselem”. Teatr musi się ruszać, zresztą, w tym tkwi niejako istota jego działania. Zawód aktora był zawsze zawodem trochę wędrownym. Wielu znanych twórców składa mi bardzo ciekawe propozycje, chcą pracować z naszym zespołem, to również świadczy o tym, iż częstochowska scena nie tylko została zauważona, ale także doceniona.

— Jest Pan osobą bardzo popularną w Częstochowie, niektórzy mówią nawet o panującym w mieście snobizmie na Marka Perepeczko.

— Snobizm wcale nie jest rzeczą złą. Publiczność ma prawo do swoich snobizmów, oczywiście tych dobrze pojmowanych i nie ma w tym nic złego. W tym roku poprowadziłem bodaj dziewięć aukcji charytawnych. Nie wypadło odmówić, choć, przyznaję, może to być chwilami męczące. Ale jest to przejaw przywiązania częstochowskiej publiczności, środowiska do mojej aktorskiej postaci. Bardzo sobie to cenię.

Rozmawiała:
ELŻBIETA WRÓBEL

W latach 90. XIX wieku sprawą prestiżową dla prężnie rozwijającego się miasta było posiadanie stacjonarnego teatru. Między 1873 a 1912 rokiem na obszarze ówczesnych Niemiec powstało ok. 80 nowych budynków teatralnych. Jednak do końca poprzedniego stulecia Bytom nie posiadał stałej sceny. Miasto często odwiedzały tzw. „teatry wędrowne” jak grupa Carla Matthesa czy Christiana Denemy’ego z repertuarem zarówno dramatycznym jak i muzycznym. Spektakle odbywały się w hotelu „Sanssouci” potem zwanym „Kaiserhof” (dziś „Brystol”). Tam też w 1867 roku najprawdopodobniej zobaczyli mieszkańcy Bytomia pierwszą operę, którą była „Afykanka” Giacomo Meyerbeera w wykonaniu zespołu Josepha F. Reindla. W tym właśnie miejscu 28 września 1900 r. po raz pierwszy wystąpił ze swoim zespołem, późniejszy pierwszy dyrektor Teatru Miejskiego w Bytomiu — Hans Knapp. To dzięki niemu mieszkańcy miasta zachwycili się przedstawieniami dramatycznymi i operowymi tak bardzo, że wkrótce zaczęto mówić o prawdziwym entuzjazmie teatralnym w Bytomiu, a potem wręcz o pasji do owej dziedziny sztuki.

Od wizji — do teatru

Pod koniec lat 90. powstał projekt gmachu Opery Śląskiej. W 1898 roku radca sądu handlowego i dyrektor Banku Górnośląskiego, Franz Landsberger, podjął starania o powstanie projektu budowy jakże potrzebnego miastu i oczekiwanego przez mieszkańców Konzerthausu. Początkowo myśłano o wspólnej sali koncertowo-teatralnej, a nie zaś o osobnym teatrze miejskim. Wyobrażano sobie salę do najróżniejszych — także towarzyskich — imprez, gdyż brakowało dotąd takiego reprezentacyjnego pomieszczenia. Dyrektor Landsberger będąc wielkim miłośnikiem muzyki, założycielem (1900 r.) kwartetu smyczkowego i Beuthener Musikvereins (Bytomskiego Towarzystwa Śpiewaczego), które potem przekształciło się w Singverein Beuthen (Bytomskie Towarzystwo Śpiewacze) stał się fundatorem budynku teatralnego, całkowicie zresztą poświęcając się temu dziełu. W lutym 1898 r. burmistrz Bytomia Georg Brüning podpisał akta budowy, a już 3 miesiące później 29 maja zawiązało się Towarzystwo Budowy Domu Koncertowego, w skład którego wchodził także architekt miejski Paweł Jackisch. W planach założono, iż będzie to gmach skromny zewnętrznie o łagodnej architekturze, ale mający za to wewnątrz dwie sale przeznaczone do różnych celów: jedna dla widowisk teatralnych, druga koncertowa. Dzięki pomocy wspomnianego burmistrza dr. Brüninga, a także dyrektorów generalnych przedsiębiorstw przemysłowych: Remyiego (Schlesische Aktiengesellschaft, Lipine — Śląska Spółka Akcyjna w Lipinach), Liberta (Friedenhutte — Huta Pokoju) i Wendinera (Pringsheimische Schmalzspurbahn — Kolejka Wąskotorowa) udało się budowę rozpocząć jeszcze tego samego roku. Miasto dało bezpłatną parcelę — teren starego drewnianego cyrku Blumenfelda (założonego w 1880 roku przez budowniczego miejskiego Uffnera) i zapewniło bezprocentową hipotekę na 300.000 marek.

Kapitał budowlany zdobyto z subskrypcji mieszkańców. W sumie osiągnięto pokazań jak na tamte czasy sumę 270.000 marek. Cała budowa kosztowała około 800.000 do miliona marek. Dokładna dokumentacja już



Nie ma chyba osoby, która będąc chociaż raz w Operze Śląskiej w Bytomiu nie zachwyciła się zabytkowym gmachem oraz jego efektownym wnętrzem. Historia budynku i przedwojennych dzieł teatru na ogół jednak nie jest znana poza zdawkowymi informacjami. By dowiedzieć się czegoś więcej, należy dotrzeć do niemieckich dokumentów z przełomu XIX i XX stulecia oraz odwiedzić archiwę, a one, jak wiadomo, raczej zazdrośnie strzegą swych tajemnic. Jubileusz 100-lecia gmachu Opery jest doskonałą okazją ku temu, aby uchylić ich rąbka. Żaden to bowiem przypadek, że właśnie w tym mieście powstał w 1901 roku pierwszy reprezentatywny budynek teatralny górnośląskiego okręgu przemysłowego.

KRYSTYNA
JANKOWIAK

Sto lat gmachu Opery Śląskiej

nie istnieje. Piąta część tej sumy — ponad 50.000 — pochodziła z przemysłu, który subskrybował kwoty między trzema i dwudziestoma tysiącami marek. Do głównych mecenasów należeli Casar Wollheim i von Friedlander-Fuld. Inwestorem była Spółka

z o.o. Towarzystwa Budowy Domu Koncertowego, architektem — Aleksander Böhm z Berlina. Wykonanie budowy zlecono firmie budowlanej Konrad Segnitz z Bytomia. Obszerny kompleks budynków powstał w stosunkowo krótkim czasie pomiędzy rokiem 1898 (wiosna) a 1901 (lato). Zachował się wystawiony przez Aleksandra Böhma kosztorys, w którym podano następujące pozycje:

- I. Prace murarskie: place dla robotników — 90.500 marek; materiały budowlane — 82.000 marek
- II. Prace kamieniarskie: 760 marek
- III. Prace ciesielskie: place dla robotników — 16.300 marek; materiały budowlane — 35.040 marek
- IV. Wyposażenie wnętrza teatru (siedzenia, kulis, dekoracje): 56.040 marek
- V. Wyposażenie wnętrza sali koncertowej: 20.000 marek

VI. Dekoracje ze stiuku: 25.700 marek

Obiekt wiążący w jednej architektonicznej bryle tzw. Konzerthaus i Teatr Miejski usytuowany został w centrum Bytomia, w jego południowo-wschodniej części, gdzie krzyżuje się ulica Stanisława Moniuszki z placem gen. Władysława Sikorskiego (niegdyś Gymnasialstr. z Kaiser Platz). Aleksander Böhm zaprojektował gmach w stylu neoklasycystycznym z elementami form innych epok i kierunków artystycznych: empiryzmu i secesji. Budynek wzniesiono w linii poziomej na rzucie litery „L”, projekt zakładał budowlę dwutraktową, nakrytą dachem namiotowym z kółkową kopułą z galerią wentylacyjną o dwóch elewacjach portykowych z trójkątnymi przyczółkami: dwu- i trójkondygnacyjny, niesymetryczny — od placu Sikorskiego 5-osiowy i 9-osiowy od ulicy Moniuszki. Gmach miał mieć przyziemie boniowane, podkreślające elementy plastyczne elewacji z wkomponowanymi w tynku dekoracjami profilowo-płycinowymi i ornamentnymi.

Sala teatralna została zaprojektowana z dwoma balkonami, wznoszącym się partem, ośmioma łozami bocznymi, sześcioma proscenicznymi oraz widownią na 631 osób. Głównym jej kolorem był biały, pozłacane ozdoby ograniczały się do balustrad balkonowych i sfery prosceniowej. Scena z poralem miała 14,5 m szerokości, 8 m wysokości i powierzchnię 187,5 m² (w tym 37,5 m² wynosiło zaszcenie). Zastosowano wówczas najnowsze osiągnięcia techniczne: centralne ogrzewanie, instalację wodociagowo-kanalizacyjną, windy do podnoszenia kulis, oświetlenie elektryczne, światła elektryczne w systemie trójbarnym, i zasilanie zapadnię — głęboki orkiestron bezpośrednio przed sceną, która liczyła 9 metrów szerokości.

Bytom — miasto kultury

Już 1 października, we wtorek, 1901 roku, miało miejsce ważne dla historii Bytomia wydarzenie — teatr był gotowy. Wieczorem zgromadził się zastęp dostojnych gości w nowym świecącym pełnym blaskiem budynku przy ul. Gymnasialstrasse. Pośród nich obok burmistrza dr. Brüninga również miejscy notabie, przede wszystkim zasłużeni protektorzy budowy teatru oraz ważne osobistości spoza miasta. Magistrat zrezygnował z organizacji specjalnej ceremonii otwarcia. Zadowolono się odświeżonym przedstawieniem na otwarcie w uroczystym sprawie. Podniosły charakter był oczywiście dobrze widoczny: trzy czwarte widowni stanowili oficjalnie zapro-

Foto: Tomasz Zakrzewski

szeni goście. „Wszyscy panowie pojawili się we frakach, panie w wytwornej toalecie”. Zainteresowanie pozostałych gości było tak duże, że nie wszyscy mogli wziąć udział w tym uroczystym wieczorze. Pierwszym punktem programu była uvertura, którą odegrała 30-osobowa orkiestra. „Die Weihe des Hauses” („Poświęcenie domu”) Ludwika van Beethovena rozpoczęło działalność teatru. Po muzycznym wstępie „Prolog na inaugurację nowego Teatru Miejskiego w Bytomiu I października 1901 r.” wygłosił przybyły z Raciborza dyrektor — Hans Knapp. Jego twórcą był zapalony do teatru mieszkaniec miasta, radca prawny Immerwahr. Entuzjazm i duma ludności, wyrażona została w rymowanych wersach:

*„Skńczył się czas, o stary Bytomiu
Gdzie tylko marna garstka komediantów
Siępała po deskach, które znaczą świat.
Dziś dumnie ogłaszam sławę w mieście
kultury*

*Bo nowe czasy nowy duch osiągnął,
Natura i sztuka, prawdziwe i piękne
Złączyły się w jedno, co się nie rozdzieli
W wielkim królestwie gry i dźwięku.
Niech od dnia tego gorąca tęsknota
Tak długo nieobecna w uroczystej hali,
Chroni dach świątyni, w której dobrze
dziać się będzie,*

*Bo wolny obywatel radośnie tam zmierza.
Spełnione stało się marzenie (...)
Jako dumny znak i pomnik wznosi się
budowla...”*

Łatwo usłyszeć w tej recytacji satysfakcję z sukcesu długich i ciężkich starań, ale i ufność w przyszły rozkwit branży teatralnej w mieście. Bezpośrednio po deklamacji ukazano tzw. „żywy obraz” przedstawiający hold Górnego Śląska sztuce. Następnie rozpoczęło się główne przedstawienie — „Dziewica Orleańska” Fridericha Schillera. Stary program teatralny informuje, że tę romantyczną tragedię wyreżyserował Franz Arnold, który wcielił się także w rolę Thibaut d’Arc. W tytułowej partii wystąpiła Ottilia von Osten, a Hans Knapp zagrał lotaryńskiego rycerza Raoula. Ponadto pro-

gram wylicza kolejnych dwudziestu czterech aktorów i wielu statystów. Ów długo oczekiwany wieczór rozpoczął się o godz. 19.30 i miał dwie przerwy między przedstawieniami. Inscenizacja znalazła duży poklask, a zamiejscowy krytyk Hamburger (późniejszy właściciel „Breslauer Zeitung”) wyraził duże uznanie dla nowego teatru i przedstawienia oraz pogratulował miastu pięknego budynku. Spektakl odbył się, jak mówiono wówczas, „poza abonamentem”, czyli po podwyższonych cenach. Największa była cena biletów w łóżach (orkiestrowa, prosceniorowa na I i II piętrze) — trzy marki. Większość miejsc kosztowała dwie marki (parter i I balkon). Bilety na II balkon nie były po marce. Najmniej — 50 fenigów kosztowały miejsca stojące na drugim balkonie. Kilka dni po tym wydarzeniu odbyła się inauguracja Domu Koncertowego. Imprezę zorganizował magistrat, a otwierał ją burmistrz Brüning. Po uroczystym bankiecie w lokalu domu koncertowego nastąpiło przejście do nowego teatru — korytarzami łączącymi teatr z salą koncertową, gdzie wystawiono operetkę „Piękna Galathea” Franza von Suppe.

Sezony coraz wyższych ambicji

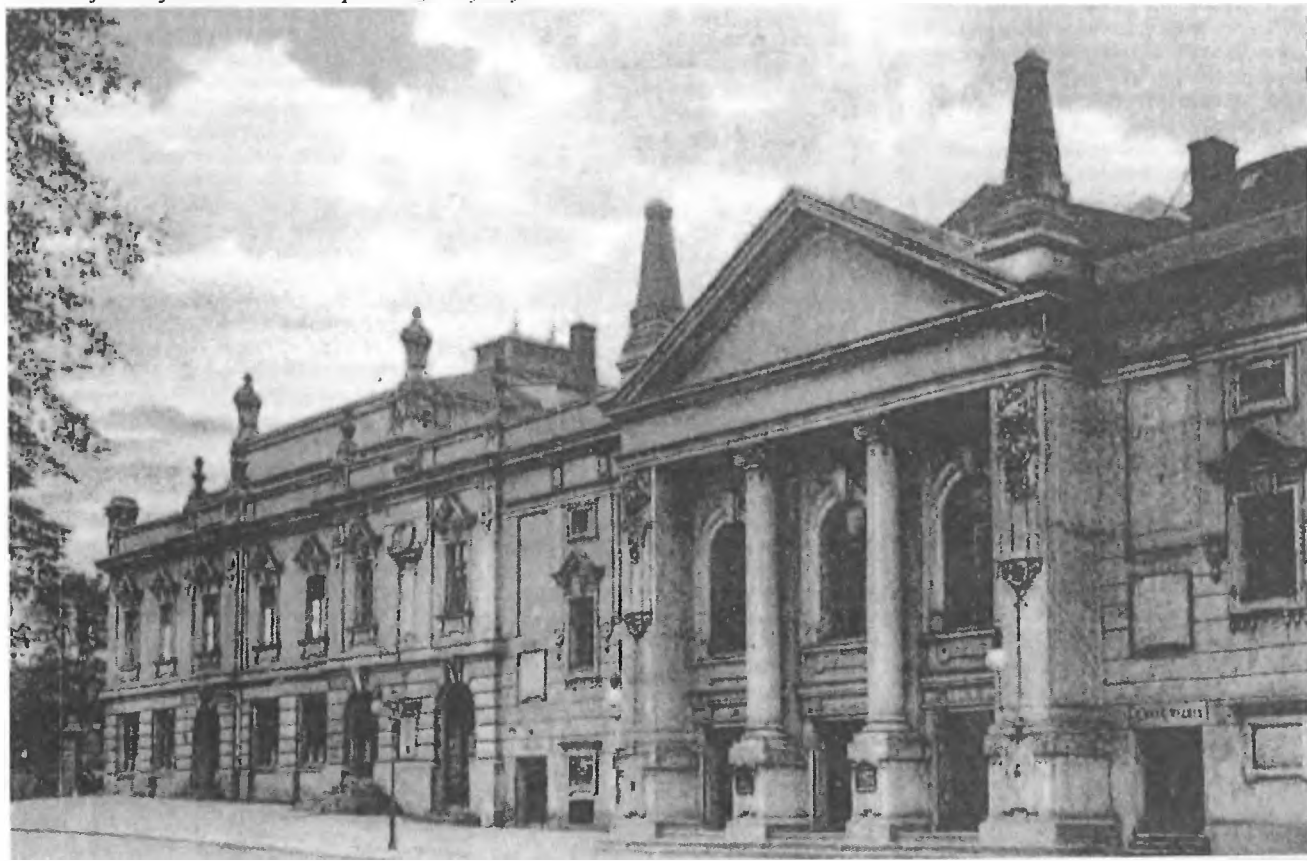
Repertuar pierwszego sezonu obejmował na początku tzw. sztuki mówione i operetki. Ale czego tu nie było — największe dramaty literackie m.in. „Makbet”, „Hamlet”, „Sen nocy letniej” Szekspira, „Faust” Goethego, „Chora z urojenia” Moliere’a, „Dziewica orleańska”, „Don Carlos”, „Wallenstein” i „Wilhelm Tell” Schillera. Aby zachęcić do odwiedzania teatru jak najszerzą publiczność, postawiono na repertuar rozrywkowy. Znalazły w nim miejsce cieszące się po dziś dzień powodzeniem operetki: „Noc w Wenecji” Johanna Straussa, „Hrabia Luxemburg”, „Cygańska miłość” i „Wesoła wdówka” Franza Lehara, „Czar walca” Oskara Straussa, „Księżnicz-

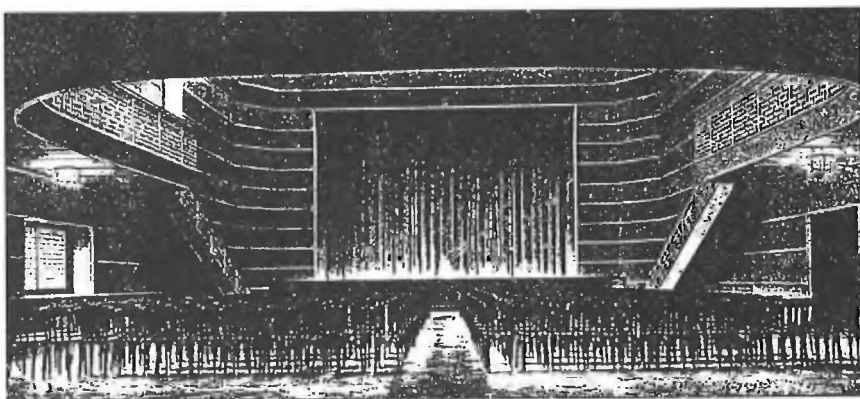
ka dolara” i „Róża Stambułu” Leo Falla, „Księżniczka czardasza” i „Manewry jesienne” Imre Kalmana. Knapp od samego początku jeździł też ze swoimi przedstawieniami do Królewskiej Huty, Zabrze, Tarnowskich Gór, Katowic. Tym sposobem Bytom stał się bazą i centrum życia kulturalnego na Górnym Śląsku. W 1905 roku rozpoczęto wystawianie dzieł operowych. Na bytomskiej scenie pojawiły się: „Nocleg w Grenadzie” Conrada Kreutzera, „Rycerskość wieśniacza” Pietro Mascagniego, „Aida” Giuseppe Verdiego oraz „Tannhäuser”, „Lohengrin” i „Śpiewacy norymberscy” Ryszarda Wagnera. Były to jednak spektakle bardzo kosztowne i pracochłonne, przez co stanowiły znaczne obciążenie dla skromnego w sumie teatru muzycznego. Zespół liczył wtedy 79 osób (orkiestra — 45, soliści — 14, chór — 20).

Żeby lepiej wykorzystać środki i stworzyć teatr dysponujący dużo większym zespołem, a także by nie dopuścić do nieuniknionej konkurencji, Hans Knapp w swoich ambitnych planach postanowił stworzyć pod jedną dyrekcją placówkę obejmującą dwa ośrodki: Bytom i Katowice, gdzie w tamtych latach również przystąpiono do budowy teatru, którą ukończono w 1907 roku. Projekt ten niestety nie zyskał poparcia Komisji Teatralnej przy Magistracie Katowickim, gdzie w piśmie odmownym napisano: „z tej fuzji mogłaby powstać konfuzja”. Nic dziwnego, że władze Katowic nie zgodziły się na to połączenie, skoro tamtejszy teatr miał około 200 miejsc siedzących więcej niż bytomski, a miasto miało lepsze położenie komunikacyjne, dzięki czemu bilety mogły być droższe. Przed I wojną światową teatr w Katowicach miał więc dochody o około 25.000 marek rocznie wyższe niż bytomski. Istnienie tego teatru było czynnikiem mobilizującym władze Bytomia do zwiększenia funduszy na swój własny.

W tamtych latach sezon bytomski trwał zazwyczaj 7 lub 8 miesięcy. Spektakle rozpoczynały się o godz. 19.30. Na gościnne występy zapraszano nie tylko śpiewaków

Teatr Miejski w Bytomiu ok. 1903 r. w pierwotnym wystroju





Sala koncertowa po przebudowaniu w 1927 r. według projektu Hansa Poelziga. W nocy 24 sierpnia 2000 roku pożar strawił tę część obiektu z unikalnym wystrojem, odsłaniając pierwsze wnętrze z bogatą sztukaterią.

i aktorów z innych teatrów, ale również całe zespoły artystyczne jak np. słynną grupę „Les representations classiques francaises”. Wszystko to świadczyło tu nie tylko o dużej operatywności Knappa, ale także o wzrastającym zapotrzebowaniu publiczności, przede wszystkim bogatego mieszczaństwa niemieckiego, które napłynęło do miasta w poprzednich dziesięcioleciach.

Po niespełna 10 sezonach dokonano w teatrze modernizacji i pewnych korekt. I tak w 1910 roku scena Teatru Miejskiego otrzymała nowe kulisy zaprojektowane przez Konrada Sengitza. Natomiast w 1927 roku przeprowadzono wielki remont sali koncertowej zwanej Filharmonią. Jej przebudowę powierzono sławnemu berlińskiemu architektowi Hansowi Poelzigowi. Uważano, iż akustyka sali nie była najlepsza. Wykonano więc nowe sklepienie, zaś wnętrze kopuły wyłożono dyktą. Na środku sufitu zostały założone wywietrzniki zabezpieczone kratą. Ściany, podobnie jak sufit wyłożono dyktą, a łączenia zamaskowano drewnianymi listwami. Powstała w ten sposób pusta przestrzeń, która tworzyła rezonans niczym w pudle skrzypiec. Owo zbudowane na nowo wnętrze na zawsze przykryć miało, notabene wcale ich nie niszcząc, niezwykle bogate ornamenty sali zaprojektowane przez Aleksandra Böhma.

Nowe wewnętrzne ściany łagodnie przechodziły w zwieńczony drewnianą kratą — wywietrznikiem sufit, niższy od pierwotnego o półtora metra. Salę obiegał balkon zakończony z obu stron jednotraktowymi schodami zbiegającymi wprost na parkiet parteru. Można było na nim umieścić 150 miejsc siedzących. Balustrada balkonu z drewnianych krat korespondowała z takimiż kratami w prostokątnych oknach. W sali nie zamontowano stałych miejsc siedzących, na parkiecie ustawiono zwykle drewniane krzesła, mieściło się ich na parterze około 370. Oświetlenie w sali oprawiono w kryształowe żyrandole. Właściwą dla stylu Poelziga geometryczną surowość form łagodziła jej wysmakowana kolorystyka, przy której współpracował miejscowy artysta Drabek. Ściany miały kolor ciepłego różu, przechodzącego w dolnych partiach w tony czerwono-brązowe, a rozjaśniającego się w górnych partiach i na suficie. Listwy, kraty w oknach i ogromny wywietrznik na suficie pomalowano na kolor jasnożółty, natomiast balustrada balkonu otrzymała barwę hryzokoli (delikatny odcień błękitnozielony). Znajdująca się wewnątrz budynku Filharmonii secesyjna klatka schodowa została wówczas również częściowo przebudowana.

Gdy wybuchła I wojna światowa, pogorszyła się gwałtownie sytuacja finansowa miasta. Działalność teatru zawieszono. Przerwa trwała jednak tylko rok i 3 października 1915 roku teatr ponownie podniósł kurtynę. Po zakończeniu wojny, wobec niezwykle trudnej sytuacji gospodarczej postanowiono scenę upaństwowić. Pociągnęło to za sobą zasadniczą restrukturyzację i poważne problemy finansowe. Niemniej jednak oprócz regularnie granych wieczorem spektakli, po raz pierwszy pojawiły się przedstawienia poranne i popołudniowe. Dla Polski Bytom był w tamtych latach ośrodkiem niezwykle ważnych wydarzeń. W lutym 1920 roku w mieście powstał i działał Polski Komisariat Plebiscytowy z Wojciechem Korfantym na czele. Goszczący w czasie zbliżającego się Plebiscytu na Śląsku zespół Opery Warszawskiej właśnie na scenie przyszłej Opery Śląskiej dał 6 lipca 1920 roku, pod batutą Emila Młynarskiego spektakl „Halki” Stanisława Moniuszki. Było to wielkie wydarzenie artystyczne i patriotyczne. Bytom jednak miał jeszcze pozostać po niemieckiej stronie granicy.

Teatr trzech miast

Rok później dyrektor Hans Knapp powraca do idei teatru między-miejskiego. W ten sposób powstał oparty na zasadzie partnerstwa pomiędzy Bytomiem a Gliwicami „Landestheater Beuthen — Gleiwitz”, który zgodnie z umową z Niemcami miał prawo do stałych występów po polskiej stronie — podobnie jak Teatr Polski z Katowic po niemieckiej stronie granicy Górnego Śląska. Zespół artystyczny i techniczny miał odtąd swą siedzibę w Gliwicach. Był to pierwszy sezon, który otworzył listę gościnnych występów gwiazd z największych scen teatralnych Niemiec (m.in. Albert Bassermann, Paul Wegener, Fritz Korfner, Lucie Haflich, Max Pallenberg). Wymieniano się przedstawieniami, dawano koncerty, lecz z końcem sezonu 1923/24 ów eksperyment się zakończył.

2 maja roku 1924 miasta: Bytom, Zabrze i Gliwice utworzyły Organizację Miłośników Teatru i Wolnej Sceny z siedzibą w Gliwicach, której ideą było prowadzenie teatru wspólnego dla tych trzech miast. Wystawiano głównie spektakle dostępne dla szerokiej publiczności z przewagą pozycji spod znaku lekkiej muzy. Sukcesy artystyczne Dreistadttheater były niewątpliwe, finansowe niestety nie. Także z powodu błędów organizacyjnych sezon został skrócony. Niemniej w tym właśnie czasie zaprezentowano w Bytomiu pierwsze spektakle baletowe m.in. „Ostatnią maskę” Kurta

Münznera pod kierownictwem Lisy Mey z udziałem primabaleriny Marthy Welsen. Regularny charakter miała w tym okresie wymiana kulturalna pomiędzy Niemcami a Polską. Zespół bytomski gościł systematycznie w Katowicach i Chorzowie — polski przyjeżdżał na występy do Bytomia, rzadziej do Zabrze, Gliwic i Opola. Powodzenie spektakli było tak duże, że trzeba było organizować dodatkowe kursy tramwajowe, zwłaszcza na terenie Bytom-Biskupice. Bilety wykupywano na długo przed przewidywanym terminem przedstawienia. Ta korzystna sytuacja materialna uległa pogorszeniu w okresie powojennym, a potem już coraz bardziej brakowało teatrowi funduszy. Po ponad dwóch dekadach zarządzania dyrektorem Knapp zdecydowali się opuścić teatr. W sezonie 1925/26 nowy intendent Eugen Felber (podobnie jak bytomianie powodowani prestiżem), był niechętny współpracy z Zabrzem i Gliwicami. Finanse jednak przeważały i współpracę utrzymano. Nową siedzibą Teatru Trzech Miast został jednak Bytom. Nazwa teatru od tej pory brzmiała: „Oberschlesisches Landestheater G.M.B.H. Beuthen O/S”. Coraz więcej pojawiało się w repertuarze koncertów symfonicznych, solowych, oratoriów oraz poważnych dzieł operowych jak: „Borys Godunow” Musorgskiego, „Arabella” R. Straussa, „Fidelio” Beethovena, „Carmen” Bizeta, „Faust” Gounoda, „Urowadzenie z seiraju” Mozarta, „Madama Butterfly” Pucciniego, „Traviata”, „Rigoletto”, „Trubadur” Verdiego, „Car i cieśla”, „Platnerz” Lortzinga. W 1925 roku ukazał się w gazecie „Ostdeutsche Morgenpost” z dnia 1 października artykuł, który na marginesie nawiązywał do jubileuszu teatru. W końcowych zdaniach napisano: „Teatr Miejski tworzy sztukę pod sztandarem »Zjednoczonych Scen Miejskich«. Mijamy nadzieję, że od teraz będzie nad teatrem, który wchodzi w swój dwudziesty piąty rok, świeciła szczęśliwa gwiazda, dla dobra niemieckiej kultury teatralnej w obłożonym górnośląskim okręgu przemysłowym”. Właściwy jubileusz w 1926 roku został przemilczany, chociaż wątpliwe należy czy rzeczywiście brakowało atrakcji związanych z jubileuszem, skoro w kolejnym sezonie 1926/27 pracował w teatrze światowej sławy reżyser Walter Felsenstein.

Za dyrekcji Artura Illinga obejmującej lata 1927—1933 zaokrąglono horyzont sceny, polecono zrobić ruchomą elektryfikację oraz za pomocą płótna formy półkolistej oddzielono kulisy od sceny. Sytuacja finansowa teatru była jednak nienajlepsza. Wpływy z biletów nie były w stanie jej poprawić, choć ilość przedstawień w dalszym ciągu nie malała. Oto jak prezentowały się dwa przykładowe sezony:

1928/29 — 21 spektakli teatralnych (222 wystawienia), 12 oper (81 spektakli operowych), 9 operetek (133 prezentacje), 28 koncertów (3 rodzaje programu), 10 występów gościnnych. Sezon trwał 7 i pół miesiąca. Zagrano w siedzibie i w objeździe 464 spektakle!

1931/32 — sezon jubileuszowy: 2 października 1931 r. wystawiono „Aidę” G. Verdiego, a przed nią miała miejsce recytacja dr. Karla Rittera, który w sezonach 1932—34 pracował w Bytomiu jako kierownik literacki. Jakże inna to była przymowa od tej inauguracyjnej z 1901 roku:

Całkiem rzeczą i krótko mam obwieścić, iż od trzydziestu lat gra i wystawia się w tym Domu. Z zacięciem, pracowicie...

i bez iluzji. Obchodzi się w „Budyńku” dziś rocznicę. Z wiedzą o tym wszystkim co wisi nad naszymi czasami, rocznica na której wieńcu jubileuszowym pięć obecnych czasów napisz trzyma: Nie jest złota ani nie lśni srebrem, i nie ozdoba w świecadelka! Pomóżcie tym, mówi, co przychodzą wieczorem zmartwieni troskami codziennosci! A wtedy oni pomogą, by ich jedyna scena przetrwała jako ratownik dusz. Wielka góruje trzydziestka, cyfra jubileuszu! Niewidocznie... bez przepychu i liści laurowych napomina was o pomoc. Zostańcie z nami — i wszyscy razem się wzniesiemy, bo wasza wola, wasza ostatnia ofiara pozwoli nam tu żyć. Więc tak bez poży chcemy skromnie, gdy teraz zabrzni wzniosła gra, życzyć sobie po cichu, by w powadze opowiadano tu pięknie — i by pięknie się działo.

Jakże brzmieć musiały ostatnie wersy z „cichym” życzeniem, by również „w powadze czasów” piękno — sztuka, teatr przetrwały.

Ostatnie niemieckie sezony

Następca Illinga był do końca sezonu 1937/38 reżyser Gustaw Bartelmus. Pierwszy tzw. nacjonalistyczny sezon trwał od 11 września 1933 do 15 maja 1934. Po raz pierwszy orkiestra dała 8 dużych koncertów symfonicznych z udziałem sławnego wiolonczelisty Adolfa Steina pod dyktando Franza von Hoesslina z Wrocławia. W 1934 roku sezon trwał pełny rok, od 11 września do 10 września 1935 r. Nowością były tzw. „letnie teatry”, które w śląskich kurortach wypoczynkowych prezentowały „sztuki letnie”. Muzycy bytomscy od kilkunastu już lat zresztą występowali dla mieszkańców miasta w muszli koncertowej w parku przy teatrze (dziś w tym miejscu stoi pomnik Fryderyka Chopina). Teatr Miejski w Bytomiu cieszył się dużą popularnością i wszystko wskazywało na to, że scena wydobyla się z wszelkich kłopotów. Dużą rolę odgrywały wtedy także względy polityczne związane z funkcją tej sceny wobec ludności niemieckiej na polskim obszarze Górnego Śląska. Teatr Polski z Katowic na mocy Konwencji Genewskiej rozpoczął regularne występy na scenie bytomskiej. W latach 1933—1939 były to w sumie 23 wizyty. Od 1938 roku teatrem kierował aktor i reżyser Heinz Huber. Rozpoczął sezon dwoma ogromnych rozmiarów przedsięwzięciami „Wilhelmem Tellem” i operą „Fidelio”. Repertuar nadal był bogaty, wielkie dzieła klasyków i współczesnych, dramaty, komedie, opery, operetki, spektakle baletowe, koncerty symfoniczne, rzeczy poważne, ale i lekkie. Orkiestra liczyła 60 muzyków, balet 13 tancerzy, chór 32 artystów. Od roku 1929 działała w teatrze wybitna indywidualność — dyrygent Erich Peter, operą zajmował się Alfred Otto, operetką Albert Klempin, a baletowi szefowała Carola Krauskopf. Często gościnnie reżyserował w teatrze prof. dr Carl Niessen, teatrolog, założyciel i pierwszy dyrektor Instytutu Teatrolnawstwa przy uniwersytecie w Kolonii. Kolejno w każdym 8-miesięcznym sezonie wśród artystów pojawiały się nowe nazwiska: Gustaw Sauer, Elsa Cavelti, Lisa Otto, Arturo Scarlotti, Margarete Burbach, Franz Wödl, Walburga Wagner, Jaro Prohaska, Nico Dostal... Wiele z nich zrobiło po wojnie międzynarodową karierę. Wystąpią na największych scenach teatralnych i operowych Niemiec, Europy i Ameryki.

Heinz Huber, człowiek niezwykle odpowiedzialny i uporządkowany, o absolutnym autorytecie w teatrze, doprowadził do sytuacji, w której najbliższe dziesięciolecie stało się dla bytomskiego gmachu okresem doskonałej prosperity. Nie zakłócił jej początkowo nawet wybuch II wojny światowej. Jubileusz 40-lecia teatru uświetniono szeregiem wyjątkowych imprez, które były — zaskakująco różnorodne i niepowtarzalne. Jednak świąteczny jubileuszowy tydzień wydawał się uzasadniony na tle wydarzeń wojennych. Polska była pod okupacją, Francja, Belgia i Holandia również zostały zajęte, operacje militarne przeciw Danii i Norwegii powiodły się, a rozpoczęły kilka miesięcy wcześniej ataki na ZSRR przyniosły nieoczekiwane rezultaty. Jubileusz rozpoczął się w sobotę 27 września 1941 r. wykonaniem „Śpiewaków norymberskich” R. Wagnera. W niedzielę 28 września wystawiono „Kawaleria srebrnej róży” R. Straussa. Wyjątkowy akcent stanowiła inscenizacja komedii Eichendorffa „Die Freier”, która miała miejsce w środę — 1 października. We wtorek 30 września prof. Carl Niessen wygłosił referat z pokazem zdjęć pt. „Najnowsza historia teatru niemieckiego”. W czwartek 2 października wystawiono operetkę F. Lehara „Paganini”, zaś w niedzielę, 5 października 1941 roku zakończono tydzień wieczorem tanecznym „Górnośląskiej Sceny Tańca Teatru Krajowego”. Po uwerturze Beethovena „Die Geschöpfe des Prometheus” — „Twory Prometeusza” w programie znalazły się: choreografia jego „Niemieckich tańców”, „Fest im Süden” — „Święto na południu” — Borisa Blachera oraz „Die Puppenfee” — „Czarodziejka lalek” — Josefa Bayera. Tygodniowi przedstawień towarzyszyła wystawa „50 lat niemieckiego teatru” przygotowana i w dzień otwarcia, 25 września, skomentowana również przez prof. Niessena.

U schyłku wojny artyści musieli jednak opuścić mury swego teatru. Budynek zabezpieczono przed ewentualnymi stratami, gdyż zakładano powrót za kilka, najwyżej kilkanaście miesięcy. Sezon 1943/44 okazał się jednak ostatnim w niemieckiej historii tego teatru, oficjalnie zakończył się on 30 czerwca 1944 r. W sierpniu wiadomo już było, że następnego nie będzie. W obliczu wojny totalnej ogłoszonej przez Hitlera zamknięto wszystkie teatry w Niemczech. W ten sposób przestał istnieć najstarszy i najbardziej ambitny teatr na Górnym Śląsku. Jego działalność w sposób równie wybitny kontynuowała potem pierwsza powstała w Polsce po wojnie opera — Opera Śląska.

Od pierwszej powojennej „Halki”

Kurtyna ponownie podniosła się w Bytomiu 29 listopada 1945 roku. W ten sposób narodziła się zupełnie nowa historia tego gmachu. Inni teatry, inni ludzie, inne państwo, ale przecież ta sama kultura i ta sama dziedzina sztuki. W ostatnich dniach wojny budynek teatru przejęło i gospodarowało nim przez kilka miesięcy wojsko radzieckie. Wnętrze gmachu przedstawiało żaloszny widok: zdemastowana widownia, scena rozszabrowana, bez kurtyny i bez horyzontu z przeciekającym dachem. Wszędzie ślady zniszczeń i rabunku. Tak właśnie prezentował się teatr gdy jesienią 1945 roku został przekazany do dyspozycji działającej już od 14 czerwca sceny operowej, której

tymczasową siedzibą był Teatr Śląski w Katowicach.

Nowy sezon rozpoczęto 15 września — jeszcze w Katowicach — premierą „Toski” Giacomo Pucciniego. Trzy tygodnie później dotarł do Bytomia, by tu w większości osiąść, zespół lwowski z doskonałymi fachowcami teatralnymi. Bezdomni artyści przyjęli na tymczasową siedzibę budynek teatru miejskiego. Pomimo trudnych warunków — braku mebli, instrumentów, pulpitów, zupełnie pustych magazynów teatralnych, braku kostiumów i dekoracji w listopadzie odbył się pierwszy bytomski spektakl. Zagrano „Halkę” Stanisława Moniuszki, przedstawienie, którym wcześniej 14 czerwca Opera Śląska zainaugurowała działalność polskiej powojennej sceny operowej. Pierwszą premierą na scenie bytomskiego teatru były dwie jednoaktowe opery: „Rycerskość wieśniacza” Pietro Mascagniego oraz „Pajace” Rugiero Leoncavalla — 9 grudnia 1945 r. Nikt nie myślał o inwestowaniu w ten budynek, z trudem zaspokajano elementarne potrzeby. Ba, nie było nawet wiadomo, jak będą przebiegały granice, a w świadomości zwykłych ludzi panowała opinia, że jest tylko kwestią czasu wybuch kolejnej wojny, a wtedy Bytom być może wróciłby do Niemiec. Po drugie miasto to — podobnie jak inne ośrodki na ziemiach odzyskanych — było traktowane przez wielu, w tym także władze, jako środowisko obce kulturowo. Miastu nie przypisywano więc prestiżowych funkcji, a nowy gmach teatru miał stanąć w Katowicach. Nie rokowano zatem większych szans na utrzymanie teatru opery i baletu w Bytomiu. Stało się jednak inaczej i Bytom został siedzibą Opery na Śląsku po dziś dzień.

Gmach teatru miał być tylko przystanią do czasu powołania Teatru Wielkiego Opery i Baletu w Katowicach. Trzykrotnie jednak nie doszło do jego budowy. Tymczasem w Bytomiu rokrocznie przeprowadzano jedynie doraźne remonty, aby utrzymać budynek w stanie odpowiadającym bieżącym potrzebom.

Na początku lat 50. Opera stopniowo odzyskiwała lewe skrzydło gmachu zajęte dotychczas przez Związek Zawodowy Metalowców i Bytomskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego. W pierwszym pięcioleciu istnienia sceny operowej zainstalowano kurtynę wodną, wyłożono orkiestron sklejką, zlikwidowano niestety scenę obrotową, wybudowano palarnię i przebudowano wnętrze hallu wejściowego. Sprawą niezwykle ważną było wybudowanie pracowni technicznych, gdyż dotychczasowe rozrzucone były na terenie dwu posesji, co utrudniało w wielkim stopniu pracę. Ze względu na ciasnotę oraz wadliwe rozmieszczenie garderób bardzo zły był kontakt inspicjenta z artystami. W tym czasie przebito również otwór w ścianie nośnej między nastawnią sceniczną a lożą prosceniovą, zakładając metalowe drzwi obłożone azbestem, a na zsceniu zbudowano 5 nowych wyciągów, co usprawniło pracę w zawieszaniu dekoracji. Widownia teatru dysponowała systemem wentylacyjnym, który polegał na mechanicznym otwieraniu kłap oddymiających nad sceną i nad żyrandolem. Urządzenia klimatyzacyjne na widowni zostały po wojnie całkowicie zdemontowane, pozostały po nich jedynie wentylacyjne kanały — rzeczą istotną było więc jak najszybsze uruchomienie klimatyzacji.



Widok gmachu teatru od strony placu Sikorskiego w nowym wystroju.

W połowie lat 60. miał miejsce generalny remont związany z modernizacją części wnętrza. Pomniejszono wówczas widownię o ponad 75 miejsc. Większe bądź mniejsze remonty zabytku są prowadzone co roku w okresie przerwy letniej.

Rok stulecia zabytkowego gmachu

Czasami wydarzenia tragiczne — o ironio losu — pomagają. W nocy 24 sierpnia 2000 r. ok. godz. 1.00 w gmachu Opery wybuchł groźny pożar. Doszczętnie spłonęła duża sala baletowa, dawny Konzerthaus. W czasie gaszenia pożaru zniszczeniu uległy również liczne pomieszczenia znajdujące się pod tą salą (pokoje korepetytorskie, chórówka, orkiestrówka, restauracja operowa, kasa biletowa), a na piętrze — garderoby baletu. Ogień, który strawił oryginalne wnętrza sali Hansa Poelziga odsłonił jej pierwotne oblicze — niezwyklej urody sztukaterię zaprojektowaną przez Aleksandra Böhma. W roku jubileuszu — 100-lecia teatru udało się odbudować zewnętrzną fasadę teatru i odnowić elewację od strony placu Sikorskiego zgodnie z projektem z przełomu XIX i XX-stulecia. W jakim czasie uda się

odtworzyć zabytkowe wnętrza sali koncertowej — trudno przewidzieć.

Gmach Opery prezentuje się nadal okazale i wciąż jest w dobrym stanie technicznym pomimo licznych uszkodzeń spowodowanych głównie eksploatacją górniczą, które wymagają stałych napraw, remontów i zabezpieczeń. Obiekt ten jest reprezentacyjnym budynkiem miasta i województwa jako siedziba największej instytucji artystycznej, wymagającym nadzwyczajnej pieczy.

Niezwykłej wagi okazał się fakt, iż budowla została ujęta w rejestrze zabytków województwa katowickiego — nr rej. 1225/77 z 28 marca 1977 r. Teatr w obecnym stanie posiada surową, zewnętrzną elewację i nieliczne, w sumie skromne elementy dekoracyjne w stosunku do stanu pierwotnego. Prowadzone do kilku lat prace remontowe, w tym przy odnowieniu elewacji, finansowane w głównym stopniu przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej z Warszawy, pozwoliły teatrowi przywrócić godny wygląd na setną rocznicę powstania.

Charakterystyczne są przede wszystkim kolumny i wszędzie widoczne linie proste, bez wygięć, skrętów i wszelkiego rodzaju ozdób. Fasada i ściany boczne niemal zupełnie gładkie, jak najprostsze; wszystko to po to, aby na widzu wywołać wrażenie spo-

koju i niezwyklej powagi. Dwie kolumny ustawione na piedestałach z głowicami, zdobione maskami, przypominają dwie kolumny korynckie. Prosty gzyms główny chroni ścianę i kolumny przed spływającą z dachu wodą. Ponad gzymsem znajduje się wydłużony, trójkątny, gładki kamienny fronton. Na nim opiera się dwuspadowy dach. Niegdyś stały tam rzeźby i wieżyczki ryzalitowe, które ożywiały martwą linię szczytu pionowymi akcentami. Okna nad drzwiami wejściowymi do teatru zwieńczone zostały łukiem romańskim. Dwa masywne pilastry z ornamentami posiadały dawniej piramidalne zakończenia. Ale i dziś architektura gmachu jest bardzo przejrzysta, statyczna, o wyglądzie rzecz można dostojnym. Jak czytamy w rejestrze zabytków — obiekt posiada dużą wartość historyczną i artystyczną o olbrzymim znaczeniu dla kultury. Granice ochrony konserwatorskiej rozciągają się na całość obiektu w ramach parceli budowlanej, obejmują także wystroju i wyposażenie wnętrza.

Na widowni liczącej obecnie ponad 530 miejsc zwraca uwagę piękny kryształowy żyrandol z początku XX wieku w kształcie kopuły otoczonej złoconymi i zdobieniami w ornamentach kwiatowych i liściach. Balkony są okraszone licznymi złoconymi w postaci wstęg, kokard, wieńców, liści (elementy dekoracji empirycznej). Łoże prosceniczne na I piętrze zdobią dwie maski: z lewej — tragedia, z prawej — komedia.

Wnętrza teatru utrzymano w jednolitym stylu i wystroju. Wszędzie purpurowa wykładzina, duże lustra, schody, zabytkowy obraz w pięknej złoconej ramie, przedstawiający wnętrze półmrocznej kaplicy Attavantich w kościele św. Andrzeja w Rzymie. Jest to bowiem pierwszy akt „Toski” Giacomo Pucciniego w scenografii Adolfo Hohensteina. Ściany w foyer teatru obite są materiałem doskonale dopasowanym do ogólnego wystroju wnętrza. Wszystkie drzwi w drewnie, a na pierwszym piętrze gąbłoty z kostiumami.

Na parterze foyer uwagę zatrzymuje marmurowa płyta z odlewem twarzy Napoleona Siessa, długoletniego dyrektora Opery Śląskiej. Wchodząc przez odnowione wejście główne — w przedsiönku gmachu popiersie Adama Didura, światowej sławy śpiewaka operowego, założyciela Opery Śląskiej i jej pierwszego dyrektora, dłuta Zbigniewa Dunojewskiego (1948 r.).

Budynek otoczony jest zielenią — od strony ul. Moniuszki rzędem wysokich kasztanów, od strony Pl. Sikorskiego cieniostym skwerem, którego centralnym akcentem jest pomnik Fryderyka Chopina.

Niepowtarzalne wrażenie wywołuje gmach o zmroku, gdy wnętrza wypełnia światło widoczne z wysokich okien reprezentacyjnego frontonu. Wtedy teatr ożywa i staje się przybytkiem sztuki, swoistego rodzaju świątynią, do której spieszą widzowie — szczególnie uroczyści, w wizytowych, eleganckich strojach z okazji premier i spektakli galowych.

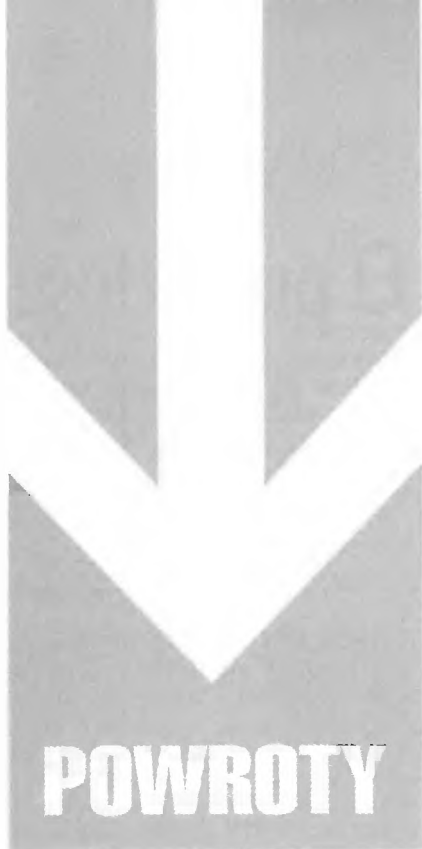
Jubileusz 100-lecia teatru w Bytomiu trwa. 1 października 2001 r. podczas uroczystej „Gali Verdiowskiej” wykonana została ta sama uwertura — Ludwika van Beethovena — co przed stu laty. Przed nami jeszcze kilka atrakcji: wystawa w Muzeum Górnośląskim, seminarium poświęcone budynkowi, jego artyście i historii, dni otwarte teatru oraz kulminacja obchodów — 1 grudnia o godz. 18.00 premiera dzieła Ryszarda Wagnera „Tannhäuser”.

1. „Świata już nie ma - / ten to tylko cień / tamtego, / cień chromy, garbaty” - napisał Tadeusz Uragacz w wierszu *Jabłka*. Wierszu tylko pozornie melancholijnym, w istocie rzeczy jednak przywołującym świat prostszy od tego, w którym nam przyszło żyć. Poeta napisze: „I ludzie nas kochali w tamtym świecie, / ich serca miały wtedy inną moc, / a jak rodzinie było nam w rodzinie, / ciotka to była ciotka, wuj to wuj - / a jak umieli pięknie grać na mandolinie. / Świata już nie ma, ten to tylko cień”.

Spojrzenie z perspektywy dziecka, które budzi się zawsze w nas wtedy, kiedy dochodzą do głosu niepokoje. I tak jest tym razem: niepokój potęguje się z powodu końca świata, końca generacji, końca pojedynczego życia. Któż może ów niepokój uczynić mniejszym niż on jest, oddalić go na zawsze? Matka. Niemal jak w *Trenie XIX* Jana Kochanowskiego, matka koi ból świata, a porządek istnienia indywidualnego zostaje uratowany dzięki interwencji z zewnątrz. Przyboś przepięknie napisał, że „źródło” (Matka) żywi tutaj (przywraca życiu) „strumień” (Syna). I podobnie jest w *Jabłkach* Uragacza: „Mamo, ty wszystko możesz, więc to zmień. // I matka zmienia: powracają lasy, / by znowu nas pokochać / i lasi się śnieg, / i ciotki - siwe sowy - nadlatują też, / jeź tupta i jabłkami złoci dzień po dniu, / wszystko co było powraca co tchu - / nas tylko nie ma, / już nas nie ma tu”...

2. Zaczynam od przywołania tego przejmującego i przepięknego wiersza nie bez ukrytej intencji. Podobnych arcydzieł sztuki poetyckiej znajdziemy w *Delfinie* („Ślask” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2001), dwunastej książce poetyckiej Tadeusza Uragacza, która ukazała się na siedemdziesięciopięciolate urodzin poety - jeszcze kilka. Wszystkie one żyją życiem podwójnym i na podwójność przyjęcia lekturowego są obliczone. Dla czytelnika wykształconego wiersze autora *Powrotu Abła* mienić się będą znaczeniami, nawiązywać do tradycji, będą tę tradycję przekształcać lub ją dokrawać do swojej potrzeby; czytelnika mniej obeznanego z poezją Uragacz będzie uwoził literackością frazy, mgiełką sentymentalizmu, szczyptą żartu, melodią słów. Jedno może istnieć bez drugiego, lecz dopiero wtedy, gdy istnieje razem - daje pełnię lekturowej satysfakcji.

Wiemy, że radości bywają nieoczekiwane. *Delfin* ma - naturalnie - swoją wewnętrzną logikę i jest - jak każdy tomik poetycki - nie tyle zbiorem wierszy osobnych, ile wierszy wzajemnie siebie tłumaczących. I gdyby nie prawo felietonisty do wyboru spojrzenia, pewnie powinienem wytłumaczyć sens nakładania się tutaj na siebie wierszy intymnych i społecznych. O tym jednak nie chcę pisać. Radość



Radość lektury

lektury *Delfina* bierze się u mnie bowiem z czego innego; zaznaczyłem to już przy *Jabłkach*, a zaraz będzie i o innych lirykach.

3. W poezji Tadeusza Uragacza wprowadzi mnie to, co filologowie nazywają intertekstualnością, a co kiedyś - prościej i ładniej - tłumaczyło się jako dialog z tradycją. Oto wiersz - niczym kubek - czerpie z dzbaną przeszłości, na nowo tę przeszłość odczytuje, dopowiada do niej współczesne treści, czyni z niej świadka teraźniejszych dylematów. A ponieważ przeszłość poetycka nie może wyrażać się inaczej niż poprzez teksty, stąd zakorzenienie wiersza w tekstach innych.

I tak jest tutaj. Autor *Lorda Ptasznika* świadomie nawiązuje porozumienie ze swoimi poprzednikami: odległymi - jak w przypadku Kochanowskiego czy Mickiewicza, znany mi sobie - jak w przypadku Tuwima, całkiem bliskimi - jak w przypadku poetów swojej generacji. Owo przywoływanie tekstów dawnych na świadków głoszonej tezy, że świat ludzkich namiętności tak naprawdę nie zmienia się jakoś radykalnie, choć zmienia się społeczna przestrzeń, w jakiej człowiek żyje, sprawia, że wiersze Uragacza dynamizują się wewnątrz, mówią dwoma głosami jednocześnie. I nie wiadomo, czy w owej interferencji głosów ważniejszy jest głos cudzy czy własny. Czy

głos cudzy jedynie wzmacnia głos własny, czy też głos własny jest dopiskiem do głosu cudzego.

Tak jest w *Drugim krzyżu*, wierszu z Tuwimowskim mottem (nawiązanie do Chrystusa miasta), zmiennie zachynającym się: „Oprawcy, szpicle, szczawcze - / żaden z nich nie zapłacze, / a gdy on / cichy jak mysz / stanie wśród nich / drugi sprawią mu krzyż”...

Tak jest w *A to jej śni się*, wierszu z mottem Mickiewiczowskim (nawiązanie do *Gdy tu mój trup*), z przepiękną strofą inicjalną: „Gdy ona z ganku leci w las - to ona / patrzy za siebie i we mnie wpatrzona / niewysłuchaną wymawia modlitwę / o jakąś wielką i miłą bitwę”...

Tak jest w *Kości*, wierszu jakby napisanym przeciwko *Żołnierzowi polskiemu* Broniewskiego, z podobnym - dystychem - układem: „Idzie żołnierz w błyskach gromu / rodzinnego bronić domu // i na wieki wieków amen / śmierć przyjmować jak sakrament”...

4. Nie są to wiersze pisane na kanwie wierszy innych. Gdyby tak było, szkoda byłoby strzepić pióro. To wiersze jedynie przywołujące natrętą melodię z przeszłości, by pokazać jej współczesną dysonansowość. Tutaj nie zawsze jest tak, jak w *Jabłkach*: świat zewnętrzny nie jest światem rodzinnym, zło czyha na nas poza nami. W *Drugim krzyżu* współcześni pariasi przyjmują Chrystusa - inaczej niż u Tuwima - odrzucającym śmiechem („Jeden z nich tylko zapłacze / Judasz - psia jego mać”); W *A to jej śni się* Mickiewiczowskiej „ojczyźnie myśli”, zmaterializowanej jako zalotnej dziewczynie, śnić się będzie, „że ja jestem młody”. W *Kości* wola obrony domu będzie po prostu dezercją...

Tak to wygląda u Uragacza. I nie ma w tym jakiegś zonglerki dawnymi wierszami i dopisywania do nich odmiennych treści. Tutaj sens rodzi się na skrzyżowaniu przeszłego z teraźniejszym, wrażliwości dawnej i nowej. I, niezależnie od tonacji przywołanych liryków, z tego bierze się zwykła, czytelnicza radość lektury.

5. I jeszcze prawem przypisu: żyłbym dzisiaj młodym poetom, którzy tak intensywnie opisują rzeczywistość i szukają w niej dla siebie miejsca, by ułaić im się czasami taki wiersz, jak poniżej. Wiersz nie tylko o wymowie społecznej, także zakorzeniony w poetyckiej przeszłości (może ktoś wspomni *O szesnastoletniej ukarminowanej* Drozdowskiego). Oto *Księżna*: „Mało wiedza o antykoncepcji, / prawie wszystko o seksie / prześliczne trzynastoletnie / z lalką w ręce rodzące / jak każe Bóg. // Patrycja ma na to czas, / woli poczekać na księcia, / choć nie jest pierwszej młodości, / ma przecież szesnaście lat”.

MARIAN KISIEL

Międzynarodowa konferencja poświęcona roli kultury i edukacji w XXI wieku*, która odbyła się w Gdańsku 13 i 14 września 2001, została w sposób nieunikniony naznaczona tragedią Manhattanu. Cień World Trade Center kładł się zarówno na wystąpieniach, w których bezpośrednio nawiązywano do wydarzeń amerykańskich, jak i na tych, które nie zawierały najmniejszej aluzji do dramatu nowojorczyków. W kontekście niezwyklej wydarzeń inaczej zaczęły wyglądać problemy edukacji i animacji kulturalnej, inaczej brzmiały próby diagnoz socjologicznych i elementy antropologicznej refleksji. Po raz kolejny okazało się, że ponad połowę znaczeń zawartych w komunikacie zawdzięczamy kontekstowi wypowiedzi. I że ten kontekst wzmacnia lub osłabia tezy, każe inaczej rozkładać akcenty oraz modeluje sensy, jakie uznajemy za priorytetowe.

Z perspektywy teorii i antropologii kultury sformułowania, jakie padły w trakcie niektórych wypowiedzi brzmiały bardziej kategorycznie niż zazwyczaj i nabierały dodatkowych znaczeń. Wprowadzony do dyskusji przez Andrzeja Mencwela wątek nieodzowności rozumienia kultury INNEGO, przywołany dzięki przypomnieniu antropologicznej genezy relatywizmu kulturowego, został spuentowany przez Grzegorza Godlewskiego parafrazą znanego ostrzeżenia: „wiek XXI będzie wiekiem antropologii kultury albo nie będzie go wcale”. Nie wszyscy zgromadzeni byli skłonni zaakceptować tę alternatywę, ale nie podjęto też w tej materii dyskusji. W sali obrad zasiadali socjologowie, psychologowie, teatrologi i aktorzy teatralni, krytycy, specjaliści z zakresu nowych mediów, działacze polityczni z decydentami w randze ministra włącznie, dziennikarze, czynni animatorzy kultury, nauczyciele, bibliotekarze. I oto okazało się, że perspektywa antropologiczna, która z natury rzeczy mogłaby ich łączyć, nie wszystkim jest znana i bliska. W głosach antropologów nie po-brzmiewała nuta prowokująca do spektakularnej polemiki. Dominowała troska o teraźniejszość i przyszłość wielokulturowego świata zderzonego z problemami, których jakoś i skala nie mają historycznego precedensu. A także refleksja nad przydatnością wiedzy o kulturze w rozwiązywaniu problemów człowieka.

Teza zakładająca, że każdy rodzi się i żyje w kulturze, którą uważa za macierzystą nie budzi najczęściej zastrzeżeń. Swoją długą historię ma natomiast metodologiczna dyskusja nad rozróżnieniem między potrzebą a realną możliwością poznania, a więc i zro-

Gdańska glossa

O przyszłość naszej kultury

zumienia INNEGO, człowieka spoza naszej kultury macierzystej. Zanegowanie możliwości takiego zrozumienia, formułowane w oparciu o pryncypia epistemologiczne, na pewien czas storpedowało impet rozwojowy tego odłamu antropologii, który od końca wieku XIX stawiał sobie za cel zrozumienie determinant kulturowych kształtujących odmienne wzory zachowań ludzi tworzących biologiczną wspólnotę i dysponujących - z perspektywy filozofii człowieka - podobnym potencjałem twórczym. Dlaczego - choć tak bliscy - nie potrafimy się porozumieć? Dlaczego historię ludzkości znaczą konflikty, a najistotniejsze wynalazki ostatniego przynajmniej tysiąclecia mają swoją genezę w potrzebie budowania militarnego prymatu? Dlaczego - szanując indywidualizm - rzadko zadajemy pytanie o warunki, które kształtują jego realne konkretyzacje?

Zafascynowani szybkim rozwojem cywilizacji euro-amerykańskiej często skupiamy się na jej powierzchownych przejawach. Wielec formalnych przemian o proweniencji technicznej w sposób istotny modyfikuje nasz styl życia. Każe nam inaczej gospodarować czasem i poświęcać go w większej niż niegdyś mierze na poznanie nowych gadżetów, opanowanie zasad obsługi narzędzi kolejnych generacji czy pokonywanie prawnobiurokratycznych barier. Mniej mamy go natomiast na racjonalną refleksję nad celem życia i sensem bezrefleksyjnej konsumpcji czy na kształtowanie wyższych emocji w procesie twórczego, samodzielnego działania. Jeżeli budujemy swoją aksjologiczną hierarchię w oparciu o status posiadania i sukcesy ekonomiczne, to nie możemy jednocześnie rozumieć, a tym bardziej szanować ludzi, którymi rządzą inne wartości. Dlatego też antropologia, próbująca pokazać rozwiązania determinujące życie człowieka poza modelem wy-

kształconym i preferowanym w Europie czy Ameryce nie ma zbyt wielu zwolenników.

Perspektywa antropologiczna oraz imperatyw relatywizmu kulturowego siłą rzeczy osłabiają podstawy wychowania opartego - na między innymi - imperatywie indywidualnego sukcesu, postrzeganego i docenianego przez innych. I, co paradoksalne, do pewnego stopnia nie ma znaczenia czy chodzi o sukces uzyskany w drodze kariery świeckiej czy duchownej, o sławę w stylu Nerona czy Marka Aureliusza, Ala Capone czy Matki Teresy, Leonarda da Vinci czy Oppenheimera. Prymat szybkiej zmiany, dynamizacja zachowań, ruch pieniądza, zwiększająca się od XIX wieku mobilność społeczna - to zespół szeroko akceptowanych wzorców, które niekiedy atakują nawet wartości chrześcijańskie, powszechnie uznawane w Europie za niepodważalne. W konfrontacji z fundamentami innych religii czy światopoglądów kultura euro-amerykańska zachowuje postawę daleko idącej ksenofobii. A jednocześnie sama siebie - ustami koryfeusza myśli społecznej - ostrzega przed niebezpieczeństwem radykalnych nacjonalizmów, przed nietolerancją wobec mniejszości i konsekwencjami kulturowego wykorzenienia.

Te dość powszechnie werbalizowane postulaty brzmią czasami nieco dziwnie, gdy w pełnych troski o losy Europy wypowiedziach współczesność ograniczona jest do wieku XX, a tradycja - pojmowana jako świadoma ciągłość kulturowa - z trudem sięga epoki oświecenia. Niewiele jesteśmy w stanie zrozumieć, gdy własne doświadczenia sytuujemy w krótkiej perspektywie czasowej. Procesy zachodzące w kulturze są bowiem zbyt często długie, powolne i niedostrzegalne, natomiast świadomość współczesnego Europejczyka, matrycowana imperatywem zmiany utożsamianej z postępowaniem często nie akceptuje oczywistości historycznych nawarstwień. Zwłaszcza w kontekście poświeceniowej, a szczególnie romantycznej historiografii, w której dziejom przypisywano charakter metafizyczny. Jeżeli jednak popatrzymy na naszą przeszłość (lub raczej na nasze rozmaite przeszłości) w perspektywie jej (ich) związków z teraźniejszością, to może zbudujemy sobie mentalną koncepcję współczesności bliską myśleniu antropologicznemu. Współczesność takich przedmiotów jak nóż, garnek czy igła sięga przecież paleolitu, niektórych technik agrarnych - neolitu, demokracji - starożytnej Grecji, krucjat antyislamskich - średniowiecza, a koncepcja renesansu czyli świadomego powrotu to wybranych wątków trady-

cji historycznej znana była już w starożytnym Rzymie.

Na konferencji gdańskiej Julian Domański, znakomity klasycysta i etyk wygłosił referat wprowadzający poświęcony pluralistycznym tradycjom kultury europejskiej. Zogniskował swój wywód wokół kilku podstawowych pojęć konstytuujących europejską odmienność i wymieniał wśród najważniejszych *jedność, harmonię, zwartość (spójność), tradycję, pamięć, recepcję (a więc pożytek, przekład, adaptację i przetwarzanie), renesans, filozofię, racjonalność, demokrację, a także moralność, wstyd i godność*. W obszarze oddziaływania tych pojęć dostrzegał pole kształtowania pluralizmu europejskich elit. Zastrzegając na wstępie, iż - jak wszyscy obecni jest *użytkownikiem kultury* współczesnej - podkreślił jednocześnie, że nie jest jej znawcą. Liczni dyskutanci, uznając go za badacza problematyki dawnej, często odwoływali się do jego inspirującego wykładu, niekiedy przy okazji wypowiadając sądy na temat *XIX-wiecznych źródeł współczesnej kultury europejskiej*. Znamienne, że ten rozdział zdawał się nikogo nie dziwić. Jesteśmy bowiem wyjątkowo silnie matrycyowani paradygmatem myślenia historycznego, który - budowany na linearnej i kalendarzowej segmentacji czasu - zmierza do postrzegania przeszłości w kategoriach relatywnie zamkniętych odcinków. W obrębie roku, wieku czy epoki osadzone są wydarzenia. Procesy, obejmujące wiele wydarzeń rozgrywających się w różnym tempie, w znacznie mniejszym stopniu pozwalają się z oczywistych powodów opisywać i sytuować temporalnie. Chętniej więc poprzestajemy na dokumentacji historycznej niż na wnikianiu choćby w Foucaultowską koncepcję dyskursu. A ta, jak dotychczas, stoi najbliżej antropologicznej idei postrzegania kultury jako wielopoziomowego systemu wzajemnie na siebie oddziałujących wytworów człowieka, wytworów, które budują ciągłość tej kultury choć niekiedy popadają w okresowe zapomnienie; wytworów, które korespondując z sobą, trwają lub przekształcają się w różnym tempie; wytworów, które swoim istnieniem dokumentują własną niezbędność, a co za tym idzie i wartość. Zakłada przy tym, że kultury są wytworem zbiorowym, że mają granice, i że w toku ludzkich dziejów wykształciło się wiele rozmaitych kultur, które także prowadzą ze sobą dyskurs.

Takie rozumienie kultury nie ogranicza jej do religii, nauki i sztuki, aczkolwiek w sposób oczywisty włącza te dziedziny w swój obszar. Ale każda z wyrafinowanych i naj-

bardziej cenionych, zwłaszcza w Europie, sfer ludzkiego działania posiada przecież niezwykle skomplikowane i bogate zaplecze ludzkich przemysłów, działań i produktów, których konfiguracja i wewnętrzne akcentowanie decyduje o specyfice, spójności i tożsamości danej kultury. W kontekście silnie eksponowanych - zwłaszcza za pośrednictwem mediów elektronicznych - tendencji globalizacyjnych - czas na poznanie i analizę skomplikowanych związków wewnątrz kulturowych, wielowiekowych procesów i modyfikujących się hierarchii doraźnego wartościowania - wydaje się niekiedy czasem straconym, czasem poświęcanym na ucieczkę w przeszłość. A przecież gdyby ktoś z nas podjął teraz heroiczny trud osobistego wynajdowania od podstaw na przykład żarówki - uznano by go w najlepszym razie za nieszkodliwego szaleńca. *Manià* - jak przypominał Leszek Kolankiewicz - przystoi artystom i jest nieodzowną podstawą twórczego gestu. Ale w obszarach pozaartystycznych *manià* jest najczęściej pretekstem do odosabniania *maniaków*. To w społecznościach prostych powtarza się cyklicznie boskie gesty kreacji, by utrzymać lub przywrócić porządek świata. We współczesnej cywilizacji euro- amerykańskiej „wynajdowanie” od początku żarówki - choćby dla osobistej satysfakcji - jest w praktyce pozbawione sensu. Ale nie ma też powszechnego przyzwolenia na szukanie precedensów w obszarze innych, często zapomnianych sfer ludzkiej działalności. Dlatego to wspaniały, nowy sosnowiecki dworzec kolejowy ma irytujące zaprojektowane (wykonane?) schody, wskutek czego już teraz większość podróżnych woli korzystać z pochylni. I dlatego często nie rozumiemy przyczyn potęgującej się w nas i wokół nas agresji, wskutek której nasz skomplikowany świat dodatkowo staje się jeszcze bardziej niezrozumiały i jeszcze bardziej niebezpieczny.

Tak się bowiem dzieje, że realizowany przez nas model cywilizacyjny, dość wyrażenie sterowany w kierunku informacyjnej i ekonomicznej globalizacji, pozostaje w zasadniczej sprzeczności z psychosomatycznymi uwarunkowaniami inklinacji człowieka do życia w małych grupach. Powrót do tradycji kultur narodowych i regionalnych to między innymi nie zawsze uświadamiana próba neutralizacji potencjalnych efektów tej kolizji.

Przyszło nam żyć w cywilizacji konfliktogennej: nie zawsze rozumiemy źródła tego stanu i nie zawsze zgadzamy się z proponowany-

mi kompromisami. Interesującą choć kontrowersyjną dla wielu dyskutantów próbę diagnozy i terapii przedstawił w tej materii Michał Jagiełło, opowiadając się za „heroiczną moralnością jednostki”, opartą na poczuciu odpowiedzialności. Etos świadomego indywidualizmu przeciwstawił tym samym „mentalności kresowej”, której zwolennicy - w odpowiedzi na niezrozumiałe oferty współczesnego świata - preferują życie w bastionach sprawdzonych, choć deaktualizujących się doświadczeń.

Wszelkie opisy, analizy czy oceny rzeczywistości tak skomplikowanej jak kultura mogą mieć charakter jedynie aspektowy. Mimo to od ponad wieku zakłada się, że perspektywa antropologiczna stwarza pewne sposoby skalania owego aspektowego postrzegania. Dlatego i konferencja gdańska zyskała status polifonicznej refleksji budującej wspólny namysł teoretyków i praktyków nad przyszłością naszej kultury, przyszłością - która w ocenie Andrzeja Ścieńskiego - w znacznym stopniu między innymi zależy od tego, czy zdolamy zrekonstruować i zbudować nowe elity twórcze. Z bezkompromisowością tezy o potrzebie ocalenia elit współbrzmiała pełna troski o koncepcję kształcenia uniwersyteckiego wypowiedź Stefana Bednarka. I niemal każdy z mówców - pośrednio lub bezpośrednio - odwoływał się do wypowiedzi gości z Austrii (Michael Wimmer), Danii (Bogusława Sochańska), Grecji (Nokos Paizis), Francji (Evelyn Panato), Niemiec (Teresa Nawrot) i Szkocji (Sylvia Dow) - którzy, prezentując różne koncepcje edukacji kulturalnej i rozmaite sposoby jej finansowania w poszczególnych krajach - podkreślali wagę kultury w kształtowaniu osobowości i tożsamości człowieka.

Spotkanie zostało pomyślane w konwencji dyskusji panelowej, poprzedzonej wystąpieniami o charakterze wprowadzającym. Bogaty program zezwolił na zabranie głosu nielicznym spośród wielu zgromadzonych w imponującej Sali Mieszczańskiej Starego Ratusza. Innych, w tym mnie, zainspirował do przemysłów i podsumowań oraz skłonił do włączenia się w nurt dyskusji pokonferencyjnej.

EWA KOSOWSKA

* KULTURA I EDUKACJA W XXI WIEKU. Międzynarodowa konferencja 13-14 września 2001 r., Gdańsk, Ratusz Staromiejski. Organizatorzy: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Centrum Animacji Kultury - Warszawa, Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego, Instytut Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, Nadbałtyckie Centrum Kultury - Gdańsk.

JAN PIERZCHAŁA urodzony 26 września 1921 roku w Jaworznie, ukończył 80 lat życia. Z tej okazji Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach, którego jest członkiem i Redakcja „Śląsk”, zorganizowały spotkanie z Jubilatem. Odbyło się ono w uroczystej aurze w Sali Portretowej GTL-u, miejscu uświetnionym już szeregiem takich spotkań. Gospodarzem był Tadeusz Kijonka, który przedstawił zasługi i dokonania znakomitego pisarza, obecnego często na łamach „Śląska”, podkreślając szczególnie jego twórczą żywotność. Dorobek Jana Pierzchały, obejmujący tomy prozy, eseistykę i wiersze, którymi debiutował, omówił Włodzimierz Wójcik. Z okazji tej uroczystości Jubilat przygotował pisarskie wyznanie, które zamieszczamy jako wypowiedź ważną nie tylko dla jego rodowodu - syna górnika, którym też był w latach okupacji - ale pojmowania literatury i jej misji, którą postrzega w duchu tradycji, z poczuciem narastającego zagrożenia w sytuacji degradacji trwałych wartości i miejsca książki.

Spotkanie było przepełnione przyjazną atmosferą, z licznym udziałem gości, którzy skorzystali z okazji, by wznieść toast na cześć Jubilata. Jan Pierzchała otrzymał urodzinowe życzenia i gratulacje od prezydenta Sosnowca Michała Czarskiego i marszałka województwa śląskiego Jana Olbrychta. W imieniu zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i Redakcji „Śląska” Tadeusz Kijonka wręczył Jubilatowi grafikę Tadeusza Siary z wpisana w jej ramy serdecznym tekstem z tak pamiętnej okazji.



Foto: Józef Wrobel

Co było a co powraca

JAN
PIERZCHAŁA

Tekst wygłoszony przez Jubilata podczas spotkania zorganizowanego przez Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach z okazji 80. rocznicy Jego urodzin.

Literatura, wszelka sztuka, nie poruszają odbiorcy w inny sposób, jak tylko za pośrednictwem prawdy i piękna, jakie są w nich zawarte. Z troską o prawdę i piękno powiązane są literackie przygody mojego życia, zasoby mojej skromnej duchowości, niejedna moja klęska, ale i wiele zwycięstw nad sobą, bywało, że i nad drugimi!

Moja literatura to moje wyznania win i pragnień razem z moimi smutkami, umartwieniami. To moje starania o oryginalność myśli, o ich ład, o piękno mowy.

Miałem szczęście uczestniczyć w niepodzielnym życiu literackim. Wspomagały mnie wielkie

przyjaźnie, z których wypłacam się do dzisiaj. Znam pracę bez wytchnienia, zaznałem także radości sukcesu.

Najczęściej zajmowałem się tym, ile człowiek zawinił względem drugiego człowieka, dlaczego nie kochał lub z jakiej przyczyny miłości zaniechał. Nieustannie pytałem: kim jest człowiek?

Nie trzeba pytać o nic więcej, ażeby wiedzieć czym jest życie, czym jest świat, jeżeli wiemy kim sami jesteśmy.

Częściej niż mężczyźni bohaterami moich powieści i nowelistyki były kobiety, bo też one pannały nade mną w moim dzieciń-

stwie i mojej młodości, były ostoją życia i niewzruszoną podstawą uczuciowości, jako wierna, ofiarna prawdość.

Spośród wielu, moja utrudzona życiem matka dała mi najwięcej: przejąłem po prostu cały jej świat, stałem się tym kim jestem: zamkniętym w sobie melancholijnym egotystą.

Kimże byłbym, gdybym nie wiedział po kim całego siebie dziedziczyć, od kogo przejąłem przypadłość mej duszy, cechy osobowości, kim jestem nie tylko we własnych oczach.

Zniechęcające moralnie czasy dzisiejsze, zamęt i chaos myśli, dręcząca polityka odwetu, unie-

możliwiają prześledzenie rzeczywistych procesów zdeaktualizowanego już myślenia literackiego oraz praktyki wydawniczej z tym związanej. Obiektywna wiedza o tamtym półwieczu bywa zamykana, fałszowane są obrazy ujęć syntetycznych, a wszystko ze szkodą dla współczesnej świadomości artystycznej, sprowadzanej beztroško do pojęciowości amerykańskiej: do modernizmu i postmodernizmu, czym szermuje wielu poetów i prozaików, wielu krytyków niespełnionych, wielu blagierów, dalekich od tego, by wiedzieć co mówią.

A przecie oficjalnemu programowi literatury już od lat 60-tych, przeciwstawiane były u nas, wprawdzie nie na drodze spektakularnego buntu, lecz jedynie jako wytrwale sprzeniewierzenie myślowe, inne zgoła zasady twórczości literackiej, inne w znaczeniu woli kształtowania nowej, w duchu humanizmu przeobrażonej doktryny sprawiedliwości społecznej, rozumianej jako powrót do nie zamąconej obcymi wpływami świadomości narodowej, nade wszystko do powagi rozumu, do wolności wreszcie, w której to dziedzinie, po późniejszych konstytucyjnych rewizjach, pojawiło się niebawem tyle zachwaleń nadużyć, godzących w człowieka.

□ □ □

Zarzucono mi swego czasu jednostronność, omalże dogmatyzm, wynikający z tego, iż zbyt wiele spodziewałem się osiągnąć z pomocą filozofii pracy, na drodze uznania jej wielkiej roli od Hezjoda począwszy, a więc w zgodzie z tradycją wysoko cenionych najstarszych dążeń ludzkich, które podstawowe wartości egzystencjalne uzależniały od pomyślnych wyników pracy, wyróżniającej się cechami twórczymi.

Bo pisałem wiele razy: twórczą być winna wszelka praca, nie tylko dokonania artysty, ale i każdego pracownika.

Choćby w „Poglądach”, aby daleko nie szukać, w oparciu o ten motyw, zwracaliśmy uwagę na nowe poznawcze strony literatury, na rolę wrażliwości i wyobraźni, na obywatelską wolę bycia nie tylko kim innym, ale także kimś więcej!

Dzisiaj zaś widzimy z czego wynika i na czym polega słabnię-

cie i rozpadowanie się dziejowych symboli o pierwszorzędnym znaczeniu. Czymże bowiem jest dziś pracodawca, czym pracownik, czym jest wreszcie sama praca, jako wartość i podstawowa kategoria społeczna? Niczym więcej jak tylko złudnym odesłaniem świadomości do szczątkowej postaci historycznego kodu pracy, który był kiedyś w naszej kulturze wyrazem i źródłem kondycji, stwarzającej człowieka i jego godność. Jakieżż degeneracji uległ dziś ów proces stwarzania?

Jakąż jednocześnie przewrotnością są twierdzenia, iż ciągle nie wiadomo, co wypełniało dążenia myśli, wołę tamtej formacji literackiej, „pobitej” bo tylko taka terminologia wchodzi tu w rachubę.

Przymusowa „eliminacja” był to dawniej nie znany czynnik periodyzacji literackiej.

Lecz nie wszystko uległo dramatycznemu wytlumieniu. Filozofia minionego czasu, traktowana kiedyś przez nas jako spór z przeznaczeniem, nadal przecie jest wielce zasadnym pytaniem o perspektywę humanizmu, pytaniem dla mnie tym cenniejszym, że i dziś je sobie stawiam w późnych latach mego życia.

Starość, mogę was zapewnić, choćby najdokuczliwsza ma swoje małe radości i wielkie pociechy. Sędziwy wiek odmawia nam dostępu do wielu rzeczy, jakie nas dawniej cieszyły, co więcej — pogrąża nas w smutkach powiązanych z rychłym przejściem ze stanu nam znanego w całkowicie nieznany. W tym razie niewielką ulgę daje przekonanie, iż świat widzialny, w którym żyjemy jest światem jedynym.

Lecz zanim do smutków przyjdzie, niezwykle krzepiące jest to wszystko, co było na początku naszego życia i co na starość powraca do nas z mocą rozplamienionej wyobraźni, z wielce miłą świeżością doznań.

Ażeby w tej sytuacji doświadczyć pragnionego uniesienia, by ujrzeć ułamek chwili minionej, aby myślą objąć czyjś bliski, ale zawiły los, wystarczy nieraz przymknięcie oczu i odczytanie tego, co jawi się pod powieką. A znowu kiedy indziej, dość nam błysnięcia brzemiennej w treść sekundy, dość widoku niewidzianych dotąd ludzi, ujrzenia nieznanych miejsc, albo budowli. Nowe obszary wy-

obraźni odkryć mogą białe firanki, pieniaące się w czymś oknie, jak gdyby tylko dla nas, albo rzadko widywany ptak, pojawiający się w naszej bliskości, a my zdumieni domyślamy się kto go też posłał, w jakiej sprawie? Dlaczego stworzenie żyjące raczej w wieczystej bojaźni, wcale jej nie okazuje, aby nas o czymś tajemnym pouczyć.

Bezcennymi kategoriami w procesie powstawania literatury są: prawda, piękno oraz co równie istotne wola i zdolność wyrażania pełnej szczerości uczuć, nie znające zahamowań, nie lękające się zawstydzeń.

Nieszczęśliwy jest autor, który ani na pierwsze, ani na drugie nie może sobie nigdy pozwolić, z winy tłumiących go uzależnień i często cichnie, na zawsze lub zawodzi jako artysta.

O pisarzu wiemy wszystko, dopiero kiedy poznajemy mroczne i niemroczne potęgi jakie nim miały, jakie napastowały go aż do znużenia. Jakie zostawiły nieusuwalny ślad w jego duszy.

Moja ostatnia powieść „Szept węża w wysokiej trawie”, to także taka darowana mi wspaniałomyślnie tęsknota za dawno, dawno minionym czasem, który niósł troski, jak zawsze niesie, upadki, załamania, tragedie, dawał jednak pełną ręką jeszcze możliwego szczęścia i nadzieję spełnień, jakie niedostępne i raczej wykluczone byłyby dzisiaj. Ta powieść jest u mnie jeszcze jednym przykładem feminizacji ekspresji literackiej. Jest nadto przykładem takiej selekcji słów, tak kształtowanej mowy, a przez nią instrumentalnej narracji powieściowej, która podejmując najbardziej intymne wątki w losach bohaterów, utożsamia je z wrażliwością czytelniczą w przekonaniu, iż zostaną przyjęte jako pożądana odmiana piękna, jako niebanalne spełnienie ciekawości i oczekiwań, bo tego żaden autor wykluczyć nie może.

Trudno mi w paru słowach wyjaśnić to wszystko, co ze mną związane, ciągle może nie nazbyt czytelne, a nawet może zakryte. Wspominam tu o tym nie wypadek, gdyby kogoś ciekawiły te własne strony mojej osoby i mego pisarstwa, choć wiem, iż do dobrego tonu należy nie stawiać takich pytań, a już na pewno nie czekać na odpowiedź.



Śląskie fortyfikacje

JERZY SADOWSKI

Międzywojenne pasma warowne zbudowane wzdłuż granicy dzielącej wówczas Górny Śląsk, a więc polski Obszar Warowny „Śląsk” i przeciwstawna mu niemiecka Pozycja Górnośląska, to niezwykle i szczególnie umocnienia. Niezwykłe pod wieloma względami, lecz to, co w nich jest najbardziej wyjątkowe, a wręcz zakrawające na cud, to fakt, że przetrwały, że wymknęły się destrukcyjnym narzędziom historii i do dziś nie zostały całkowicie zniszczone. Przecież taki los, w mniejszym lub większym stopniu, spotkał prawie wszystkie inne zespoły dwudziestowiecznych umocnień, zarówno w kraju, jak i za granicą. Niestety ów zasób szczątków, jaki cechował śląskie fortyfikacje zdaje się wyczerpywać. Czy spowoduje to, że te niezwykle zabytki dokumentujące ewolucję polskiej myśli technicznej w sferze architektury militarnej i na trwałe wpisane w historię XX w. ulegną zagładzie na naszych oczach?

Pierwsza, lecz niewykorzystana sposobność zniszczenia fortyfikacji nadarzyła się już w pierwszych dniach II wojny światowej, gdy Śląsk został głęboko oskrzydłony przez szybkie natarcia wojsk niemieckich. Zapadła wówczas decyzja, że ten starannie przygotowany do obrony rejon umocniony musi być opuszczony, a zdecydowany odwrót wojsk polskich spowodował, że nie wykonano jakichkolwiek zniszczeń w opuszczanych schronach. A mogło być inaczej, gdyż proponowano by zostać, by walczyć w okrażeniu, co dałoby czas na zniszczenie przemysłu, komunikacji i samych schronów bojowych. Co natomiast Niemcy uczynili ze zdobytymi fortyfikacjami śląskimi? — należy wyraźnie zaznaczyć, że w zasadzie nic, pomijając sporządzenie ich opisu. Jest to o tyle zaskakujące, iż dla porównania warto przypomnieć los innych fortyfikacji zdobytych przez Wehrmacht. Jako pierwsze z niemiecką gospodarnością zetknęły się umocnienia czechosłowackie. Mimo trudnego górskiego terenu w większości

schronów bojowych wysadzono i wyrwano wszystkie elementy stalowe, ważące więcej niż kilka kilogramów. Może więc w 1939 roku niemieckie huty zostały zasypane czeskim złomem, którego nie były w stanie przerobić? Nic podobnego, zważywszy, że rychło po ataku na ZSRR los umocnień czeskich podzieliły pancerze schronów bojowych Linii Mołotowa. A co w tym czasie działo się na Śląsku? Niemiecką Pozycję Górnośląską odstawiono do rezerwy i zakonserwowano, na linii fortyfikacji polskich zlikwidowano zapory oraz przeszkody przeciwpiechotne i przeciwpancerne, a ludność swobodnie penetrowała opuszczone schrony. Wiosną 1940 roku fortyfikacje północnego skrzydła Obszaru Warownego „Śląsk” posłużyły do prób nowych ładunków wybuchowych, przeznaczonych do niszczenia pancerzy fortecznych i betonu. Przy okazji doświadczonych wysadzono kilka elementów pancernych, które pozostawiono tam, gdzie spadły. Poważniejsze straty powstały dopiero wtedy, gdy szukano zajęcia dla



jeńców i więźniów. Rozwiązaniem okazało się przerabianie żelbetu na tłuć i w ten sposób całkowicie zlikwidowano kilka obiektów np. w punkcie oporu „Łagiewniki”. Te działania zakończyły niemiecką działalność destrukcyjną, a rok 1944 przyniósł prawdziwie niezwykle wydarzenie: jedyną znaną próbę rekonstrukcji i rewitalizacji schronów bojowych Obszaru Warownego „Śląsk”. Miało to miejsce w rejonie wsi Tapkowice, gdzie część schronów uszkodzonych wiosną 1940 roku, oczyszczono z gruzu i w różnym stopniu naprawiono, przygotowując do obrony wraz z fragmentami Pozycji Górnośląskiej.

Podsumowując wojenne lata łatwo zauważyć palec Boży: setki panczerzy fortecznych, czyli parę tysięcy ton chromoniklowej stali tak potrzebnej niemieckiej gospodarce wojennej, spokojnie trwało na swoim miejscu — niejednokrotnie zaledwie o kilkaset metrów od hutniczego pieca. W dodatku odstąpiono od powszechnie stosowanej zasady obracania w gruz fortyfikacji skierowanych frontem na zachód, stosowanej podczas planowego odwrotu w obawie, że trzeba będzie je ponownie zdobywać. Zresztą i tak do żadnych większych walk nie doszło.

Lata powojenne nadal były łaskawe dla umocnień na Śląsku. Co prawda pojawili się także „majsterkowicze” i „zbieracze”, którzy szybko jednak zostali wyparci przez wojsko. I tu znowu stykamy się z Boską opatrnością, ponieważ o ile „niesłuszny” i „posanacyjny” Obszar Warowny „Śląsk” można było jeszcze wykorzystać w wypadku kolejnej wojny, to nie sposób stwierdzić, co uchroniło skierowane na wschód obiekty niemieckie przed obowiązkowym wysadzeniem i odzyskaniem stali. Tak więc po wojnie śląskie schrony bojowe zostały oczyszczone, zamknięte i ogrodzone siatką rozpiętą na... poniemieckich słupkach przeszkód przeciwpiechotnych. Działania te zabezpieczyły fortyfikacje na kilkanaście kolejnych lat, gdyż z upływem czasu wojsko przestało się interesować swoim dobytkiem, a ogrodzenia w końcu przerdzewiały i rozsypały się.

Zaletą tego powojennego, lecz kolejnego „militarnego” rozdziału historii było pozostawienie w świadomości mieszkańców informacji, że „bunkry” to jednak mienie wojskowe. Dlatego mimo porzucenia fortyfikacji przez wojsko w ciągu kolejnych lat degradacja obiektów postępowała stosunkowo wolno (głównie dlatego, że nie były nikomu do niczego potrzebne). Jedynym poważnym zagrożeniem stały się postępująca urbanizacja i industrializacja. Wszystko należało budować „pod sznurek”, a na rysownicy łatwo było zlikwidować zawadzący, stary i pewnie poniemiecki „bunkier”. Z takich przyczyn zburzono kilka kolejnych schronów bojowych, a to ze względu na nowy blok, nową drogę, hałdę czy zakład. Oczywiście rozbiórka obiektu, szczególnie w zamieszkałej czy zabudowanej okolicy, nie była łatwa; trwała miesiącami i kosztowała z pewnością znaczne sumy. Stąd na przykład przy budowie zakładu kształtowników huty „Pokój” wysadzono tylko jeden z polskich schronów bojowych punktu oporu „Nowy Bytom”, a wdrożono dwa pomysły racjonalizatorskie, dotyczące zmian w lokalizacji bocznic kolejowej i ogrodzenia, by uniknąć niszczenia innych. Kryzys lat osiemnastu skutecznie zahamował dalsze działania tego typu. Pomór padł natomiast na przebiegający przez Zabrze

odcinek niemieckiej pozycji ufortyfikowanej: nasyp nowej bocznic poprowadzono po jednym ze schronów, chybiona budowa kolei regionalnej poskutkowała wysadzeniem w powietrze dzieła specjalnego, porządku na osiedlu Poremba objęły wysadzenie i rozebranie kolejnego schronu ciężkiej konstrukcji, tylko po to, by urządzić parking. W ten sposób skończyły się lata osiemdziesiąte i nadal jesteśmy świadkami ewidentnego objawiania się palca Bożego, bowiem przez te czterdzieści parę lat PRL-u budowli fortecznych prawie nie ubyło, a w stale otwartych wnętrzach schronów zachowało się tyle wyposażenia, że można by nim obdzielić nie jedną, a kilka ekspozycji muzealnych poświęconych fortyfikacjom II Rzeczypospolitej.

Niestety po roku 1989 przychodzi nowa era gospodarcza i w dotychczasowym układzie coś zaczyna się psuć. Co prawda kilka schronów znajduje gospodarza, lecz całą resztę trapią nieszczęścia. Rosnąca stopa życiowa społeczeństwa przynosi produkcję zwiększonej ilości śmieci. Odwiezienie ich na wysypisko kosztuje, więc służą do coraz intensywniejszego zasypywania niczych i zupełnie zbędnych „bunkrów”. W takim działaniu celują oczywiście prywatni użytkownicy, a najbardziej rażące przykłady to: rejon basenu kąpielowego w Bytomiu-Łagiewnikach, gdzie udało się już zasypać rów diamentowy i równie ognio- wą unikalnego, dwukondygnacyjnego schronu artylerii; punkt oporu „Bobrowniki” koło Piekara Śląskich, gdzie starannie zasypano zapole eksponowanej baterii południowej, czy też Tapkowice, gdzie skasowano nietypowy schron z garażem dla armaty przeciwpancernej przylegający do jednej z posesji. Podobne przykłady można licznie mnożyć i wyliczać. Zagrożeniem, wynikającym z kolei ze zubożenia społeczeństwa, jest okradanie schronów z resztek zachowanych instalacji i wyposażenia, traktowanego jak złom stalowy. Dopóki działania takie prowadzono indywidualnie i w sposób przypadkowy, nie stanowi-



ły zasadniczej groźby. Jednak w schronach bojowych szybko pojawiły się ślady pozyskiwania złomu w formie prowadzenia zorganizowanej działalności gospodarczej. Co prawda Służba Ochrony Zabytków nie wydawała jakiegokolwiek zgody na pozyskiwanie złomu w śląskich fortyfikacjach (bo przecież formalnie zabytkami nie są), lecz nie znaczy to, że podobnej zgody nie uzyskano w jednej z gmin. Wyżej wzmiankowana „działalność gospodarcza” skrupulatnie i znacznym nakładem kosztów „oczyściła” praktycznie całą linię polskich umocnień oraz zaczyna usuwać coraz cięższe elementy pancerne — likwidując także ważące wiele ton pancerne kopuły obserwacyjne i bojowe. Trzeba odnotować, że zniszczenie kopuły pancernej to poważna strata, gdyż (jak wyliczono przy okazji oskarżenia sprawców podobnych działań ujętych w innej części Polski) dzisiejszy koszt odtworzenia takiego zabytkowego pancerza wynosi od jednego do trzech miliardów starych złotych, w zależności od masy odlewu. Ponadto zadziwiać musi poziom wiedzy fachowej złomowych przedsiębiorców, gdyż wymontowano około 200 tarcz strzelnic, wykonanych w formie stalowej skrzyni wypełnionej betonem, i nikogo nie zastanowiła ich stosunkowo niewielka masa — ciężar właściwy betonu to połowa ciężaru stali (swoją drogą ciekawe jak wyglądała reakcja hutników na taką ilość „betonowego złomu”). Opuszczone schrony bojowe znalazły też nowe zastosowania, np. służą do skrytego wypalania skradzionych kabli telekomunikacyjnych, spotkań satanistów, itp. W efekcie trudno dziś znaleźć obiekty, których wnętrza nie byłyby zakopcone i gdzie nie czuć by było smrodu spalenizny lub palnika acetylenowego. Natomiast próby zabezpieczenia polskich pancerzy fortecznych dla potrzeb przyszłych ekspozycji muzealnych nabrały cech wyścigu ze zbieraczami złomu, który to został przez niżej podpisanego przegrany.

Urząd Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Katowicach był kilkakrotnie powiadamiany o rosnącym zagrożeniu i potrzebie objęcia ochroną fortyfikacji śląskich. Niestety, stały brak sił i środków nie pozwalał na podjęcie stosownych działań. Spowodowane jest to także ogromną skalą problemu, jaką stanowi około 200 obiektów rozrzuconych wzdłuż linii o długości 60 kilometrów, na terenie kilkunastu miast i gmin — jak widać już samo monitorowanie stanu fortyfikacji jest problemem trudnym do pokonania. Do tego znaczna część schronów nie figuruje na mapach ewidencji gruntów. I oczywiście pojawiają się nowe, z tym związane zagrożenia, jak np. podział gruntów na działki budowlane, co np doprowadziło do zagłady założeń przestrzennych grupy fortyfikacji w Zbrosławicach. Także postę-



pująca budowa i rozbudowa infrastruktury komunikacyjnej przyniosła i przyniesie kolejne zniszczenia. I tak, zapewne całkowicie nieświadomie, poprzez wymianę, Dyrekcja Okręgowa Dróg Publicznych zlikwidowała przęsła mostu fortecznego, który znajduje się na rzece Brynicy w Piekarach Śląskich-Józefce. Także powoli powstająca Drogowa Trasa Średnicowa odcisnęła już swoje piętno na fortyfikacjach śląskich przez likwidację, typowego na szczęście, obiektu. Podobnie planowana budowa autostrad A-4 oraz A-2 spowoduje kasację szeregu schronów w punktach oporu „Szyb Artura”, „Radoszowy” i „Bobrowniki”, a w aspekcie krajobrazowym zdekomponuje te założenia obronne przez ich przecięcie i likwidację integralności przestrzennej.

Odnotować należy, że jedyną placówką, która dotychczas zdecydowanie wyraziła zainteresowanie fortyfikacjami, było Muzeum Wojska w Białymstoku, a do jego zbiorów trafiło kilka elementów zdemontowanych i porzuconych przez zbieraczy złomu. Z uwagi na brak podobnie profilowanych placówek muzealnych w naszym regionie nie dziwi, że wśród śląskich placówek muzealnych jedynie Muzeum Górnos Śląskie w Bytomiu zorganizowało wystawy poruszające tematykę fortyfikacji Obszaru Warownego „Śląsk” i przyjęło do zbiorów płytę pancerną wydobytą przez prywatnego sponsora z ruin jednego ze schronów. To bezprecedensowe działanie znalazło kontynuatorów, dzięki czemu obecnie w schronie bojowym mieszczącym się w Dobieszowicach-Wesołej powstaje niewielkie prywatne Muzeum Batalionu Fortecznego „Bobrowniki”. Z podobnym, lecz szerzej zrealizowanym zamierzeniem nosi się Muzeum w Rudzie Ślą-

skiej, najbardziej predestynowane do takich działań z uwagi na zasób i stan zachowania przedmiotowych zabytków architektury militarnej na terenie tego miasta. Jedynym zrealizowanym zamierzeniem może pochwalić się Chorzów, w którym ze środków Urzędu Miasta i dzięki energii miejskiego konserwatora zabytków oczyszczono i wyeksponowano jeden ze schronów Obszaru Warownego „Śląsk”. Działania te pozostają kroplą w morzu, gdyż Obszar Warowny stanowi najdłuższą budowaną polską linię umocnień i reprezentuje szereg różnych koncepcji obronnych, dających świadectwo ewolucji polskiej szkoły fortyfikacyjnej. Także zawarte tu wyposażenie pancerne i pomocnicze charakterystyczne dla budowli obronnych nie jest drugorzędnym uzupełnieniem, lecz integralnie należy do ich substancji i formy, stanowiąc o czytelności ich dawnej funkcji w sposób zasadniczy. Na progu trzeciego tysiąclecia, w świetle przedstawionych wyżej faktów, zupełnie jak z zaświatów brzmia słowa ustawy o ochronie dóbr kultury, mówiące, że ochronie podlega „każdy przedmiot dawny lub współczesny, mający znaczenie dla dziedzictwa kulturowego...”

Wydaje się, że w obecnej sytuacji rozwiązaniem jest powołanie fundacji, np. pod kuratelą Służby Ochrony Zabytków w Katowicach, która będzie zajmowała się dobrze zorganizowaną eksploracją surowców wtórnych pozostałych jeszcze w fortyfikacjach śląskich przeznaczając pozyskane środki na ochronę i restaurację wytypowanych odcinków umocnień oraz stworzenie ekspozycji muzealnej tak, aby zachować przynajmniej fragment tego zapomnianego i chyba niechcianego elementu śląskiego dziedzictwa kulturowego. ■

Piękna jest pomarańcza na śniegu

(poemat)

Motto: „Podstawą odwagi jest optymizm”
Jaroslav Seifert

1
losy kwiatów są również niezbadane
jak życie starej kobiety – sztucznej róży
Siedem kolorów nadziei
odrosło jak dzieci
jeszcze niedawno
przy lampie księżycy
zaglądał nam w oczy sen
zmiana klimatu jest widoczna
jak pomarańcza płonąca na śniegu
przypieczętowana ciężką luną
rodem z powieści Bunina
cisza łamie się o paznokcie
laskocze oddech
pot wyprzedził wysiłek
drażni pomysł i zmysły
wargi pulsują
krew wdiera się w każdą szczelinę
próba wytrzymałości żył
tętno tętno tętno
puls puls
klepsydry leżą poziomo
i to się tylko liczy
pozostał w nas
na linii papilarnej dnia
szereg punktów wrażliwości
sztywne drzewo niewiedzy
i łza żywiczna
na dzikiej plaży wyobraźni
połykamy prawie jednocześnie
haczyk księżycy

2
nie bój się
nie jestem polem minowym
moje wybuchy śmiechu nie są śmiertelne
jest tu blisko ścieżki bezpiecznej
wyprowadzi nas w pole

3
las pochłonął nas
za siedmioma górami
w jednym okamgnieniu
echo jest zrozumiałe
w czasie poszukiwań
własnego głosu
w przeźroczystym powietrzu
nie zgłębiam tajemnic
echo słabnie coraz bardziej
staje się wymowny okrzyk
przedawniony
a potem znowu las
podaje sylaby od drzewa do drzewa
wystarczy zdobyć się na odwagę
i już nadbiegają
silne postanowienia
skrót perspektyw
jak skracanie skarpetek
po przepierkach
bawimy się w kartografię
i mapujemy serca
czekamy na niespodziankę
jakby to była nagroda
za trudy bycia
ziemia przymyka obwisłe powieki
ciężarnych chmur
i straszy ciemnym krajobrazem

4
śmierć ziemia i trawa w znowie
z czasem
gramy w kości przeznaczenia
a potem dochodzi trawa
porasta nas szczerze
jeszcze wczoraj zginałeś gałąź tęczy
i mówiłeś że te czereśnie
smakują czerwono
jesteśmy czy nas nie ma
podzieleni na cztery warstwy
pionami poziomami płaszczyznami
niepodzielni niepozorni
jesteśmy pozornie
równi
bez gór bez dolin
nachylamy się zaledwie
nad niebytem
podstawą naszej odwagi jest nadzieja
jesteśmy czy nas nie ma?

5
Chuchamy dmuchamy
zimne dłonie
obejmują marzenia
żywica jest z nami związana
przez cały przepływ
czasu
żywi nas
na okrągło zajmuje się drzewami
w moim tajnym lesie
żywica nie odstępuje nas nigdy
od kołyski po trumnę

6
Biel opada ostrożnie
jak w filmach
zwolnionych
i już wyłącznie ten obraz
bezwstydny
naga pomarańcza
na śniegu w zawiei
ze łzami południa
na zziębniętej skórze

7
Nie przesiaduję już przy okienku
przeźroczystego marzenia
Nie przejmuję się już tak często
stwierdzeniem
ulotności mrzonek
Coraz rzadziej uciekam
od codzienności
Coraz rzadziej wydziobuję
niebieskie migdały
z ciasta niespodzianek
Coraz częściej chodzę
po ziemi
jestem bliżej chleba
codziennego
Nie potrafię już z dawną łatwością
przeskakiwać gorzystych
przeszkód
Mimo wszystko jest piękna
pomarańcza
na śniegu



Rys. Wojtek Łuka



Więcej, niż zawód

- W tym roku, w maju, świętowała Pani 95. rocznicę swoich urodzin. Ten piękny i szacowny jubileusz zastał Panią w znakomitej kondycji, ciągle żywo zainteresowaną życiem, światem i prasą. W pamięci pokoleń dziennikarzy zapisała się Pani jako współtworząca od 1945 r. jeden z najlepszych tytułów nieistniejącego już koncernu wydawniczego „Czytelnik” - „Dziennik Zachodni” w Katowicach. Ale to nie była pierwsza redakcja, w której Pani pracowała. Kiedy Halina de domo Piórecka zadebiutowała jako dziennikarz?

- Wkroczyłam w swój zawód wraz z rozpoczęciem studiów w warszawskiej Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Na koniec I semestru profesor Gielżyński, znany dziennikarz, zamiast egzaminu zlecił nam przygotowanie materiału dziennikarskiego - do wyboru: reportażu, obrazka, felietonu. Przypomniałam sobie wtedy warszawskiego gazeciarza, którego poznałam dojeżdżając tramwajem nr „9” (całkiem jak w ówczesnej piosence) z obrzeży Woli do znanego Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, którego jestem absolwentką. Ten chłopak poprosił mnie

kiedyś na przystanku, żebym kupiła u niego gazetę. Nie dysponując pieniędzmi, zaoferowałam wygłodniałemu wyrostkowi swoje drugie śniadanie. Z czasem zaznałam się z nim bliżej. Przy którymś spotkaniu zaprosił mnie do klubu, który prowadzono dla tych chłopców. Jako panience z dobrego domu nie wypadało mi przyjąć takiej propozycji. Jednak egzaminacyjne zadanie przypomniało tę znajomość. Odszukałam chłopaka, ten zaprowadził mnie do klubu, gdzie poznałam kierownika i pozostałe „warszawskie wróble”, jak z sympatią przezywano gazeciarzy. Zrobiłam reportaż i z treścią oczekiwałam na wyniki. To, co nastąpiło, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Profesor Gielżyński powiedział, że nie jest zadowolony z dostarczonych mu materiałów.

- Ale - dodał - jest jedna praca, która mnie zaskoczyła swoim wysokim poziomem. To praca - w tym momencie nadstawiliśmy uszu - panny Pióreckiej. Byłam oszołomiona, rozległy się gromkie brawa kolegów. Później mój reportaż został zaprezentowany na antenie radiowej i otrzymałam swoje pierwsze, niebotyczne honorarium - 200 zł.

- Kiedy trafiła Pani do pierwszej w swoim życiu redakcji?

- Po I roku profesor Gielżyński zaproponował mi praktykę w „Kurierze Porannym”. Po niedawnym sukcesie byłam pewna, że będę mogła pisać do kroniki miejskiej. Jednak jeden z siedzących za biurkami pięciu panów, który okazał się kierownikiem działu, po wyjściu zastępcy naczelnego redaktora, stwierdził, że nie wie, co ze mną zrobić. Po trzech dniach opracowywania agencyjnych doniesień z miasta, bez ceregieli skierował mnie do drukarni. Czulałam się strasznie spostonowana. Niedługo potem okazało się, jak bardzo powinnam być za to wdzięczna. Na studiach mieliśmy tylko kilka godzin grafiki z prof. Połtawskim, a tam trafiłam pod opiekę znakomitego metrapaży, który nauczył mnie wszystkiego z zakresu praktycznej wiedzy technicznej. Ja jednak chciałam pisać.

- Na pewno udało się na następnych praktykach...

- Nie byłam już więcej na żadnej. Dzięki rektorowi Łunińskiemu w następnym roku stanęłam mocno na ziemi, bo zostałam przez niego skrytykowana za swój komentarz z dziedziny stosunków międzynarodowych, co nauczyło mnie pokory wobec zawodu. Po kilku miesiącach od zakończenia zajęć z profesorem Gielżyńskim, już na II roku, spotykałam go na korytarzu. Tam pewnego dnia złożył mi bardzo zaskakującą propozycję zastępstwa w redakcji. Po latach jestem przekonana, że o zainteresowaniu moją osobą zdecydowały nie tylko moje umiejętności, ale też opowieść o mojej rodzinie, której wysłuchał z ogromnym zainteresowaniem. Ojciec mój miał dwie miłości - Marszałka Piłsudskiego i... wyścigi konne. Z powodu tego wręcz bałwochwalczego stosunku do Naczelnika Państwa utracił oko. Pochodził z bardzo patriotycznej rodziny. Dziadek jako 17-letni uczeń liceum brał udział w powstaniu styczniowym. W czasie potyczki dostał się do niewoli, przesiedział rok w Cytadeli, został wywieziony na Syberię i skazany na 25 lat ciężkich robót... Na pewno na Gielżyńskim, patriotcie z legionową przeszłością, historia mojej rodziny zrobiła duże wrażenie. Redakcją, w której pracę mi zaproponował, był tygodnik „Strzelec”, organ Związku Strzeleckiego. Decyzja nie była łatwa - chciałam dokończyć studia, a poza tym ojciec przewidywał dla mnie kontynuację kształcenia na Sorbonie. Prof. Gielżyński uważał, że naukę pogodzę z pracą, a ojca przekonałam, że w ten sposób szybciej uzbieram pieniądze na studia za granicą. Miałam w „Strzelcu” zostać sześć tygodni, a zostałam... sześć lat. Zaczęłam od stanowiska redaktora technicznego,

skończyłam jako sekretarz redakcji. O, tu w stopce redakcyjnej jest moje nazwisko.

- „Strzelec” to było pismo ideologiczne, związane z określoną opcją polityczną. Jak się Pani czuła w tym, nie da się ukryć, zdecydowanie męskim i paramilitarnym towarzystwie?

- Znakomicie, to była cudowna redakcja, gdzie panowała wzajemna życzliwość, koleżeństwo i lojalność. Poza tym - moja pozycja była tam wyjątkowa, właśnie z powodu umiejętności nabytych na owej praktyce w drukarni „Kuriera Porannego”. Dyrektor Władysław Kowalewski i drukarze byli zdumieni moją wiedzą. I tak to już poszło, i trwało do 1935 r., kiedy to zrezygnowałam z pracy w redakcji. I pierwszy raz, już jako żona swojego męża, trafiłam na Śląsk Cieszyński.

- **Pozostaliśmy jeszcze w Warszawie. Na pewno, pracując tych redakcjach, poznała Pani interesujących i znanych ludzi.**

- Pierwszą taką, dość nieoczekiwaną osobą był Tadeusz Boy-Żeleński. Spotkałam go ukrytą w kącie zacerni w drukarni „Kuriera”, gdzie przychodził po premierach dyktować swoje recenzje teatralne. W redakcji „Strzelca” poznałam inne osoby, które na trwałe zapisały się w historii Polski. Dyrektor Kowalewski, jako pracownik polskiego wywiadu odbił z więzienia na Łubiance w Moskwie uwięzioną tam swoją współpracownicę. Otaczał go nimb bohatera. Spośród licznych grona redaktorów naczelnych najlepiej pamiętam trzech. Na ślad Jerzego Szyski-Bohusza (bratanka znanego architekta, kierownika przebudowy Wawelu oraz tamtejszych krypt po śmierci Piłsudskiego), trafiłam po wielu latach we wspomnieniu Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Napisał tam: „Spośród stu ludzi, którzy z takim oddaniem i poświęceniem pracowali w studiu WE, pozostało przy życiu tylko dwunastu. (...) Jako jeden z pierwszych odszedł w zaświaty Jerzy Szyszko-Bohusz, który jako Jacek Śniady był autorem audycji dla robotników pt. „Nie rozdzieli nas żelazna kurtyna”.

Drugim był Wojciech Stpiczyński. Był mi szczególnie bliski i bardzo przeżyłam jego smutną, przedwczesną śmierć w Paryżu. W mojej pamięci zachowały się spotkania w sanatorium przeciwgruźliczym w Otwocku, dokąd dojeżdżałam ustalać z nim plany pracy redakcyjnej. Nie bardzo wtedy mogłam zrozumieć, dlaczego ten sławny publicysta i działacz polityczny, naczelny „Głosu Prawdy”, reprezentant rządu polskiego w dowództwie III powstania śląskiego, trafił do nas na 1,5 roku.

Ostatnim z grona ośmiu naczelnych, był Tadeusz Żenczykowski, ps. „Kania”, szef propagandy AK w okresie okupacji i powstania warszawskiego, czołowy działacz rządu polskiego

w Londynie. W Pałacu pod Blachą uczestniczyłam w spotkaniu twórców Konstytucji kwietniowej, przygotowujących tę ustawę zasadniczą. W ciemnej sali, wśród pustych krzeseł zobaczyłam tam usiłującego podnieść się z wózka inwalidzkiego mężczyznę bez nóg - to był Adam Skwarczyński, główny autor tego dokumentu. Byłam również na bankiecie w Zamku Królewskim, z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego. Mimo pięknej prezencji, prezydent Rzeczypospolitej nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia. Jego głos był kompletnym zaprzeczeniem urody. Szczególne było spotkanie w Belwederze z okazji imienin Aleksandry Piłsudskiej. Żona Naczelnika okazała się miłą, bezpośrednią i skromną osobą. W czasie wizyty, niespodzianie pojawił się w salonie Marszałek. Wychowana w jego kulcie, patrzyłam na tego bardzo już schorowanego i starego człowieka, jakbym zobaczyła Pana Boga.

- **Wspomniała Pani, że po rezygnacji z pracy w „Strzelcu”, już jako mężatka, przyjechała po raz pierwszy na Górny Śląsk.**

- Mój mąż Marian, absolwent Wyższej Szkoły Handlowej, bardzo zaprzyjaźnił się z dyrektorem Kowalewskim. Byliśmy już po ślubie i oczekiwaliśmy na nowe mieszkanie na Żoliborzu. Tymczasem Kowalewski pewnego dnia złożył mężowi niespodziewanie propozycję objęcia posady dyrektora Galicyjskiej Fabryki Papieru w Czańcu koło Kęt. To był bardzo szczęśliwy czas, tam przyszedł na świat nasz syn Andrzej, dziś profesor nauk medycznych. Nie przewidzieliśmy tylko jednego, że nadejdzie 1939 rok, a z nim wojna i okupacja.

- **Wojna nie oszczędziła Pani i Jej bliskim bolesnych i dramatycznych przeżyć.**

- Za odmowę podpisania Volkslisty zapłaciliśmy wysiedleniem z Czańca

i osadzeniem w dwóch obozach pracy: w Petrovitz bei Odeberg i Bethelsdorf bei Hirschberg. Dzięki niewyjaśnionemu zbiegowi okoliczności, wróciliśmy do Warszawy. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak to się stało - czy pomogła osoba napotkanaego przypadkiem w Bethelsdorfie przedwojennego, austriackiego współpracownika Mariana, czy pieniądze rodziny męża, wręczone warszawskiemu gestapowcowi. Potem przyszło powstanie warszawskie i kolejny obóz, tym razem dla wysiedlanej po powstaniu ludności. Tam znów o ocaleniu zdecydował przypadek. Dzięki wartownikowi, który okazał się Ślązakiem dostaliśmy się - zamiast do transportu jadącego do KL Auschwitz - do pociągu, który jechał do Opoczna. Tam znowu, chyba tylko dzięki siłom nadprzyrodzonym, oddzielona z powodu choroby od męża i syna, wydostałam się z umieralni w stodole, gdzie rzucono mnie na słomę. I znów byliśmy razem.

- **To nie był koniec tułaczki i dramatów.**

- Jak się okazało, mimo tego parasola ochronnego, który, w co mocno wierzę, dobre moce rozpinają nade mną w chwilach niebezpieczeństwa, najgorsze było jeszcze przede mną. Przenieśliśmy się do Makowa Podhalańskiego. Mąż tuż po wybuchu wojny ułożył się ze mną, że moim zadaniem ma być tylko wychowanie i ochrona syna. Dotrzymywałam tej umowy i nie dopytywałam się, czym są spowodowane jego częste wyjazdy. Pewnego razu, gdy synek był chory, Marian znów wyjechał, mówiąc, że po zaopatrzeniu do rodziny w Miechowie. Dziwiło mnie, dlaczego znów zabrał ze sobą w podróż kilka książek, które nie wracały. Z tego, co dowiedziałam się później, rozwiózł je do Krakowa i Kielc. Oczekiwanie na powrót Mariana przerwał przyjazd jego kuzyna,



Podczas wizyty Jerzego Ziętka w redakcji.

który powiadomił mnie, że mąż został aresztowany i osadzony w miechowskiej siedzibie gestapo. Mimo ciężkiego stanu dziecka, zdecydowałam się na wyjazd, by próbować męża stamtąd wydostać. Po przyjeździe okazało się, że dwa dni wcześniej został zastrzelony przez patrolujących ulice żandarmerów. Moim zadaniem było już tylko wydobyć z gestapo ciało i zorganizowanie pogrzebu...

Nie zapomnę dnia pogrzebu - szłam samotnie za trumną pustymi ulicami Miechowa, a nieznajomi ludzie, nie mogąc utworzyć konduktu, towarzyszyli mi grupkami przesuwać się równoległe chodnikami, niknąc w bramach, skąd znów wychodziła kolejna grupa mieszkańców. Udało mi się też wydobyć z gestapo książkę, którą miał przy sobie mąż w chwili śmierci. Proszę spojrzeć na tytuł...

- „**Rzeka przeznaczenia**”, **rzeczywiście, bardzo symboliczny. Jak poradziła sobie Pani w tej tragicznej sytuacji?**

- Nadchodził front, a na dalsze oparcie ze strony krewnych nie mogłam już liczyć. Zdecydowałam się na wyjazd do Sędziszowa, tam był uprzemysłowiony folwark siostry mojego ojca. To był dobry wybór. Zastałam tam moją mamę i młodszego brata z żoną. Od nich dowiedziałam się o kolejnej tragedii - mój starszy brat w czasie powstania został wraz z grupą mieszkańców Woli żywcem spalony.

- **Wiem, że krótko po wyzwoleniu Katowic przyjechała Pani tutaj i od razu zaczęła pracę w „Dzienniku Zachodnim”. Co spowodowało decyzję o przyjeździe na Śląsk?**

- Znowu zdecydował przypadek. Pierwszy trafił tutaj mój brat Janusz z żoną. Przysłał mi wiadomość, że mogę wrócić do zawodu. Z kartki dowiedzionej na folwark ciężarówką „Czytelnika”, dowiedziałam się o tworzeniu w Katowicach nowej redakcji. Nie wałam się ani chwili. Pociągi pasażerskie nie kursowały, wobec czego za butelkę wódki, 8 lutego 1945 r. przyjechałam wojskowym eszelonem.

- **Jak przyjęto Panią w redakcji?**

- Pierwszym redaktorem naczelnym był Stanisław Ziemia. Spytał mnie o moje umiejętności i zażądał dyplomu. Wątpiłam w moją fachowość po takiej przerwie, a dokumenty utraciłam w czasie wojennej tułaczki i powstania. Zapytał: - To po co pani przyszła? Odpowiedziałam, że mam doświadczenie, poza tym na jednym ramieniu jest syn, a na drugim stara matka. Usłyszałam, że przyjmuje mnie na próbę przez dwa tygodnie. I tak się zaczęła moja praca w „Dzienniku”, która trwała do 1981 r.

- **Przez te lata zorganizowała Pani dział kultury, stworzyła też Pani kilka ważnych i pamiętnych cykli edukacyjnych.**

- Nie tak od razu, najpierw pracowałam w dziale miejskim. Krótko przed Bożym Narodzeniem wydaliśmy numer specjalny, w którym przewidziano miejsce poświęcone powstaniu warszawskiemu. Odważyłam się opisać swoją popowstaniową tułaczkę. Tak zostałam reporterem „DZ”. Dodatki i cykle edukacyjne przyszły niewiele później. Kierowałam dodatkiem literackim, potem był „Świat i życie” i dział kultury. Dużym powodzeniem cieszył się też mój autorski cykl „Zdrowie i dziecko” oraz inne publikacje poświęcone zdrowiu oraz kulturze i nauce. Udało mi się skupić wokół nich znakomitych specjalistów z różnych dziedzin.

- **W czasie, kiedy Pani przyjechała na Górny Śląsk, Katowice były tętniącym ośrodkiem kulturalnym. Zapewne dobrze poznała Pani środowisko tutejszych twórców?**

- Tak, to prawda. Wielu z nich publikowało na naszych łamach swoje utwory, propagowaliśmy wystawy twórczości, staraliśmy się im pomagać. Przypomniłam mi to po wielu latach pan Wyrożemski, kiedy malował mój portret. W samej redakcji też nie brakowało takich artystycznych, trochę „nieuczesanych” dusz z fantazją - Wilhelm Szewczyk, Zdzisław Hierowski, Jan Baranowicz, no i, oczywiście Bolek Surówka. Po wojennych przeżyciach i rozłąkach była w ludziach potrzeba więzi. Stąd spotkania towarzyskie, wspólne wyjazdy i takie przedsięwzięcia, jak wydawane z okazji imienin redakcyjnych Stanisławów czy Tadeuszków, ściśle wyliczone numery specjalne, pełne dowcipów, nie zawsze cenzuralnych.

Spśród twórców tutejszych najbardziej przypadliśmy sobie do serca z Gustawem Morcinkiem. Ta przyjaźń przetrwała lata. Dzięki niemu poznałam Zofię Kossak-Szczucką, którą pisarz darzył wielką estymą, choć ona traktowała go jak podnóżek. Jako Kossakówna nie tylko jego traktowała „z góry”. Bardzo sympatyczna, choć bardzo długa była współpraca z Komelem Makuszyńskim, do dziś zachowuję jego pisaną do mnie dowcipną listę.

- **Zajmowała się też Pani publicystyką społeczną. Jednym z inicjatorów działań społecznych na rzecz województwa był generał Jerzy Ziętek.**

- Wtedy, kiedy go poznałam, był jeszcze pułkownikiem. Po naszym pierwszym spotkaniu zdecydował, że jeżeli ma pisać o jego przedsięwzięciach ktoś z „Dziennika”, to mam być ja. I tak na długie lata została. Wspólnie podróżowaliśmy - „Markiewiczka” z Ziętkiem - służbowym samochodem po różnych budowach. Częstował mnie wtedy pieprznymi dowcipami, z których się zaśmiewałam, a on był z tego bardzo zadowolony. Odwiedzałam go po latach w jego ustroniskiej

willi. Bardzo brakuje tu tego „chopa z kryką”, jak sam o sobie mówił.

- **Wróćmy do redakcji. Przetrwala Pani kilku naczelnych, co dzisiaj jest raczej niespotykane, gdy rotacja dziennikarzy w większości redakcji jest duża. Jacy to byli szefowie?**

- Może to nie jest pocieszające, ale i wtedy do pewnego momentu też był ruch na tym stanowisku. Co prawda nie tak duży jak w redakcji „Strzelca”, gdzie dowiadywałam się z dnia na dzień o kolejnej nominacji. Do 1957 r., było czterech naczelnych: wspomniany już Stanisław Ziemia, Tadeusz Mojkowski, Andrzej Reichard, i Romuald Gadowski, który, niestety sprowadził „do parteru” cały tytuł. Na prostą wyprowadził go najdłużej urzędujący, bo do 1981 r., Bronisław Szmidt-Kowalski. Już po odejściu na emeryturę współpracowałam jeszcze na pół etatu z Januszem Durmałą i Bolesławem Faronem. Po transformacji ustrojowej nowy naczelnik, Włodzimierz Paźniewski zachował już tylko moje biurko i miejsce. Niejedno po tym czasie się zmieniło, więzi z redakcją się zerwały. Cóż - inne czasy, inni wydawcy i inne obyczaje...

- **Ale nadal ta gazeta pozostaje Pani „lekturą obowiązkową”. Co, jako nestorka, chciałaby Pani przekazać adeptom naszego zawodu?**

- Rzeczywiście, nadal uważnie czytam prasę, poza „Dziennikiem” również inne tytuły. A przekazać mogę tylko jedno - dziennikarstwo, to nie tylko zawód. Dziennikarzem trzeba się po prostu urodzić. Trzeba mieć w sobie specjalny instynkt, który pozwala szybko ocenić sytuację i człowieka. Mimo błyskotliwych pozorów jest to bardzo trudne i wyczerpujące zajęcie. Bywa sztuką, choć częściej jest rzetelnie uprawianym rzemiosłem. Przez cały czas pracy zawodowej trzeba pamiętać - dziennikarskie pióro może człowieka wywyżczyć, ale może go też zniszczyć. Czy dzisiejsze media, pozostające pod wpływem obcego kapitału i polityków stosują te zasady, to już zupełnie inny temat.

- **Jubileusz nie przeszkodził Pani przystąpić do pracy nad swoimi wspomnieniami. Kiedy będziemy mogli je przeczytać?**

- Odpowiem, jak w przypadku każdej innej publikacji - kiedy będą gotowe. Zawsze oddawałam dokończone teksty i wtedy o nich rozmawiałam. Tak też będzie z historią rodu Markiewiczów, czyli „Strzępami wspomnień jednego życia”. Podkreślam, że jedyną dokumentacją jest moja pamięć.

- **Bardzo dziękuję za tę rozmowę.**

Fotografie z archiwum prywatnego redaktora Haliny Markiewiczowej.

Trwałym tworzywem, wyróżnikiem pisarstwa Jerzego Pilcha stała się oryginalność i niezwykłość pogranicza. W epoce miłości podszyty był niepewnością kreacji i realisty - jak wyznaje - pragnął być pisarzem barokowym lub ascetycznym. Odczuwał brak przygód, kobiet i podróży, nie potrafił znaleźć klucza, wyrazić świata idei. „Nie rozumiałem świata” – zwierza się w debiutanckich „Wyznaniach twórcy pokątnej literatury erotycznej” z roku 1988. Ale sygnalizuje trop tożsamości, którego nie zasypie czas ani szersze zainteresowania. Autor wyrosły bowiem na obrzeżach Polski i Czech nie stał się penetratorem pogranicza kultur, bo brakowało mu konsekwencji i upor, waha się między pozycją kronikarza a odkrywcą sedna.

Myślę, że taki początek tłumaczy lepiej początek motywu „braci ewangelików”, którzy pojawiają się w książkach Pilcha nie jako wyróżnik prowincjonalny czy egzotyczny dominacji „braci katolików”, ale jako symbol istotnych wartości świata, które trzeba dostrzegać, cenić i pielęgnować. Uświadamia sobie przy okazji, że w tym styku mniejszości wyznaniowej w Polsce z większością katolicką nieistotne jest pole konfliktów, zakres wpływów, lecz ważny będzie gatunek osobowości bohaterów literackich, kontury legendy odmienności doktryny, historii, obyczajów, niezwykłości rodzinnych mitów, paradoksy myślenia i postępowania. W literackiej kosmogonii autora enklawa cieszyńsko-wisłańskiej zbiorowości ewangelickiej urastała nieraz do roli pępka świata. Bohaterowie nie zmagają się z zakupami przewagi panującej, nie upominają się o tolerancję, o uznanie swoich uprawnień, ale są przekonani o własnej racji, o własnej podmiotowości.

Tożsamość bohatera i tożsamość autora chadzą innymi drogami, bo obejmują inny zakres spraw, inne preferencje. Pisarz ogólnopolski Jerzy Pilch prezentuje na tyle charakterystyczne i ciekawe inspiracje ewangeliczne, że traktuje ten wątek jako wyraźny manifest tożsamości epoki przełomu, zapowiedź nowego porządku, ale i zamęt, weryfikacji polskich stereotypów, krystalizacji nowych kierunków i wartości. Część kraju, pozostałość reformacji aspiruje tu do symptomu całości, oznaki dochodzenia do głosu nowego sposobu patrzenia na świat, etosu niezależności. Zauważmy – jest w tym coś więcej niż ścieżka ekumenizmu.

Przekora stręczycielskiej zachęty znajomych pań do krótkotrwałej poufałości ze szwedzkim humanistą w „Spisie cudzołóżnic” wynika z prób połączenia kilku niezbyt zgodnych a nawet sprzecznych założeń. Narrator opowieści wynosi najwyżej we współzyciu „porozumienie erotyczne”, tkankę mitu, który „zażegna fenomen obojętności świata”. Tak naprawdę jednak polski ewangelik łatwiej po prostu kontaktuje się z gościem protestanckim oraz lepiej rozumie jego potrzeby ubarwiania wieczorów przez towarzystwo kobiet. Satys-

NIKE 2001

Fenomen Jerzego Pilcha

fakcjonuje obydwu, że w ich kościołach nie uprawia się kultu świętych, bo Biblia tego nie wymaga, jak również nie wymaga się feudalnej podległości na kłęczkach.

Po kilku latach przekory pisarz nie ulega już tak łatwo niektórym uowym zauroczeniom i powinnościom. Oto Polacy starają się o certyfikat narodu europejskiego. Przepraszamy więc Niemców za powojenne prześladowania, przepraszamy Żydów za antysemickie bezeceństwa. Potrzebne gesty pojednania, rachunku sumienia. Ale wiemy przecież, że największych zniszczeń i rabunków w Polsce XVIII-wiecznej dokonali protestanci Szwedzi podczas podboju katolickiego kraju. Czy nasi znakomici sąsiedzi zza morza przeprosili nas za to? Też nie, bo norma moralna w świecie cywilizowanym jest dyskusyjna i nieegzekwowalna.

Wróćmy do współczesności. Dla prawdziwych luteran komunizmi nie są poważnymi przeciwnikami. Taktycznie bratali się z nimi wiedząc, że i tak przeminą, natomiast nie przeminą katolicy. A prowadzenie wojny z tysiącletnim Kościołem oznacza klęskę. Rozmowy o współpracy z konkurencjami różnej orientacji odżywają w powieści „Tysiąc spokojnych miast”, dyskusji o charakte-

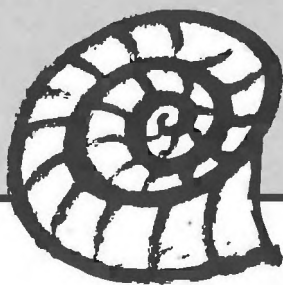
rze magicznym, bo obrazującym dość oryginalne, wyrastające bardziej z wyobraźni niż z rzeczywistości poglądy ewangelików. Innowierców nieraz dziwi, że pastor ewangelicki wierzy mocniej w diabła niż w Boga, ale reformatorski zapal doskonałości świata rodzi zamysł spisku na życie sekretarza partii, satrapę Gomułki. Wywołało to wielką dysputę ewangelików z katolikami o stosunku do zwierzchności.

Zaprezentujemy kilka myśli. Jeżeli uzurpatorska władza „braci komunistów” nie pochodzi od Boga, to warto się zastanowić czy piąte przykazanie dekalogu „nie zabijaj” odnosi się do każdej sytuacji. Ewangelicy nie dopuszczają wyjątków, katolicy dopuszczają wyjątki. Prawo ludzkie przecież dozwala np. zabijać złoczyńców lub wrogów. Luter jednak, nie dopuszczając zasadności tyranobójstwa, dopuszcza zasadność samej kary. Jeśli zatem poszanowanie wszelkiej zwierzchności, a więc legalizm bywa kłopotliwą utopią, „należy brać sprawy w swoje ręce” i oprotestować dyktaturę nawet przy zastosowaniu skrytobójstwa.

Zamach skończył się na wyjeździe do Warszawy i uczcie w najsłynniejszej cukierni. Czyli – na gadaniu. Realizacja spisku byłaby właściwie sprzeczna z naturą ewangelików, pozwoliła jednak odsłonić, przybliżyć niektóre elementy indywidualności, partnerstwa, tożsamości członków grupy wyznaniowej, która przywiązuje ogromną wagę do wymagań poczucia odpowiedzialności i doskonałości moralnej u swoich członków. Bracia ewangelicy bywają wprawdzie zgubnie zatopieni w żywiole lewicowości, ale jeśli Pismo mówi, że trzeba być doskonałym, „to ma być doskonałość i szlus” – zauważa gdzie indziej. Przecież jedyną racją ziemskiego bytu jest praca. Bywa owocem wiary, utwierdzeniem w lasce, doskonałością samą. Jeśli dekalóg protestancki nie stosuje podziału na grzechy śmiertelne i zwykłe, to każdy grzech jest symptomem stanu wiecznego potępienia. Ale zdarza się lepszy pijus niż leń, bo picie może być formą negatywnej wprawdzie, jednak formą aktywności. Kryje więc także drobinę odrodzenia.

Oto dialektyka doskonałości. I to na pewno jest jedno z cenniejszych odkryć sedna pogranicza przez penetratorkę przenikania się ewangelików z katolikami.

JÓZEF GÓRDZIAŁEK



Dlaczego skrzekoty nie czuszykają?

Cietrzew jest ptakiem mniej okazałym od głuszca i to go uratowało przed wyginieciem. Występuje bardzo sporadycznie w Beskidach i objęty jest całkowitą ochroną oraz programami reintrodukcji, czyli powtórным zasiedleniem w ostoje łąkowo-wrzosowiskowe. Starzy górale w Brennej opowiadali mi, że jeszcze 50 lat temu, gdy paśli swoje stada owiec na soczystych halach Kotarza, Skalki czy Bukowego Gronia to nie raz na szalasio robili sobie wspaniałe smażyczki (jajecznice) z jajek kuraków znajdujących w jagodzinach.

Długość cietrzewia wynosi około 60 cm, ogon około 20 cm, rozpiętość skrzydeł do 100 cm, masa do 1,5-2 kg. Kura jest mniejsza od koguta, długość jej wynosi około 50 cm, rozpiętość skrzydeł około 80 cm, a masa do 1 kg. Samca nazywamy cietrzewiem lub kogutem, samice nazywamy cieciorą, młode pisklętami (młódkami). Młode koguty po pierwszej zmianie upierzenia, czyli po wyfarbowaniu, nazywamy murzynami lub farbownikami. O młodym cietrzewiu, który zmienia upierzenie, mówi się, że już farbuje. Stary kogut w okresie zmiany upierzenia to leniak lub liniak. Podobnie jak reszta kuraków, prócz przepiórek, ptaki te zimują u nas.

Cietrzewie odbywają toki towarzyskie od początku kwietnia do końca maja. Na tokowiskach położonych na haliznach bądź na śródleśnych lub podleśnych łąkach stawiało się dawniej budki z gałęzi, w których zasiadali myśliwi, zanim cietrzewie zleciały się na toki. Zasadą było nieodstrzeliwanie tokownika, który zwykle przylatuje pierwszy na tokowisko. W końcowym okresie toków, gdy większość ciecioriek siedziała już na gniazdach, wabiono koguty z budki, naśladując kwokanie ciecioriek. Dawniej polowano też na koguty z wyżłem, z podchodu, z podjazdu i z *bałwanami* (*cieniami*), tj. imitacjami ptaków, osadzonymi na bałwanicach.

Stary cietrzew-kogut ma suknię czarną z fioletowo-niebieskim, metalicznym połyskiem, jedynie w połowie skrzydeł widnieje wąski, biały pasek i na barku przy tułowiu biały trójkąt zwany lustrem. Młody kogut ma grzbiet brązowy. Ogon, czyli lira, czarny, charakterystyczny przez to, że 1-2 boczne sterówki, a u starych kogutów 4, wygięte są haczykowato na zewnątrz. Podogonie białe, czasem nakrapiane podłużnymi, czarnymi cętkami. Nad oczami czerwone koraletki, które w okresie toków nabrzmiewając schodzą się prawie z sobą. Dziób czarny. Nogi siwo-brązowe, upierzone aż po palce. Również palce, podobnie jak u głuszca, mają drobne pióreczka, które w okresie zimy pomagają w chodzeniu po śniegu. W okresie lata (lipiec, sierpień) młody kogut ma na głowie i szyi upierzenie brązowawe, podobnie jak kura. Kura cieciora jest upierzona zupełnie inaczej niż kogut - jest ona brązowoszara, znaczone czarnymi i rdzawymi plamami.

Cietrzew bytuje na terenach leśnych, krzaczastych i podmokłych, zarośniętych brzezina i olszyną. Nie lubi zwar-

tych, jednowiekowych i jednogatunkowych lasów. Najchętniej przebywa na wypaliskach, w zniszczonych lasach, nieregularnie zarośniętych, zaniedbanych łąkach i pastwiskach przepłatanych uprawnymi polami. Żywi się jagodami, owocami leśnymi, nasionami, zbożem, młodymi pędami, pączkami i liśćmi drzew oraz młoda zieleniną. Szczególnie lubi pączki brzeziny. Zjada również owady, mrówki i ślimaki.

Cieciora zakłada gniazdo w krzakach, mchu, wrzoszach, we wgłębieniu ziemi, które wyściela mchem, pierzem i żółtymi trawami. W kwietniu - maju znosi 7-10 jaj (żółte, brązowo nakrapiane) i wysiaduje przez 4 tygodnie. Młode rosną szybko i zdolne są do lotu już po dwóch tygodniach życia. Upierzenie zmieniają w październiku. Cietrzew żyje około 15 lat.

Największych wrażeń dostarczają toki cietrzewi trwające od końca marca do połowy maja. Odbywają się one grupowo (gromadami), na ziemi i na drzewach. Toki rozpoczynają się w nocy około godziny 3. O wschodzie słońca następuje krótka przerwa - szabas, po czym trwają w dalszym ciągu do około godziny 8 rano. W czasie tokowania cietrzew wydaje dwa rodzaje głosów - czuszykanie i bulgotanie. Pierwszy głos podobny jest do fonetycznego brzmienia początkowej części jego nazwy: cziszy cziszy..., a drugie do dalekiego gruchania grzywacza: rutturu... rutturu... urr... urr... rutturu. W czasie tokowania kogut napręża skrzydła opuszczając je do ziemi, lirę rozpościera i unosi prostopadłe do góry, szyję wyciąga równoległe do ziemi i w tej pozycji biega, podfruwa, podskakuje i w ogóle jest bardzo ruchliwy. Często wdaje się w walkę z innymi kogutami. Toki odbywają się przez cały okres ich trwania stale w jednym miejscu, chyba że kilkakrotnie zostały przerwane przez człowieka lub jastrzębia. Po

okresie toków kogut zmienia upierzenie i dopiero we wrześniu uzyskuje pełną urodę. Stan pogody ma bardzo duży wpływ na przebieg toków, gdyż deszcz, wiatr, śnieg przerywają je.

Od wczesnej jesieni (września) cietrzewie żyją w stadach. W zimie rozbijają się na jednopłciowe stada. Żerują przez cały dzień, w nocy śpią na drzewach. Chętnie kąpią się w piasku. Cietrzew jest bardzo czujny, ma dobry słuch i wzrok i dlatego nielawo daje się podejść. Lot ma szybki i zwinny. Samica (cieciora, kura) - koloru rudego z białym upstrzeniem zakłada gniazda w ukryciu, w dołku ziemnym i tam składa 7-12 jaj, z których po 27 dniach wykluwają się pisklęta. Cietrzew krzyżuje się także z samica głuszca, dając nieplodne potomstwo (skrzekoty).

Kto nie słyszał godowej pieśni cietrzewia, temu na niewiele się zda opisywanie tego głosu - tego czuszykania i belkotania. Ale spróbujmy.

Czuszykanie to jakby pierwsza faza pieśni koguta cietrzewia. Tym głosem oznajmia on swoją obecność po przybyciu na tokowisko. Czuszykanie także i później, przeplatając tym refrenem zwrotki belkotu. Gdy dzień odrobinę się przejaśni, kogut zaczyna podskakiwać i podfruwać; wtedy również często czuszyka. Ponadto głos ten towarzyszy kogutom w czasie utarek z rywalami. Można by zatem, posługując się językiem wojskowym, powiedzieć, że czuszykanie to głos ofensywny, dodający animuszu.

Belkotanie troszeczkę przypomina głos indyka. Belkotanie ma w sobie coś zagadkowego. Jest dobrze słyszalne z daleka, zaś znacznie słabiej z bliska. Podczas próby podchodzenia tokującego koguta nieobeznany łowca może odnieść wrażenie, że cietrzew się oddalił. Wtedy łowca zaczyna przyspieszać, nie bacząc na osłonę, i - spotyka go niespodzianka. Musi zapłacić frycowe, gdyż kogut, posiadający wysmienity wzrok, reaguje natychmiast i odlatuje, pozostawiając niefortunne nemroda z niczym na placu boju. A właściwie, to z uczuciem ogromnego zdziwienia: Jak to? Dlaczego? Ano właśnie dlatego, że za odkrywanie ściśle strzeżonych tajemnic przyrody trzeba płacić. Płacić wysiłkiem, szacunkiem, pokorą i czasem.

Wracajmy do tokowiska. Koguty nabrały animuszu, belkoczą i czuszykają co jakiś czas. Zaczyna świtać i można przyjrzeć się zapaśnikom. Belkocząc, nadymają się i trzymają nadętą szyję poziomo, rozwijają lirę i żwawo poruszają się, jak gdyby były małymi okrętami na morzu traw i wrzósów.

Shabas jest bodaj najdziwniejszym i najbardziej tajemniczym zjawiskiem na toku. Dlaczego koguty prawie jednocześnie milkną, nikt nie potrafi powiedzieć. Być może jest to rodzaj modlitwy, oddania czci rodzącemu się dniowi. A może tylko chwila odpoczynku przed podjęciem dalszej rywalizacji, a chwilę ciszy przeznaczyć na zadumę nad pięknem. Pięknem, jakiego nigdzie poza tym miejscem nie spotkamy.

JAN RZYMELKA

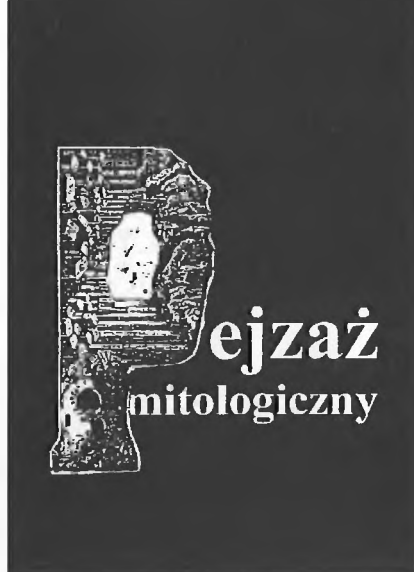
Jeszcze w latach sześćdziesiątych, dopiero co minionego XX wieku, udawało się niżej podpisanemu trafić na wyraźne ślady czasu wojen napoleońskich w pamięci podówczas żyjącego najstarszego pokolenia, urodzonego pod koniec XIX w., a więc ludzi, mogących z kolei zapamiętać opowieści swoich dziadów, niejednokrotnie będących w dzieciństwie świadkami naoczными tej do dziś tak bardzo fascynującej epoki.

Najczęściej słyszało się wtedy podania o bogactwach, ukrytych w mogiłach żołnierzy napoleońskich w Bytomiu i jego okolicy, choćby takich jak wspomniana już w tym miejscu opowieść o skarbach pod stojącą w Siemianowicach we wnętrzu muru parku pałacowego kapliczką z „Panienką”, spoczywających tam wraz z poległymi w bitwie (a raczej potyczce nad bytomską Kaczawą) Francuzami. Podobnie było gdzie indziej.

Jak wiemy, dawne wolne państwo stanowe Bytom, samo miasto i okoliczne dobra, w czasie okupacji francuskiej, podług miejscowych kronik: „nie zaznały żadnych zbyt jaskrawych aktów przemocy, gwałtów, brutalnych rekwizycji, czy podpałów”. Nie znaczy to jednak, że ich wcale nie było. Przy czym (jak to zwykle bywa), najbardziej ucierpieli najubożsi, bo panowie i rajcowie miejscy (jak to również zwykle bywa) starali się, płacąc żądane kontrybucje, jak najmniej uszczuplać własne kieszenie.

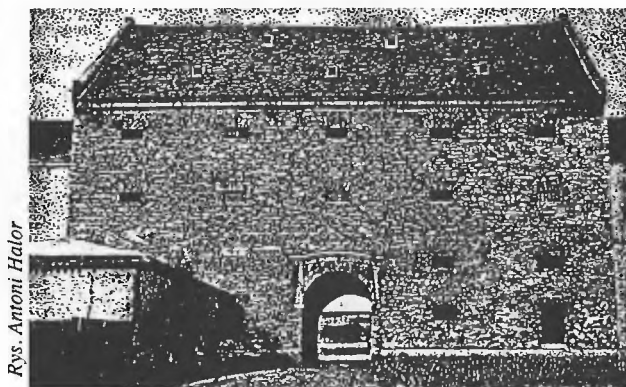
Sporo budzących strach turbulencji przeżyli mieszkańcy regionu również w wyniku mało fortunnych potyczek samowolnego oddziału partyzanckiego księcia Jana Nepomucena Sułkowskiego, którego kontrowersyjny rajd na tę właśnie część Górnego Śląska wiosną 1807 r. poważna historiografia przyjmuje raczej z zakłopotaniem. Oddział miał podobno wziąć do niewoli urzędującego wówczas w Tarnowskich Górach landrata, hrabiego świerkłanieckiego Henckla von Donnersmarck, którego zawleczono do Częstochowy. Henckel odzyskał wolność dopiero po interwencji urzędującego we Wrocławiu Hieronima Bonapartego. Francuzi, z którymi, jak książę utrzymywał, miał współdziałać, zdecydowanie odcięli się od jego akcji. W świetle ówczesnych dokumentów, poza w/w epizodem, działalność oddziału Sułkowskiego skupiała się raczej na dokuczliwych rekwizycjach.

Tak też musiała się zakotwiczyć w pamięci miejscowego ludu, skoro podanie z czasów wojen napoleońskich, prawdopodobnie nawiązujące do tego epizodu, a pośrednio związane z legendą o francuskich grobach pod w/w kapliczką, swoim piórem utrwalił



ANTONI HALOR

O maruderach, rozbójnikach i francuskich grobach



Rys. Antoni Halor

Stary dwór siemianowicki z XVII w.

siemianowicki hutnik i komediopisarz Piotr Kołodziej (1853–1931), twórca niebywale w swoim czasie popularnych, nie tylko w regionie, utworów scenicznych.

Jego tekst jest wyraźnym echem domowych gawęd o napadzie, dokonanym „w czasie kampanii francusko-rosyjskiej” na siemianowickie dominium. Jakaś „banda, pewna bezkarności, napadła również na zamek siemianowicki i wyrabowała go doszczętnie, niszcząc wszystko, co im stało na drodze, poza żelaznymi drzwiami w piwnicy, których nie potrafili rozbić. Spłoszeni jakimś przypadkiem rabusie, umykając, pogubili zagrabione pieniądze na dziedzińcu

pałacowym, tak, że potem dorośli i dzieci przesiewając piasek mogli odnajdywać rozrzucone wszędzie dookoła monety. Banda nie darowała nawet znajdującemu się wówczas w Pszczelniku bydłu i zabrała je ze sobą. Mieszkańcom folwarku rozbójnicy ukradli pierzyny i po usunięciu z nich pierza użyli ich jako worki na skradzione zboże, które przetransportowali do Czeladzi”.

Kołodziej powtórzył tu chyba historię mającą swoje korzenie w zapamiętanych przez pokolenie jego rodziców autentycznym wydarzeniu, które na początku XIX wieku musiało społeczność lokalną mocno poruszyć i potem było długo miejscową sensacją. Gwoli sprawiedliwości, raczej nie związaną z rajdem księcia, jako że Wilhelm Koenig, autor pierwszej monografii Siemianowic, twierdzi, że opowieść ta jest echem przeczytanej przez Kołodzieja historii autentycznego napadu na pałac, tyle, że znacznie wcześniejszego, dokonanego na samym początku XVIII wieku. Nie ulega wątpliwości, że ów napad wcześniejszy, o którym mówi monografista, również mógł mieć miejsce. Na każdym pograniczu działały się w dawnych czasach nie takie rzeczy.

Wątpliwe jednak, by punktem wyjścia takiego wariantu była lokalna saga. Tak daleko w przeszłość tradycja usna zwykle nie sięga, a jeśli już, to fabularna osnowa podania pozabawiona bywa wtedy z reguły wszelkich szczegółów (szczupłość miejsca nie pozwala na zacytowanie tekstu, potwierdzającego to przypuszczenie). W każdym razie występuje w nim niemal mityczny rozbójnik górnośląski Walenty Dyngos, urodzony podobno i mieszkający w Bytomiu, którego działalność elektryzowała przodków naszych przodków, gdy jeszcze, nie mówiąc o współczesnych gangsterach, nie było na świecie Eliasza i Pistulki. Podobnie jak ci dwaj ostatni, Dyngos miał być postacią autentyczną.

Wobec braku jakichkolwiek wiarygodnych dokumentów w tej sprawie, trudno będzie dotrzeć kiedykolwiek do prawdy, którą zapewne podanie skrywa. Fakt takiego napadu (czy nawet kilku) na pewno miał miejsce, co, przy bliskości ówczesnej granicy, nie powinno nikogo dziwić. Raczej wątpliwe natomiast jest przypisanie go mitycznemu renesansowemu złoczyńcy. Historie o Dyngosie, które zapisywali już w XIX wieku zbieracze regionalnych osobliwości, nie wspominają o takim wyczynie legendarnego zbrojaka. Ale opowieść o sławnym Walentym Dyngosie, to już inna historia i wrócimy doń w swoim czasie.

Bezrobotny Górny Śląsk

Tak dalej być nie może!

Wielki kotłowni jest po brzegi wypełniony grochówką. Grochówka pachnie słoniną, obiadem i sytością. Raz po raz w kadzi zanurza się czerpak i gorąca grochówka dostaje się do stawianych na ladzie okna dzbanków czy garnków. Siedzimy wewnątrz ciepłej kuchni i tylko przez otwarte okno widzimy, jak na zewnątrz defiluje łańcuch kobiet, mężczyzn i dzieci. Widać rękę oddającą kontrolującemu kwitek i podstawiany pod czerpak z grochówką — dzbanek. Tyle porcji zupy — ilu jest członków rodziny. Przychodzą też tacy, którzy ani kwitka nie mają, ani nawet miski na zupę.

Liczą na szczęśliwy los, że przecież nie odmówi się im miski zupy. Zawsze to dobrze jest zjeść choć raz na dzień coś gorącego. Cały kłopot polega na tym, że nie wiadomo do czego nalać im tę zupę.

Siemianowice — to obraz typowy dla Śląska

— Spatrzę sobie u sąsiadów miskę i zara przylecę — słychać czyjś głos. To jeden z takich amatorów gorącej zupy, który dowiedział się, że jest jej wystarczająca ilość i jedna czy dwie porcje nie zrobią uszczerbku. Przez cztery godziny bez przerwy dwie kuchnie wydają w Siemianowicach 3600 porcji zupy oraz taką ilość porcji chleba. Same tylko dożywianie bezrobotnych kosztuje miasto ponad 10 tysięcy złotych miesięcznie, a całokształt doraźnej pomocy (nie licząc ustawowych zasiłków dla bezrobotnych) zamyka się sumą 48 tysięcy złotych miesięcznie.

Nie należy mniemać, że Siemianowice są jakimś dużym miastem. Wprost przeciwnie — to jest przecież jedno z wielu miasteczek okręgu przemysłowego Śląska, miasteczko nie znajdujące się ani w specjalnie gorszym, ani lepszym położeniu gospodarczym od innych. Dodajmy jeszcze, że Siemianowice mają tylko 38 tysięcy mieszkańców, a wówczas będziemy mogli sobie zdać sprawę, jak olbrzymia jest suma 48 tysięcy złotych wydatkowanych miesięcznie na pomoc doraźną.

— Pyta się pan o koniunkturę Siemianowic — mówi ktoś do mnie. — Niech pan wyjrzy przez okno — odpowiedź dadzą beczynnie stojące kominy pozbawione dymu, beczadnie sterczące ku górze. To mówi lepiej od cyfr.

26 tysięcy bezrobotnych na 38 tysięcy mieszkańców

Siemianowice mogą leżeć gdziekolwiek na Śląsku. Są dziesiątki takich Siemianowic. Tak samo jak i dziesiątki tysięcy bezrobotnych, którzy grupkami lub pojedynczo stoją przed domami, na ulicach, placach, przed kopalniami, hutami i warsztatami całego Śląska. W Siemianowicach jest ponad 6550 bezrobotnych głów rodzin, to znaczy, że bez środków do życia pozostaje około 26 tysięcy osób. Zarejestrowanych bezrobotnych jest 4201 głów rodzin, z tego 461 korzysta dotąd z ustawowego zasiłku, a 2008 z pomocy doraźnej. Poza codzienną porcją gorącej strawy i chlebem (dziennie 250 g na osobę) bezrobotni dostają bony do sklepów na zakup najpotrzebniejszych produktów. Bony te, któ-

rych wysokość jest zależna od ilości członków rodziny bezrobotnego — sięgają od 2 do 25 zł miesięcznie.

To jest niewątpliwie niby mało. Ale skoro się weźmie pod uwagę olbrzymie rozmiary tej akcji doraźnej na Śląsku oraz ogromną inicjatywę w udzielaniu pomocy bezrobotnym, to wówczas zdamy sobie sprawę z tego, iż ta pomoc — w granicach możliwości — jest posunięta do maksimum. Bo bezrobotni na Śląsku nie tylko mają pomoc w postaci jedzenia. Myśli się również o nich jako o ludziach, nie tylko automatach z otwartymi ustami, automatach, które służą do przetrwania takiej czy innej ilości chleba, kartofli i słoniny.

Pomoc jest celowa i przemysłowa

212 świetlic rozrzuconych na całym fabryczno-przemysłowym Śląsku spełnia rolę ośrodków kulturalnych, skupiając bezrobotnych wokół specjalnych kursów i wykładów. Organizowane są spółdzielcze ośrodki pracy wyrabiające przy minimalnych wkładach gotówkowych sprzęty stolarskie, zabawki, narty itd. Prowadzi się również zakrojoną na wielką skalę akcję dożywiania dzieci w szkołach. Najważniejszą bodajże zdobyczą bezrobotnych na Śląsku jest opieka lekarska. Za pośrednictwem Spółki Brackiej, mającej swoje szpitale i lekarzy we wszystkich miejscowościach Śląska, bezrobotni i ich rodziny mają możliwość korzystania ze stałej opieki lekarskiej. To jest bardzo poważna zdobycz, odróżniająca dodatkowo opiekę społeczną nad bezrobotnym na Śląsku od innych okręgów Polski.

Co mówią bezrobotni? Jak odnoszą się do tych wszystkich wysiłków, do sytuacji, w jakiej się znaleźli? Stawiamy pytania. Znowu przybyliśmy pod tę samą kuchnię wydającą niezmordowanie dymiącą grochówkę. Patrzymy na dzieci dźwigające ze sobą gary pełne zupy. Przysiedliśmy na murku tuż przy kuchni i rozmawiamy. Grochówka została zjedzona — nie ma już nic do roboty, można więc rozmawiać spokojnie.

— Niech panowie zrozumią jedno — mówi Alfons Pyka — żeśmy prawie „wszystkie” tutaj, poza jakimiś „nyndzarzami”, zarabiali dawniej dobrze. Jadło się nieźle, mieszkało też niegorzej, a dzieci chodziły do „gimnazjów”, żeby na ludzi wyszły.

— Niby na przykład ja. Byłem za „fornirza” (forniarz) w bogucickiej hucie. Od najmłodszego chłopaka zacząłem i tak 21 lat pracowałem. Zarabiałem miesięcznie 200 złotych z groszami. A tu raptem

dziad — ni ma pracy, ni ma pieniędzy, ni ma jedzenia. Tak jest od 1932 roku. Ile to już czasu...

— Ile pan dostaje z pomocy doraźnej? — pytamy.

Za dużo czasu na złe myśli

— Ja mam pięcioro osób w rodzinie. Żona i troje dzieci. To dostaję miesięcznie 18 złotych „kwitem” do sklepu, 3 i pół kilo chleba na tydzień, tę zupkę i tonę węgla na całą zimę. Za mieszkanie, od kiedy nie robię, zalegam. Trzeba tylko płacić 2 złote za światło i 1,50 miesięcznie za wodę — bo inaczej zamkną.

— Wie pan, co jest najgorsze? To, że nic do roboty nie ma — dorzuca ktoś z boku. — Od maleńkości każdy był do roboty „zwykły”. Robiło się, czasem na robotę człowiek „pierunował”, ale było zajęcie. A teraz największa bieda, co z tym czasem zrobić. Za dużo go jest.

I teraz pada z moich ust pytanie. Pytanie, jedno z takich, które są nieuniknione, które mimo woli wyłaniają się. — Co będzie dalej? — mówię. — Czy tak już będzie bez końca?... Jest cisza, nikt się nie kwapi do odpowiedzi. Nikt z tej gromadki ludzi, którzy ani jednego dnia nie odpracowali od roku 1932 czy 1933 — nie mówi. Patrzą na zafrasowane, przeorane nędzą i złymi myślami, twarde twarze otaczające mnie. I myślę, jakaż będzie odpowiedź: czy będzie pełna rezygnacji, czy też wywołana buntem przeciwko stanowi obecnemu.

Zastanowili się nad moimi pytaniami, które zaskoczyły ich. Teraz wszyscy, jeden przez drugiego, chcą odpowiadać. Głosy padają ku mnie, każdy chce powiedzieć o tym, co go boli i gryzie.

Dzieci zjadłyby buty z „zolemi”

— Roboty nie dostanie, żeby nie wiem co robić. Ani prosić, ani wołać. Jak kto ma jakiego „ujca” za dyrektora, to robotę dostanie, ale tak sprawiedliwemu człowiekowi nie dadzą — woła jeden.

A milczący do tej pory Pyka dorzuca:

— Tak dalej być nie może. Muszą coś zrobić. Nas za dużo jest takich, co lata całe nie robią. Powinni tych, co pracują bez przerwy — na rok, choćby na pół roku — puścić i nas wziąć do roboty. Żebyśmy trochę siły nabrali, potem my ich znowu puścimy. My do tego nawykli.

— Straszna rzecz to z dziećmi. One moje „zole” z butów zjadłyby na śniadanie. Nigdy taki dzieciak nie jest najedzony. Ciągłe tylko woła i woła: tato, mnie się chce jeść. A starsze: co z nich wyrośnie, do roboty nienawykli, ganiają tylko po ulicach, obijają się. Nie będzie z nich pożytku, nie będzie — mówią wdychając.

Powietrze jest ciężkie i duszące. Atmosfera musi ulec zmianie. Alfons Pyka wie o tym i mówi, że gdyby nie wierzył w zmianę, toby się powiesił. Kiedyż zmieni się jego los? — pytamy się sami siebie, jadąc w południe wśród kominów bez dymu i zakładów przemysłowych pozbawionych ostrego gwizdu syren obwieszczających południową zmianę „szycht”.

JÓZEF RADZIMIŃSKI

W obronie słowa

Tym razem były to już piąte Spotkania w kurorcie Luhaczowice — na pograniczu morawsko-słowackim. Brali w nich udział pisarze polscy, czescy, słowaccy, słowińscy, austriaccy, niemieccy oraz przedstawiciel pisarzy rusińskich w byłej Rusi Zakarpackiej. Hasłem wywoławczym tych spotkań było stwierdzenie: SŁOWO — GATUNEK ZAGROŻONY.

Z zaproszonych pisarzy polskich przybyć mogli tym razem Bogusław Żurkowski — poeta, krytyk literacki, prezes SPP w Krakowie, Michał Bukowski — poeta urodzony w Poznaniu i znakomity fotografik, członek Królewskiego Towarzystwa Fotograficznego w Londynie, od 1985 r. zamieszkały w Wiedniu oraz Wilhelm Przeczek — poeta, pisarz, członek Rady Gminy Pisarzy w Ostrawie i Brnie, który reprezentował Zrzeszenie Pisarzy Polskich w Republice Czeskiej i Górnośląskie Towarzystwo Literackie.

Program luhaczowickich spotkań pisarskich rozpoczął się od wieczoru poetyckiego w pomieszczeniach willi słynnego na cały świat producenta obuwia Tomasza BATI w Zlinie. Organizatorem imprezy był czeski ośrodek PEN CLUBU w Pradze, Zarząd Główny Gminy Pisarzy z Pragi (jego honorowym prezesem jest prezydent Václav Havel) oraz Rada Gminy Pisarzy w Brnie i Ostrawie.

Rozmawiano przede wszystkim o zagrożeniach dla literatury, jakie wypływają z rozwoju mediów i tym — z reguły krytycznie — jak język żurnalistyki oddziałuje na stan języka literackiego.

Konferencja rozpoczęła się od przyjęcia uczestników przez starostę Luhaczowic w Urzędzie Miasta. Następnie odbyło się spotkanie literackie w kawiarni hotelu PALECE. Wzięli w nim udział także bibliotekarze, wydawcy i przedstawiciele instytucji handlu książkami. Bogusław Żurkowski przedstawił swój tomik „Pieśni karłowarskich źródeł”, który ukazał się w przekładzie na język czeski; tłumaczami tego zbioru poezji są Lucyna Przeczek-Waszkowa oraz Libor Martinek (wyd. Snoza, Czeski Cieszyń, 2000). Michał Bukowski prezentował teksty z tomiku „Laskavost oblaku”) przekład Lucyna Waszkowa, Libor Martinek i Wilhelm Przeczek (wyd. Zrzeszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej, druk OFFSETDRUK, Cieszyń, 2000).

Główny referat wygłosił pisarz czeski Vladimír Fuks z Brna i Michał Bukowski z Wiednia. Szczególnie wystąpienie Michała Bukowskiego wzbudziło zainteresowanie. Tłumaczyłem ten referat na czeski i byłem świadkiem tego, jak po prelekcji podszedł do M. Bukowskiego były szef Izby Poselskiej oraz czeski minister kultury — Milan Uhde — i złożył mu gratulacje mówiąc po prostu płynną polszczyzną. Kolejne takie połońcizmy wytuskałem na spotkaniu autorskim w Willi Tomasza Bati w Zlinie. Czeski pisarz Otto Ulč, który od lat żyje w Kalifornii, ale często drukuje w czeskiej prasie, przeczytał felieton poświęcony łowienu ryb; wystąpił tu również przyjaciel Otto Ulča, Eugeniusz Bałon — jeden z wybitnych współczesnych ichtologów, który ukończył gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. Zapamiętałem go z tamtego czasu i zapytałem O. Ulča... o to, czy to rzeczywiście chodzi o Eugeniusza Bałona — bo w felietonie był to Evžen Bałon. Okazało się, że miałem rację.

Luhaczowickie spotkania odbywały się już po raz piąty. Zawsze jest to okazja do spotkań przyjacielskich i nawiązywania kolejnych znajomości pomiędzy pisarzami różnych narodowości. Obrady prowadzili Antoni Jelinek — prezes Gminy Pisarzy z Pragi oraz Jaroslav Novák — prezes Obce Spisovatelů z Brna. Pogoda była wspaniała — nie tylko dla bogaczy, ale przede wszystkim dla ubogich pisarzy z różnych miejsc Europy środkowej. A ponad wszystko królował tu ten wspaniały mikroklimat luhaczowicki oraz woda mineralna VINCENTKA. Smakowała najlepiej po niepowtarzalnym winie morawskim na bankiecie w Hotelu ZÁLESÍ (Zalesie), który zakończył spotkania pisarzy w roku bieżącym.

WILHELM PRZECZEK



Rozmowy
z ks. prof.
JÓZEFEM
TISCHNEREM

OBJAŚNIANIE BIBLII

31. Księga Ezdrasza i Nehemiasza

— Spełniły się słowa Boga wypowiedziane ustami Jeremiasza „Dokąd kraj nie wywiąże się ze swoich szabatów, będzie leżał odłogiem przez cały czas swojego istnienia, to jest przez siedemdziesiąt lat”. Po długim czasie niewoli babilońskiej król perski Cyrus nakazał odbudowę gminy żydowskiej, także zniszczonej Jerozolimy, świątyni i pałaców. Czym spowodowana była wspaniałość perskiego władcy?

— Coś nowego zaczyna się dziać w tym przedziwnym starożytnym świecie. Jakiś rozsądek zaczyna wracać do głów władców. Nagle się okazuje, że aby państwo było potężne nie trzeba zniewalać poddanych i w jakimś sensie ich wyniszczać. Król perski wyraźnie liczy na mądry sojusz. Jedność religijna w tym sojuszu nie jest wcale potrzebna. Niech Izraelczycy wierzą sobie w co chcą, byleby płacili podatki. Z kolei naród Izraelski odzyskuje swoje miejsce na ziemi darowanej im przez Boga. W niewoli babilońskiej Żydzi byli tylko repatriantami, nie przestali myśleć o odzyskaniu swego terytorium. Z dziejów nie tylko tego narodu wiemy, że siedemdziesiąt czy sto lat zaboru ziem, w historii jest zaledwie chwilą. Pragnienie ich odzyskania jest przemożnym i nieustannym celem każdej państwowości. Widocznie król perski wyczuwał wśród Izraelitów stan wrzenia i zamiast czekać na nieuchronny bunt wyszedł naprzeciw ich oczekiwaniom.

— Ale do kolejnych władców perskich napływają skargi na poczynania Izraelitów. Oto fragment jednego z listów: „Niech król przyjmie do wiadomości, że Żydzi, którzy od ciebie wyszli i przybyli do nas, do Jerozolimy, odbudowują to buntownicze i niegodziwe miasto. Jeżeli zostanie odbudowane a mury naprawione, to oni podatku, daniny ani cła nie uiszczą i to w końcu królom przyniesie szkodę”.

— No cóż, Żydzi byli diametralnie inni od pozostałych ludów czy narodów. Inni, bo uważali, że ich właściwym królem jest Bóg, a każdy król sprawuje władzę wtedy, kiedy został przez Niego namaszczone. Poza tym, co równie jest istotne, w narodzie żydowskim nie było niewolnictwa, prawo zakazywało zniewalania. Pod tym względem był to najbardziej wolny, z największym poczuciem wolności

naród w ówczesnym świecie. Hegel zauważył, że w Izraelu nie było niewolnictwa, bo wszyscy czuli się niewolnikami Boga. Tak więc niewolnik sam mógł zniewalać. To oczywiście nieco przewrotna teza, ale nie zmienia ona faktu inności tej nacji. I jak każda odmienność, była łatwo zauważana, analizowana i atakowana. Nic w tej materii się nie zmieniło, chyba tylko to, że wysyłanych do Jerozolimy szpiegów donoszących na Żydów i życzących im wszystkiego najgorszego, nie nazywano jeszcze antysemitami. Następca Cyrusa, król perski Dawid wydał nakaz o wieszaniu na belce własnego domu każdego, kto będzie przeszkadzał w odbudowie Jerozolimy i świątyni Salomona. Tak radykalne postanowienie świadczy dobitnie o tym, jak wrogie było nastawienie do tej nacji, jak Żydzi wadzili wszystkim i wszędzie gdzie się pojawili. Nieustająco stawiane są znaki zapytania dlaczego tak było i jest. Odpowiedzią powinna być właśnie ta trudna do ogarnięcia i zrozumienia inność. Zaglądając głębiej do żydowskiej duszy zobaczylibyśmy, że różnice te biorą swój początek także w historii, którą przecież Izraelici odkryli. To oni pierwsi doświadczyli jej znaczenia, wagę tradycji, przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Inne ludy żyły przede wszystkim przeszłością. Wszystko co się działo w Babilonii, Egipcie było jak gdyby powtórką, powrotem tego samego. Natomiast w Izraelu wybuchło coś istotnie różnego, mianowicie zaczęła się kształtować w związku z przyszłością nadzieja. Do tej fundamentalnej sprawy niech pani doloży wyjątkową relację z Bogiem i oto cała tajemnica odmienności narodu wybranego, niestety do dziś źle tolerowanej. Można się na mnie zżymać i za mną nie zgadzać, ale tak to właśnie rozumiem.

— Izraelici nie tylko odbudowują miasto i świątynię, ale też odnawiają przymierze z Bogiem. Co takiego zaszło w relacji Bóg - naród wybrany, że zaszła potrzeba przeprowadzenia, powiedzmy reformy religijnej?

— Istotnie, te dwie sprawy wiążą się nierozdzielnie ze sobą. Odbudowane mury będą służyć do obrony, natomiast odnowione przymierze do odzyskania wewnętrznej tożsamości. Z podobnymi sytuacjami spotykamy się także i dzisiaj. Powstaje pytanie wokół czego jednoczą się narody? W przypadku Rewo-

lucji Francuskiej, były to prawa człowieka i konstytucja. Z tym się identyfikował dziewiętnastowieczny Francuz, to były najbardziej doskonale wytwory ducha narodu tej epoki. A Amerykanie? - rozmaite narody, kultury i religie. Co ich łączy? Także znakomita konstytucja. I pora na Polaków. Co nas łączy? Paradoxs naszej dzisiejszej sytuacji polega na tym, że nie bardzo wiemy co. Jednych łączy Kościuszkowski, innych Chopin. Był czas, że duchem polskiego narodu był Papież, ale już dziś są co do tego wątpliwości. Kłopot z identyfikacją oczywiście nie sprzyja Polakom w utrzymaniu jednności.

— Dla narodu izraelskiego trwałą spoiną były prawa, które po raz pierwszy, uroczystie zapisano w księdze Ezdrasza. Spisane prawa stanowiły podstawę religii judaistycznej. Zapisane prawa miały wsiąknąć w ciało. Jak to rozumieć?

— Religia potrzebuje ciała, jakby urealniała się w ludzkiej cielesności. Czego nie zaznasz na ciebie nie trafi do duszy. Weźmy sprawę święcenia szabat. Ciało w szabat będzie siedzieć w domu z rodziną, będzie jeść i wypoczywać, nie będzie wędrować, handlować, nie zarobi ani grosza. Te prawa i przepisy z biegiem czasu będą się mnożyć, ale pierwotny zapis świadczył o radykalnej zmianie w kulturze i cywilizacji. Oto wydano wyrok śmierci na greckiego, rozpasanego Dionizosa, który nie znał granic w rozpuszczeniu i picu. Judaizm sformalizował ciało. Wiadomo już co jeść, ile, nawet o jakiej porze. Wiadomo za kogo wydawać córki za mąż i z kim się żenić. Jak dbać o dom Pana, składać w nim ofiary z płońców, hodowanych zwierząt a nawet pierwotnych synów. Znosi się ich do świątyni, a jeżeli nie przeznaczają na służbę Bogu, trzeba ich z tego przybytku wykupić.

— Księga kończy się rozdziałem zatytułowanym „Ostatnia działalność Nehemiasza” w którym autor opisuje z jaką gorliwością egzekwował od swych rodaków przestrzeganie spisanych praw. Księga i rozdział kończy się, co mnie serdecznie ubawiło, prośbą: „Pamiętaj Boże mój o tym na moją korzyść”.

— Piękna sprawa. Jeżeli z naszych rozmów miałoby wyniknąć coś dobrego, to też wspólnie westchnijmy: Pamiętaj Boże o tym na naszą korzyść!

32. Ja, Tobiasz

— Doszliśmy do pełnego folkloru opowiadania, można je zaliczyć do rodzaju literackiego zbliżonego do noweli, o pewnej rodzinie izraelskiej, na której czele stał Tobiasz. Kim był bohater kolejnej biblijnej księgi?

— O Tobiaszu wiemy dużo, bo na początku Księgi sam o sobie w pierwszej osobie opowiada. Był to mąż równie zamożny, poważany jak i pobożny. Kapłanom dawał dziesięciny, wspierał sieroty i wdowy, karmił głodnych, ubierał nagich, nie jadł pogańskich potraw, chodził na pielgrzymki, ożenił się kobietą pochodzenia izraelskiego. W czasie prześladowań Żydów potajemnie grzebał porzucone zwłoki pomordowanych, czym naraził się królowi asyryjskiemu. Słowem pani Ewo, był to taki porządny Ślązak czy Górął, który kiedy dotykają go nieszczęścia pyta zdumiony - dlaczego? Każdy z nas ma w sobie coś z rodowodu Tobiasza. Nic szczególnie złego nie robi, żyje przykładowie, rodzinnie i spokojnie, a tu nagle jak grom z jasnego nieba, pasmo, klęsk i niepowodzeń. Ja sam, kiedy we Wiedniu stuknięto mi samochód, pomyślałem: Boże dlaczego akurat mnie się to przytrafiło...

— W czasie snu na oczu Tobiasza spadły odchody ptasie, powodując ślepotę. Nieszczęście spotkało też Sarę z innej rodziny izraelskiej. Pochowała aż siedmiu mężów, żaden nie przeżył nocy poślubnej. Czyli proszę księdza profesora same koszmary.

— W tej księdze nagle z tego wielkiego porządku, wylaniają się problemy jednostek. Jest to przełożenie losu narodu na los człowieka. To piękne opowiadanie ma wiele motywów teologicznych: Opatrzność Boża czuwa nad tymi, którzy są wierni ustalonym prawom. Rozwija się nauka o aniołach i demonach, które są personifikacją dobra i zła. Mamy też wiarę w cudowne uzdrowienia i podkreślenie sensu uczynków miłosierdzia. W przypadku Tobiasza jest to grzebanie zmarłych. Ale dla mnie pani Ewo najważniejsza jest sprawa cierpienia, naczelny wątek Księgi, który ciągnie się długo i mozolnie, tak jak dłuży się każdemu własne cierpienie. Kiedy człowiek pozna je-

go sens, łatwiej stawić czoło temu nieznosnemu stanowi ciała i ducha.

— Ale czy kiedykolwiek można zrozumieć i pogodzić się z cierpieniem, człowiek godzi się na raczej łaskę niż na cierpienie.

— W Księdze Tobiasza mamy wypowiedź wielkiej idei - zło dobrem zwyciężaj. Ile razy dotknie ciebie zło, tyle razy spróbuj je dobrem zwyciężyć. Wtedy stajesz się rzeczywistym twórcą dobra. Bo jeżeli na dobro odpowiadasz dobrem, w gruncie rzeczy nie jesteś jego twórcą. Natomiast jeżeli pomimo nieszczęścia jesteś dobry, to wtedy stajesz się tym, który na świecie tworzy dobro. Przykład Tobiasza, Sary to pierwszy znak, jak należy się zachowywać w ekstremalnie trudnych sytuacjach. Musi pani przyznać, że ten przytłoczony nieszczęściem Tobiasz jakoś nam imponuje.

— Trafiał ksiądz profesor w sedno. Chciało by się mieć tyle męstwa i wytrwałości ile miał Tobiasz.

— I jakie są tego męstwa efekty. Tobiasz odzyskuje wzrok. Bliska samobójstwa Sara wychodzi po raz ósmy za mąż. Kolejnym, ósmym wybrankiem jest syn Tobiasza. Wiedzimy, że nieszczęście nie dzieli ludzi, przeciwnie właśnie cierpienie, niedola a nie dostatek i powodzenie, połączyło te dwie izraelskie rodziny.

Wreszcie rzecz fundamentalnej wagi. Księga ta pokazuje jak ludzie wychowują ludzi. Tobiasz, wzorowy mąż i ojciec doczekał się wspaniałego, szlachetnego syna. Dlaczego? bo był dla niego wzorem, autorytetem. Naród izraelski ma prawa, ale samo prawo nie wystarczy do dobrego wychowania obywateli. Potrzebni są i dobrzy nauczyciele i dobrzy rodzice, tacy jak Tobiasz czy matka Sary.

Muszę się przyznać, że z Księgą Tobiasza łączą mnie osobiste wspomnienia. Uczyłem religii w szkole podstawowej. Były to czasy głębokiego socjalizmu, konfliktu prawa moralnego i prawa państwowego. Tobiasz jako mąż sprawiedliwy, wbrew nakazowi króla grzebał zmarłych, najprawdopodobniej buntowników przeciwko swemu władcy. Miłosierdzie Tobiasza było silniejsze od wszelkich, nawet królewskich nakazów. Temat samograj. Mówię więc moje dzieci kochane, W życiu nie wystarczy być dobrym,

trzeba też być odważnym, Bo jak ktoś jest tylko dobry ale tchórzliwy, to wiele pożytku nie ma z tego człowieka, ponieważ nie ma odwagi zademonstrować szlachetnej postawy. Na trzecią klasę było to trochę abstrakcyjne. Szukałem w życiorysach świętych dobrego i odważnego, aby wywód podeprzeć przykładem. Ponieważ nie znalazłem, jako dobry pedagog sięgnąłem zatem do własnego życiorysu. Znów mówię, dzieci kochane chodziłem do liceum i rok byłem w najgorszej klasie. Nie dokończyłem jednak wywodu, bo wszystkie palce zostały skierowane w moją stronę. To ksiądz był najgorszy? Nie, prostuję, ja byłem grzeczny tylko... I wtedy wstaje reżolutna Marysia i mówi z politowaniem: Ksiądz to jest może i dobry, ale tchórzliwy bo nie ma odwagi się przyznać. I tak zakończyła się lekcja o Tobiaszu. Dzieci nie dowiedziały się dlaczego, mimo, że był spolegliwy i miłosierny, okrutnie cierpiał. Myślę, że dorosłe życie moich góralskich dzieci, nadrobiło tę nieudaną, przerwana lekcję. Idę o zakład, że każde w pewnym sensie, przeszło drogę Tobiasza.

— Księga dobrze się kończy, ale mam jeszcze jedną wątpliwość. Dlaczego zło zostaje odpędzone jakimisź sztuczkami, wręcz magią. Jakaś ryba, jej trzewia, żółć mają nadzwyczajną, uzdrawiającą moc.

— Tego nie wiem. Może jest to wskazówka dla lekarzy, że przyroda i to co w niej żyje może być źródłem medykamentów? Pila pani tran? To też trzewia rybie, kiedyś niezastąpione źródło witamin. Wszystko co jest w przyrodzie można i trzeba wykorzystywać, tylko z umiarem bez nadużywania. Na przykład ziemniaki. Są w nich pewne substancje, które jak się odpowiednio zagotuje, to można uzyskać płyn o nadzwyczajnej mocy.

— ... o czym to ksiądz profesor mówi?

— Muszę jakoś zaakcentować swój góralski rodowód. Przyroda kryje w sobie wiele tajemnic a każdy górął dobrze te tajemnice zna.

Rozmawiała:
EWELINA PUCZEK

OD REDAKCJI

To ostatnia rozmowa z ks. prof. Józefem Tischnerem. Przez trzy lata, od stycznia 1999 roku, publikowaliśmy w odcinkach wywiad - rzekę, który z ks. Profesorem, przygotowała dla nas red. Ewelina Puczek. Mamy nadzieję, że te rozmowy o sprawach ludzkich i boskich ukaza się osobno drukiem.

Idea... i pokusy

Idea w stanie czystym bywa nią tak długo, dopóki nie dochodzi do jej nieuchronnej materializacji. I właśnie ta faza jest z reguły najbardziej podstępna: konfrontacja wizji, wyobrażenia, zamysłu, wzniosłych intencji - z rzeczywistością, która potem raz po raz skrzeczy i wierzga. Pomimo fatalnych doświadczeń ludzie jakoś wciąż są skłonni wynosić idee i byty niematerialne, uznawane za pierwotne, ponad realne prawa życia. A już wiara w boską doskonałość natury ludzkiej i zwycięstwo sprawiedliwości nawiedza niepoprawnych idealistów wbrew doświadczeniom od Kaina i Abela. Ba, nawet tego węża, który tak kusił, aż skusił, co się odtąd powtarza permanentnie, nawet jeśli nie każdy wąż skusi upatrzoną Ewę. W końcu jednak uda mu się skutecznie nakłonić, żeby tylko do skosztowania jabłka, jeśli nie Beatę, to Agatę, względnie Renatę, czyli zrealizować upojenie to, o co w znaczeniu interpersonalnym chodzi.

Po ostatnich wyborach do Sejmu i Senatu otrzymaliśmy w skali absolutnej niemal skrajne potwierdzenie jak się mają potem programy do realizowanej praktyki, skoro klęska rządzącej arcyprawicy okazała się pogromem. A przecież poprzednie wybory oznaczały tryumfalne przejście całej władzy przez namaszczonego idealistów w historycznej misji ofiarnej a bezinteresownej pracy na rzecz państwa i narodu. Co prawda kłasiwy Jaruś Kaczyński nie bez żadownej przekory szyderczo obwieścił: teraz k... my, przewidując proroczo co się niechybnie stać musi, gdy pazerni zwycięzcy w swej związkowej szaroburej masie runą na stanowiska i posadki skuszeni nie tylko przez polityczne łupy. Nawet nie zapominając o skazie natury ludzkiej, która bywa kłębowskim żądź i niecnym pasją, takiego widowiska nikt przewidzieć nie mógł. Gdybyż to byli jednak wychowani a cyniczni liberalowie, czy nawet kryptosocjaldemokraci po gruntownych korektach genetycznych a niekiedy i operacjach plastycznych nabrzmiałych czerwonych pysków. Ale gdzie tam - akurat w większości manifestacyjnie nabożni, wstrzemięźliwi a praktykujący wyłącznie spontaniczny seks prokreacyjny ku chwale ojczyzny, by nie uronić choćby plemnika. Co jeden zresztą czuł się dziedzicem ideałów Wielkiego Marszałka, który miał nie tylko wolę tworzenia nowej historii, ale oddał się jej bez reszty obojętnej na ziemskie dobra i apanaże władzy.

Otóż to: Józef Piłsudski jako wzór i przykład w służbie dla Polski jest nader trudny do naśladowania. Jego wymagania osobiste były zawsze wyjątkowo skromne, zaś najwięcej wymagał od siebie. Nie wchodził w zawilości praktyki władzy oraz pojmowania demokracji po swojemu przez największego w dziejach pogromcy bolszewików, jedno wymaga przypomnienia: surowość zasad i ograniczanie własnych potrzeb do minimum. I tak było zawsze.

Uznany biograf Wacław Jędrzejewicz stwierdza: „Warunki materialne państwa Piłsudskich były bardzo skromne. Przyznane mu emerytury jako Naczelnika

Państwa i Marszałka Polski Piłsudski przeznaczał na różne cele społeczne i kulturalne, zwłaszcza na inwalidów i sieroty po poległych legionistach i żołnierzach wojska polskiego. /.../ Tak rozporządziwszy się odnośnie swego uposażenia, Piłsudski postanowił żyć z własnej pracy pisarskiej, do której zabrał się z wielkim zapalem, oraz z odczytów, do których przygotowywał się bardzo starannie.” Także po przewrocie majowym oszczędzał na sobie i rodzinie, zaś Belweder był miejscem ograniczania potrzeb do minimum: żadnych wydatków zbędnych i wymuszanych świadczeń państwa. Pani Marszałkowa Aleksandra krzątała się w domu niczym kuchta, ceraowała córkom skarpety, dziergała na drutach, sam zaś pierwszy obywatel II Rzeczypospolitej dał sobie nawet przenicować mundur i płaszcz, byle oszczędnie, aby móc nadal leżyc na umiłowany Uniwersytet Wileński im. Batorego, na który przekazał z własnych oszczędności 74 tys. złotych.

Nie bez podstępnej intencji o tym przypominam. Moim obmierzłym zdaniem powoływanie się na niezłomny antysowietyzm i antykomunizm pogromcy Tuchaczewskiego to nadużycie i bezczelna uzurpacja praw do duchowego dziedzictwa, jeśli nie idą za tym ograniczenia w sferze aspiracji reprezentacyjnych i biesiadnych władz oraz przedstawicielstw wszelakich - od Iba, po ociężałe ogony rozpasanej władzy. Awantury o apanaże - służbowe limuzyny i wymyślne przywileje już nie zawstydzają niedawnych gołodupeców, którzy co rusz urządzają nieustanne żerowiska, z homarami, przepióreczkami w sosikach niebiańskich i kawierem w miejsce praśnej kaszy z gara. I stało się, że pogardzany od lat demagogiczny Jędrzej Lepper - ten warchoł, ten arogant, ten prostak, ten cham!... - będzie się teraz rozpiekał i pykskował w parlamencie a nie ten i ów... wydawało się dożywotni rezydent apartamentów przy ulicy Wiejskiej.

Sкусиło mnie... zaślepiło... Nie mogłem się oprzeć... Działalem w dobrej wierze... dałem posłuch doradcom - tłumaczy się niejedyn. No cóż, władza - to i rajskie pokusy oślisłego węża syczącego długo a przymilnie: weź, bierz, sięgnij, nie opieraj się, skoro czas to okazja... Bierz pókiś ministrem, wojewodą, czy wybrańcem narodu... Słyszysz: nie ma rozwiniętej demokracji - bez odpowiednio rozwiniętej korupcji, człowiek jest tylko człowiekiem jak idea idea, dopóki w stanie abstrakcyjnym, a więc czystym.

Zwycięstwo pokus nad zasadami jest widoczne chociażby na przykładzie mandatarzyszy z ulicy Wiejskiej. Sejm z lat PRL obywał się dietami na poziomie półtora średniej pensji krajowej. Przelomo-

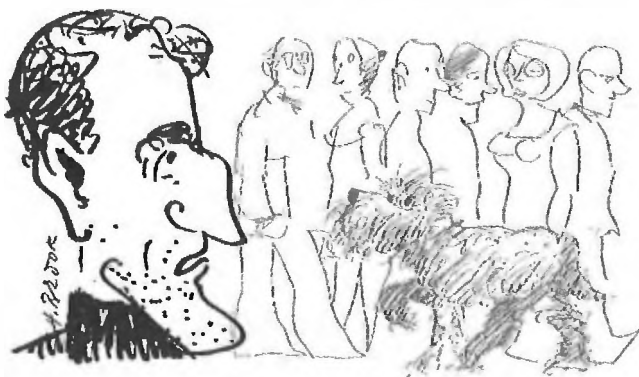
wy Sejm Kontraktowy wystartował równie skromnie z poczuciem obywatelskiej misji. Kiedy jednak posłowie z OKP rozjechali się tłumnie po krajach Zachodu, a docierali grupami także do USA, wracali coraz bardziej sfrustrowani i upokorzeni. Wynagrodzenie było senatora tam i u nas...! Apanaże i przywileje posłów w krajach Unii Europejskiej a nasze...! Wstyd i dyshonor, jeśli je porównywać z naszymi wynagrodzeniami w służbie idei. To trzeba zmienić. Jeśli Polska chce, musi wejść do Unii Europejskiej, powinna tam zastać zadomowionych Europejczyków, a więc wybrańców narodu, którzy dokonają gruntownego rekonesansu.

I tak zaczął się pościg w wyrównywaniu dysproporcji, czyli przeliczanie misji dziejowej na pieniądze i przywileje. Rychno uposażenie zawodowego posła osiągnęło wynagrodzenie podsekretarza stanu, które wynosi obecnie 8.980 złotych. Do tego dochodzi dieta - ostatnio w wysokości 2.245 złotych. Jeśli poseł sprawuje dodatkowe funkcje - przysługują mu dodatki. Na prowadzenie biura poselskiego otrzymuje miesięcznie 9.320 złotych. Przysługują mu ponadto środki na prowadzenie biura, wyposażenie i wiele innych przywilejów, w tym darmowe przejazdy, środki na zakwaterowanie, na ekspertyzy... Ostatni sejm dzięki przezorności posłów rządzących większością zapewnił także 3. miesięczne odprawy tym parlamentarzystom, którzy nie zostaną wybrani ponownie, co daje niemalą kwotę. Sute odprawy mają oczywiście zagwarantowane wysocy dygnitarze rządowi, bez względu na to jak sprawowali swe funkcje, jeśli nawet z wielką stratą dla kraju.

Relacje między ideą czystą - a pieniędzmi nabrały zresztą w ojczyźnie legendarnego Ziuka nowego znaczenia, skoro im większe apanaże, tym mniejsza ponoć podatność na pokusy przekupstwa. I ten argument został przywołany gdy toczyły się w sejmie boje o ograniczenia uposażeń dla członków Rady Polityki Pieniężnej i szefa Narodowego Banku Polskiego, który zarabia 45 tys. złotych miesięcznie brutto. Przyjęto zasadę, że płacić należy tyle by kręgosłup nie ugiął się pod naciskami pokus, gdy ów oślisły a podstępny wąż zasyczy: weź, bierz, nie odmawiaj...

Ale jednak zdarza się, że ktoś stanowczo stawia opór i stwierdza: nie, nie, nie!... Tak stało się ostatnio w Podkarpackiej Kasie Chorych, gdzie wielkorządcy rodem z AWS-u, jak podaje „Gazeta Wyborcza”, odmówili przyjęcia nagród za pracę w roku 2000. Czyżby z chwałebnej potrzeby samoograniczenia...? Bo skoro Józef Piłsudski mógł... Otóż nie; dowiedzione uchybienia spowodowały, że nagroda ta stopniała do 25 procent. Z tego też powodu Wielmożna Pani Dyrektor Anna Szubart-Lelek nie przyjęła 6000 złotych, skoro miała to być kwota czterokrotnie wyższa. Przykład ten nie oznacza, jak widać, zwycięstwa idei nad materią. Szantaż jako wyraz dumy i godności w przeliczeniu na złotówki. No właśnie: albośmy to jacy tacy!...

SKORPION

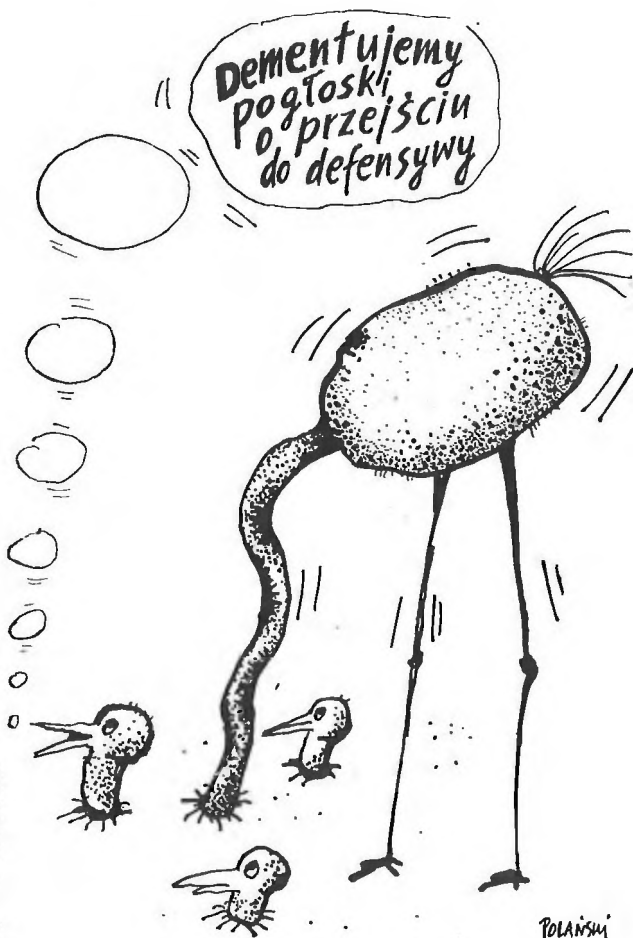


Bezsprzecznie znakomity grafik Tomasz Jura miał owczarka podhalańskiego o imieniu „Hyrna”. Hyrna była białą suką znaną nie tylko w Milówce gdzie profesor ma swoją chałupę, ale i w Katowicach, gdzie również bywała.

I jak to z psami bywa po którymś miejskim wyjściu nie wróciła. Smutno się stało w domu Tomka

i ówczesnej małżonki Dziuchy, aż któregoś dnia ktoś zadzwonił... Hyrna spaceruje po rynku!

Wybiegł tedy Tomasz i zaiste napotkawszy nieco białego psa złapał go za kudły i jął taszczyć do domu. Jakoś psisko nie ucieszyło się na widok Pana, niechętnie szło, lecz ciągnione iść musiało. Wsadzili ją do wanny by przywrócić jej biel pierwotną i przy tejże kąpeli okazało się, że i owszem owczarek podhalański, ale nie suka jeno pies i to całkiem obcy. Długo jeszcze potem widywano profesora z Hyrną, dla tych, co nie znało tej historii - nic się nie zmieniło.



Rys. Marek Polański



SÁNDOR MÁRAI

O lenistwie, które wychodzi na dobre

Prawdziwą przyczyną większości ludzkich bied, niepowodzeń, beznadziejnych, haniebnych i złowróżbnych sytuacji nie jest ludzkie zło, lecz po prostu gnuśność. To swego rodzaju „lenistwo, które wychodzi na dobre”, o czym mówi Biblia. Zabójca jest dość rzadkim ludzkim fenomenem. Do zabójstwa bowiem potrzebna jest siła, indywidualność, wyobraźnia, wielkie pasje. Przed zabójcami można się bronić. Lecz częściej występuje ten, przed którym nie można się bronić, i który hoduje miliony ludzkich bied i tragedii, ten pocziwy i gnuśny człowiek, który odwraca głowę, gdy widzi jakąś podłość, lub bezprawie, nie podnosi słuchawki telefonicznej, gdy mógłby pomóc tym ostrzeżeniem, ostrożnie okrąża ludzką niedzę i bez słowa idzie dalej, chociaż bez specjalnej ofiary, bez wysiłku mógłby przywrócić jakiemuś człowiekowi chęć do życia, lub pomóc ulomnemu. Człowiek, który staje do walki ze światem w imię własnej tyranii, nie jest tak niebezpieczny, jak uprzejma, obłudna i przemyślna przeciętność, mrużąc ugodowość, i tchórzliwe i leniwe samolubstwo. To jest grzech główny. Tego rodzaju człowiek czyni świat takim, jakim jest, i jemu możemy być wdzięczni, gdy mając ów zasób doświadczeń, bez specjalnego żalu żegnamy się, w godzinę śmierci, z ludzkim światem.

Z „Księgi ziół”
tłum. FELIKS NETZ

WIESŁAW MALICKI

AFORYZMY

- Cywilizacja zabrnęła już tak daleko, że zagraża jej droga odwrotu.
-
- Jakże odkrywcze są myśli tych, którzy posądzają nas o to samo.
-
- Nie każda skala możliwości zaczyna się w La Scali.
-
- Polegając na prawie kaduka, można zejść dalej,
-
- Świadomość niewiedzy czyni z nas filozofów.
-
- Trzeba mieć klasę – twierdzą repeciarze.
-
- Tempo życia coraz rzadziej zmienia skarpetki.
-
- Jest nieśmiały. Tym śmielej może z tego korzystać.
-
- Coraz częściej poznaje się wielkość... po skopanych kostkach.
-
- I zbrodniarz ma swój udział w sztuce, gdy tworzymy portret pamięciowy.
-
- Codziennność karmi nas sprzecznościami, a spijając każe ich skutki.
-
- Ciesz się zasłużonym uznaniem, którego nie jest wart.
-
- Nie dmuchaj na słowa, które zaiskrzyły.
-
- Esteta. Nim kogoś kopnie, czyści buty.
-
- Ledwo dyszy. Spętany jest więzami przyjaźni.
-
- Pijąc ze źródła, odbieramy pośrednikom wpływy.

Urodzony w 1928 roku w Rawie Mazowieckiej Tadeusz Łapiński jest absolwentem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Od 1967 roku pracuje w Stanach Zjednoczonych. Zdobył wiele prestiżowych nagród i uznanie krytyki. Jak twierdzą znawcy, jego barwna litografia weszła do kanonów światowej grafiki. Jesienią 2000 roku w Galerii Sztuki Współczesnej Esta w Gliwicach wystawił obok grafik obrazy, które opowiadały świat co prawda abstrakcyjnie, ale nie rezygnując z wiarygodności emocji. Milion lat temu albo wczoraj umarli nie tylko przedmioty, ale także ich znaczenia. Artysta nie dociekał, dlaczego tak się stało. Każda praca była jak fotografia otwartego w wyobraźni stanowiska archeologicznego.

Wystawa, jakich wiele. Galeria, jakich niemało. A jednak kontakt z nią może stać się impulsem. Łapiński przyjechał do Gliwic przeświadczony, że zobaczy szare, brzydkie miasto, spowite dymami, przytłoczone ciężkimi bryłami hut albo koksowni. Już pierwszy spacer odsłonił przed nim piękno katedry, Zamku Piastowskiego, rynku i Ratusza, bogatą ornamentykę starych kamienic. — Pokazałem mu Gliwicę i jego architekturę. Nagle powiedział, że chce namalować to miasto. Nie do końca mu uwierzyłem, ale wystalem do Stanów albumy i zdjęcia. W swoim domu nad Zatoką Meksykańską stworzył Łapiński cykl akwarel o Gliwicach — wspomina Tadeusz Stapowicz, szef Esty.

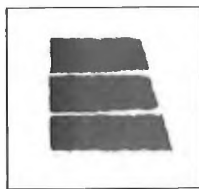
W 2001 roku Tadeusz Łapiński powrócił i do Gliwic, i do galerii Stapowicza. Wystawa „Gliwicki impuls” stała się spotkaniem z formą, kolorem i światłem, których daremnie szukać w rzeczywistości. Kłodnica na akwareli jest bardziej Sekwana, aniżeli brudną rzeczką płynącą przez centrum miasta. Z podcieni rynku poznikały budki z piwem, a bryły zamku nie przesłoniły stragany i sklepiki. Ratusz widziany z lotu ptaka otoczyła asysta kamieniczek i nieprawdziwie czysta, gęsta zieleń. Na fasadach budynków nie zawisła żadna reklama. Na uliczkach nie parkują samochody, środkiem idą ludzie — koloru murów i nieba. Wszystko pełne nadmiernego właściwie piękna, aż nadto słodkie, nieprawdziwe. Jak gdyby zmęczony abstrakcją twórca zapragnął szkiców zakorzenionych w zachwytach i sentymentach.

Opieram się, jestem nieufny, ale w końcu ustępuję. Tak naprawdę nie żyjemy przecież w miastach, ale wewnątrz obrazów, które próbujemy zatrzymać. Każda ulica i cień, który na nią pada, są już tylko wspomnieniem. Czasem poprawiamy je na papierze. Niektórzy wierszem albo notatką w dzienniku, inni wyraźną jak kaligrafia plamą akwareli.

Tej plamy — tak osobistej — nie byłoby, gdyby Tadeuszowi Stapowiczowi, absolwentowi Politechniki Gliwickiej, wystarczyło jedynie w miarę dobre i spokojne samopoczucie współwłaściciela firmy o nazwie Regionalne Centrum Oprogramowania. — *Sztuką współczesną interesuję się od ponad dwudziestu lat. Kupowałem albumy, chodziłem na wystawy.*

GALERIA SZTUK WSPÓŁCZESNYCH

ESTA



Gliwicki impuls

Wiele zawdzięczałem spotkaniom z artystami. Poznałem m.in. Jana Szanłocha, Tadeusza Siarę, Stanisława Kluskę. Bliższe zaprzyjaźniłem się z Jackiem Gajem. To chyba rozmowy z plastykami doprowadziły do tego, że w 1998 roku odważyłem się powołać do życia galerię. Nie mogłem sobie oczywiście pozwolić na to, by nagle, z dnia na dzień, zostać sponsorem czy mecenasem sztuki, całkowicie poświęcić się jej promowaniu. Z trudem wraz ze współnikiem prowadzimy przecież firmę informatyczną. Skoro jednak ta firma istnieje, ma siedzibę, a więc i pomieszczenia, i ściany, to dlaczego nie spróbować wystawiać sztuki — opisuje Stapowicz początki Esty.

Działalność galerii zainaugurowała — w grudniu 1998 roku — wystawa grafiki komputerowej Krzysztofa Kiwerskiego. Stapowicz uznał, że właśnie grafika komputerowa może być znakiem łączności między biznesem a sztuką współczesną. — *Chciałem, aby od początku wszystko było spójne, sensowne i logiczne. Nie ukrywam też, że nie tylko zamierzałem pozyskać jakąś publiczność, ale też przekonać do sztuki pracowników własnej firmy. Start musiał być pewny, nie bardzo można było sobie pozwolić na błąd.*

Prezentacja Kiwerskiego nie była jedyną próbą ukazania kreatywnych możliwości grafiki komputerowej. W maju 2000 roku wystawił u Stapowicza swoje prace (obok grafiki komputerowej malarstwo) Stanisław Fijałkowski. Na trwale związał się z Gliwicami Zdzisław Beksiński, który nie tylko wystawiał w galerii Stapowicza, ale także sędował na Estę organizację wystaw swej grafiki w kraju i sprzedaż jej sygnowanych, numerowanych serii. W 2001 roku Esta wydała płytę CD z grafiką artysty.

Nie tylko Beksiński zdecydował się zaprezentować swoje prace w Gliwicach. W ciągu niespełna trzech lat istnienia Esta zaprosiła publiczność m.in. na wernisaże Jana Dobkowskiego, Franciszka Maśluszczaka, Jerzego Nowosielskiego, Jana Tarasina. Dużym wydarzeniem stało się także przypomnienie rysunków i malarstwa Żechowskiego.

Wybitni, znani artyści, nazwiska medialne. Z góry zatem postanowiono podążać wytyczoną przez krytykę ścieżką. Stapowicz twierdzi, że innej drogi nie było. — *Nie miałem złudzeń. Chciałem pokazać twórców, którzy mi się od dawna podobałi, których prace z jakichś powodów były dla mnie ważne. I brałem oczywiście pod uwagę, że ich prace nie tylko trafiają w moje osobiste gusta, ale też publiczności. Uznałem, że galeria, która nie ma tradycji, która powstaje od zera, nie może wystawiać autorów nieznanych, młodych, początkujących. Ani nie będzie dla nich, w chwili, kiedy wszystko dopiero się rodzi, miejscem promocji, ani poprzez nich nie zaistnieje w odbiorze społecznym. Nie znaczy to, że nie chciałbym pokazywać w Gliwicach twórców mniej znanych albo nawet debiutantów. Dziesiątą wystawą w galerii było malarstwo Joanny Kaiser z Krakowa. Przedstawiłem artystkę całkowicie nieznaną na Śląsku. Okazało się, że jej odbiór był identyczny, jak w wypadku twórców z pierwszego, plastycznego planu. Było to potwierdzenie, że galeria odnalazła swoją publiczność, zakorzeniła się w środowisku.*

Nie było to jedyne odstępstwo od kursu na klasyków współczesności. Znakiem pomysłowym okazało się pokazanie w galerii prac plastyków... śpiewających — Czesława Niemena i Wiesława Ochmana.

Estę można polubić nie tylko z powodu ciekawych wystaw czy doskonałych (rozdawanych za darmo) katalogów, ale i za przyczyną znakomitej strony internetowej — m.in. z wizytówką galerii, spisem wystaw, fotograficzną dokumentacją wernisaży. Stapowicz mówi, że praca nad stworzeniem multimedialnej wersji Esty trwała ponad rok. — *Nigdy nie robię rzeczy, do których jestem nieprzygotowany. Firmę, która oprawia dla mnie grafiki i rysunki, znalazłem, po długich poszukiwaniach, w Poznaniu.*

Szef Esty podkreśla, że jego galeria nie jest sklepem, komisem oferującym dzieła sztuki. Na ścianach nie zobaczymy dziesiątek dzieł do sprzedaży. Publiczność ogląda zawsze konkretną, czasową wystawę. Można, oczywiście, prezentowane prace kupować, ale większość osób odwiedzających galerię przychodzi po prostu, aby popatrzeć na rysunek, grafikę, olej. Pojawia się wielu studentów, przychodzi młodzież szkolna. Ważny jest nie sukces komercyjny, ale przewagi sztuki nad życiem praktycznym. Ważny jest impuls. Bez nominacji i dotacji.

— *O wszystkim decyduję samodzielnie. Jedynymi partnerami do dyskusji są artyści. Dużo zawdzięczałem rozmowom z Jackiem Gajem, który nie tylko ciągle inspirował do aktywności, ale wspomógł jako plastyk, zaprojektował logo galerii, wymyślił koncepcję katalogów. To ciągle początek drogi. Na pewno chciałbym pokazać w Gliwicach Starowieyskiego, Berdyszaka, Stasysa. Prowadzę z nimi rozmowy. Ich wystawy kiedyś tutaj będą* — mówi Stapowicz.

PIOTR ZACZKOWSKI



Jacek Gaj „Puszka 3”, rysunek piórem i pędzlem, tusz, ekolina, 1997 r.



Tadeusz Łapiński „Gliwice”, akwarela, papier 2001 r.



Franciszek Maśluszczak „Gwiżdżący cieć”, akryl, płótno 1999 r.



Jan Tarasin „Plaża”, 1980/96



Jan Dobkowski „Uniwersum CX”, akwarela 1998 r.

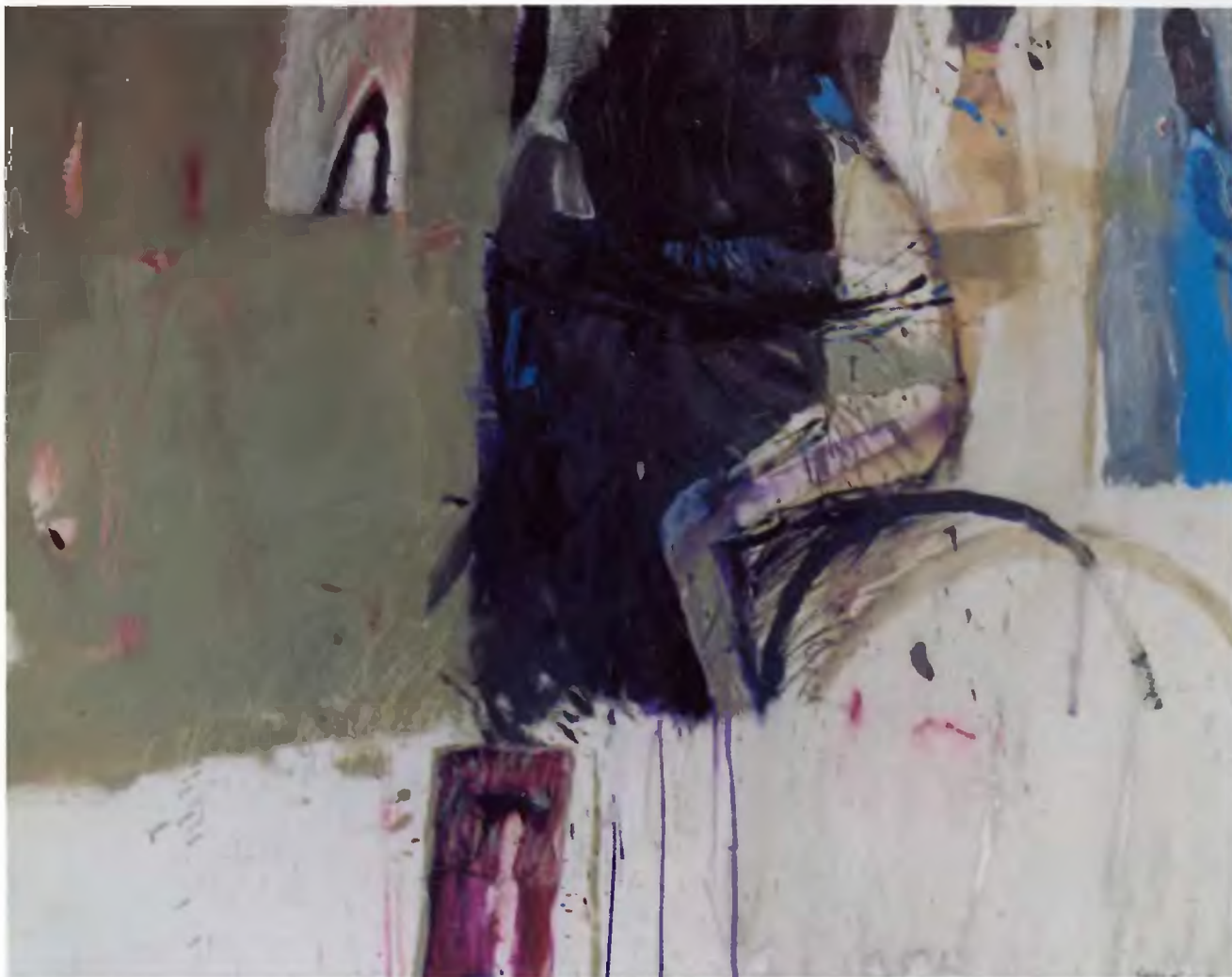


Jerzy Nowosielski, grafika 2000

ESTA



GALERIA
SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ



„Notatnik”, olej 1997 r.

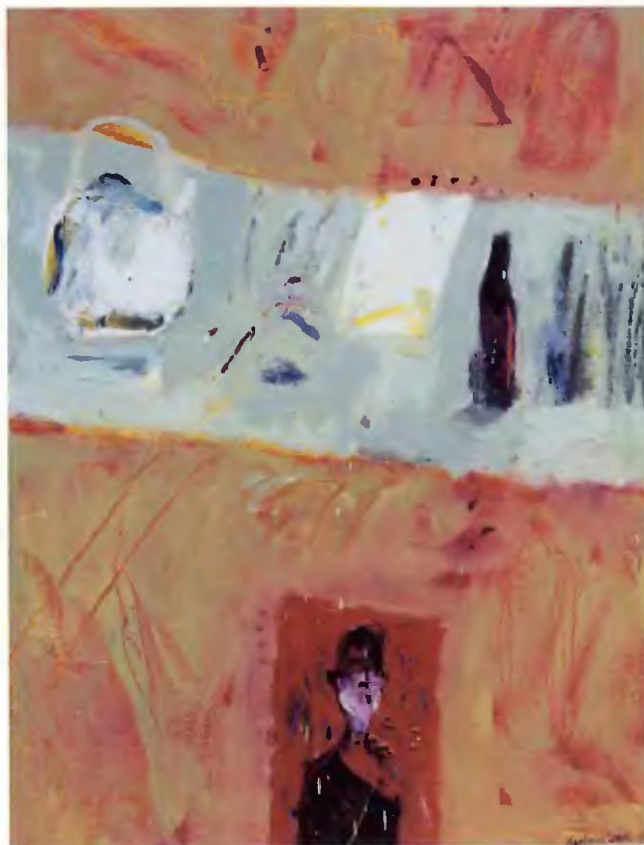


„Relaks”, olej 1999 r.

JANUSZ
KARBOWNICZEK



„Późne popołudnie”, olej 1999 r.



„Ciepło i zimno”, olej 1997 r.

Dialog i poszukiwanie

- W Pańskiej twórczości - poza innymi cechami - na pierwszy rzut oka widoczny jest człowiek. Ludzka postać ukazywana w specyficzny, osobny sposób. Bardzo oszczędny, choć nie pozbawiony dynamiki wyrazu. To skupienie na ludziach ma na pewno swoje uzasadnienie. Jakże?

- Wcześniej zainteresowanie się filozofią egzystencjalistów - Soerena Kierkegaarda i Karla Jaspersa - filozofią lęków i niepokojów związane było z moimi obawami o sens artystycznego przekazu i brakiem relacji z odbiorcą. Zacząłem usilnie odszukiwać człowieka, szukać jego właściwego miejsca. Człowiek zajął miejsce centralne w moich myślach i twórczości.

Sposób pokazywania przeze mnie postaci osobnej, wyalienowanej, tłumaczono na swój sposób ogólną frustracją, zagrożeniami i lękami człowieka wobec niepokornej natury czy losu. W moim zamiłowaniu do czerni jako koloru w malarstwie wielu widziało pesymizm i negację. Odbiór taki byłby zbyt prosty i powierzchowny. Jestem pełen pokory wobec człowieka i wiary w niego.

- Ten odbiór krytyki jest jednak zgodny z zainteresowaniami filozoficznymi Pana Profesora. Kierkegaard widział upadek człowieka, jego lęki i przerażenie. Więcej nadziei, mimo gorzkiego doświadczenia czasów miał Jaspers, ale w gruncie rzeczy obydwa, mimo odległości w czasie, zwracali uwagę na wyobcowanie jednostki. I, moim zdaniem, coś z tego jest w wielu Pańskich obrazach. Mimo zastosowania w niektórych ujęciach ciepłej złości, którą odczytuję jako znak nadziei, otwarcie się Pańskich postaci.

- Pomimo stałej obecności tematyki figuratywnej uważam się za malarza formy. Związane jest to z ciągłymi poszukiwaniami znaku malarskiego jak i jego zapisu. Aby stworzyć własną przestrzeń w obrazie i właściwą strukturę materii, trzeba było poznać całą gamę możliwości, żeby eliminować to, co zbędne. Czern, która fascynowała mnie jako kolor i symbol (którego nigdy nie kojarzyłem z pesymizmem), teraz nabrała szczególnego wymiaru, gdy odnalazłem jej siostrę i przeciwwagę - biel.

W swoim malarstwie korzystam z pewnych elementów rysunku, który współtworzy sens w spójni z kolorem lub współistnieje na różnych płaszczyznach. Rysunek wciąż do mnie wraca.

- Rysunek jest bardzo ważnym rozdziałem Pańskiej twórczości.

- Już po studiach zrozumiałem, że rysunek stanie się dziedziną moich poszukiwań. W moim mniemaniu rysunek jest najbardziej szczerym i prawdziwym środkiem wypowiedzi artystycznej. Od lat traktowany był jako ćwiczenie służebne i pomocnicze dla innych dyscyplin. W latach 70. nastąpiła wyraźna ewolucja w tej dziedzinie sztuki, a wrocławskie Triennale Rysunku i jego kolejne edycje, w których brałem udział, potwierdziły jego pełną autonomię.

- Przywołał Pan profesor w tej rozmowie problem braku autorytetów w dzisiejszym świecie. Ta kwestia dotyczy nie tylko etyki, filozofii i religii, ale również sztuki, będących w stanie ciągłych poszukiwań, ale nie będących w stanie wypracować stwierdzeń fundamentalnych dla społeczeństw. Nie ma prawd, które, jak kiedyś, ułatwiały lub przynajmniej miały dać odpowiedź na zadane pytania. Wszyscy błędzimy, ciągle bez drogowskazu. Jak w tej sytuacji widzi Pan rolę artysty?

- Im więcej nam lat przybywa i doświadczeń w uprawianym zawodzie, tym więcej mamy wątpliwości i więcej rodzi się pytań. Oprócz kwestii spornych w naszej misji - bo tym dla mnie jest profesja artysty - są fakty oczywiste, bezsporne. Należą do nich: odpowiedzialność za swą twórczość, świadomość ciągłości tradycji kulturowej oraz szacunek dla autorytetów, które istnieją w naszym wspólnym drzewie genealogicznym i które nas w jakimś stopniu sprawdzają. Dla mnie takimi autorytetami są: Jacek Sienicki, Jacek Sempoliński czy Eugeniusz Markowski. A z wcześniej tworzących artystów Wojtkiewicz, Weiss, Krzyżanowski.

Kolejną oczywistością jest dla mnie istnienie progów i barier w sztuce, z której dziś próbuje się stworzyć ideę całkowicie wolną, chociaż nikt do tej pory nie zdjął z niej obowiązku szukania prawdy czy piękna. Według mnie zawsze istnieje granica moralna w sztuce, której nie wolno przekroczyć.

Wolność, także twórcza, jest zgodną z ograniczeniami. Dlatego zachowuję dystans wobec proponowanych dziś multimediów, które próbują tolerować wszystko, co powstaje w obszarze „sztuka”.

- Z samodzielną od października tego roku Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach, dawną filią krakowskiej ASP, jest pan związany od 20 lat. Czy powyższe stwierdzenia wynikają z Pańskich doświadczeń pedagogicznych?

- Często powtarzam studentom, że największą umiejętnością jest właściwe

korzystanie z wolności, która jest ograniczeniem koniecznym. W życiu i sztuce jest to aktywne poszukiwanie własnej drogi, stawianie wciąż nowych pytań, odsłanianie nowych problemów i umiejętność wyboru.

Sam proces malowania jest dokonywaniem wyboru, ciągłych zmian, często rezygnacji. Jest to możliwe po zdobyciu doświadczeń. Waga tych zagadnień ujawnia się w rozmowach ze studentami, estetyka i technika nie jest tylko domeną korekty.

Uczelnie artystyczne dają możliwość wyboru, ale trzeba tu przejść przez kolejne etapy wtajemniczenia - od poznania do własnych propozycji. A żeby burzyć i zmieniać świat, trzeba chcieć go poznać i zrozumieć. Aby coś odrzucić, najpierw trzeba tego doświadczyć. Bez tej drogi nawet najlepsze dzieło nie jest prawdziwe. Sztuka zaś, mimo że nie jest postępową, wciąż się rozwija i wciąż nas zaskakuje.

- Ale sam nie był Pan Profesor uległym studentem?

- Po ukończeniu Liceum Plastycznego w Jarosławiu za drugim podejściem dostałem się na ASP w Katowicach, która wówczas była filią krakowskiej uczelni. Wybrałem pracownię plakatu prof. Tadeusza Grabowskiego. W pracowni Zbigniewa Pieczykolana i Stanisława Kłuski przeszedłem doskonałą szkołę typografii i liternictwa. Malarstwo studiowałem u prof. Rafała Pomorskiego, którego bardziej cenię teraz, gdy sam jestem pedagogiem. W tej pracowni wyzwoliłem się ze sztywnego gorsetu, obowiązującego za sprawą założeń przyjętych przez tego malarza. Zaproponowałem mu własny świat i on moją propozycję zaakceptował. Teraz wiem, że cechą dobrego pedagoga jest też zgoda na odmiennosc i umiejętność wycofania się.

Na studiach byłem podobno młodym gniewnym. W trakcie edukacji starałem się przeciwstawiać stagnacji i złym, moim zdaniem, nawykom. Od początku wiedziałem, że muszę coś ważnego (choćby dla mnie) zrobić. Powróciłem do Katowic po dwuletnim pobycie w Gdańsku, zaproszony przez profesora Andrzeja S. Kowalskiego. Zostałem asystentem Jerzego Dudy-Gracza w pracowni malarstwa i rysunku. Od 20. lat samodzielnie prowadzę pracownię malarstwa, a ostatnio także rysunku.

- W swoim życiu prywatnym też pozostaje Pan w kręgu sztuki - Pańska żona, Elżbieta Kuraj jest malarką, zaś syn poszedł w Państwa ślady. Jak to jest, gdy trzy twórcze indywidualności znajdują się pod wspólnym dachem?

- Wszystko zależy od wzajemnego zrozumienia i tolerancji. Mimo kilku znanych przekazów o nieudanych związkach dwojga twórców, bywają także udane. Tworzymy z Elżbietą we wspólnej pracowni, każde z nas realizuje własne założenia. To nam nie przeszkadza. Jest to związane z ciągłą wymianą poglądów, ale i wspólnym zmaganiem się z podobnymi problemami.

- Dziękuję za spotkanie.

Rozmawiała:
KAROLINA DRWAŁ

PREZENTACJE

Muzeum Miejskie w Zabrzu, Plac Krakowski 9, 41-800 Zabrze, tel.: (32) 2715689, 2715680. Godziny otwarcia: poniedziałki - nieczynne, czwartki - od 10.00 do 18.00, pozostałe dni - od 10.00 do 14.00.

Muzeum Miejskie powstało przed 60 laty z inicjatywy grupy pasjonatów, którym przewodził nauczyciel Kurt Vieth. Pierwszą wystawę złożoną „ze starożytności i eksponatów techniki”, zorganizowano w budynku przy dzisiejszym pl. Traugutta. W roku 1937 ówczesne władze miejskie przekazały Muzeum kamienicę przy pl. Krakowskim, w której mieści się ono do dzisiaj. Muzeum posiadało raczej skromne zbiory, trafiły tu pamiątki z drewnianej kościółka św. Andrzeja oraz ekspozyty ofiarowane przez muzea z Gliwic i Bytomia. W roku 1945 część zbiorów wywieziono, reszta została rozszabrowana. Niestety nie ocalały muzealne inwentarze, nie wiadomo zatem dokładnie, z czego składały się ówczesne zbiory. Dziś Muzeum Miejskie posiada cztery działy: *Dział Sztuki*, *Dział Kultury*, *Dział Historii* i *Dział Naukowo-Oświatowy*. *Dział Sztuki* skupia swoją działalność na dwóch zagadnieniach: sztuce artystów nieprofesjonalnych oraz twórczości lokalnego środowiska plastycznego. Zabrzeńskie Muzeum słynie z bardzo bogatych zbiorów twórców nieprofesjonalnych z terenu GOP-u, jak również kolekcji dzieł najciekawszych artystów tego nurtu z całego kraju. W zbiorach znajdują się dzieła Epi-fama Drowniaka czyli Nikifora, Teofila Ociepki, Pawła i Leopolda Wróblów, Ewalda Gawlika, Ludwika Holesza i wielu innych twórców. Interesujący jest również jedyny w Polsce zbiór rzeźby w węglu, którego najciekawsze i najwartościowsze obiekty pochodzą z końca XIX i początku XX wieku. Dział dokumentuje także działalność twórczą zabrzeńskiego środowiska plastycznego. W zbiorach Muzeum znajdują się więc prace artystów związanych z katowicką filią ASP w Krakowie - Romana Nowotarskiego, Romana Staraka, Mariana Oslislo, Bogdana Króla czy Antoniego Cygana. Niedawno w zbiorach znalazły się liczne dzieła Jana Sawki, подарowane Muzeum przez artystę. *Dział Kultury* posiada w swoich zbiorach ok. 3 tys. eksponatów. Znajdziemy w nich interesującą kolekcję porcelany europejskiej - z XVIII-wiecznych manufaktur miśnieńskich, czeskich, francuskich i wiedeńskich. Pokażna jest kolekcja śląskich strojów ludowych oraz sprzętu i wyposażenia gospodarstwa domowego, zarówno z XIX w. (charakterystyczne wnętrza chłopskie), jak i z lat 20. i 30. naszego wieku (typowe na tym terenie wnętrza mieszkań robotniczych i mniej liczne mieszczańskich). Muzeum posiada także spore zbiory dotyczące mniejszości



narodowych II RP; szczególnie bogatą kolekcję stanowią judaica. **Dział Historii** gromadzi wszystko, co związane jest z dziejami miasta i regionu - wydawnictwa kartograficzne, druki religijne, prasę, pocztówki, fotografie związane z życiem miasta, dokumenty życia społecznego. Oprócz silesianów w zbiorach są także inne ciekawe kolekcje. Jedną z nich związana jest z dziejami Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a składają się na nią fotografie, odznaczenia, order, mapy, mundury i inne dokumenty. Druga duża kolekcja tworzy zbiór około 100 sztandarów różnego rodzaju: sztandarów cechowych, szkolnych, towarzystw i organizacji społeczno-politycznych (najstarsze pochodzą z XIX w.). Od niedawna Muzeum jest także gospodarzem zabytkowej wieży ciśnień, największego tego typu budynku na Górnym Śląsku. Projekty zagospodarowania obiektu przewidują - obok utworzenia nowych przestrzeni ekspozycyjnych, biblioteki, kawiarni artystycznej, miniskansenu wokół wieży - uruchomienie w nim międzynarodowego centrum sztuki. Współautorem tej koncepcji jest Jan Sawka, który zaproponował konkretne rozwiązania mające na celu pozyskanie środków na realizację przedsięwzięcia.

(opr. tog)

LEKSYKON WIEDZY O REGIONIE

ERWIN SÓWKA - jeden z najbardziej znanych śląskich malarzy nieprofesjonalnych. Urodził się w 1936 roku w Katowicach w rodzinie górniczej, sam również pracował na kopalni aż do przejścia na emeryturę. Od wczesnej młodości zajmuje się malarstwem, które traktuje jako sposób dotarcia do podstawowych prawd egzystencjalnych. Duży wpływ wywarł na niego i jego twórczość krąg śląskich okultystów, zwłaszcza Teofil Ociepka. Interesując się religiami Wschodu, starożytnymi cywilizacjami, symbolizmem w sztuce daje tego wyraz w swoim malarstwie, w którym przykładają dużą wagę do precyzji rysunku i harmonii kolorystycznej. Często umieszcza w swoich obrazach postać nagiej kobiety, który to wizerunek zazwyczaj ma odniesienia do hinduskich i buddyjskich kultów mocy boskich. Jako tło wielu swych pełnych symboliki obrazów wybiera krajobraz śląski, między innymi katowicką dzielnicę Nikiszowiec.

(tog)

Z WYDAWNICTW

Marek Wroński, Przemysław Nadolski: *Z dziejów kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Żyglinie*. Instytut Tarnogórski, Tarnowskie Góry 2001.

Dobrze układająca się od kilku już lat współpraca Instytutu Tarnogórskiego z władzami Miasteczka Śląskiego zaowocowała ideą przygotowania monografii miasta. Na tegoroczne obchody „Dni Miasteczka Śląskiego” ukazała się część drugiego tomu monografii, który poświęcony zostanie w całości miasteczkowskiemu dzielnicom - Żyglinowi i Żyglinkowi. W omawianym wydawnictwie zaprezentowane zostały dzieje kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Żyglinie, przedstawione w trzech rozdziałach, poświęconych kolejnym budynkom tegoż kościoła. Jak zwykle w przypadku publikacji Instytutu Tarnogórskiego wydawnictwo przygotowane zostało niezwykle starannie, zawarte w nim informacje oparte są na materiałach źródłowych, których przejrzanie było zapewne niezwykle pracochłonne. Na ich podstawie Marek Wroński dokonuje ustaleń dotyczących pierwszych wzmianek na temat Żyglina i czasu powstania świątyni w tej miejscowości, prostując przy okazji informacje zawarte we wcześniejszych wydawnictwach. Autor podejmuje się również próby rekonstrukcji dwóch pierwszych, nieistniejących już żyglińskich kościołów, zamieszcza również inwentarz obu drewnianych świątyń oraz biogramy pełniących w nich służbę duszpasterzy. Przemysław Nadolski szczegółowo opisuje budowę trzeciego, murowanego kościoła, który stoi w Żyglinie do dziś, charakteryzuje także jego wyposażenie.

(tog)

Edward KANIEWSKI: *Rowerowa Odyseja po zielonych ścieżkach Wyżyny Śląskiej*. Agencja Rozwoju Lokalnego „Agrotur” S.A., Krupski Młyn 2001. Wydanie II.

Bardzo starannie przygotowany, dodatkowo zawierający poręczne mapki, rowerowy przewodnik Edwarda Kaniewskiego wydany przez Agencję Rozwoju Lokalnego „Agrotur” z Krupskiego Młyna koło Tarnowskich Gór, może być świetną inspiracją do wędrówek po Górnym Śląsku, służyć też może jako doskonała pomoc do przeprowadzenia lekcji Edukacji regionalnej w terenie. Świetnie opisane trasy, generalnie omijające główne drogi samochodowe, zachęcają do poznania „małej ojczyzny”. Większość tras przygotowana jest wokół jakiegoś „tematu przewodniego” (choć jest i zatytułowana *Wycieczka bez konkretnego powodu*) prowadząc np. szlakiem drewnianych kościołów, pałaców, zabytków techniki, leśnymi duktami, dzięki czemu przewodnik prezentuje różnicowanie Górnego Śląska. Zamieszczone w zakończeniu przewodnika fotografie obrazują jak różnorodne widoki znaleźć można na górnośląskiej ziemi.

(tog)

Górnśląskie Głubczyce w czasach renesansu i baroku były miastem, które wydało kilku ciekawych poetów. Jednym z nich jest, znany jedynie wąskiemu gronu germanistów-barokowców, a na dzisiejszym Górnym Śląsku zupełnie zapomniany — **Wenzel** (polska wersja tego czeskiego imienia: Wacław) **Scherffer von Scherffenstein**.

Ród Scherfferów w 1561 roku otrzymał od cesarza Ferdynanda I tytuł szlachecki i odtąd do nazwiska dopisywano „von Scherffenstein”. Z rodu głubczyckich Scherfferów — obok Wenzla, któremu jest ten szkic poświęcony — wywodził się jeszcze inny poeta, o którym też warto tu wspomnieć. Chodzi o Martina Kinnera von Scherffensteina (1534—1597). Był on jednym z najbliższych przyjaciół Filipa Melanchtona, humanisty i współpracownika Marcina Lutra. Martin Kinner von Scherffenstein był profesorem historii i poezji w Wittenberdze. Nauczał także w Tybindze. W latach 1558—1570 piastował urząd syndyka miejskiego w rodzinnych Głubczycach. Następnie poświęcił się wyłącznie muzyce i poezji w swoim majątku. Pisał wiersze w języku łacińskim i niemieckim, komponował motety. Do jego śląskich przyjaciół-literatów zalicza się poetę Salomona Frencliusa von Friedentala (†1605), także pochodzącego z Górnego Śląska.

Wróćmy jednak do bohatera szkicu. Wenzel Scherffer von Scherffenstein urodził się w Głubczycach w 1603 roku. Dawniejsi historycy literatury byli zdania, że poeta przyszedł na świat w Cieszynie lub w okolicach Cieszyna, powołując się na jego zdanie, iż przybył do Brzegu „od podnóża Karpat i brzegów Olzy”. Młodość przypadła mu spędzić w okrutnych czasach wojny trzydziestoletniej (1618—1648). Uważa się, że nie skończył żadnej szkoły, nie wyjechał na studia na żaden uniwersytet (tak sądzi np. Karl-Jost Bomers). Oczywiście przyczyną tego stanu rzeczy są niepokojne czasy wojny religijnej. Był jednak dobrze obeznany z literaturą klasyków rzymskich, nie były mu obce arkana retoryki. Znał dobrze język polski.

Muzyki uczył się pod okiem pochodzącego z Prudnika Matthäusa Apellesa von Löwensterna, który w latach 1613—1625 był nauczycielem w Głubczycach i kantorem w tamtejszym kościele. W roku 1631 Scherffenstein wstąpił na służbę do książąt piastowskich w Brzegu. Na brzeskim dworze spędził ponad czterdzieści lat. Początkowo pełnił



Scherffenstein - organista, poeta, tłumacz z Głubczyc

funkcję nauczyciela na książęcym dworze. Po jakimś czasie został organistą w książęcym kościele. W tym samym czasie Scherffenstein pisywał okolicznościowe poezje.

Do ciekawych utworów, które można zaliczyć do poezji okazjonalnej powstałej na brzeskim dworze, można zaliczyć wiersz Scherffensteina pt. *Willkommen-Gedicht — Wiersz na przywitanie*. Wiersz ten napisał poeta dla księcia Krystiana z okazji Nowego Roku 1638, gdy książę brzeski akurat wrócił z dłuższej podróży po Litwie, Inflantach i Prusach. Brzeski książę bawił też jakiś czas u Radziwiłłów. W utworze tym jest mowa o rodzie Piastów i o niewygasłym przywileju i prawie śląskich Piastowiczów do polskiej korony. Jak wielu śląskich poetów przebywających na dworach piastowskich książąt także Scherffenstein badał genealogię rodu piastowskiego. Wyniki swoich badań zawarł poeta w nieco rozwlekłym, historyczno-heraldycznym poemacie, opatrzonym następującym długim, iście barokowym tytułem: *Auf den uhralten Löblichen Stammbaum Piasti, Dess Gross-Fürsten in Polen / welches weitleufftige aussführung durch alle Fürstliche Heuser in Polen und Schlesien / samt allen Frauenzimmer-Namen so viel deren zu erlangen gewesen / durch den Dichter dieses Buches mit fleisse aus alten Vrkunden und unterschiedlichen Geschichtschreibern zu werke gestellt worden im 1648sten Jahre*. W tekście tym potrafił również wątek legendy o Piaście znanej mu prawdopodobnie z dzieła Marcina Kromera.

W 1642 roku Scherffenstein ożenił się ze swoją kuzynką Anną Arnold, z którą miał kilkoro dzieci. W roku 1645 Scherffenstein został przyjęty do towarzystwa literackiego o na-

zwie „Deutschgesinnte Genossenschaft” — „Towarzystwo Przyjaciół Kultury Niemieckiej”. W 1653 roku otrzymał tytuł *poeta laureatus caesareus* — cesarski poeta uwieńczony. Tytuł ten był wyrazem uznania dla jego twórczości. Sam tytuł poety uwieńczonego uchodził wówczas nie tylko za wielkie wyróżnienie, ale był swoistym „stopniem naukowym”.

Pora wspomnieć o działalności translatorskiej głubczyckiego poety. Scherffenstein przetłumaczył z języka łacińskiego na niemiecki poemat zaliczający się do tzw. „poezji grubiańskiej” (programowo wulgarnej, traktującej o pijaństwie, obżarstwie i innych uciechach), dzieło Friedricha Dedekinda pt. *Grobanus albo o prostactwie zwyczajów książ dwoje*. Tłumaczenie to uchodzi po dziś dzień za najdoskonalwsze. Przetłumaczył też na niemiecki słynne łacińskie dzieło jezuitę Hermanna Hugona (1588—1639) zatytułowane *Pia desideria — Pobożne życzenia*, wydane po raz pierwszy w Antwerpii w 1627 roku. Scherffenstein uchodzi też za pierwszego tłumacza Jana Kochanowskiego na język niemiecki. Jest autorem 138 przekładów fraszek Jana z Czarnolasu (bliższych jednak raczej parafrazom niżli wiernym tłumaczeniom). Na niemiecki przetłumaczył i wydał także poemat o bitwie byczyńskiej (24 stycznia 1588 roku) pastora z Byczyny Bartłomieja Benckiego, naocznego świadka historycznych wydarzeń (gdy Jan Zamojski pokonał i wziął do niewoli księcia Maksymiliana Habsburga).

Wenzel Scherffer von Scherffenstein zmarł po długotrwałej chorobie 27 sierpnia 1674 roku w Brzegu. Godnym polecenia polskim opracowaniem dotyczącym życia i twórczości Scherffensteina jest książka Jan Pipreka pt. *Wacław Scherffer von Scherffenstein. Poeta śląski i polonofil XVII wieku*, Opole 1961. Popularne opracowanie na temat twórczości Scherffensteina dał także Markus Bojda w dwujęzycznym periodyku „Joseph von Eichendorff Konversatorium. Zeszyty Edukacji Kulturalnej” 1997, zeszyt nr 16, s. 36—45. Zainteresowani szerszym kontekstem śląskiego baroku oraz śląskimi poetami barokowymi i ich spotkaniami z kulturą i literaturą polską powinni sięgnąć np. po następujący niemiecki artykuł: Gerhard Kosellek, *Schlesische Barockdichter und ihr Verhältnis zu Polen*, w tegoż: *Reformen, Revolutionen und Reisen. Deutsche Polenliteratur*, Wiesbaden 2000, s. 43—51.

ZBIGNIEW KADŁUBEK

Ziemia Pszczyńska. Rozwój gospodarczy od Piastów do Hochbergów” autorstwa Jerzego Polaka, wydana przez Bractwo Gospodarcze Związku Górnośląskiego, doczekała się drugiego wydania. Była to okazja do kolejnego spotkania wszystkich, których żywo interesują losy najstarszej mapy gospodarczej Hindenberga z 1636 roku, przedstawiającej Wolne Stanowe Państwo Pszczyńskie.

Nowe wydanie „Ziemi Pszczyńskiej” zostało wzbogacone barwnymi mapami - ukazującymi Śląsk według Martina Helwiga z 1561 r. fragmenty map Johanna Harnischa z lat 1794 - 1795, pokazujące m.in. okolice Bierunia, Imielina, Miedźnej, Pszczyzny, także Bytomia, Mysłowic, Tychów i Żor. Pomędzy nimi - w sensie historycznym znajduje się dzieło niezwykle - mapa gospodarcza Andreasa Hindenberga z 1636 roku. Mapę tę opisywał na naszych łamach Piotr Greiner - specjalizujący się w kartografii historycznej. Pisaliśmy również o podjęciu decyzji o ratowaniu tego zabytku, który obecnie przechowywany jest w Archiwum w Katowicach. Rzecz jasna, że doprowadzenie mapy do stanu, by w jakiś sposób mogła być dokumentem historycznym, w sposób klarowny pokazującym stan ówczesnej Ziemi Pszczyńskiej, wymaga wielu lat pracy i ogromnych nakładów finansowych. Stąd też prezentacja dorobku Ziemi Pszczyńskiej w tak przystępnej, popularzatorskiej formie, ma ogromne znaczenie dla powodzenia prac badawczych i konserwatorskich, bowiem przybliży ogromnie interesujący materiał, zwłaszcza z dziedziny gospodarki, ludziom, którzy mogą mieć wpływ na ich postęp, a którzy na co dzień historią się nie zajmują. Rzetelność opracowania gwarantuje nazwisko autorytetu w dziedzinie historii gospodarczej tej Ziemi - Jerzego Polaka.

Nad mapą Hindenberga pracuje zespół ekspertów, który stanowią wybitni znawcy sztuki konserwatorskiej, a przewodzi mu wybitny fachowiec w tej dziedzinie - prof. Leonard Ogierman prowadzący pracownię konserwacji w Bibliotece Śląskiej.

Spotkanie w Związku Górnośląskim było już kolejnym, podczas którego zarówno promowano wspomniane wydawnictwo ale przede wszystkim wiele mówiono na temat mapy Hindenberga.

- *Mapa Hindenberga jest rękodziełem, jest rysowana. Wykonana została przy użyciu różnych materiałów pisarskich, na niezbyt dobrym papierze - mówił podczas spotkania prof. Ogierman. Jest obiektem unikatowym, chociaż jest zakwalifikowana jako destrukta, co pozwala na większą swobodę i ingerencję, przy jednoczesnym zachowaniu symptomów starości. Niezwykle cenne są od-*



Prof. Leonard Ogierman (drugi z lewej) wraz z grupą ekspertów nad mapą Andreasa Hindenberga.

Ziemia Pszczyńska według Hindenberga

PROMOCJA

ręczne zapiski na obrzeżach mapy, poczynione przez jej autora. Prace odhworzeniowe prowadzone będą w ten sposób, że miejsca niemożliwe już do odczytania pozostaną puste.

Destrukty to takie obiekty, których w zasadzie nie przywraca się do pierwotnego stanu. Jednakże mapa Hindenberga jest na tyle cenna, że zaniechanie jej ratowania byłoby niepowetowaną stratą. Mapa ta służyła nie tylko dla celów kartograficznych, ale także administracyjnym i gospodarczym.

- W jednoczącej się Europie obserwujemy duży nacisk na prezentację historycznego dorobku regionalnego. Mapa Hindenberga stanowi wielkie dziedzictwo kulturowe, narodowe małej ojczyzny, państwa stanowego, jakim była ziemia pszczyńska - mówił przy okazji innego spotkania dr Andrzej Konias z Wydziału Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego, również członek Komisji Ekspertów. W przypadku tej mapy - zdaniem Koniasa - nie chodzi o ratowanie papieru, ale czegoś przydatnego współczesnej nauce. Jest potrzebna do odtworzenia krajobrazu fizycznego, kulturowego, nadto daje możliwość wizualizacji - dzięki swojemu specyficznemu językowi - tego, co zostało zapisane w źródłach historycznych. Nie mniej istotne jest traktowanie mapy Hindenberga jako obiektu kartograficznego, dającego możliwość poznania sposobu, w jaki człowiek ówczesny widział swoje otoczenie, jakie stosował formy graficzne do jego przedstawiania, jakich używał znaków do określania elementów komunikacyjnych i osadniczych. Mapa Hindenberga służyć więc będzie nie tylko kartografom ale historykom gospodarczym, bowiem powstała z myślą o administracji i gospodarce tamtych czasów.

Dzieło Andreasa Hindenberga jest zabytkiem klasy zerowej i chociażby dlatego wzbudza zainteresowanie wielu specjalistów, także zagranicznych. Jak na razie, przechowywanie mapy w Archiwum Państwowym w Katowicach gwarantuje, że w ciągu najbliższego czasu mapa nie ulegnie dalszemu zniszczeniu. Niemniej jednak, jak twierdzi prof. Ogierman, może tam przetrwać nie więcej niż 60 lat. Warto więc zająć się nią w odpowiednim czasie, bo im dłużej będzie czekać na rekonstrukcję i konserwację, tym czas okaże się bardziej bezlitosny dla tego unikatowego obiektu.

Drugie wydanie „Ziemi Pszczyńskiej” uzupełnione mapami historycznymi było możliwe - jak pisze we wstępie Andrzej Złoty, prezes Bractwa Gospodarczego Związku Górnośląskiego - dzięki pomocy znakomitych fachowców i pasjonatów: dra Zygmunta Partyki z katowic-

kiego Archiwum oraz Macieja Klusa, dyrektora Muzeum Zamkowego w Pszczyźnie. Opracowaniem naukowym dzieł kartografii śląskiej zajmowali się dr Piotr Greiner z Uniwersytetu Śląskiego - autor dodanego do tego wydania tekstu o mapie Hindenberga i dr Andrzej Konias.

Pomysł na wydanie „Ziemi Pszczyńskiej” miał również swój aspekt edukacyjny, do czego Związek Górnośląski przywiązuje duże znaczenie. Książka ta stała się więc elementem większej całości przeznaczonej dla młodzieży poznającej historię swojego regionu oraz dla nauczycieli pszczyńskich szkół. Jednocześnie Bractwo opublikowało dwie pomocnicze książeczki edukacyjne: „Zapytaj dawnych czasów” Łucji Stanickowej i zeszyt ćwiczeń „Po naukę w przeszłość” Haliny Nocoń i Barbary Sopot-Zembok. Obydwie pozycje wskazują drogę, jaką można pójść wykorzystując w nauczaniu tzw. regionalizmu wiadomości historyczne, etnograficzne, ekologiczne, literackie, uzupełniając to wszystko o historię gospodarczą regionu, której znakomitym źródłem jest „Ziemia Pszczyńska”.

W zakończeniu słowa wstępnego Andrzej Złoty napisał: „W imieniu członków i sympatyków Bractwa Gospodarczego Związku Górnośląskiego, dedykuję tę książkę tym wszystkim, którzy kochają swoją ziemię, ziemię na której mieszkają i pracują, z którą wiążą los swój i przyszłych pokoleń.” Dodać trzeba, że Wolne Stanowe Państwo Pszczyńskie z początku XVII wieku, czyli czasu powstania mapy Andreasa Hindenberga obejmowało znaczną część ziem, które dziś stanowią województwo śląskie. Jest to istotny podwód dla którego mapą i książką winni być zainteresowani nie tylko pszczyńianie.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Decyzja, aby *Kartotekę* Tadeusza Różewicza wystawić na Scenie Kameralnej, mogła wydawać się nierozsądna lub podejrzana, wszak widzowie Teatru Śląskiego wiedzą, że w tej wielkiej przestrzeni nie można grać sztuk wieloobsadowych, ale jednocześnie prasa codzienna od kilku miesięcy alarmowała, że katowicki teatr boryka się z ogromnymi problemami finansowymi. Miałaby więc katowicka *Kartoteka* być wymuszonym kompromisem między tym, co by się chciało robić, a tym, co robić trzeba, bo nie ma pieniędzy na wystawne inscenizacje?

Nazwisko reżysera trochę te niepokojące pytania zneutralizowało. Krzysztof Rau, którego kojarzamy przede wszystkim ze słynnym białostockim ośrodkiem sztuki lalkarskiej, a także - w ostatnich latach - z bielską „Banią”, jest przecież również twórcą z sukcesem eksperymentującego z przestrzenią Teatru 3/4 Zusno. Szczęśliwie dla tej realizacji arcydramatu Różewicza właśnie ta okoliczność okazała się decydująca. Uspokajająco zadziałało również nazwisko scenografa. Marek Braun dobrze zna swój fach i nie z takimi problemami umiał sobie już radzić. I rzeczywiście - Braun rozbił zastaną przestrzeń Sceny Kameralnej, dzieląc ją na dwie nie łączące się ze sobą widownie, zaś pole gry od strony widzów szczelnie pokrył przejrzystą białą draperią, uzyskując bardzo ciekawy efekt wizualny i inscenizacyjny.

Perypetie Bohatera (pod) oglądamy jakby przez woal pamięci. U góry zaś, poza wyobrażeniem skrawka białego sufitu, umieszczono rodzaj luster czy też odbijających akcję błyszczących folii. Realne sprzęty domowe, z centralnie ustawionym łóżkiem, do którego Bohatera niemal dosłownie przykuto, bo żyje on chyba tylko dlatego, iż jeszcze pamięta, że siły dodaje mu podłączona kropłówka, wprowadzone zostały w przestrzeń wyimaginowaną, poetycką. To już nie jest tylko pokój-ulica, przez którą przechodzą mniej lub bardziej przypadkowe osoby. To świat wyrwany z fragmentów pamięci Bohatera, pamięci ulomnej, skoro ten człowiek jest słaby, chory i bardzo stary. Kiedy - na przykład - odwiedzi go Wujek (Jerzy Kuczera), to Bohater nawet nie musi w jego stronę głowy odwracać, a i tak go widzi, bo też Bohater obserwuje nie tyle świat, który go otacza, ile raczej wpatruje się w obrazy swego wnętrza. Obrazy mgliste, przyćmione, trochę niewyraźne. Właśnie dlatego, by je lepiej rozpoznać i przynajmniej zbliżyć się do ich sensu, Bohater często przymyka powieki. My zaś patrząc na niego, w miarę upływu czasu coraz bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że podążamy wyłącznie za biegiem jego wspomnień, tylko animowanych przez postacie zbliżające się do jego łóżka.



Foto: Tadeusz Zakrzewski

Czesław Stopka (Bohater), Alina Chechelska (Matka), Andrzej Warcaba (Ojciec).

Bohater jest zmęczony

TEATR

Nic więc dziwnego, że te postacie mogą mieć podobne do siebie rysy twarzy, że mogą je rozróżniać tylko jakieś fragmenty garderoby, jakieś drugorzędne szczegóły anatomiczne.

Te postacie - w świadomości i podświadomości Bohatera - nakładają się na siebie i dlatego Matka może mieć coś w sobie z Olgią czy Tłustą Kobietą, którą kiedyś w młodości nasz Bohater podglądał w kąpielni. Zresztą on sam już też nie ma pewności, czym osobliwym, czym szczególnym odróżnia się od reszty świata. On to, czy nie on? Moje to ręce, czy nie moje? Nawet jego protesty, gdy ktoś myli jego imię, wydają się być nieprzekonywające. Jak może być inaczej, skoro nawet Ojciec raz czy drugi zająknął się, gdy ma wymówić synowskie imię?

Rau każąc aktorom grać po kilka ról, nie sprzeniewierzył się więc dramatowi Różewicza i przestaje nas zajmować pytanie, czy tak zrobić chciał, czy - z powodu kłopotów ekonomicznych Teatru Śląskiego - musiał. Ważne, że taki zabieg można wyinterpretować bez szkody dla tego przedstawienia. Podobnie zresztą - jak cięcia w tekście. Gdy w pokoju Bohatera zjawiają się dwaj cyniczni osobnicy, przypominający funkcjonariuszy tajnych służb policyjnych i odczytują te partie tekstu, które w tym spektaklu „nie zagrały”, to też nas to nie razi. Rau wymyślił to tak, że oto obaj „smutni panowie” wyciągają jakieś stare zapiski Bohatera z czasów wojny i partyzantki i z ironią je odczytują. Może nawet lepiej czy bardziej na-

turalnie, że to właśnie oni owe wspomnienia przywołują, bo Bohater mógłby znowu coś pokręcić, wszak przecież jest stary i sam nawet nie wie, jak się nazywa.

Tym zabiegiem Rau osiągnął dodatkowy efekt. Czasy wojny i okupacji zostały w tej inscenizacji jakby oddalone czy odrealnione, zaś los Bohatera nie jest już portretem zbiorowym całej generacji. A nawet jeśli jest, to tylko jego fragmentem. Znowu - tylko fragment, by użyć tu aluzji do tytułu jednego z ostatnich tomów poezji Tadeusza Różewicza.

Bohater już się nawet z łóżka nie rusza. Czy to tylko brak woli, brak wiary w sens życia? Okaże się, że nie. Bohater jest po prostu śmiertelnie znużony i zmęczony. Kropłówka i wózek inwalidzki, na który bodaj tylko raz się wdrapie, ale już sam z niego zejść nie będzie umiał, dopełniają obraz starości, bezsilności i samotności. Samotności

i niezrozumienia, bo te wszystkie wojenne i powojenne cierpienia Bohatera, te jego dylematy moralne („kła-skalem” w czasie, gdy trzeba było się buntować), są już niezrozumiałe, budząc nie litość i trwogę, lecz śmiech i drwinę (Chórem Starców jest trójka młodych ludzi, dobrze ubranych, uzbrojonych

w telefony komórkowe i aż nazbyt - patrz scena egzaminacyjna - cynicznych, z dystansem oceniających rzeczywistość; grają Marcin Kociela, Marcin Szaforz i Zbigniew Wróbel).

Czesław Stopka stanął przed trudnym zadaniem aktorskim, lecz zdołał potwierdzić, że w ostatnich latach wykazuje dobrą formę i kondycję. To udana rola. Momentami przejmująca, choć w dniu premiery pierwsze sceny wypadły dość blado. Potem jednak karykaturalny rys, jakimi obdarzyli swe role Andrzej Warcaba (Ojciec, Gość w Kapeluszu, Pan z Przedziałkiem, Dziennikarz) i Alina Chechelska (Matka, Olga, Tłusta Kobieta), został stonowany lub z pożytkiem wyzyskany (scena z pieskiem czy wspomnienie erotycznych inicjacji Bohatera). Ewa Kutynia z kolei (Sekretarka, Dziewczyna) obdarzyła swe role naturalnością i wdziękiem, tak bardzo kontrastującymi z zachowaniami Bohatera. Jerzy Kuczera zaś (Wujek, Gruby, Nauczyciel) zdołał zróżnicować grane przez siebie postacie. Nie jest tylko jasne, dlaczego scena z Kelnierką (Barbara Bógdół), choć dowcipna, ma taki „kabarowy” wydźwięk, raczej nie pasujący do całości.

KRZYSZTOF KARWAT

Tadeusz Różewicz: *Kartoteka*. Reżyseria: Krzysztof Rau. Scenografia: Marek Baun. Premiera 28 września 2001 roku na Scenie Kameralnej Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach.

Co pewien czas następuje wyraźny awans pojęcia „tożsamość”. Jest to efektem przeobrażeń - zazwyczaj gwałtownych - społecznych, kulturowych, ekonomicznych, politycznych. Realnie „tu i teraz” jesteśmy ich świadkami, a także uczestnikami. Ma to swoje konsekwencje; szukamy sposobów zrozumienia otaczającej nas rzeczywistości, i szerzej całej tradycji, którą pojmujemy - świadomie czy bezrefleksyjnie - coraz częściej wybiórczo.

Potęgą cywilizacji i zarazem degradacją wielu dawnych wartości powodują, że stajemy się bezradni w „elektronicznej wiosce”, w której ogrom informacji tworzy nie tyle prawdziwy, ile sztuczny, wygenerowany przez media obraz świata. Nie można się zatem dziwić, że nasza tożsamość, jako najważniejszy przejaw indywidualnej i zbiorowej świadomości bycia kimś określonym, ulega przemianom. Może dlatego poszukujemy wbrew logice - mitologizując świat miniony - swojego „kostiumu tożsamości”. W tej perspektywie swoje miejsce próbują określić także badacze chcący zrozumieć współczesne oblicze szeroko rozumianej tożsamości.

Jak zatem problem ten jest pojmowany i relacjonowany na gruncie badań empirycznych? Niestety, najczęściej zjawisko tożsamości wymyka się przyjętemu oglądowi, tracą przydatność dawne schematy analityczne. Dotychczasowa siatka pojęciowo-logiczna nie przystaje do nowej rzeczywistości. Problem jest złożony, ma swoje skomplikowane uwarunkowania, a nadto podlega ostrym, dynamicznym przemianom. Zauważmy, że szeroko pojęte zjawisko tożsamości kulturowej nabiera już od schyłku ubiegłego stulecia wiele nowych treści i cech, zmieniło się jego oblicze. To zaledwie perspektywa ostatnich kilkunastu lat. Tendencja ta wystąpiła bardzo wyraźnie w Europie środkowej, także w Polsce. Górny Śląsk - ziemia pogranicza - zajmuje w tej perspektywie swoje szczególne miejsce. W zasygnalizowanej części Starego Kontynentu poza tendencjami ogólnoswiatowymi takimi jak globalizacja, nowe formy komunikacji społecznej czy kultura masowa, rozchwianie, a nawet zanik autorytetów, czy rozpad wielu stabilnych struktur społecznych i kulturowych, czy kryzys państwa (a także „ponowoczesność”) pojawiły się specyficzne regionalne uwarunkowania, wynikające z upadku poprzedniego systemu politycznego i budowania struktur demokratycznych. Dlatego nastąpił znaczący społeczny awans nowych aspektów tożsamości.

Tożsamość stanowi zawsze najważniejszy element spistości każdej zbiorowości. W swej istocie jest

Dyskurs o tożsamości miasta

KONFERENCJA

skomplikowana, bogata, rozedrgana. Jeden z badaczy podejmując próbę zdefiniowania tego zjawiska dowodzi, że „tożsamość jest skazana definitywnie na wpisanie w obszar pośredni pomiędzy tym, co pojedyncze i tym, co zbiorowe, tym, co wewnętrzne i tym, co zewnętrzne, bytem i działaniem, ego i alter, defensywą i ofensywą, zakorzenieniem i migracją, asymilacją i dyskryminacją, wrońnictwem i marginalnością”. Niezastąpiony Umberto Eco mówi w tym przypadku o „naturze tożsamości”. Tożsamość ma swoje wymiary i przejawy, swoje uwarunkowania czasoprzestrzenne, swoje odniesienia symboliczne i aksjologiczne. Przykładem choćby tożsamość społeczno-kulturowa miasta. Jest to problem, który wzbudza zainteresowania przedstawicieli różnych dyscyplin, także etnologicznych. Dowodem tego są nowe kierunki badań, nowe fascynacje, nowe publikacje.

W wyniku tego fermentu intelektualnego pojawiła się koncepcja zorganizowania konferencji „Tożsamość społeczno-kulturowa miasta”. Odbyła się 27 września 2001 roku w Zabrzu. Organizatorem tego ogólnopolskiego spotkania było Muzeum Miejskie w Zabrzu przy współudziale Komisji Etnologii Miasta Komitetu Nauk Etnologicznych PAN w Warszawie i Polskiego Towarzystwa Etnologii Miasta.

Konferencja zabrzańska skupiła, obok badaczy z naszego regionu, przedstawicieli ośrodków uniwersyteckich z Warszawy, Poznania, Łodzi i Krakowa. Na uwagę zasługuje obecność wśród referentów etnologów skupionych w muzealnictwie śląskim i warszawskim. Celem tego spotkania była próba przedstawienia i skonfrontowania tematyki badawczej realizowanej w głównych ośrodkach rodzimej etnologii miasta. Program obejmował dziesięć referatów. Tematyka konferencji skupiała się w dwóch nurtach. Ich zawartość merytoryczna ma różne uzasadnienia. Badacze przede wszystkim podkreślali rangę analizowanego aspektu tożsamości zbiorowej w konkretnej przestrzeni. Istotną sprawą była też narastająca świadomość porzucenia tradycyjnego „paradygmatu badaw-

czego”. I tak, pierwszy nurt rozważań konferencyjnych to problematyka tożsamości miast pojmowana w aspekcie historycznym. Szczególnie interesujące były referaty dotyczące Łodzi. Przykładowo prof. dr Bronisława Kopczyńska-Jaworska ukazała przeobrażenia tożsamości narodowej ewangelików, natomiast dr Ewa Grażyna Karpińska przedstawiła refleksje dotyczące rzeczywistości czasu ekstremalnego, to jest lat okupacji, ukazując zupełnie nieznaną aspektu wpływu nazizmu na tożsamość indywidualną i zbiorową. Przywołać też należy wystąpienie dotyczące tożsamości etnicznej mieszkańców warszawskiego Powiśla, i to na tle szerokiej panoramy dziejowej XIX i XX wieku. Drugi nurt - współczesność. Istotny dla realiów górnośląskich problem „kontekstu miejsca” analizowany w odniesieniu do interesujących obiektów dawnego budownictwa Nikiszowca i Giszowca oraz nowoczesnych budynków w centrum Katowic omówiła dr inż. arch. Elżbieta Bleszyńska-Kocłęga. Współczesność to również zawarte w programie konferencji rozważania dotyczące sytuacji etnicznej w miastach górnośląskich oraz kwestia „trudnego sąsiedztwa”: Nowa Huta - Kraków. W tej perspektywie ważne były też antropologiczne próby analizy rzeczywistości. Przykładem szukanie i określenie specyfiki nowych, często zupełnie zaskakujących miejskich zjawisk kulturowych, konkretnie citty-religion (dr Piotr Jordan Śliwiński, kapucyn z Krakowa). Wszechogarniająca sztuka filmowa również pobudziła do refleksji. Okazuje się bowiem, że miasto często bywa bohaterem filmu. Dla dr. Adama Regiewicza jest to pretekstem do postrzegania tego tematu jako swoistej „symfonii miasta”. W poszukiwaniu bogactwa miejskiej tożsamości niezwykle interesujący trop ukazała też prof. dr Anna Szyfer, koncentrując się na relacji między tzw. przestrzenią znaczącą a osobowością mieszkańców miasta.

Konferencja należy już do przeszłości. Gwoli kronikarskiej powinności należy przywołać pewne myśli często obecne w poszczególnych wystąpieniach. Zwracano uwagę na problemy dezintegracji, a nawet niekiedy rozpadu dotychczasowej tożsamości społeczno-kulturowej, dalek zachwianie poczucia stabilności i identyfikacji jednostki i społeczności w realiach zmieniających się miast, formowanie się nowych kategorii określających poczucie swojskości oraz odrębności od otoczenia, czy narastanie wyraźnych tendencji mitologizujących rzeczywistość.

Materiały z tej konferencji zostaną opublikowane.

HALINA GERLICH

G enialnym pomysłem Urzędów Miejskich Katowic i Sosnowca było sprowadzenie zespołu Opery Lwowskiej na wielką galę upamiętniającą 100. rocznicę śmierci Giuseppe Verdiego i (czego już nie zaznaczono na afiszu) - 100. rocznicę powstania obecnego gmachu opery we Lwowie - gmachu, który był świadkiem największych sukcesów lwowskiej trupy operowej, za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego i Ludwika Hellera (nie Henryka Jareckiego, jak wmawiał publiczności katowickiej konferansjer), w latach 1901-1918.

Nie dziw, że na koncert w dniu 16 września do sali Fitelberga GCK przybyły tłumy publiczności, ogromnie cieszącej się na spotkanie z zespołem, który w poprzednim wcieleniu stworzył także wielkość bytomskiej sceny. Ci wszakże, którzy nie przybyli tam wyłącznie ze względów sentymentalnych, gorzko się rozczarowali. Nie była to prawdziwa gala, tym bardziej - wielka; nie była nawet... lwowska. Do Katowic przyjechała tylko skromna reprezentacja chóru i orkiestry Opery Lwowskiej, solistów i dyrygenta dożyczono z zewnątrz. A przecież to soliści tworzą prawdziwe oblicze sceny operowej, chodzi się do opery, żeby ich słuchać i kochać. Opera Lwowska dysponuje obecnie zespołem wspaniałych śpiewaków, stoi na wysokim poziomie, jeśli chodzi o reżyserię i inscenizację.

Czy tamtejsi soliści i kapelmistrzowie byli za kosztowni, żeby ich przywieźć do Katowic? Sam zespół, grający i śpiewający na poziomie, jaki reprezentują wszystkie oszczędnie finansowane opery w tej części Europy, nie mógł nas przekonać o dzisiejszej atrakcyjności lwowskiej sceny. Dwoje gościnnych solistów: Włoszka Capucine Chiaudani i Ukrainiec Ruslan Zinewicz nie byli w stanie udźwignąć ciężkiej na nich presji „gallowej”, chociaż śpiewali ładnie i kulturalnie. Nie przyczyniła się do sukcesu koncertu dyrygentka Dorothea Agnoletto, niepotrzebnie i zgola niedorzecznie popisująca się również jako pianistka w Mozartowskiej Arii koncertowej (fakt, że się w odległej przeszłości ćwiczyło na fortepianie, nie upoważnia do publicznego prezentowania zeszytniałego, wykoślawionego „aparatu”; fałszywie zinterpretowane okoliczności historyczne nie upoważniają również do zasiadania przy fortepianie tyłem do publiczności). Nie mogę odżalować, że większość imion i nazwisk wielkich polskich i ukraińskich artystów dawnej Opery Lwowskiej, którzy zapisali się złotymi zgłoskami w historii polskiej kultury, obarczono w drukowanym programie koncertu karygodnymi błędami pisowni.

Stuknęła pięćdziesiątka!

Eugeniusz Knapik, Aleksander Lasoń i Andrzej Krzanowski: trójka rówieśników, urodzonych w 1951 ro-

Muzyka

ku, przed ćwierć wiekiem podbiła polską i zagraniczną publiczność muzyką zrywającą z technicyzmem awangardy, zwracającą się (nie bez zachęty ze strony wielkich duchów muzyki polskiej: Góreckiego i Lutosławskiego) w stronę klasycznego piękna i „normalnej” ekspresji. O wystąpieniu sławnej trójki traktują dziś podręczniki jako o jednym z ważniejszych wydarzeń w muzyce polskiej II połowy wieku. Można spekulować na temat zewnętrznych przesłanek sukcesu trojga śląskich twórców. Na pewno stworzyły go w jakimś sensie okoliczności historyczne - fakt wspólnego debiutu na ekskluzywnym forum, jakie stworzyły u kresu PRL-u słynne zjazdy muzyków w Baranowie Sandomierskim: impreza o wyrazistym obliczu politycznym (anty), skupiająca ludzi wybranych i wybadanych (obowiązywały rekomendacje), kipiąca emocjami i pomysłami. Nie bez wpływu na skuteczność wystąpienia „grupy 1951” był z pewnością jego pokoleniowy charakter: do kompozytorów dołączyli się młodzi wykonawcy oraz publicyści, mocno wierzący w „sprawę” i potrafiący ukazać ją we właściwym ideowym kontekście. Jednak głębokich źródeł sukcesu „śląskiej fali” trzeba szukać w nieporównywalnej skali talentów, jak również świetnym przygotowaniu zawodowym. W czasach opartych w znacznej mierze przez kompozytorów nie słyszających (muzycznie), nie grających na niczym, nie czujących muzyki (ten swoisty gatunek był produktem ubocznym awangardy; na jej negacyjnych ideach wykarmiły się całe rzesze hochsztaplerów) pojawili się artyści słyszący, grający, dyrygujący - fenomen nie tylko w skali kraju, świetnie zresztą świadczący o śląskiej szkole, która nadal trzyma poziom, mimo niekorzystnej atmosfery, jaka otacza ostatnio sprawę polskiej muzyki współczesnej, dyskwalifikowanej nie tylko przez rockową opozycję jako totalna ekstrema.

W tym roku Knapik i Lasoń obchodzą pięćdziesiątkę - Andrzej Krzanowski, zmarły przedwcześnie w 1990 roku, jest na pewno z nimi duchem. Specjalny koncert z tej okazji urządziła Biblioteka Główna Akademii Muzycznej 24 września. Wystąpił Kwartet „Akademios”, wykonując z werwą Kwartet Knapika i IV Kwartet „Tarnogórski” Lasońa oraz Marek Andrysek, jak zawsze świetnie „nastrojony” do wykonywania lirycznej, skupionej muzyki Andrzeja Krzanowskiego (grał *Divertimento* z 1986 roku).

Lilianna Moll, kustosz Biblioteki AM postanowiła uczcić urodziny kolegów zapraszając do audytatorium Biblioteki Śląskiej ich (i swoją) byłą klasę z Liceum Szymanowskiego. Wszy-

scy przyszli! Byli również uczestnicy trwającej równocześnie V Ogólnopolskiej Konferencji Bibliotekarzy Muzycznych oraz kilku kolegów - kompozytorów, raczej tych starszych. Pokolenie wdzięcznych uczniów Jubilatów reprezentowało samotnie dwoje studentów konserwatorium w Bazyli: Aleksander Gabrys i Dagmara Jack. Ich graficzne partytury w kolorze bordo i czarnym były (dosłownie i w przenośni) ozdobą wystawionej w Bibliotece Śląskiej kolekcji rękopisów utworów kompozytorów śląskich ofiarowanych bądź dedykowanych przez autorów Bibliotece Akademii Muzycznej.

Okazuje się, że prawie każdy kompozytor śląski coś Bibliotece dał - rośnie cenna kolekcja, której przecież daleko do kompletności, czy chociażby reprezentatywności. Karol Musiol stworzył niegdyś w Bibliotece PWSM zaczątki Archiwum Śląskiej Kultury Muzycznej. Większość teczek zgromadzonych w Archiwum jest chuda i nie wykazuje tendencji do przybierania na wadze; co gorsza, teczek nie przybywa - nie dotarły do żadnej krajowej biblioteki papiery po Karolu Hławiczcze, Janie Gawlasie, Franciszku Rylingu i wielu innych wybitnych śląskich twórcach i badaczach. Są w rękach „zbieraczy”, którzy pracowicie doglądają rośnięcia cen antykwarycznych zazdrośnie strzeżonych szpargałów.

Nowa muzyka po raz 83

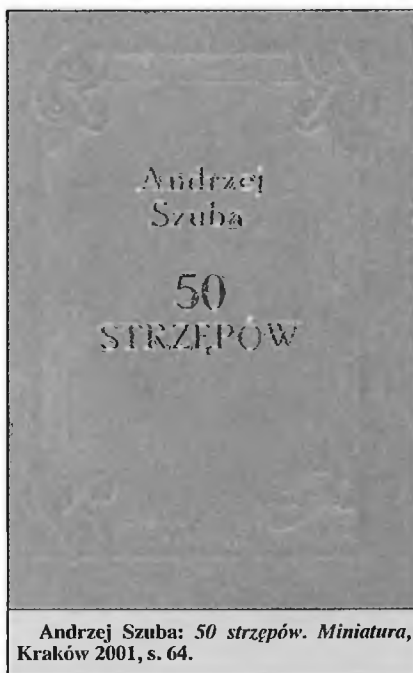
W sali kameralnej Górnos Śląskiego Centrum Kultury odbył się 3 października 83 koncert z trwającego już ponad ćwierć wieku cyklu „Śląskie Trybuny Kompozytorów”. Wystąpili znakomici soliści: Monika Sikorska-Wojtacha i Aleksander Gabrys oraz znana już dobrze w mieście Orkiestra Kameralna „Camerata Impuls” pod dyrekcją Małgorzaty Kaniowskiej. Program „Trybuny” obejmował czołowe utwory kameralne śląskich twórców, pisane w trzech ostatnich dekadach: Jana Wincentego Hawela (błyskotliwe, wciąż świeżo brzmiące fortepianowe Witraże z 1973 roku grała Monika Sikorska-Wojtacha), Małgorzaty Hussar (poetyckie Archi z 1998 roku wykonała „Camerata Impuls”), Józefa Świdra (w tym samym wykonaniu zabrzmiała jego Canzonetta di Natale z lat osiemdziesiątych) oraz Edwarda Bogusławskiego (w *Concerto - Cantacie* na orkiestrę kameralną i kontrabas z 1997 roku wirtuozowską, niezwykle wymagającą partię solową zagrał brawurowo Aleksander Gabrys). Oprócz tego „Camerata” zaprezentowała debiutancką Elegię Krzysztofa Jedrasika, studenta w Instytucie Muzyki Filii US w Cieszylinie. Za odkrycie nowego talentu kompozytorskiego należą się Małgorzacie Kaniowskiej wielkie brawa!

MAGDALENA DZIADEK

Kilka lat temu - w rozmowie z Krzysztofem Lisowskim, którą opublikowała „Dekada Literacka” - Andrzej Szuba stwierdził: „Jestem poetyckim krótkodystansowcem, sto metrów i wystarczy. Już czterysta metrów przypawiloby mnie o zadyszke, a co dopiero czarnaście linijek”. Rzeczywiście, w najnowszej książce wiersze nie przekraczają nawet pięciu „linijek”. Poprzedni tomik opatrzony był sugestywnym tytułem *Strzępy*, zatem książka nowa - choćby za sprawą autorskiej, genologicznej „specyfikacji” oraz ciągłości w numerowaniu tekstów - kontynuuje liryczne sekwencje. Nie, nie tylko z książki poprzedniej, wszak istotną rolę w twórczości pisarza odegrały *Postscripta* (1986). Przypomnę jednak, że pierwotne warianty *antescryptów I, II, III, IV* (otwierających autorski wybór *Dzieci, frezje, zające*) znalazły się już w *Wejściu zapasowym* z 1980 roku, a z nich wypływają de facto liryczne źródła dzisiejszych „strzępów”.

Jak postrzegane są kolejne *postscripta*? W komentarzach krytycznych powiadano, iż „budzą zaufanie” (Kawiński), porównywano je do „skrupulatnie sporządzonych rysunków piórkiem” (Pastuszewski), zasadnie odnoszono do „poezji gnomicznej, wymagającej sporej dyscypliny intelektualnej i językowej” (Świeściak); Adriana Szymańska pisała, że mogłyby „w większości zdobyć nagrobne i wszelkie inne pamiątkowe kamienie, dokumentując historię ludzkiej wrażliwości końca XX wieku”. Z jednej strony wskazywano tradycję śródziemnomorskiej epigramatyki, z drugiej - nawiązania do haiku. W tym przypadku wszakże, interpretując *postscriptum CIII* („Masz siebie / nie można mieć więcej / niż wszystko”), Bronisław Maj trafnie odnotował protokół rozbieżności: „Wiersz (...) elementarnie prosty jak haiku, ale (...) w istocie swej będący jakby zaprzeczeniem poetyki haiku. Haiku (...) buduje prosty, naturalny i konkretny obraz”, w tekście Szuby natomiast brak „ślądu obrazu, (...) cienia naturalnego, rzeczowego konkretnego; przeciwnie: jest sama czysta myśl, abstrakt filozoficzny”. Jak widać nie chodzi tu o formalny wymóg sylabiczny. Rzecz w tym, iż Szuba nie jest zainteresowany malarską miniaturą, wzrokową „stop-klatką”, która zainicjuje filozoficzny wykład; gra toczy się tutaj w przestrzeni bytów językowych i intelektu.

Andrzej Szuba przedstawia swoisty wariant liryki konceptu, którą można by nazwać glosariuszem sporządzanym na marginesach rzeczywistości (czy też codziennosci „neutralizującej” myśl o sprawach ostatecznych), ale - pytanie wybrzmi od razu - czy mamy tu do czynienia z marginesami doświadczenia? Kolejne teksty sytuują nas przecież w obszarze egzysten-



Między pretekstem a konkluzją

cjalnych „ekstremów”, w rozmaitych ujęciach objawiają linie graniczne i sytuacyjne zawiżenia. Krótko mówiąc - bo jakże w tym przypadku postąpić inaczej - udaje się Szubie, w wierszach-rozblyskach, zbliżyć do kwestii kluczowych. Filozoficznych? Owszem. Egzystencjalnych? Niewątpliwie, tak. Meta-poetyckich? Również. Udaje mu się odsłonić pozory, skądinąd komfortowej, marginalizacji refleksji o sensie, ciemnej stronie przedmiotów i zdarzeń.

Tu pojawia się kłopot: pisząc o utworach autora *Strzępów*, łatwo popaść w patetyczną frazę, banal oczywistości, w dyskurs „nierozstrzygnięcia”. Ale to zmartwienie komentatorów, sam poeta, myśląc o rzeczach pierwszych i ostatecznych, skutecznie umknął w stronę formy ascetycznej - między innymi właśnie przed pułapkami wylewnych, modernistycznych „wyjęzyczeń”, przed oracją i kamuflażem epitetowych ornamentów.

Szuba kojarzony już będzie z poetyką „przypisowej” lakoniczności. Za uważmy: przeczytawszy *postscriptum*, zazwyczaj weryfikujące podsumowanie, jakby dokończenie wyводу, od razu kierujemy uwagę ku tekstowi „niewidocznemu”. Ba, rekonstruujemy tekst, który nie został dla

nas odkryty, istniejący lub tylko prze-czuty. Ważne, iż jest on tekstem możliwym. Próbując wyjaśnić status tych utworów, Marian Kisiel podkreślał, iż są one „konkluzją życia (stąd możliwe jest jego odtworzenie)”, jak również „pretekstem do stworzenia hipotetycznego wzorca egzystencji (stąd nie-możliwe jest odtworzenie realnego, istniejącego prawdziwie życia)”. Właśnie pomiędzy pretekstem a konkluzją rozgrywają się owe liryczne sekwencje. Zerknijmy na *Postscriptum CLVII*: „To też jest pytanie” tudzież *Postscriptum CLXXXVI*: „Jest skoro jest / odpowiedzią / na nie postawione pytanie”. Istnienie, początek i koniec, Bóg, pewniki i hipostazy, ja i on/ona/ono - podobny rejestr punktów odniesienia, zatrzymując się przy wierszach Szuby, należałoby powiększać. Powiększać i konkretyzować. W każdym razie, dostrzeżemy tu zasadnicze opozycje: pełnia - pustka, glos - milczenie, „tu” - „tam”. Opierając się na nich, aforystyczne oznajmienia ewokują wiele pytań, ale też - odwróć perspektywę - ich materia z natrętnie powracających pytań i wątpliwości bezpośrednio wynika.

Ważny będzie w *50 strzępach* czas, „wyostrzone” granice chwil przepływających pewność ze zwątpieniem. Oto *Postscriptum CLXVII*, bezpośrednio wskazujące moment ingerencji Chronosa: „Czas pomyśleć / co będzie // to dopiero koniec” oraz *Postscriptum CLXXXVII*: „Nie odszedł / bóg wydo-był go / ze swej niepamięci”. W takich utworach Szuba dyskretnie pokonuje jeszcze inaczej rozumianą granicę. Myślę o intymności, „jednorazowości” lirycznych sytuacji, gdyż podobne teksty wnioskują ostatecznie - słusznie wskazywał Kisiel „prywatność modelową” - w uniwersum doświadczenia.

Liryczne „aforyzmy” Szuby wynikają z pewnych przesunięć w logicznych konstrukcjach (konstatacjach), nierzadko poeta wykorzystuje bowiem substytucję, zaś „podmieniwszy” słowa, osiąga konceptualny efekt zaskoczenia. Dlatego wspominałem o wariancie „swoistym”, wszak nie chodzi tu o lingwistyczną zonglerkę, jakże często upodrzedniającą sens, ideę. W wywiadzie, który przywołałem na początku, Szuba powiada: „Niemieckie słowo »dichten« znaczy zarówno »zgłęszczać«, jak »pisać wiersze«”. Rzeczywiście, w jego przypadku powstają sugestywne wiersze-ekstrakty. Poeta dodaje wszakże: „Całkiem możliwe, że po pewnym czasie takiej mimowolnej praktyki będę miał za plecami już tylko bezsłowną ścianę. »Sieć skończył«. Nie szkodzi. Nic na siłę”.

Powstał przeto dość obszerne blok lirycznych skrótów, ale „bezsłowność” Andrzejowi Szubie z pewnością nie grozi.

PAWEŁ MAJERSKI

W Wierszach dla palących Krzysztofa Siwczyka za często pada słowo życie, byśmy nie zaczęli żywić uzasadnionych podejrzeń, że w gruncie rzeczy idzie tu o śmierć. Co prawda, w czterdziestu wierszach zbioru samo słowo *śmierć* wypowiedziane zostało tylko dwukrotnie (uderzająca powściągliwość), natomiast *życie*, w postaci rzeczownikowej dziesięciokrotnie, w rozmaitych formach czasownikowych i przymiotnikowych - drugie tyle. Raz tylko *śmierć*, w potocznym rozumieniu tego słowa, konfrontuje poeta z *życiem*:

*Życie jednorazowego użytku
pozwala zachować anonimowość.
Śmierć nadaje nam nazwy
własne. (s.17)*

Jesteśmy „życi z ciałem” (s.20), naszym doświadczeniem jest „żarłoczność” i „życiożerność”. Rodzaj ludzki żżera samo życie. Śmierć pełni innego rodzaju służbę: nadaje sens naszej egzystencji. Czy aby na pewno?

*Cudownie jest nazywać,
rozumie się, ale jak długo można
nie wiedzieć co i jak? (s.8)*

Oto napotykaamy trudny do przejścia paradoks: jakimż sensem można obdarzyć coś, co jest, siłą rzeczy, z samej swojej natury, z definicji - poza zasięgiem sensu. Coś, co samo poddaje siebie w wątpliwość: „Życie? Nigdy w życiu.” (s.5). A skoro tak, skoro „terminujemy u ślepców” (s.10), skoro „zaczynamy życie od nowa/ nie mając do tego głowy.” (s.25), skoro życie jest niemożliwe do przeżycia, co z nim zrobić? Pozwolić „ciału żyć własnym życiem”? (s.29). Żyć „od przypadku do przypadku”? (s.15) „Leżąc łąc”? (j.w.) Zalatwiać „życiowe problemy”? A jakież to życiowe problemy? Potoczny zwrot, każdy ma jakieś tam życiowe problemy, z którymi stara się uporać. W wierszu Krzysztofa Siwczyka ten zbanalizowany do cna zwrot staje w silnym blasku prawdy; prawdą jest „pusta oścież” (s.30). Prawdą jest „nic i ość” (s.25), czyli nicość. Nic. Uważnie odczytajmy słowa wiersza, w którym poeta lojalnie uprzedza, że jest „odwrotnie niż myślimy”:

*Tutaj woła się o pomstę
do druku. Nic tu po nas
zajmuje miejsce i
jest tego samego zdania,
co my, jednym słowem
zalatwia za nas wszystkie
życiowe problemy.
Na własną rękę możemy się
jedynie pochować. (s.14)*

Cały wiersz zbudowany jest z językowych protez, ale podobnie jak są liczby kardynalne, o których mowa w dwóch wierszach: otwierającym i kończącym tom, są także słowa kardynalne, tyle że zaszyfrowane. Trzeba je czytać jakby na opak. Co kryją w sobie, czy za sobą?

Świat Krzysztofa Siwczyka jest światem w chwilę po ostatecznym zde-maskowaniu się. Wyszło na jaw, co było pilnie skrywane: „Nie ma jutra.” (s.28) Komunikaty porozrzucane po książce: 1. Każdy jest wczorajszy. 2. Czy tak sobie wyobrażałeś czarną go-



Nic i ość

*dżinę? 3. Ile rozwiązań, tyle zagadek.
4. Wie, czy nie, że w ziemi będzie
o niebo lepiej? 5. Nic dodać, nic ująć
i na nic nie liczyć.*

Nie ma nadziei, nie ma też ucieczki. W najlepszym razie: „*Uciekam się do różnych sposobów, w tym także do tego*”. To znaczy, do czego? Pewnie do wiersza. Być może to jedno pozostało. Nie jest to wszakże kwestia wiary w sztukę, już prędzej coś w rodzaju rutynowego gestu, na zasadzie, że tak przyjęto, tak się utarło. Jest w zwyczaju, że skoro jest się poetą, pisze się wiersze, układa je w tomik i oddaje do druku. Nie jest to bezwzględnie konieczne: „*Wiem, że rozumiemy się bez słów, od kiedyś rozumieć znaczy pomijać mówieniem*”. To, co godne uwagi, czyli życie, czyli śmierć pozostaje poza zasięgiem słów, które wobec nalożonego na nie zadania są całkowicie bezbronne.

*Wiem, jak ci o czymś powiedzieć,
ale ze słowami jest tak,
że lepiej nie mówić. (s.12)*

Jest tak, jak z pytaniem o czas u św. Augustyna: wiem, czym jest, dopóki mnie o to nie spytacie. Ale mimo wszystko pozostaje to jedno: wiersz. Słaby gest przeciwko anonimowości. Wiersz, który nie opowiada, nie wzrusza, nie zachwyca. Po prostu ma być, i jest. Na pozór obojętny. Zimny i mocny. Przekazuje jakiś komunikat, ale jakby nie á propos. Ważny i pilny, ważny, ale nie w tym miejscu, pilny, ale kiedy indziej. W świecie Siwczyka każdy akt jest spóźniony; dość trudno operować czasem, gdy nie ma jutra.

*O ile mnie pamięć nie myli,
już jesteśmy nie na czasie (...) (s.25)*

Relacje między ludźmi zostały zredukowane do poziomu nie-porozumienia; są to tyleż rutynowe, co daremne próby

inscenizowania „dialogu”, „współ-życia”, patrzenia na siebie. Spotkanie się w świecie tych samych słów, to znaczy słów o rozpoznawalnym dla dwojga ludzi znaczeniu, jest niemożliwe. On nie przyjmuje do wiadomości faktu życia, Ona (ale kto, Kobieta, czy Śmierć?) daje więcej, niż On może przyjąć. Co jeszcze „*martwe natury*” (s.43) mogą przyjąć od śmierci? Ale może to bardziej Kobieta, niż Śmierć? Choćby przez chwilę: „*Tak się złożyło, / że kochając się / nad życie, / jesteśmy dla siebie / nade wszystko?*” W świecie Siwczyka kochać można tylko i wyłącznie nad życie, czyli: na śmierć (i życie - w nawiasie, naturalnie). „Jesteśmy dla siebie nade wszystko?” Z pewnością: tak są dla siebie i ze sobą życie i śmierć. Tak przedstawia się relacja: poeta a świat.

Jeszcze gorzej ze zdefiniowaniem własnej sytuacji ludzkiej. Bo jeśli z perspektywy drugiej osoby bohater Siwczyka może „*robić wrażenie człowieka, / który nie ma z sobą nic / wspólnego*”, to już „*sam przywiązany do siebie*” gubi się, i to „*nie wiedzieć czemu*”. Lubi „*być pomyłony z kim innym*”. Lubi być pytany o tożsamość: „*Z tego co wiem, był ktoś taki, ale / czy ja wiem?*” Zdania, które mają zakrój konstatacji, kończą się pytańnikiem. Z reguły. W świecie Siwczyka nie ma życia, bo nie ma w nim natury (jak się rzekło, są tylko martwe natury). Nie ma drzew (jest tylko linia drzew, jako granica), nie ma drogi (jest szosa, jest trop), nie ma roślin, bo w tym świecie nic nie rośnie; owszem, rośnie i to stale „*popularność samobójstwa*” (s.38).

Przedmiotem tej książki jest niebycie, choć to słowo, słowo kardynalne, ani raz nie pojawia się na jej kartach. Władzę absolutną sprawuje NIC. „Nic tu po nas”. Słowem: zmywajmy się. Słowem: nikt nas tutaj, w tym miejscu, czyli w życiu, nie chce. Ale to NIC zajmuje nasze miejsce, mówi to samo, co my, za nas myśli, działa. NIC jest formą i treścią. „*Na własną rękę możemy się jedynie pochować*”. To jedno, co podlega naszej kompetencji.

„Wiersze dla palących” (czyli wiersze dla palaczy. Palaczy zwłok?) - to książka ontologiczna. Wiersz - z założenia - nie jest punktem dojścia, staje się nim niejako siłą rzeczy; wiersz jest drogą na skróty (najkrótszą z możliwych) do Esse. Jaki wiersz? Czyli: jaka jest dykcja tej poezji? Rozpoznawalna. Nowofalowa. W tym sensie nie-swoja. Ale postawiona przed innym, trudniejszym zadaniem. Nie o politykę tu idzie (jak u Barańczaka), ba, nie o etykę (jak u Krynickiego) nie o metafizyk (jak u praojców Nowej Fali: Karpowicza i Białoszewskiego). Idzie tutaj o być, albo nie być. Z wyraźnym wskazaniem na drugi człon. I nie na użytek wiersza. I z pewnością na własny rachunek.

Andrzej Zawada, wrocławski polonista, autor monografii poświęconych Iwaszkiewiczowi (1994) i Miłoszowi (1996), wydał ostatnio *Literackie półwiecze*, czyli dalszy ciąg swojej popularnej książki pt. *Dwudziestolecie literackie* (1995). Tym samym objął narracją historycznoliteracką obszerny okres XX wieku: od zakończenia pierwszej wojny światowej po nie tak odległe w czasie historyczne obrady okrągłego stołu. Nowe dzieło Zawady posiada kilka nieocenionych zalet, o czym należy na początku recenzji dobitnie powiedzieć. Po pierwsze, połączono tu — udatnie i chyba pioniersko — dzieje literatury emigracyjnej i peerelowskiej. Po drugie, zamieszczono — jak w całej tej kolorowej serii — wiele ciekawych ilustracji (mapy, rękopisy, afisze, zdjęcie Melanii Kierczyńskiej — „pierwszej damy polskiego socrealizmu” — co jest najlepszym komentarzem do wartości estetycznych owego importowanego ze Wschodu prądu literackiego). Po trzecie, w zgrabnej i ponętnie syntetycznej formie zaproponowano nowy ranking ważnej części polskiej literatury XX wieku, wskazując pisarskie empireum (niebiański przebyt) i piekielne otchłanie (niebyt).

Książka Zawady dotyczy identycznego okresu, co opublikowana w latach 1993—1996 w Katowicach dwutomowa praca zbiorowa pt. *Literatura emigracyjna 1939—1989* (pod red. Marka Pytasza i Józefa Olejniczaka). Ciekawe, jakie nazwiska z tamtej, światowej, sceny literackiej nie pojawiają się we wrocławskiej syntezie. Otóż z autorów wymienionych w tytułach rozdziałów katowickiego przewodnika Zawada pominął w ogóle Jerzego Pietrkiewicza, Jerzego Kosińskiego i Wiesława Kunickiego, a wzmiankował tylko o istnieniu m.in. Stanisława Balińskiego, Jerzego Niemojowskiego, Wacława Iwaniuka i Floriana Czarnyszewicza (nb. błędny zapis nazwiska w indeksie). Żal mi straconego w niebyt Pietrkiewicza, poety i tłumacza, a także promotora pracy doktorskiej Duńczyka Peera Hultberga o Berencie.

Książka Zawady ma dość wygodną — dla popularyzacji — strukturę: w sześciu rozdziałach opisano tu dwukrotnie najwybitniejszych polskich pisarzy i ich dzieła (nie licząc „Trzeciej ścieżki”, jaką tworzą minicharakterystyki wybranych autorów dołączone do ilustracji: s. 11, 16, 19, 21, 24, 27, 43, 51, 95, 100, 123, 161, 177, 193, 194, 195—6, 202, 203—4, 215, 218). Tak więc najpierw mamy chronologiczną triadę: okres przed socrealizmem (rozdział „Wojna”), samo epicentrum tegoż stalinowskiego okresu („Nacjonalizacja słów”), czasy po tym „okresie błędów i wypaczeń” („Odzykiwanie głosu”, nb. w spisie treści błędne sformułowanie tego tytułu). W drugiej triadzie Zawada zajmuje się poezją („Dykacja, czyli ocalenie”), prozą („Autoportret z przeszłością”) i sztuką teatralną („Od dramatu do towaru”). Z powodu tych nawarstwień narracyjnych (dwie triady i „Trzecia ścieżka”) nie jest łatwo odtworzyć ranking przedstawianych i przybliżanych czytelnikowi pisarzy. Uproszczoną drogą rekonstrukcji jest indeks nazwisk na końcu książki. Lista honorowa wybrańców Zawady bliska jest następującej enumeracji: Miłosz, Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Różewicz,



A. Zawada: *Literackie półwiecze 1939—1989*. Wrocław 2001, seria „A to Polska właśnie”, s. 286 + 6 nlb.

Pisarski przebyt i niebyt

Gombrowicz, Mrozek, Kon-wicki, Herbert, Borowski, Dąbrowska. Nie na próżno zatem wspominałem, że Zawada pisał poprzednio o Miłoszu i Iwaszkiewiczach!

Nie będę oczywiście wypominać autorowi popularnej syntezy pomijania wielu znaczących nazwisk (np. Afanasjew i Anderman, Bitner i Brycht, Cat-Mackiewicz i Czernik — by ograniczyć się do ABC), bo nie chciał dać encyklopedii pt. *Literatura polska XX wieku* (w której też istnieją białe plamy, bolesne luki oraz [wy-]boiska niecelnych, nietrafnych i nietrwałych ewaluacji). Zastanówię się raczej nad inną fundamentalną kwestią: jakiego trzeba dystansu czasowego, by sprawiedliwie opisać nie tak odległą przeszłość? Czuję, że jedna dekada, czy nawet 12 lat, to zbyt krótki okres, by mogły się już ustalić jakieś obiektywne czy choć w miarę jednoznaczne oceny (społeczny konsensus) opisywanej epoki. Tym bardziej ten dystans jest istotny, iż w obecnej chwili następuje pomieszanie, alians i aliaż dwu spojrzeń: 1. widzenia tej literatury z perspektywy XXI wieku, 2. notowań giełdy literackiej A.D. 2001, 2. oglądu zjawiska z wewnątrz, czyli z punktu widzenia umieszczonego ok. roku 1980. Spojrzenie z 2001 roku nie pozwala raczej na tak wysokie uhonorowanie Iwaszkiewicza czy Andrzejewskiego, jak to widać na „pudle” Zawady (tu dominuje optyka chyba peerelowska). Dziś jest prawie pewne, że jako mistrz prozy 50-lecia 1939—1989 występuje Gombrowicz, a daleko w tle

biegną Andrzejewski z zadyszczanym Iwaszkiewiczem.

Z drugiej strony: wedle perspektywy peerelowskiej oczywiste jest, że to nie Miłosz był w 1950, 1960, 1970 (czy nawet w roku 1980) liderem rankingu literackiego. Wszak w latach 70. mówiono o dwóch drogach ewolucji poezji polskiej — linii Przybosia i linii Miłosza. Dodam nieśmiało, że zważywszy (dosłownie!) ogrom dorobku poetyckiego, prozatorskiego i eseistycznego 90-letniego noblisty, wzięwszy pod rozwagę „parametr” Michała Głowińskiego (poezi wybitni nie bywają zbyt płodni), mogę przypuszczać, że przyszłe pokolenia wybiorą raczej Przybosia jako poetę minionego wieku. A może Tuwima czy też Białoszewskiego (by ograniczyć się do zmarłych pisarzy). Jako tekstolog pragnę wskazać też jeszcze inne kryterium: kto z polskich autorów zasłużył sobie na opublikowanie dzieł zbiorowych w opracowaniu krytycznym? Otóż istnieją m.in. edycje naukowe takich współczesnych pisarzy, jak: Broniewski, Dąbrowska, Gombrowicz, Miłosz, Peiper, Przyboś, Stern, Tuwim (5 z tych nazwisk brak w „10” Zawady). Daje to jeszcze inne możliwości ostatecznego ustalenia empireum literatury XX wieku.

Mogę powiedzieć, że towarzysząc — dzięki mojej biografii — prawie całemu 50-leciu opisywanemu przez Zawadę, byłem świadkiem najróżnorodniejszych ocen literatury tego okresu. Pamiętam wydawanie dzieł zbiorowych lub reprezentatywnych wyborów (jako wyróżnienie) takich przegranych dziś autorów, jak Putrament, Dobrowolski (nb. Stanisław Ryszard w ogóle nie zaistniał u Zawady) czy Kierczyńska, a więc nie mogę nie wątpić, czy czołówka *Literackiego półwiecza* utrzyma się za następne 50 lat...

Pisarski niebyt ogarnął, oprócz wielu śląskich autorów (ze znajomych wspomniany jest tylko Staszek Gębala), także moich wybitnych kolegów z Krakowa: poetę Michała Sprusińskiego i krytyka Jana Pieszczachowicza. Gdy z jej subiektywnej perspektywy patrzę, to widzę niesprawiedliwość historii, także historii literatury. Inny wymowny przykład: Wiesław Paweł Szymański — tak ostro walczący w tegorocznych „Arcanach” o własną wielkość — jest u Zawady na zdjęciu (s. 107), ale nie w podpisie pod fotografią, więc jakoby go w ogóle nie było! Sprostowania: *Rękopis znaleziony w Saragossie* (nie *Pamiętnik!*) jest dziełem Jana, a nie Wacława Potockiego (s. 256), Trudno się zgodzić, że „okoliczności tej nieśczęsnej historii [zabicia Teodora Bujnickiego] pozostają niejasne” (s. 16), gdy znamy artykuł Tomasza Szaroty opublikowany w tomie zbiorowym *Europa nieprovincialna* (2000), a zamieszczony też w „Rzeczpospolitej” pt. „Z piórem nie walczysz się kulą” („Plus — Minus”, 2000, nr 8).

Konkurując z Zawadą powinienem też podać własną „10” najważniejszych pisarzy okresu 1939—1989. Są to według mnie: Przyboś, Gombrowicz, Szymborska, Parnicki, Tuwim, Białoszewski, Herbert, Miłosz, Lem, Przybora. Wszak każdy od literatury oczekuje innego pocieszenia, satysfakcji czy nawet rozrywki...

JERZY PASZEK

Autor cenionych prac historycznych poświęconych macierzystemu regionowi Jan Delowicz (urodzony w Rybniku, zamieszkały w Żorach) wydał kolejne dwie kolejne książki: „Śmierć przyszła wiosną” i „Kpt. Nikodem Sobik bohater dwóch miast”, które łączy ta sama „tragedia katyńska” i żywa potrzeba stałego poszerzania wiedzy o tamtej zbrodni poprzez imienne losy ofiar. Jego zdanie wyrażone we wstępie do drugiej pozycji można uznać za programowe przesłanie: „Nie szukajmy bohaterów dalekich i obcych, przypomnijmy tych, którzy żyją w rodzinnej pamięci, póki jeszcze trwa potwierdzona słowami świadków”.

Tym właśnie powodowany Jan Delowicz podjął wieloletni mozolny wysiłek by ustalić nazwiska ofiar, udokumentować podstawowe fakty, spenetrować archiwa i opracowania źródłowe, zgromadzić rozproszone w większości materiały, dotrzeć do rodzinnych pamiątek i świadectw. Zadanie postawił sobie godne szacunku nie tylko z punktu widzenia pracy badacza, ale i moralnych powinności historyka tamtych tragicznych wydarzeń, aby ocalić to co jeszcze po latach możliwe — póki żyją ostatni świadkowie, trwa pamięć wśród najbliższych, można zidentyfikować osoby i skomentować biograficzne fakty, sprawdzić daty, wejrzeć w dokumenty. A chodzi w tym przypadku o losy ludzi wywodzących się, bądź związanych z ziemią przedwojennego powiatu rybnickiego, więźniów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, którzy stali się ofiarami mordów NKWD w Katyniu, Charkowie i Kalininie, a pozostają dotąd w większości nieznanymi, skazani z upływem czasu na całkowite zapomnienie.

„Śmierć przyszła wiosną” — książka wydana w 60. rocznicę zbrodni z wyroku najwyższych władz ZSRR ma a zarazem nie ma charakteru publikacji rocznicowej. Autor po prostu uznał tę datę za moralnie wiążącą by ujawnić stan swojej wiedzy na ten temat i przedstawić 90 postaci stalinowskich ofiar, świadomy, że „książka nie wyczerpuje całości tematu, gdyż nie udało (...) się ustalić nazwisk i danych wszystkich ofiar”, stąd zawarta we wstępie prośba o uzupełnienia biografii oraz informacje o nazwiskach ofiar pominiętych w tej publikacji. Już jednak to co udało mu się zebrać i udokumentować ma wielką, nie tylko historyczną wartość, choć niektóre postaci zostały ujęte bardzo lakonicznie, niekiedy ograniczone do faktów podstawowych, przy tym bez zdjęć, co potwierdza jak trudno dotrzeć dziś do biograficznych informacji i dokumentów, gdy urwały się ślady rodzin i osób bliskich.

I tak bez fotografii przedstawiona została sylwetka Lecha Mariana Białego (1908 r.), rybniczanie (syna wybitnego działacza narodowego tej ziemi dr. Feliksa Białego), dyplomowanego oficera, który po kampanii wrześniowej walczył jeszcze w obronie Lwowa, by z obozu w Starobielsku trafić do katowni w Charkowie. Zmarły w 1943 roku w Krakowie dr Feliks Biały spoczywa od roku 1960 na rybnickim cmentarzu a miejscowy szpital nosi jego imię; widać zdobycie zdjęcia syna nawet tak zasłużonego społecznika i działacza narodowego nie okazało się po latach możliwe. Są jednak w książce też także szerzej zarysowane sylwetki i biografie uzupełnione dokumentami, fotokopiami legitymacji i listów. Obok typowych zdjęć legitymacyjnych często pojawiają się fotografie pamiątek, portrety ślubne i fotografie zbiorowe z uroczystości i spotkań rodzinnych, dzięki czemu wiele partii książki ma w sobie coś osobistego i prywatnego, ale przez to jeszcze bardziej przejmującego.

Ten zestaw biografii 90 ofiar to najcenniejsza część książki. Obok żołnierzy września, którzy jako oficerowie, najczęściej rezerwy, stali się potem ofiarami mordów, najliczniejszą

PAMIĘĆ



grupę stanowią policjanci, funkcjonariusze straży granicznej i żandarmerii wojskowej, którzy nie uszli przed wzięciem do niewoli przez NKWD. Jest ich w tej książce łącznie 67 i byli w większości przed rokiem 1922 członkami Policji Plebiscytowej i Żandarmerii Krajowej, wcale często powstańcami śląskimi czy wielkopolskimi. Organizującą się w roku 1922 śląska policja w 80 procentach opierała się właśnie na ludziach z powstańczym rodowodem, co było najlepszą rekomendacją na tych narazonych na dywersję przygranicznych obszarach. Problemom tym Jan Delowicz poświęca osobny rozdział, który ukazuje też jaki był zbiorowy los tej formacji po wybuchu wojny i po 17 września, gdy do niewoli radzieckiej trafiło od 10—12 tys. polskich policjantów, z których zdecydowana większość podstępnie została zamordowana.

Autor książki „Śmierć przyszła wiosną” przedstawia tragiczne losy ofiar z obszaru

przedwojennego powiatu rybnickiego (dziś rybnickiego i wodzisławskiego) z szeroko zarysowanym historycznym tłem obejmującym tragiczne tygodnie zagłady podbitego państwa polskiego, gdy nie licząc żołnierzy wziętych do niewoli niemieckiej — 230 tys. znalazło się w obozach ZSRR, z czego tylko część szeregowych żołnierzy mogła liczyć na powrót do domu. Wszyscy pozostali trafili do więzień i łagrów, skazani w większości na unicestwienie. Lista ofiar reprezentująca ludzi tej ziemi jest więc usytuowana w historycznych ramach tamtej zbiorowej tragedii, którą określa się w skrócie jako „Zbrodnia katyńska”. Ten kontekst stanowi także o wartości książki Delowicza, dzięki poszerzonemu komentarzowi historycznemu. Przy tym sama forma przekazu — tak ważna w czytelniczym odbiorze — nie jest pozbawiona publicystycznej temperatury będącej wyrazem osobistego stosunku autora do wydarzeń sprzed lat już ponad 60.

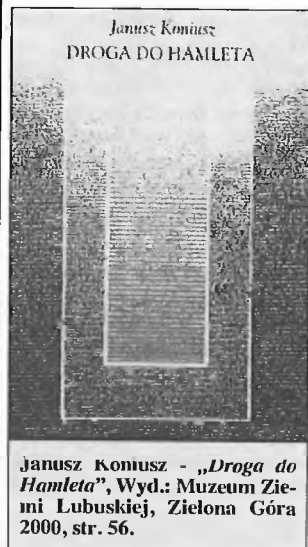
Druga książka poświęcona Nikodemowi Sobikowi, który zajmuje także kilka stron w poprzedniej, to sugestywnie przedstawiona opowieść o jednym z bardziej znanych, męnych i zasłużonych nie tylko dla historii Ziemi Rybnickiej działaczach niepodległościowym i powstańczym dowódcy, uczestniku wszystkich trzech kolejnych zrywów. Jego biografia jest niemal typowa dla życiorysów takich jak tego syna prostego śląskiego domu (rocznik 1894), gdzie polskość trwała w języku i duchowych przekazach a utwierdzała się w miarę akcji wynaradawiania w czasach „Kulturkampf”. A nawet podczas tułaczki za chlebem, gdy los rzucił młodego Nikodema Sobika do Zagłębia Ruhry, skąd wrócił z utwierdzoną wolą walki o przywrócenie Polsce Górnego Śląska, kiedy tylko zegar historii wskaże odpowiedni czas. Jak wielu rówieśników z podobnym życiorysem wcześniej trafił do pruskiej armii, by żołnierskie doświadczenie wykorzystywać potem w powstańczych bojach.

Tytuł książki Delowicza o Nikodemie Sobiku nawiązuje do brawurowych akcji dowódcy II baonu żorskiego w powstaniu trzecim, który po zdobyciu zaskoczenia nocą Żor, w zdecydowanym ataku zdobył następnie Rybnik, wykazując nie tylko osobistą odwagę, ale i wybitne zdolności dowódcze, potwierdzone podczas ciężkich walk w obronie Starego Koźla, o czym świadczyło 15 Krzyży Walecznych i 150 Krzyży Górnego Śląska przyznanych jego żołnierzom. Sam Nikodem Sobik odznaczony został Krzyżem Wirtuti Militari oświadczenie przez samego Józefa Piłsudskiego.

W przyszłości oficer zawodowy, następnie komendant powstańczy, latem 1939 roku organizator samoobrony, z nastaniem września przejdzie krwawy szlak bojowy od Mikołowa po Tomaszków Lubelski. Na Śląsk Nikodem Sobik powrócić nie mógł umieszczony na hitlerowskiej liście śmierci — „Sonderfahndungsbuch Polen”. Nie zechciał także zdjąć oficerskiego munduru powodowany honorem. Jako jeniec trafił do Starobielska by stać się ofiarą mordów w siedzibie NKWD w Charkowie.

Książki Jana Delowicza napisane z pasją, wsparte dokumentacją, zaopatrzone w mapy i fotografie, mają zarówno wartość opracowania historycznego, ale i publikacji o szerokim czytelniczym adresie. Mogą więc wypełnić jakże dziś ważną funkcję edukacyjną wprowadzając w problemy, bez których nie można zrozumieć ani przeszłości Śląska, ani pytań o źródła tożsamości górnośląskiej — tej o polskich korzeniach, okupionej ofiarami, które nie zostały dotąd zbilansowane. Dzięki pracom Jana Delowicza wiele faktów i nazwisk z najbliższego mu obszaru nie jest skazanych już na zapomnienie. A to wielka zasługa.

TADEUSZ KIJONKA



Janusz Koniusz - „Droga do Hamleta”, Wyd.: Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2000, str. 56.

Sprawdzona droga

Wprost z dziedzictwa europejskiej kultury można wywieść wiersze Janusza Koniusza zawarte w jego najnowszej książce „Droga do Hamleta”. Sprawdzoną drogą autor kroczy pewnie, odkrywając po raz kolejny piękno mijanych krajobrazów, których dawno naszkicowane zarysy wypełnia barwami własnej wyobraźni. Czyni to Koniusz bez dozy kokieterii, nie bojąc się literackich nawiązań i jasnych odniesień.

Czasami jest to wyraźna aluzja, czytelny adres. „Co się stało z chustą Weroniki // Przepadła w tłumie / który po uwolnieniu Barabasa / długo nie cichł na targowisku próżności / Zoldacy podarli na omuce / gdyż krew Skazani- ca należała do cesarstwa / Od ręki za bezcen kupił / obwoźny handlarz starzyzną” - czytamy w wierszu „Alleluja” i nie sposób nie skojarzyć go z „Domysłami na temat Barabasa” Zbigniewa Herberta. Czy jest to już intelektualna łatwizna? Nie chciałbym przesądzać, choć rzeczywistość schemat tak łatwo jest powielić, zastanawiając się chociażby, co powiedział Cyrenejczyk żonie, aby usprawiedliwić spóźniony powrót do domu lub jakie były losy srebrnej misy, w której Pilat umył dlonie („kiedy otworzył swe żyły / zaszczyty cienkim głosem sumienia / spłynęły do niej czerwone krople / krwi o której nikt nie pomyśli / spożywając wino / albo na dnie skrzyni / doczekała czasów barbarzyńców / trafiła

na ich stoły / pełne tłustego jala” - wymyślał na poczekaniu). Jednak z drugiej strony, nie sposób odmówić pisarzowi prawa do nieustannego odczytywania tropów, które stały się podwalinami naszej kultury. Być może wypowiedzenie znanych już konstatacji: „*Po zachodzie słońca na wszystkich kontynentach / pierwotny Syn cieśli z Nazaretu / powraca na krzyż / żeby przed jutrznią od nowa zmartwychwstać*” jest dla czytelnika przynajmniej tak samo ważne, jak zapatrzenie w siebie i szarość nieba nad anonimowym miastem? A może zgola istotniejsze, bo mówi nie tylko o autorze i jego osobistych problemach, kompleksach i obsesjach, ale przypomina o uniwersum, w którego perspektywę można wpisać współczesność?

Tym bardziej, że Janusz Koniusz potrafi pisać dobre wiersze bez „kulturowych” podpretek. Ten warto zacytować w całości, nie tylko dlatego, że jest bodaj najlepszy w omawianej książce, również dlatego, że rzadko trafiają się dziś w literaturze tak wyraziste obrazy: „*Odeszły wody płodowe / jakby się spełniało nieczyje proroctwo / w żadnym nie zapisane języku / o wyprawie na tamten brzeg / z którego nikt nie powrócił / chociaż wrócili z Księżyca // W krzyku po odcięciu od pepowiny / dogasa mojego ciała ogień / Od dymu łzawi ta stara kobieta / jeszcze niedawno / świata poza mną nie widział jakby świat obracał w palcach*”. Jest tu jeszcze kilka innych wierszy - na czele z „Powitaniem” - które sprawdzają, że podczas lektury dotknąć można innego, metafizycznego świata.

Posiada też Janusz Koniusz dar ciepłej ironii, lekkiego postrzegania rzeczy. Jak chociażby w „Wieczorze autorskim”, gdzie: „*ksiądz poeta / chłopiec jak z obrazka / głosem ułożonym na ćwiczeniach z liturgii / w natchnieniu czyta swoje białe wiersze / o rajszych jabłkach kolan*”. Autor wędruje sprawdzoną drogą, którą przeszło już wielu. Rilke, Hamlet, Sokrates, rzymski prokurator z Pontu - to na niej dobrze znajome przystanki. Mimo to kupuję bilet na tę podróż. Chociażby po to, aby uświadomić sobie na nowo, że: „*W Jeruzalemie zmartwychwstania / nikt się nie spodziewał*” i zastanowić się, czego my dziś się nie spodziewamy (śmierci?, starości? bólu?), choć słyszeliśmy już o tym tysiące razy.

MARCIN HAŁAŚ

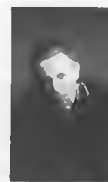
Staraniem ojca ukazał się w Opolu obszerny zbiór wierszy młodo i tragicznie zmarłego Tymona Feusette. Pośród nich szukałem informacji o autorze. Oprócz dat urodzin i śmierci: 1978-2000 i zdawkowej informacji, że Tymon pojedyncze utwory publikował jedynie w studenckiej prasie, we Wrocławiu - gdzie studiował, zamiast zwykłej notki biograficznej, znalazłem przerażający reprint: kopii uzasadnienia postanowienia wrocławskiej prokuratury o umorzeniu dochodzenia w sprawie śmierci denata z powodu samobójstwa: wyskoczył z okna swojego pokoju, pewnego listopadowego wieczoru, kiedy cała rodzina była w domu. Z tego dokumentu dowiedziałem się jeszcze, że był studentem IV roku politologii; wcześniej próbował popełnić samobójstwo, zażywając leki, leczyl się psychiatrycznie. W książce jest jeszcze kilka zdjęć i kolaży komputerowych: Tymon przed katedrą w Barcelonie, Tymon w galerii Władysława Hasiora, Tymon w pociągu, Tymon z papierosem, pomazane zdjęcie jakiegoś brzydkiego domu z cegły, rękopisy oraz kolaże dziewczęcych ciał - sugerujące młodość i niespełnioną miłość. Książka jest wydana bardzo ładnie - właściwie trzeba to traktować jako debiut niezwykłego autora.

Tom jest podzielony - przez ojca i przyjaciół - na kilka części: „*kokon*”, „*mucha*”, „*pragnienie*”, „*spadam stąd*”. Ze wstępu ojca dowiadujemy się, że teksty nie były przygotowywane przez syna do publikacji - a przynajmniej nie zdążył. Osoby, które pomagały, układały książkę z luźnych zapi-sków, zeszytów, notatek - dawały do nich tytuły, starając się uporządkować. Nie jest to więc prezentacja autorska - zamierzona i przemyślana kompozycyjnie. Książka jest więc prywatnym dziennikiem, z dołączonymi wierszami. I to określa jej charakter - nierówność, chropawość, dużą przypadkowość w wyborze tekstów - bo w większości są to teksty, niż skończone wiersze.

Wiersze niewątpliwie wczesne i epigońskie jeszcze, choć zapowiadające dość interesującego poetę. Feusette wyraźnie fascynuje się poetami ciemnymi, „*przeklętymi*”; przede wszystkim Bursą i Wojaczkiem - chce ich naśladować. W jednym z wierszy pisze wprost: „*jestem wyznawcą Rafała Wojaczka / „to był taki Chrystus / mieszkający we Wrocławiu” / Rafał Wojaczek / implikuje moje/ drugie imię Brata/ moją jaźń... / Rafał Wojaczek/ kazał mi zażyć te leki / popić atramentem / krwi*”.

Wierszy o fascynacji Wojaczkiem - „ciemnym Chrystusem”, Bursą, umieraniu, liturgii - autodestrukcji, sposobach za-

TYMON FEUSETTE



spadam stąd

Tymon Feusette: *Spadam stąd*. Wydano staraniem ojca, Opole 2001, s. 172.

Zarazony Wojaczkiem

dania sobie śmierci jest więcej. Najciekawszym z nich, jest chyba „*Odra*” - z grą znaczeń: „*mOdra*”, „*Odrabywać*”, „*Odrąza*”, „*Od ra- / zu pełna tobą / jesteś*”, „*Odrapana*”. - Mam wrażenie, że inspiracji do tych skojarzeń i gier słownych dostarczyły Feusette dramatyczne widoki z powodzi w 1997 roku, chociaż nie o tym jest ten wiersz. Pojawiają się w innych utworach motywy szaletu, obrazy krwi, inspiracje śmiercią Jamesa Deana, pojawiają się imitacje cudzych wierszy. - We wszystkich widać chaos, destrukcję, brak wartości za którymi można się opowiedzieć, albo przeciwko którym się zbuntować (np. Bursa - mieszczanstwo): „*młodzi faszyści... studenci studentki / historii / filozofii/laureaci / absolwenci/ młodzi pedraści / ... wszyscy mogliby zginąć na wojnie... stoją bezradni pod gruzami nieba*”. Wreszcie obrazy choroby i próby ratowania się przez udawany cynizm i uprzedmiotowienie drugiej osoby (i uprzedmiotowienie siebie) - jak w cytowanym rękopisie, zatytułowanym „*służąca*”: „*wstałem/ Ewa była już w kuchni/ zrobiła mi wodę / na herbatę / Ewa była gorąca / jak zawsze rano / ma już dwadzieścia lat / tyle co ja / niestety trzeba będzie ją / wymienić / piecący nawala*”.

Tymon Feusette jedno zrobił, pokazał mimowolnie, że poezja jest jednak wiarą - i przez wiarę powstaje, choćby świadectwem przegranej nadziei - ale pełnej wiary i po walce. Ale trzeba tę grę-walkę podjąć i iść „w zaparte”, próbować wszystkiego - w dobrej wierze, a nie iść w ogonie cudzej śmierci - choćby Wojaczkowej.

SŁAWOMIR MATUSZ

„Ocalaleś nie po to aby żyć / masz mało czasu / trzeba dać świadectwo” – tymi słowami z Prześlania Pana Cogito Zbigniewa Herberta Roma Ligocka rozpoczyna wędrówkę po swoim dzieciństwie spędzonym w getcie warszawskim i dorosłym już życiu, czyniąc z nich motto całej książki. Bezpośredni impuls do jej powstania dał Ligockiej film Spielberga pt. „Lista Schindlera”. To właśnie tam po raz pierwszy zobaczyła dziewczynkę w czerwonym płaszczku, która przypomniała Ligockiej ją samą z najtragiczniejszego czasu w jej życiu.

„Dziewczynka w czerwonym płaszczku” jest książką autobiograficzną, opisującą dramat holocaustu, ale także inną: to holocaust widziany z poziomu małej istoty, nie rozumiejącej świata, myślącej kategoriami dziecka, przyjmującej tragiczny świat i wszystko co się w nim działo jako codzienność, wobec której miało się swoje, dziecięce wymagania a także skrywane pretensje do dorosłych, w którym miało się swoje małe pragnienia – to one okazały się najsilniejsze, bo przetrwały w podświadomości autorki: to czekolada, truskawki, to niezwykle urody (w oczach dziecka) czerwony płaszczek, jakiego potem nigdy w życiu nie miała.

Wspomnienia Ligockiej odżyły w kawiarni, kiedy z sąsiedniego stolika płynął zapach czekolady, a oczy wabiły swą czerwonością dorodne truskawki...

Dramat dzieciństwa Ligocka przelała na papier niezwykle pięknym, prostym językiem. Jej wrażliwość nie tylko na piękno języka, ale także na kolor, na barwność opisu, zwracania uwagi na z pozoru nieważne detale, nie biorą się znikąd: autorka książki jest znakomitą scenografką – życie artystyczne spędziła w teatrze, tworząc nie tylko w Niemczech, gdzie mieszka od lat 60-tych, ale także w wielu krajach Europy.

Roma Ligocka swoją młodość spędziła wśród krakowskiej bohemy lat 50-tych i 60-tych, przyjaźniąc się m. in. z Piotrem Skrzyneckim. Natomiast dzieciństwo spędzała w to-



Holocaust oczami dziecka

warzystwie swego kuzyna Romana Polańskiego – późniejszego znakomitego reżysera i Ryszarda Horowitza – dziś światowej sławy fotografa. Wiele lat życia spędziła u boku aktora, reżysera i literata Jana Biczyskiego, który w swoim życiu artystycznym miał również śląski epizod teatralny (o Janie Biczyskim pisaliśmy również na łamach „Śląska”).

„Dziewczynka...” stała się niezwykle popularną książką w Niemczech, bo tak jak Ligocka, nikt dotąd o holocaulście nie pisał. Za interesowanych jest nią kilkanaście wydawnictw na całym świecie. Warto więc, by w Polsce, w od dawna toczącej się dyskusji na ten temat widzieć i takie pozycje jak właśnie „Dziewczynka...”. Ligocka napisała o sobie: „Życie może być piękne nawet dla kogoś, kto przeszedł piekło a cuda się zdarzają. Mnie moje życie kiedyś podarowano, a potem sama je sobie podarowałam.”

(wk)

Maraton Piotra Salugi to studium czasu, studium miłości, opowieść o poszukiwaniu sacrum, Prawdy. Saluga przedstawia świat pulsującej myśli, rozdrzany, chaotyczny, świat akrobacji czasowych – rytmicznych przepływów i odpływów („zegarowe misteria”), świat – w którym historia i legenda, marzenia senne i jawa, tworzą wspólnie niepokojący kolaż (granice między antagonistycznymi porządkami zostają zniesione). *Maraton* zaskakuje nadmiarem, wyrafinowaną ornamentyką słowną, skondensowaniem obrazów. Bogactwo środków formalnych pozwala autorowi dokonać zapisu życia wewnętrznego głównego bohatera, umożliwia prezentację toku myślowego w stanie surowym – ów bieg myśli (strumień świadomości), nie poddany zabiegom racjonalizacji, cechuje się fragmentarycznością, rozproszaniem, wielowątkowością, naturalnym nieładem.

Bohater powieści – „pograżony w straszliwych wyobrażeniach”, nękany natręctwem myślowym, uporczywym nasuwaniem się irracjonalnych skojarzeń – popada w bezdziałanie, w stan odrętwienia paralitycznego (możliwości absorbcyjne umysłu są wyczerpywalne). „Myśli ustawiały się w fantastyczny korowód przepychając się, rozpychając myślowymi lokciami”, „jeszcze chwila, a roznamietniony umysł pograży się w nieokiełznany chaos, zatracenie, pustkę...” Nieskrępowana dynamika procesów myślowych, a z drugiej strony – pasywna, bierna postawa wobec rzeczywistości, ucieczka w bezruch, wegetacja... (osłabiony aparat wolicjonalny, motywacyjny, poczucie bezradności). Bohater usiłuje zapanować nad żywiołowym rozrostem, zgiełkiem życia wewnętrznego; „zapis automatyczny” (koncepcja Bretona) pozwala mu odtworzyć „rzeczywisty bieg myśli” – umożliwia przejęcie kontroli nad rozgorączkowanym, emancypującym się umysłem (przejaw inicjatywy, akt woli, próba wyjścia ze stanu apatii). Kartezjańskie: „Cogito, ergo sum”, zastąpione zostaje przez formuły: „Ciężę, więc jestem”, „Głodny – więc jestem!” Sfera myśli jest sferą infernalną, aberatywną, sferą dekonstrukcji (bohater marzy o myślobójstwie). Pewność jest somatogeniczna.

Kobiety w *Maratonie* – Żorż (George) i Beatrycze – niepokojące, perwersyjne, tajemnicze, skomplikowane, niszczące – niejednoznaczne, motywują, są inicjatorami zdarzeń, dają impuls do działania. Beatrycze... – ukochna Dante go z lat młodości; wysublimowana, idealna miłość poety – wędrowca w „Boskiej komedii”, jego przewodniczka po Raju, dzięki której wznosi się na coraz wyższe stopnie oświecenia – i wreszcie Wielka Miłość bohatera *Maratonu* – Beatrycze niedoskonała, zagubiona, o metamorficznej osobowości („kobieta pełna sprzeczności – hierodula – święta i nierządnicą”). Wielka Miłość, idealna w sferze wyobra-



Piotr Saluga: *Maraton*. Wydawnictwo Mamiko, Nowa Ruda 2001, s. 342, 2 nb.

Jesień, korona i Beatrycze

żeń, oczekiwań – w istocie jest perwersyjna, rozczarowuje, unieszczęśliwia; nosi piętno czasów, w których rozkwita, czasów beztroskiej konsumpcji, hedonistycznego użycia, dyktatury humbugu, upadku kultury, atrofii wartości. Portrety kobiece Salugi mogłyby zawisnąć gościnnie w Witkacowskiej „galerii”. W *Maratonie* odnajdujemy także nastroje katastroficzne, wizje futurologiczne, diagnozy Witkacego, dotyczące losów cywilizacji (kryzys indywidualizmu, upadek tradycyjnych wartości duchowych, dyktatura kultury masowej). Refleksja historiozoficzna prowadzi niezmiennie ku dysfarii. „Kształtowanie Nowego Człowieka, wolnego od imperatywu moralnego, etycznego nakazu, wyzwolonego od wszelkiej troski, straszliwych mąk osobistego i swobodnego rozstrzygnięcia...”, „zunifikowany, zharmonizowany, zneutralizowany świat, pozbawiony opieki i sankcji Boga, system bezkrwawej dominacji, totalitarny reżim niewołający ludzi”. Szansą ocalenia świata jest powrót do źródeł czystej siły, dotarcie do *sacrum* zakłętego, ukrytego, znumifikowanego w szkatułach czasu.

Lektura *Maratonu* Salugi jest zanurzeniem w atmosferze cudowności, niezwykłości. Senne widzenia i iluminacje przebudzeń; melancholia przemijania; jesienne, wystawne, ceremonie, obrzędy; i... Czas – jego bezsensowny ruch; to płynący wolno, ociągający się, wyhamowany, to znówu szaleńczo pędzący, urywający się, chybotający; nie znosi powtórzeń, nieublagany...

HALINA WITEK

Jak rozumiem region? Na pewno: wąsko - partykularnie, jednostkowo, egocentrycznie. Istnieje dla mnie tylko jeden region, nazywa się Śląsk; inne regiony nie są regionami, to już świat. Celowo i świadomie użyłem sformułowania „dla mnie”, a nie - (np.) jak dopuszcza się, zaleca w polszczyźnie - „według mnie”, gdyż nie chodzi o punkt widzenia, pogląd, lecz o przynależność / należność / dar. Zatem nawet Śląsk jest słowem za dużym: przecież mój Śląsk to tylko Mysłowice, w których mieszkam (od urodzenia), i Katowice, w których pracuję. Mój Śląsk na co dzień to jeszcze mniej: blokowisko w Brzęczkowicach (dzielnica Mysłowic), fragment autostrady A4, gdy jadę do pracy; przedwojenny (sprzed II wojny światowej) budynek na Placu Sejmu Śląskiego w stolicy regionu (Katowicach), mieszczący obecnie filologię polską. Niemniej, ta tak ograniczona przestrzeń zadaje mi ciągle ogólniejsze pytania, indaguje o rzeczy i sprawy, z jakimi nie potrafi poradzić sobie świat, a cóż dopiero ja? Żyję w regionie, niegdyś wielkoprzemysłowym, ciężkiego przemysłu, w którym ów przemysł dogorywa; w okręgu kopalni, hut i wielkich kiedyś przedsiębiorstw, dzisiaj albo zamykanych, albo przekształcanych - najczęściej, gdy jeszcze istnieją, zmagających się z trudną sytuacją finansową. Groźby utraty pracy boją się wszyscy. Zarazem przebywam w okręgu, do którego przychodzi nowe i globalne. Zdarza się, że idę uliczką, pamiętającą dziewiętnasty wiek, między budynkami, których czerwień cegły dawno zdążyła się przeobrazić w czerń, wbrew przemijaniu upstrzonych kolorami reklam „Sony” lub „Philips'a”, kawy „Tchibo”, obiecujących jak najbardziej złudne raje konsumpcji.

Zresztą nie o rzeczy przecież chodzi, lecz o ludzi, którzy muszą się wśród rzeczy odnaleźć, natomiast właśnie o to coraz trudniej. Gdzieś w tym śląskim powietrzu, gdy się wsluchać, pobrzmiwa szyderstwo Stanisława Przybyszewskiego: „Dla ludu chleba potrzeba, nie sztuki”. Można pominąć naiwność tej diagnozy: „[...] a jak będzie miał chleb, to sam sobie dorzuci”; dokąd?; do sztuki?!? Wielu wyraża poważne wątpliwości, czy w ekonomicznych wirach w ogóle jest miejsce na sztukę. Lecz przede wszystkim nie należy ignorować fałszywości rozpoznania Przybyszewskiego, która ujawnia się w rozdzieleniu refleksji i bytu. To tak, jakby zakładać, że gdy się jest głodnym, nie myśli się o sensie głodu; nie pyta się, dlaczego się cierpi i dlaczego cierpienie przydaje się właśnie mnie. A nawet i nie tak dramatycznie: kiedy ma się co jeść i w co ubrać, nie przestaje się spoglądać na tych, którzy jedzą i ubierają się lepiej, mają więcej, żyją bardziej bogato, barwniej. I nie sposób wskazać momentu, w którym to z genety trywialne myślenie przechodzi czy przychodzi do pytań naprawdę zasadniczych: o sens istnienia własnego i świata, miejsce samego siebie w historii, znaczenie i cel swojej egzystencji.

Za szybko na ogół stawiamy wielkie problemy, a one chwycią się w podstawach, gdy



W dniach od 7 do 10 października 2001 roku miało miejsce spotkanie w Ranis i Jenie pisarzy polskich oraz niemieckich, poświęcone tematowi „Pisarz i jego prowincja” („Der Autor und seine Provinz”) - zorganizowane przez dr. Martina Strauba, wspartego w staraniach przez Gabriellę Matuszek z Krakowa. W spotkaniu wzięli udział także twórcy, którzy tłumaczą literaturę polską na niemiecki: Iwona Mickiewicz, Maria Kolenda i - świetnie znany nie tylko czytelnikom „Śląska” - Henryk Bereska. Nasz region reprezentował Stefan Szymutko, autor książki o ważności miejsca pochodzenia pt. *Nagrobek ciotki Cili*. Oto tekst jego wystąpienia.

O regionie

STEFAN
SZYMUTKO

nie osadzić myślenia na fundamencie doświadczenia potocznego, zwyczajnego, zwykłego. Narzekamy na zło w świecie, a przecież dobro nie może pojawić się nigdzie indziej niż w codzienności - dobro właśnie także jest zwyczajne, podlega sprawdzanom normalnego doświadczenia. Największa postać w nowożytnej historii religii Zachodu, Jezus z Nazaretu, zaleca, by nie wyłączać praktycznego rozumu nawet w myśleniu o Duchu Świętym: „Albo przyznajcie, że drzewo jest dobre, wtedy i jego owoc jest dobry; albo przyznajcie, że drzewo jest złe, wtedy i jego owoc jest marny; bo po owocu poznaje się drzewo” (Mt 12, 33). Skoro w metafizyce jest niezbędna zwyczajność refleksji, jakże potrzeba jej w fizyce, realności! Prawdę mówiąc: nie znam innej metody zapobiegania alienacji - tylko swojskość myśli chroni przed wyobcowaniem, jedynie oswojenie może sprawić, że idea nie będzie straszyla obcością, oderwaniem od tego, co się przeżywa, abstrakcyjnością, jałowością, pustostłowiem.

Zresztą nie psychologia jednostki jest tu najważniejsza. Skoro brakuje w świecie dobra, to może rzeczywistość dlatego - Jezus miałby tu rację - że utraciliśmy zdolność rozpoznawania dobrego, uznawania dobrego za dobre. I jeszcze z tego powodu, iż zaplątaliśmy, uwikłaliśmy dobro w obcą mu korzyść, o czym najbardziej świadczy pojmowanie zbawienia jako polisy na wieczność. Trzeba zdecydowanie rozdzielić naszą konsumpcję i rozglądanie się za czymś użytecznym lub ewentualnie praktycznym od wartości. Zdobądźmy się na odwagę i egzystencjalną przekorę, że warto czcić dobro, piękno i mądrość, nie pytając o więcej, o nic więcej. Czcić dobro, bo jest dobre, jak przyjaźń, dzięki której możemy patrzeć prosto w oczy „na znak, że żadna zdrada nie czai się” w sercu. Podziwiać piękno, gdyż jest piękne, jak Kanon Pachelbela, obojętnie w czym wykonaniu. Ce-

nić mądrość, ponieważ jest mądra, choć prawda nigdy nie bywa łatwa, zawsze złożona i niejednoznaczna - ale bez niej nie ma mądrości. Godne namysłu spostrzeżenie Paula Ricoeur'a, że mówią to samo: Fryderyk Nietzsche, ten, który ogłosił śmierć Boga, i św. Paweł, ten, który wiele stuleci wcześniej głosił Jego zmartwychwstanie: prawo, powiadają obaj, to „piekielna maszyna”; „[...] prawo jest źródłem grzechu, [...] więcej, samo rodzi grzech!”. Dobro przeciwstawia się prawu, nie można pomyśleć innego świata niż jako zaprzeczenie tego świata.

Lecz nie sposób zarazem zaprzeczyć mu ogólnie, zane-gować czas i przestrzeń. Inna rzeczywistość możliwa jest tylko w tej rzeczywistości, w tu i teraz - nie znamy tam i kiedyś. I bardzo dobrze, że nie znamy, nie potrzebujemy tej wiedzy. Jest zbędna, gdyż rzeczywistości doświadcza-my jednostkowo, osobiście, tylko w tym czasie i w tej przestrzeni, które zostały nam dane (w ojczyźnie Martina Heideggera nie muszę przypominać - przepraszam za oczywistość! - prawdy o dziejom charakterze jestestwa). Gdy wyrzekam się zaświatów (piekła i nieba), nierzeczywistości, region staje się lekcją partykularności i uniwersalizmu jednocześnie,

a nawet wstępm do metafizyki, jeśli tylko w nim możliwy jest przeblysk wieczności. Region równie przekonywająco może powiadać o zbawieniu, jak i o niebycie, chociaż codzienna egzystencja, trudno żeby było odmiennie, najczęściej wydaje się tylko pasmem szarości i monotonii. Rację ma Jean Baudrillard, zestawiając historię z przeznaczeniem („Przeznaczenie i historia to dwa wymiary równoległe”) i nadając tej zszarzałej monotonii wymiar tragiczny: każdy „Jest przeznaczony sam sobie. Tworzy własne przeznaczenie”. I nie chodzi o jakieś urojone zobowiązania wobec losu i pochodzenia (mimo ich zasadniczej wagi) lub zgodę na tragizm życia, której i tak odmówić nie można. Rzecz także nie w jakiejś mglistej odpowiedzialności za ogólność (stan świata), mimo że właśnie jej nie pojmujemy, nie przybliżymy sobie bez uznania wartości oraz ważności regionu. Chodzi o rozpoznanie jednostkowego jako warunku wszelkiej myśli i idei.

Nie mogę myśleć poza moim regionem, poza moją codziennością, która zaczyna się przed szóstą, gdy równocześnie robię śniadanie, słucham radia i staram się uwolnić z pokus sennosci. Porannym strojem doktora habilitowanego nie jest toga, lecz znoszona, ulubiona bonzurka. Nie ma w życiu tzw. uczzonego sprzecznosci między robieniem zakupów w osiedlowych sklepach i zastanawianiem się nad kondycją człowieka. Czyż ostatecznie na uliczkach Brzęczkowic można spotkać coś innego niż kondycję ludzką - tę samą, o której czytamy w bibliotekach i mówimy w salach wykładowych? Czyżbym nie miał się, idąc po gazetę i papierosy, z cierpieniem, zagubieniem, niemożliwością rozpoznania, smutkiem albo krótkotrwałą radością? Mój prywatny spór o istnienie świata toczę w mojej codzienności, na moim Śląsku.

Chuligańskie wybryki kibiców polskich na stadionach (głównie piłkarskich) minionych lat skłaniają do zastanowienia. Likwidacja tego zjawiska jest zadaniem nie tylko dla służb porządkowych, ale również dla szkół, wyższych uczelni i środowisk młodzieżowych. Śląskiem i Zagłębiem wstrząsnęły popularne w języku kibica „zadymy” na stadionach futbolowych Chorzowa (maj 2000) oraz Katowic (czerwiec 2000; stadion GKS Katowice i „Polonii” Bytom). W Tychach po meczu GKS Tychy - Kolejowy Klub Sportowy „Czarni” Sosnowiec doszło niemal do linczu na piłkarzach sosnowieckich, brutalnie pobitych przez chuliganów.

Widmo Heysel

Niepokoje kibiców na stadionach sportowych, to kategoria historyczna, która odnosi się do kultury fizycznej jako wartości wiążącej się z fizycznym i duchowym funkcjonowaniem człowieka w społeczeństwie. Stwierdzenie powyższe oznacza również, że walka lub też rywalizacja sportowa może wywierać skutki pozytywne, jak i negatywne.

Tę tezę potwierdza m.in. kwerenda prasy śląskiej, a konkretnie katowickiej „Polonii”. Publicyści tej gazety kilkanaście miesięcy przed wybuchem II wojny światowej informowali o negatywnych ekscesach młodzieży podczas meczów sportowców polskich i niemieckich, wznoszeniu okrzyków „Sieg Heil” i podnoszeniu rąk w faszystowskim geście i hitlerowskim pozdrowieniu.

Po wielu latach od tych wydarzeń - Zbigniew Boniek w swych wspomnieniach „Prosto z Juventus” (1986) - pisał: „(...) Niestety - obok prawdziwych kibiców - są także i takie grupy, z którymi władze danego klubu nie mają nic wspólnego, które w widoczny sposób wpływają na opinię innych. To nieformalne grupy chuliganów. Jest to problem nie tylko włoskich stadionów, ale także innych państw. Coraz częściej na stadionach RFN, Anglii i Włoch pojawiają się na klubowych flagach faszystowskie symbole z ostatniej wojny.”

Pamiętamy również, jak pod koniec maja 1985 roku korespondenci nie tylko polskiej prasy sportowej informowali w tonie alarmującym o tragedii na stadionie „Heysel” w Brukseli, która miała miejsce podczas meczu finałowego o Puchar UEFA pomiędzy drużynami piłkarskimi „Juventus” „Turyn” i FC „Liverpool”. W wyniku bijatyki pomiędzy kibicami angielskimi i włoskimi zginęło wielu młodych ludzi. Policja belgijska nie zdołała w trakcie meczu zapobiec awanturze, której wynikiem były ofiary śmiertelne. Na oczach milionów telewizorów całej Europy „zatrufnowali”: chuligaństwo, bandytyzm i śmierć.

Boniek tak skomentował tamto zdarzenie: „(...) Niestety, fala bandytyzmu na światowych stadionach szybko się rozprzestrzeniła. Tragicznym tego przykładem były wypadki na „Heysel”. Tylko zdecydowane działanie służb porządkowych mogło temu skutecznie zapobiec. Innej możliwości nie ma. Jest to nie tylko problem sportowy, co społeczny. Pech sportu polega więc na tym, że stadiony sportowe są dziś największym zbiorowiskiem ludzi, w którym bezkarni w swej masie chuligani, wykorzystują swą anonimowość.”

Podczas obrad XIV Kongresu Europejskiej Unii Piłkarskiej (UEFA) w 1988 omawiano - obok spraw dotyczących funkcjonowania i organizacji europejskich rozgrywek futbolowych - także problem łączący się z chuligaństwem na arenach sportowych. Angielskie władze piłkarskie zrezygnowały ze złożenia wniosku o dopuszczenie ich klubów do rozgrywek pucharowych. Europejska Unia Piłkarska wystosowała pismo do angielskiej federacji futbolowej. Stwierdzono m.in., iż fundacja postąpiła

Zadymy i szalikowcy

MIROSŁAW PONCZEK



ślusnie, rezygnując z wniosku o przywrócenie angielskim kibicom prawa uczestniczenia w europejskich pucharach. Przyjęto ze zrozumieniem stanowisko federacji brytyjskich w tej sprawie. Wyrażono nadzieję, że izolacja angielskich klubów wkrótce dobiegnie końca.

Obecnie drużyny angielskie wraz ze swoimi kibicami uczestniczą na powrót w europejskich pucharach futbolowych. Rozgrywają mecze we wszystkich państwach naszego kontynentu.

Wybryki

Na łamach czasopism i gazet sportowych trwają nadal dyskusje o zachowaniach kibiców w trakcie zawodów sportowych. Przypadki patologiczne najczęściej przybierają postać wybryków chuligańskich. Występowały one również w Polsce, w regionie śląsko-zagłębiowskim, przede wszystkim w okresie po zakończeniu II wojny światowej.

We wrześniu 1947 r., tzn. po wyzwoleniu obecnego województwa katowickiego spod okupacji hitlerowskiej doszło na stadionie w Sosnowcu do starcia kibiców z milicją. Działo się to po meczu o wejście do II ligi piłkarskiej pomiędzy RKU „Sosnowiec” i AKS „Chorzów”. Sosnowiczanie - aby awansować do ekstraklasy - powinni byli ten mecz wygrać lub co najmniej zremisować, ale mecz zakończył się zwycięstwem chorzowian w stosunku 3:2. Prasa lokalna informowała wówczas, że po zakończeniu spotkania rozszalały tłum przerwał kordony służb bezpieczeństwa i wyległ na płytę stadionu. Milicja w obronie piłkarzy z Chorzowa użyła broni strzelającej w powietrze. Do odstraszenia agresywnych kibiców użyto także strumieni wody z sikawek strażackich. W efekcie wydarzeń w Sosnowcu 60 osób zostało rannych, jedna zaś poniosła śmierć.

Gazety naszego województwa, również sportowe o zasięgu ogólnokrajowym, szeroko informowały o zaistniałym incydencie w Zagłębiu. A oto niektóre tytuły z pierwszych stron znanych dzienników. „Straż ogniowa wodą z hydrantów uspakaja rozwydrzone tłumy po porażce RKU w So-

snowcu” („Przegląd Sportowy” z 29 września 1947 r.), „2 godzinne starcie i obłędnie na boisku w Sosnowcu” („Sport” z 29 września 1947 r.), „Salwy karabinowe i strumienie wody z hydrantów z podzwonnym dla sosnowiczana” („Gazeta Robotnicza” z 29 września 1947 r.). „Mecz zakończony skandalem” („Sport i Wczasy” z 29 września 1947 r.).

Z przytoczonych faktów wynika, że problem niepokojów na stadionach sportowych nie jest atrybutem naszych czasów oraz specyfiką zachodnioeuropejskiego sportu. Dotyczył on i dotyczy boisk i ulic w naszym kraju, m.in. regionu Górnego Śląska i Zagłębia.

Tzw. kibic

Współcześnie - stwierdzić należy to z całą stanowczością - nie zniknęło ze stadionów i aren sportowych chuligaństwo.

Użycie w tym przypadku terminu „kibic” mogłoby być niewłaściwe, szczególnie w sytuacji określenia grup tzw. szalikowców, czyli niepełnoletnich, zazwyczaj pijanych wyrostków demolujących trybuny stadionów, ulice miast, wagony kolejowe. Szalikowcy nierzadko nawiązują do niechlubnych kart historii, wznosząc okrzyki „Sieg Heil”, podnosząc do góry prawe ręce w znanym hitlerowskim geście.

Zatrzymywanie przez policję agresywnych prowodyrów chuligańskich burd po meczowych staje się niemalże rutynowym działaniem służb porządkowych. Dla rozwydrzonych młodych ludzi z marginesu społecznego „każdy pretekst do zadymy” w trakcie czy po meczu jest dobry. Za ekscesy czy to na murawie stadionu, czy poza nią, zdemolowane boisko, płaci gospodarz spotkania!

Głos Kościoła

Na temat brutalizacji życia oraz wzmożonej agresji młodych ludzi na stadionach wypowiedział się mertopolita górnośląski ks. abp. Damian Zimoń. Wstrząśnięty chuligańskim zachowaniem się kibiców w hali katowickiego „Spotka” w marcu 1998 r. stwierdził m.in. „(...) Kościół, który czynnie uczestniczy w procesie wychowania poprzez duszpasterstwo parafialne i katechizację, pragnie przyczynić się do budowania ładu społecznego i właściwych postaw w życiu młodości. Zwracam się z apelem do wszystkich środowisk odpowiedzialnych za wychowanie młodego pokolenia i zapewnienie ładu społecznego, o ścisłą współpracę w tym dziele. Wydaje się właściwe, by w szerokim gronie reprezentantów różnych środowisk, rozegnać główne przyczyny zaistniałej sytuacji i skontrolować wspólne wyniki w dziele wychowania. (...)”

Niestety - słuszny apel wysokiego hierarchy Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce (członka Episkopatu Polski) - nie odniósł jeszcze właściwego skutku. Nie wypracowano - jak dotąd - w gronie najwybitniejszych autoritetów moralnych, konkretnych sposobów na chociażby częściowe ograniczenie brutalizacji zachowań kibiców polskich na stadionach. Opinia publiczna czeka teraz - co najmniej na pobudzenie służb prewencyjnych i środowisk sportowych - do owocnej współpracy w zakresie poprawy bezpieczeństwa i porządku na stadionach oraz w halach sportowych. Chodzi przede wszystkim o egzekwowanie respektowania prawa podczas tego typu imprez masowych i w konsekwencji doprowadzenie do jakościowych zmian w całokształcie zachowań młodzieży podczas zawodów sportowych.

Problem niepokojów na boiskach i stadionach jest nadal aktualny. To kategoria zarówno dziejowa, jak i współcześnie nam towarzysząca.

Podręcznik Juliusza Wątroby

Stowarzyszenie Twórcze KRAKOWSKI KLUB ARTYSTYCZNO-LITERACKI wydało bardzo ciekawy zbiór wierszy liryczno-satyrycznych Juliusza Wątroby „Śmiech przez bzy”. Już sam tytuł zaznacza nam swoistą linię przewrotności i to jest w tym tomiku frapujące. Śmiech Julka doczekał się już kilku recenzji, bo pisali o nim Jakub A. Malik, Stanisław Gola i Gębala, Tadeusz Zawadowski oraz inni. Wiele tych wierszy świadczy o znakomitym sluchu literackim Juliusza Wątroby. Na pierwszy rzut oka możemy książkę odebrać jako teksty satyryczne, ale przy drugiej (czy kolejnej) lekturze zaczyna wychodzić na powierzchnię głębinny ton oniryczny zakorzeniony w podziemiu lirycznym.

Często czytuję wiersze J. Wątroby na łamach miesięcznika „Śląsk”, ale dopiero druk zwarty daje właściwy posmak odosobnionym w prasie literackiej tekstom. Niekiedy obraz bywa podporządkowany warstwie humorystycznej, czasami pointa zaskakuje kompletnie szerokim uogólnieniem, a momentami wydaje się, że Juliusz Wątroba manifestuje własne pojęcie dystansu poetyckiego. Uważam, że bardzo cennym składnikiem wierszy zebranych w „Śmiechu przez bzy” jest to, że ton osobisty dominuje tu najwyraźniej. Liryka zaangażowana w sprawy jak najbardziej współczesne. J. Wątroba z uśmiechem potrafi dotykać ran i zadraśnić w taki sposób, że nie odczuwałem specjalnego bólu w trakcie lektury. W wierszu „Podręcznik” pisze: „...abyś pojął tę lekturę / oraz prawdy zasadnicze / i spoglądał tylko w górę / a nie pani za staniczek”.

Wątroba wyśmiewa w szczególności hipokryzję i balonową nadętość człowieka naszych czasów. Jest uważny w obserwacji świata dookolicznego, aktywny wewnętrznie i nie ma w nim zgody na bierność. Nie wystarcza też Wątrobie stwierdzenie faktu, nie wystarcza określanie diagnozy, zawsze stara się znaleźć możliwość wyjścia z niebezpiecznych i zniewalających jednostkę ludzką sytuacji. Udało mu się wykreować własny świat, który przeciwstawia temu realnie istniejącemu światu. Zasmakowałem w tym kameralnym tonie, bo Juliusz Wątroba musiał się zdobyć na odrzucenie maski waśniaka i dlatego teksty oddziałują bezpretensjonalnie w wierszu „Na balu” poeta mówi m.in.: „bo bał jest po to, by w niebo wierzyć... / A niebo po to, aby bał przeżyć / abyśmy mogli czekać rok cały, aż znów karnawał nadciągnie cwałem...”

Niekiedy wiersz Juliusza Wątroby jest bardzo oszczędny, preferuje w nim ascetyzm, a inny z kolei wiersz wykazuje fajerwerki słów, żeby w końcu dać parokrotnie popis mistrzostwa. Te zmiany bywają zaprzeczające sferą uczuciową, zależnością od prawdziwego źródła poetyckiej inspiracji. Zdarza się, że J. Wątroba schodzi do konkretnego tylko po to, żeby szukać olśnienia w rzeczach najwykleszanych i najbardziej prostych. Tu decydują doznania poety i mimo warstwy satyrycznej dąży często do maksymy Novalis „poezja — to wycucie tego, co zwykle w tym, co zwykle”.

Wyczuwa się w tekstach Wątroby odwieczną dążność penetracji duchowych człowieka — umiejętność sprowadzenia do wspólnego mianownika racji jednostki i społeczeństwa... Mówi o tym wprost w wierszu „Zglupielimy”: / zglupielimy pojedynczo / bo głupiej cała ziemia / karuzela fałszu kręcąc / by utonąć w zapomnieniach / i przeczekać, / i przeboleć / z tą nadzieją beznadziejną, że nąpłynie w lekki olej / że słoneczko zeżre ciemność / i że szczęściem dni zajęczą / i się cudny cud wydarzy: zmądrzejmy pojedynczo / by zinałdrzeli wszyscy razem!”

Przypuszczam, że J. Wątroba wierzy w autentyczne przesłanie zawartych w swoich liryko-satyrach, czy też satyro-lirykach... i to wpatrywanie się w rzeczywistość współczesności bardzo mi odpowiada! Juliusz Wątroba urodził się w 1954 roku w Rudzicy, jest absolwentem Politechniki Łódzkiej, poeta, satyryk, autor aforyzmów, współpracuje z kabaretami i III programem Radia Polskiego. Laureat licznych nagród literackich, autor 19 książek poezji i satyry.

Książka Juliusza Wątroby jest starannie wydana i opatrzona dowcipnymi przerywnikami graficznymi autorstwa Rafała Bojdysa. Nie ukrywam, że mi się bardzo spodobała.

WILHELM PRZECZEK
(Czechy-Zaolzie)

O Janie Młodożeńcu już na tych łamach pisaliśmy. I to chyba nie raz. Miał na Śląsku wystawy, wdzięcznych odbiorców swej sztuki, a zapewne również nasi absolwenci Wydziału Grafiki krakowskiej ASP pilnie podglądali efekty jego pracy, choć Młodożeniec nigdy tutaj nie wykładał. Było to jednak nazwisko, które w tej branży wiele znaczyło. Było, bo niestety tego wybitnego grafika, plakacisty, rysownika i ilustratora książek nie ma już wśród nas.

Książka, która ukazała się nakładem katowickiego BWA (we współpracy z toruńską Galerią Wozownia), była przygotowywana od paru lat i to właśnie pod kątem planowanej wystawy w Katowicach. Dziś już wiemy, że pełni ona i będzie pełniła inną rolę. To coś więcej niż zwyczajowy katalog, i nie chodzi tylko o wykwinny charakter tej publikacji, pomieszczonej na ponad 80 kredowych stronach i włożonej między twarde, „albumowe” okładki. Indeks ważniejszych prac, wystaw i publikacji na temat Młodożenia stanowi cenny, teraz dokumentalny zapis tego jakże pracowitego artystycznego żywota. Zapis zamknięty, ale i spełniony, jak spełnionym artystą był sam Młodożeniec.

Edmund P. Lewandowski, którego szkic poprzedza wybór prac prezentowanych w książce *PortArt. Próba spojrzenia na spuściznę artysty* napisał: „W całej drodze twórczej artysty bardzo wyraziście zaznaczają się prace, które świadczą o poszukiwaniu prawzoru, archetypicznego zapisu graficznego ludzkiego postrzegania, wiedzy i emocji. To zdumiewające jak bardzo niektóre jego plakaty przypominają rysunki wykonane ręką ludzką dziesięć czy piętnaście lat temu p.n.e. w grotach Lascaux we Francji, czy Sierra Morena w Hiszpani (...). Jeszcze bardziej jest to widoczne w wielu rysunkach, które w szczególnie wyrazisty, nie zakłócony kolorem sposób, prezentują linię i kształt zmierzające do wyrażonej prostoty”.

Pochwała prostoty i ładu

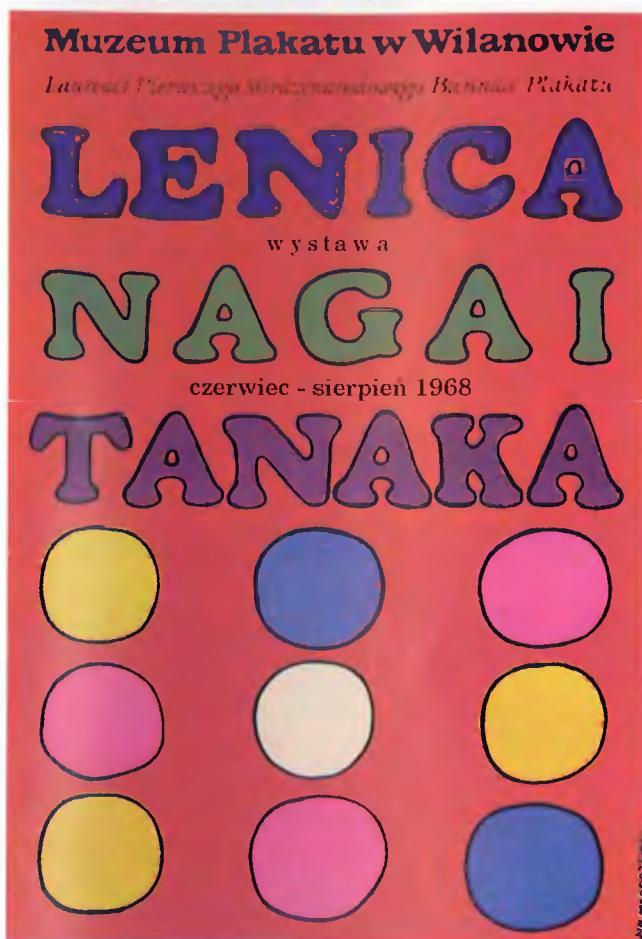
Katowicka Galeria Sztuki Współczesnej BWA ma ambicje pozostawiania nie tylko najważniejszym na Górnym Śląsku salonem wystawienniczym, ale również ośrodkiem wydawniczym o ponadlokalnym i ponadregionalnym znaczeniu i zasięgu. O tych ambicjach, w wielu przypadkach już spełnionych, niechże świadczy kolejna publikacja, tym razem zrealizowana we współpracy z Galerią EL z Elbląga. Mowa o pracy pt. *W poszukiwaniu ładu. Artyści o sztuce*, przygotowanej przez wybitnego krytyka sztuki współczesnej, a zwłaszcza jej niekomercyjnych nurtów, Bożenę Kowską.

U podstaw powstania tej książki leży wystawa w warszawskiej „Zachęcie” z roku 1984, zatytułowana „Język geometrii”. Po latach Bożena Kowska jeszcze raz powróciła do abstrakcjonistów, dla których geometria jest — wedle jej tezy — środkiem a nie celem artystycznego wyrazu. Kowska zweryfikowała listę ówczesnych uczestników warszawskiej ekspozycji (albo też i czas ją zweryfikował), dodając teraz do niej całą plejadę malarzy generacyjnie młodszych. Swą pracę poprzedziła szkicem historyczno-teoretycznym, umieszczającym polskich abstrakcjonistów w kontekście europejskim, po czym zamieściła serię odtworzonych wypowiedzi, w których artyści określili zarówno swoją dotychczasową drogę twórczą, jak i „wytlumaczyli się” ze swych fascynacji geometrią. Owa lista wydłużyła się do ok. 40 nazwisk. Każdy artysta reprezentowany jest przez dwie prace, reprodukowane na „kredzie”.

KRZYSZTOF KARWAT

Jan Młodożeniec (1929 — 2000). *PortArt. Próba spojrzenia na spuściznę artysty*. Opracowanie i redakcja: Zdzisław Schubert. Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach, Katowice 2001, s. 84.

Bożena Kowska: *W poszukiwaniu ładu. Artyści o sztuce*. Galeria Sztuki Współczesnej w Katowicach, Katowice 2001, s. 207.





Prezydent Katowic Piotr Uszok i dyrektor Teatru Śląskiego Bogdan Tosza odsłoniли tablicę upamiętniającą Mariana Sobańskiego.

Od 65 lat katowicki Teatr Śląski (wtedy Teatr Polski) nosi imię wielkiego artysty: dramaturga i malarza Stanisława Wyspiańskiego. Jubileusz ten był okazją do upamiętnienia postaci, a zwłaszcza artystycznych dokonań Mariana Sobańskiego - dyrektora tegoż teatru w latach 1927 - 1939: 6 października odbyło się uroczyste odsłonięcie na frontonie gmachu Teatru Śląskiego tablicy autorstwa Zygmunta Brachmańskiego, poświęconej najwybitniejszemu dyrektorowi tej sceny. Aktu odsłonięcia dokonali prezydent Katowic Piotr Uszok i dyrektor Teatru Bogdan Tosza. Fundatorem tablicy pamiątkowej było miasto Katowice.

Uroczystość poprzedzona była konferencją naukową, podczas której przypomniane zostały postaci wybitnych artystów zasłużonych dla Teatru Śląskiego (Polskiego). Dlaczego akurat Stanisław Wyspiański został patronem katowickiego teatru, wyjaśniała zebrałym Elżbieta Tosza, która mówiła o fascynacji Sobańskiego i pracującego z nim Leopolda Pobóg-Kielanowskiego tym artystą, a także szeroką obecnością Wyspiańskiego w repertuarze Teatru.

Konferencji towarzyszyły spektakle przygotowane przez katowicki zespół: „Akropolis” w reżyserii Bogdana Toszy i „Wyzwolenie” w reżyserii Krzysztofa Babickiego.

W sobotnie przedpołudnie dyrekcja Teatru Śląskiego oraz przedstawiciele ZASP złożyli kwiaty na grobach Mariana Sobańskiego w Rabce i Stanisława Wyspiańskiego na krakowskiej Skałce.

Uczestnicy uroczystości mogli również zwiedzić wystawę pt. „Wokół Wyzwolenia z 1936 roku”.

Pamięć o wielkich ludziach katowickiej sceny a także o dziele wielkiego artysty była znakomitą okazją do wyróżnienia tych ludzi, którzy dzisiaj dokładają wielu starań, by Teatr Śląski pozostawał znaczącą sceną teatralną nie tylko w regionie. Dlatego też dyrektorzy Teatru: Bogdan Tosza i Krystyna Szaraniec wręczyli dyrektorowi katowickiego okręgu PZU Jerzemu Gęsikowskiemu medal „Mece-nas Teatru Śląskiego”, natomiast szef Hartwigu Henryk Kłoska został uhonorowany tytułem „Przyjaciela Teatru Śląskiego”. (wk)



Tablica pamiątki „twórcy narodowej sceny polskiej na Górnym Śląsku” - jak głosi napis na tablicy.

**ZNAKI
I TWARZE
MIASTA**



O Stalmachu inaczej

Przeglądając przeróżne materiały dotyczące postaci godnych przypomnienia, rzadko natrafiać możemy na teksty ukazujące bohatera w wymiarze ludzkim, nie zmonumentalizowanym. Biografom — zwłaszcza tym z czasów nam bliższych — widać zdawało się, że dzięki wizerunkowi heroicznemu wielkie i ważne osoby dłużej przetrwają w pamięci zbiorowej kolejnych pokoleń. Może lękali się, że wzbogacenie o aspekty prywatności, ujawnienie namiętności czy nawet tylko słabostek umniejszy opisywane osoby. Czy jednak musimy się obawiać, by cokolwiek było w stanie zakwestionować wymiar dziejowy postaci tak znakomitej jak Paweł Stalmach? Z ogromnej literatury dotyczącej tego czołowego działacza narodowego na Śląsk Cieszyński wybieramy więc zapisy dawniejsze, a z nich takie fragmenty, które ukążą nam Stalmacha-człowieka.

Najbogatszy zapis tego typu pozostawił książdź Józef Londzin (1863—1929) — w młodości pomocnik Stalmacha w redakcji „Gwiazdki Cieszyńskiej”, a później jego następcą. Podaje on, że Stalmach, mający już lat 30, w roku 1854 ożenił się z 28-letnią wdową Anną Skribową z Harachów, katoliczką. Żona miała już troje dzieci z pierwszego małżeństwa. W nowym związku niemal rok po roku urodziło się ośmioro dzieci — sześć córek i dwóch synów. Szescioro z nich zmarło bardzo wcześnie. Dłuższych lat dożyły: druga córka — Wiola Olga Karolina, nazywana w domu Olgą, i trzecia — Paulina. Osiemnastoletnia Paulina zmarła w roku 1878, a 22-letnia Olga w roku 1880. Przyczyną odejścia obu była gruźlica. Obie córki, a szczególnie Olga, wydatnie wspomagały ojca w pracy redakcyjnej. Pamiętać trzeba, że niewielkie przychody z pisma nie pozwalały na zatrudnianie pracowników, którzy by mogli wyręczać redaktora, i zarazem autora większości tekstów, w administracji, korespondencji, korektach, przyjmowaniu wpłat na prenumeratę itp. A przecież Stalmach poza tym, że był przez kilka dziesięcioleci niewolnikiem prawie jednoosobowo redagowanej gazety, był animatorem życia narodowego, inicjatorem towarzystw i różnych akcji.

Wspominał Londzin: „Gdy Olga dogrywała, szukał już Stalmach pomocy dla siebie. Będąc dobrze znajomym z moim ojcem, skłonił go do oddania mnie na stancję do siebie z tym zamiarem, abym mu w pracy pomagał. Jako 17-letni student, uczęszczający do gimnazjum niemieckiego, nie byłem w stanie pomagać mu wprost w pracy redakcyjnej, lecz używał mnie do przepisywania licznych swoich listów i niektórych artykułów przeznaczonych do »Gwiazdki Cieszyńskiej«, do robienia korekty i do wydobywania manuskryptów od ks. Ignacego Świeżego i Karola Miarki”. („Coś z osobistych wspomnień o Pawle Stalmachu” — „Gwiazdka Cieszyńska” 1924, nr 84)



Glossy górnosławskie

Stalmach mieszkał przez ponad 30 lat w domu Gorgosza przy Stephanienstrasse, która w polskich czasach zmieniła nazwę na ulicę Głęboką. Domu tego — z charakterystycznymi podcieniami — nie było już na początku lat 20. XX wieku. Na jego miejscu stanął dom nowy, w którym mieściła się cukiernia Bartha. Marian Dubiecki, który odwiedził Stalmacha na kilka miesięcy przed jego śmiercią, określił ten lokal na drugim piętrze jako „skromne mieszkanko, o trzech niewielkich pokojkach”. Opisywał je tak: „Pierwsza izba to sypialnia, bawialnia i zarazem najczęściej jadalnia Stalmacha i jego rodziny; na prawo pracownia; na lewo pokój, gdzie długie lata przemieszkwała staruszka, matka Stalmacha, która wypiaستowała owego przedniejszego syna szląskiej ziemi. Czysto tu w całym mieszkanku, skromnie, zacisznie — przybytek to ciężkiego trudu i trosk z życiem związanych”.

Praca i temperament

Ze świadectwa Londzina można się domyśleć, że ta wspomniana przed chwilą pracownia była zarazem redakcją. Sięgnijmy znów do Londzina: „Pracował ona zawsze w szlafroku, mając wieczorem podczas świecenia lampą naftową nad oczyma zielony daszek, przymocowany dwoma sznurkami do wierzchu głowy. Pracował z długą fajką w ustach na małym stoliku z cienkimi nogami, zarzuconym gazetami, listami i broszurami. Od ciągłego palenia tworzyły się w jego pracowni chmury dymu, tak, że wchodzący musiał w nich dopiero szukać jakiegoś istoty ludzkiej. Wszystkie papiery, głównie masy roczników różnych czasopism i książek przesyłanych do redakcji, których nikomu od lat dziesiątek nie wolno było ruszyć, były przepojone dymem i kurzem. Pracował powoli, ale co wyszło spod jego pióra, było dobre”.

Był człowiekiem pracowitym, ze stałym rytmem życia wymuszonym przez rodzaj uprawianego zajęcia. „Wstawał około godziny 7. i zaraz zabierał się do pracy. Około godziny 11. przed południem szedł do Pustelnika (hotel pod Jeleniem) »na gazety niemieckie« i »na fifikę wina«. Punktualnie o godz. 12. był już z powrotem w domu, gdzie »mameczka« oczekiwała »taticzka« z obiadem, jak się małżonkowie nawzajem tytułowali. Pożycie małżeńskie było zawsze bardzo serdeczne i nigdy nie zauważyłem żadnej chmurki na jego niebie. Ku wieczorowi przyniosła »mameczka« niewielką karafkę z piwem, które Stalmach popijał z małej szklanki. Gdy obowiązki przykuwały go dłuższy czas do pracy, np. do 8. lub 9., to zachodziła potrzeba napełnienia karafki po raz drugi i trzeci. Jeżeli zaś był wolniejszy, to wychodził na przechadzkę i zabierał mnie z sobą dla towarzystwa.”

O wyglądzie zewnętrznym Stalmacha pisał Jan Grzegorzewski, że był niskiego wzrostu i w typie pastora ewangelickiego (w „Ateneum”, 1885). Lwowski zaś dziennikarz Wojciech Gorazda malował go tak: „Średniego wzrostu, krępy, z silnym zarostem w twarzy, miał na pierwszy rzut oka wygląd więcej kupca lub przemysłowca starej daty, aniżeli człowieka pracy duchowej. Dopiero przy bliższym się przypatrzeniu w rozmowie z nim, przy spojrzeniu mu w oczy, żywo migające za dużymi okularami w złotej oprawie, w oczy płonące żarem, roztropne a przenikające i pełne rozumu i zarazem wyrazu energii, poznać było można, iż ma się przed sobą niepospolitego człowieka. Kiedy zagłębił się w rozmowę, twarz jego nabierała ożywienia, a od czasu do czasu uśmiech ironiczny nadawał jej wyraz pewnej demoniczności, co niekoniecznie licowało z jego dobrodusznym mieszczańskim wyglądem”.

Pamiętamy, oczywiście, o tym, że Stalmach był oceniany krytycznie przez dawnych swych współtowarzyszy, że źle widziano jego sympatie dla kleru katolickiego, że potępiano jego konwersję na łóżu śmierci — ocenę pozostawmy jednak historii. Może część nieporozumień brała się z tego, że po dziesięcioleciach wysiłku, wyrzeczeń i represji przekonany był, że jemu należy się miejsce pierwsze w ruchu narodowym. A może powodem były cechy charakteru? Pisał bowiem też Londzin, że „był człowiekiem energicznym i namiętnym. Gdy się zaciął w jakiejś dobrze przez niego obmyślanej sprawie, wszelka perswazja stała się niemożliwa. (...) W sporach ze swoimi przeciwnikami był nieubłagany, ustepliwość była mu nieznaną. Gdy popadł w namiętność, rzucił się, nie był często nawet w stanie mówić i wydawał ze siebie jakieś niezrozumiałe dźwięki. Zawsze jednak kierował się słuszością i sprawiedliwością i mało było wypadków, żeby był zgromadził przeciw tym dwóm cnotom”. Zmarł nagle 110 lat temu — 13 listopada 1891 roku — i tę rocznicę chcieliśmy przypomnieć.

WOJCIECH JANOTA

Nowe miejsce dla sztuki

Samorząd Sosnowca postanowił, że co jakiś czas dodatkiem do wydawanej przez niego gazety pt. „Kurier Miejski” będzie „Kurier Literacki”. Widać nie starcza już miejsca na łamach „Kuriera Miejskiego” na właściwą prezentację wszystkich ważnych wydarzeń artystycznych i kulturalnych miasta. Inicjatywa ta świadczy również o potrzebie zaistnienia samodzielnego pisma o charakterze artystycznym, na łamach którego swoją twórczość prezentowali by literaci, plastycy, krytycy, związani z Zagłębiem - do tego kręgu odbiorców adresowane jest nowe pismo.

Na łamach kolejnego już wydania „Kuriera Literackiego” spotkać można nazwiska dobrze znane czytelnikom miesięcznika „Śląsk” m.in.: Sławomira Matusza, Jana F. Lewandowskiego, Agnieszki Kulik-Jęsień.

Grono osób redagujących „Kuriera Literackiego” (redaktorem naczelnym jest Kazimierz Gołosz) zwróciło się o opinie o nowym piśmie do środowiska naukowego Uniwersytetu Śląskiego, zwłaszcza filologicznego. W najnowszym numerze do redakcji pisze więc dr hab. Krystyna Kłosińska, że „pismo może stać się nie tylko ważnym miejscem rozpoznawczym tożsamości lokalnej, swojskiej, w rodzaju literackiej »małej ojczyzny«, ale może także stać się przestrzenią spotkania tego, co inne, współbicia bez wykluczeń.” W rzeczy samej, „Kurier Literacki” z pewnością będzie platformą dyskusyjną dla wielu twórców - może nie tylko zagłębiowskich (coż zresztą dziś ten termin oznacza? - może raczej związanych ze środowiskiem Zagłębia). W numerze nr 3 opublikowane zostały teksty poetyckie Kurta Drawerta - poety, eseisty, prozaika i dramaturga niemieckiego w tłumaczeniu Gizeli Kurpanik-Malinowskiej i Sławomira Matusza, debiut poetycki Katarzyny Grzebieluchy - siedemnastolatki z Sosnowca, fragment prozy wspomnianego Matusza, wiersze Agnieszki Szul, a ponadto teksty publicystyczne o kinie nad Przemszą i wspomnienie o Kazimierzu Ratoniu, omówienia i recenzje książek i Zagłębiowska Kronika Kulturalna, prezentowane są prace plastyczne Moniki Górczyńskiej.

„Kurier Literacki” z pewnością jest odpowiedzią na ambicje wydawnicze Sosnowca (Dąbrowa Górnicza ma również swoje pismo literackie). Podjęcie się systematycznego wydawania takiego pisma nie jest sprawą łatwą, ale redakcja z pewnością wie co robi, porwując się na niskonakładowe, skierowane jakby nie było do wąskiego grona czytelników wydawnictwo. Przedsięwzięcie zatem jest dość karkołomne (nie wiem jak finansowane jest pismo - czy tylko z budżetu Sosnowca?), ale wszystkim zapaleńcom należy tylko życzyć wytrwałości, a twórcom by ich nowe „miejsce dla sztuki” przetrwało jak najdłużej.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Młodzi muzycy ze Szwarcwald u „Karłowiczan”

Udanym występem w Kościele Mariackim w Katowicach rozpoczęli uczniowie Kreisdgymnasium w Titisee - Neustadt i katowickiej Państwowej Szkoły Muzycznej im. M. Karłowicza tygodniowe spotkania z trwającego już od trzech lat cyklu imprez wymiennych, służących celom artystycznym a także lepszemu poznaniu się młodzieży obu krajów. Goście, na czele ze swymi profesorami: Wolfgangiem Adamem, który poprowadził niemiecką orkiestrę kameralną, oboistką Inge Tritschler i skrzypkiem Jürgenem Keiserem, przedstawili wraz z „Karłowiczanami” w czasie nabożeństwa Mszę G-dur F. Schuberta, a na osobnym koncercie w auli Szkoły przy ulicy Teatralnej 16 Suitę z musicalu Bocka „Skrzypek na dachu”, również z udziałem swych śląskich partnerów. Na obu bardzo dobrze przyjętych koncertach pięknie przedstawili się we własnym repertuarze „Karłowiczanie”, zarówno soliści jak Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Wojciecha Saków, która przygotowała „Tańce z Siedmiogrodu” z „Tańce rumuńskie” B. Bartoka oraz suitę T. Bairda „Colas Breugnon”.

Artystyczną rewizytę przewidziano na lato przyszłego roku.

(bg)

Było złoto i kasztanowo...

Dodam, na VII Ogólnopolskim Konkursie Piosenki Jesiennej, nazwanym urokiem „Złota polska jesień”, zorganizowanym staraniem Działu Artystycznego Pałacu Młodzieży w Katowicach, Oddziału Wojewódzkiego Międzynarodowego Stowarzyszenia Wychowania Muzycznego (ISME), pod honorowym patronatem Śląskiego Kuratora Oświaty.

Młodzież zjechała zewsząd, choć dodać trzeba z żalem, że reprezentacja Starego Sącza, ze względu na fatalne połączenia, nie dojechała...

Najmłodsza uczestniczka - pięcioletka Ania Langosz tym razem wystąpiła jedynie honorowo, ale w przyszłym roku...!

Jury w składzie: Jadwiga Wandiger (muzyk, Pałac Młodzieży), Barbara Dziekańska (nie tylko muzyk ale i znakomita poetka), Rajmund Rau (ISME), przesłuchawszy wszystkich uczestników, zgodnie z regulaminem rozdzieliło konkursowe miejsca i nagrody: w kategorii „soliści dziecięcy” pierwsze miejsce Magdalena Gluch z Młodzieżowego Domu Kultury w Bytomiu, a za nią kolejno Beata Ploch (lat 8) oraz Ida Żywicka - obie z Pałacu Młodzieży w Katowicach; w kategorii „młodzieżowi soliści”: Anna Majczak z akompaniamentem Pawła Kontnego (oboje są uczniami III klasy I LO im. K. Miarki w Żorach) - zupełne objawienie; doskonała kultura muzykowania, absolutnie czysty głos Ani i świetne kompozycje tudzież teksty Pawła wróżą im chyba rychłą muzyczną karierę!, za nimi, na III miejscu uplasowała się Joanna Płoskonka (Pałac Młodzieży); w kategorii „duety” - świetnie przygotowana Bożena Trojnak i Agnieszka Stańczak (obie MDK Bytom); w kategorii dziecięce zespoły wokalne miejsce III zespół ze Szkoły Podstawowej nr 27 w Rudzie Śląskiej; w kategorii zespoły instrumentalne - wokalne zespół „Enigmat” z Gimnazjum nr 10 w Rybniku.

Nie sposób pominąć muzyków, którzy tak świetnie swoich podopiecznych przygotowali do konkursowych zmagani - duże brawa szczególnie dla instruktorki z MDK w Bytomiu Edyty Wilgi oraz Andrzeja Marcina, nauczyciela z LO im. K. Miarki w Żorach.

Dwudniowe jesienne muzykowanie (19 i 20 października) za nami.

Dyrektor Pałacu Młodzieży w Katowicach dr Eugeniusz Skorzydło dał słowo, że kolejny, VIII Ogólnopolski Konkurs Piosenki Jesiennej odbędzie się na pewno, i że za rok znów będzie jesień i znów potoczą się do naszych stóp rude kasztany... śpiwając.

ST.W.

Pejzaże poprzemysłowe Śląska

... To tytuł wystawy w Górnśląskim Centrum Kultury, na którą złożyły się prace studentów Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Tematem była wizualna dokumentacja krajobrazu przemysłowego Górnego Śląska. Prace przeprowadzone były pod kierunkiem dydaktyczno-artystycznym Jana Szmatocha (Pracownia Druku Wkleśłego) oraz Waldemara Jamy

Jednym zdaniem

■ W Górnśląskim Centrum Kultury miała miejsce wystawa „Sport w sztuce”, zorganizowana z okazji odbywającej się w Katowicach w dniach 12 i 13 października I Konferencji Naukowej „Tradycje i współczesność kultury fizycznej”.

■ Również w związku z tą konferencją w Muzeum Historii Katowic przygotowano tematyczną wystawę: „Śląskie trofea sportowe”.

■ „Wincklerowie. Ich dzieje i fortuna” - to tytuł spotkania historycznego, które miało miejsce w Muzeum Historii Katowic, a odczyt wygłosił dr Arkadiusz Kuzio Podrucki.

■ Wystawę śląskich artystów nieprofesjonalnych pt. „Barwy Śląska” otwarto w Galerii „Brama” Miejskiego Domu Kultury „Batory” w Chorzowie.

■ W 10-lecie istnienia Górnśląskiej Wyższej Szkoły Handlowej w Katowicach - Piotro-

wicach, w dniu 4 października odbyła się roczna uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego, podczas którego przedstawiono minione dziesięciolecie uczelni oraz wręczono nagrody, stypendia wyróżniającym się studentom.

■ W Galerii Działalności „Kreot” przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rudzie Śląskiej swoje plakaty prezentował znakomity grafik Marian Osiński.

■ W Muzeum Śląskim otwarta została wystawa fotograficzna autorstwa Roberta Słabońskiego pt. „Nad Bohem i Nilem”, dokumentująca wykopaliska w Koszarach koło Odessy na Ukrainie oraz w Tell el-Farcha w Egipcie, prowadzone przez Instytut Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie oraz Poznańskie Towarzystwo Prehistoryczne.



(Pracownia Fotograficzna). Tytuł wyznaczył zakres przestrzenny (przemysłowy obszar dzisiejszego województwa śląskiego) i tematyczny (pejzaż przemysłowy regionu) projektu. Nazwa „pejzaż” to odtworzony tu za pomocą fotografii i rysunku górnośląski krajobraz. Celem projektu nie była dokumentacja ikonograficzna całego Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, czy przedstawienie ważnych zakładów przemysłowych. Motywy pejzażowe są „naturalnym” odbiciem wyglądu otoczenia. Dlatego też odtworzony czy nawet artystycznie interpretowany pejzaż nosi zawsze zapis czasu i miejsca powstania. Również fotografie i grafiki wystawy w GCK odtwarzają konkretny, współczesny wygląd Górnośląska. Powstały one w czasie upadku górnośląskiego przemysłu ciężkiego, dlatego są ilustracją zachodzących zmian w krajobrazie regionu. Powstałe na podstawie obserwacji i analizy artystycznej rzeczywistego krajobrazu zdjęcia i grafiki mieszczą się w szerokim spektrum od obrazów dokumentalnych do interpretowanych artystycznie kompozycji graficznych. Pierwszorzędne wartości dokumentacyjne (niezależnie od artystycznych) w zapisie wizualnym rzeczywistego obrazu Górnośląska mają wykonane podczas projektu fotografie. Projekt został zrealizowany w zapisie fotografii czarno-białej oraz w szlachetnych technikach grafiki rytowniczej (akwaforty, akwatinty, mezzotinty, suchorytu). Jednobarwność uwypakowała kształt rzeczy, skupia uwagę na formie. Zachowu-

jąc zasadę „dokumentalności” projektu - wystawy podane przy każdej reprodukcji dokładne informacje dotyczące lokalizacji przedstawienia, określono jego treść, technikę wykonania i autora pracy.

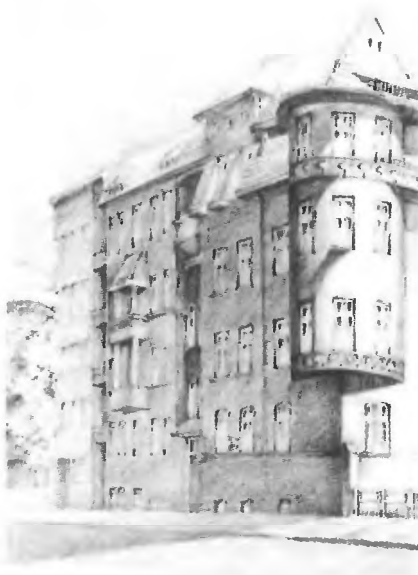
Wystawa powstała w współpracy z Muzeum Górnośląskim w Ratingen (Niemcy).

Katowice w rysunkach



Lukasz Niewiara, Muzeum Śląskie - Al. W. Korfantego

Pod takim tytułem odbył się w pierwszej połowie lipca 2001 r. studencki plener rysunkowy objęty programem dydaktycznym Zespołu Sztuk Plastycznych Katedry Architektury i Przekształceń Przemysłu Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Program Zespołu Sztuk realizowany jest pod kierunkiem prof. Stanisława Śladowego, natomiast nad plenerem czuwali artyści malarz Jacek Żurkowski, arch. Ryszard Stanek i artysta grafik Jacek Joostberens.



Agata Adamaszek, Muzeum Historii Katowic - ul. Ks. J. Szafranka

W latach 1995 - 1997 studenci odbywali praktyki rysunkowe w Zabrze, a w kolejnych latach w Mysłowicach. Po raz pierwszy odbył się w Katowicach - mieście, które mimo swej niezbyt długiej historii posiadają wiele atrakcyjnych architektonicznie obiektów. Tu ścięły się różnorodne nurty i orientacje w architekturze, tworząc specyficzny styl łączący secesję z renesansem, klasycyzmem i innymi stylami historycznymi - eklektycznymi. Było to interesujące doświadczenie dla studentów Wydziału Architektury.

Poplenerowa wystawa znalazła swoje właściwe miejsce - w Muzeum Historii Katowic. Wystawie towarzyszył katalog, w którym w słowie wstępnym Jadwiga Lipońska-Sajdak, dyrektor Muzeum Historii Katowic, przypominała pokrótce najciekawsze pod względem historycznym i architektonicznym obiekty Katowic.



Ewa Makomaska, Uniwersytet Śląski, Wydział Biologii - ul. Jagiellońska

O kulturze książki

Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Uniwersytetu Śląskiego był organizatorem (17 - 18 października) międzynarodowej konferencji na temat: „Kultura książki ziem wschodniego i południowego pogranicza Polski (XVI-XX). Paralele i różnice”. Tematyka obrad obejmowała zagadnienia kultury książki, jej obiegu i specyficznych funkcji na terenie zróżnicowanym etnicznie oraz wzajemnych wpływów piśmiennictwa różnych narodów. W konferencji wzięli udział przedstawiciele bibliotek narodowych i archiwów, a także pracownicy nauki z polskich i zagranicznych ośrodków. Konferencja odbywała się pod honorowym patronatem rektora UŚ oraz Pełnomocnika Rządu do spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą.

■ Kolejną wystawą w Muzeum Śląskim było „miasto zaginione Angkor”, podczas której prezentowano fotografie Elżbiety Dziwkowskiej i Ireneusza Sadkowskiego.

■ Pod patronatem honorowym metropolity katowickiego abpa dr. Damiana Zimonia i wojewody śląskiego prof. Wilbald Winkiera 19 września br. odbyła się promocja książki dr. Edwarda Balawadera pt. „Wojciech Korfanty. Myśl katolicko-społeczna i działalność”, wydanej nakładem Wydawnictwa Księgarni św. Jacka.

■ W Bytomskim Centrum Kultury odbył się wernisaz wystawy Zuzanny Janin pt. „I love you too”.

■ „Kreatury” Grzegorza Sztwiertni - absolwenta krakowskiej ASP w pracowni prof. Jerzego Nowosielskiego, można było oglądać w galerii „Sektor” GCK w Katowicach.

■ Witold Węgrzyn - znany artysta fotograf, wykładowca ASP w Gdańsku, członek Rady Arty-

stycznej ZPAF, w galerii „Pusta” GCK wystawiał swoje „Sytuacja II”.

■ I Międzynarodowe Dni Kultury i Piosenki Krajów Misyjnych „Missio 2001” odbywały się w Domu Kultury „Zgoda” i Muzeum Miejskim w Świętochłowicach.

■ Na wystawę „W kraju rajskiego ptaka” ze zbiorów Muzeum Misyjno-Etnograficznego w Pieniężnie, zapraszało Muzeum Miejskie w Świętochłowicach.

■ Laureaci Międzynarodowego Konkursu Słowiańskiej Muzyki Wokalnej wystąpili w Muzeum Miejskim w Świętochłowicach.

■ Malarstwo Tomasza Lubaszki oraz malarstwo i rzeźbę Dariusza Milińskiego pokazała Galeria „Obok” Teatru Małego w Tychach.

■ W Muzeum Historii Katowic odbyło się spotkanie z prof. Henrykiem Przybylskim pt. „Ignacy Paderewski - między muzyką a polityką”, zorgani-

zowane w setną rocznicę koncertu Artysty w Katowicach.

■ „Portrety” Ewy Muszyńskiej prezentowała Miejska Galeria Sztuki Extravagances w Sosnowcu.

■ W Muzeum Śląskim została otwarta wystawa „Ślady naszej obecności” prezentująca twórczość Barbary Ur i Andrzeja Jana Piwarskiego.

■ Muzeum Śląskie zorganizowało wystawę retrospektywną twórczości wybitnego malarza Zenona Moskwy (1929 - 1992).

■ Zespół Voodoo Lunch z Pszczyny, występujący do niedawna pod nazwą Kfintet - laureat I miejsca na krakowskim festiwalu rockowym „Stacja Woodstock 2000”, zrealizował w studiu B&B Records w Niepolimicach k. Krakowa płytę demo z sześcioma utworami, która prezentowana była na antenie Radia Katowice.

Radosna „Lipa”

Po raz piąty najmłodszy twórcy z całej Polski nadesłali swoje próby poetyckie, prozatorskie i dramatyczne na Ogólnopolski Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa”. Historia „Lipy” sięga jednak roku 1983. Wtedy to po raz pierwszy animatorzy kultury ze Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany” w Bielsku-Białej z Reną Edelman na czele zorganizowali przegląd literacki dla dzieci o charakterze wojewódzkim. Obecny przegląd jest już 19 edycją imprezy. Za rok będzie więc okazją do hucznego świętowania...

„Lipa” nadal się rozwija. W tym roku uczestniczyło w niej 584 młodych artystów piana (o 29 więcej niż w roku ubiegłym), którzy nadesłali 1785 tekstów. 304 uczniów szkół podstawowych przesłało 803 utwory, 158 gimnazjalistów nadesłało 451 tekstów, a 122 uczniów szkół średnich — 531 dzieł swego autorstwa.

Podobnie jak w latach minionych, główną nagrodą „Lipy” jest druk w specjalnie wydany na okazję finału imprezy biuletynie. Wyboru tekstów dokonało grono jurorów: Tomasz Jastrun (poeta, eseista, felietonista i reporter), Juliusz Wątroba (poeta i satyryk) oraz niżej podpisany. Drukiem w „lipowym” katalogu uhonorowano stu laureatów.

Organizatorzy i jurorzy są uradowani geografiją „Lipy”. Laureatami przeglądu zostali bowiem nie tylko mieszkańcy największych polskich miast — Warszawy, Łodzi, Krakowa, Gdańska czy Wrocławia, lecz także tak małe miejscowości jak Puńców koło Cieszyna, Laliki na Żywiecczyźnie, Stara Wieś koło Wilamowic w powiecie bielskim, Poraj nie opodal Częstochowy, Hanusek koło Tarnowskich Gór, Wiąg w powiecie świeckim, Piekoszów koło Kielc, Hucisko w powiecie bełchatowskim i wiele innych wiosek i miasteczek. Wydaje się więc, że mimo nie najlepszej kondycji polskiego szkolnictwa, w wielu placówkach edukacyjnych i kulturalnych całego kraju nauczyciele nadal z powodzeniem rozwijają twórcze zdolności swych wychowanków.

Najdłużej towarzyszą „Lipie” pedagodzy ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Chelmku, SP nr 8 w Bielsku-Białej, SP w Zembrzycach oraz placówek z SP nr 1, nr 3 i nr 5 w Żywcu, którzy zwykle inspirują do pisania swych wychowanków. Od czasu gdy „Lipa” nabrała charakteru ogólnopolskiego, stale możemy podziwiać także pracę nauczycieli z Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Artystycznej w Zakopanem czy Zespołu Szkół w Łądku Zdroju w województwie dolnośląskim.

„Lipa” może owocować przy pomocy poważnych dobrodziejów. Od pięciu lat wspiera ją przyjaciel dzieci i młodzieży, dyrektor departamentu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego Maciej Klimczak. Po raz trzeci patronat nad imprezą objął prezydent Bielska-Białej Bogdan Traczyk. W tym roku organizatorzy otrzymali również finansowy zastrzyk ze Śląskiego Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach. Od początku „Lipy” niezmienną przychylność wobec młodych talentów ujawnia Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany” w Bielsku-Białej z prezesem Eugeniuszem Cebratem na czele.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Pajęczyna piękna

Jutrzenki i zachody, upały, pejzaże siarczystej i śnieżnej zimy oraz „złachmaniałych” pajęczyn skrzące się wisiorzy — wszystko to zajmuje artystę fotografii Mariana Koima; wszystko — pod warunkiem, że dotyczy ukochanych przez niego Beskidów. Dorobek 50-letniej pracy artystycznej bielskiego fotografa możemy podziwiać od 13 października w Galerii Środowisk Twórczych Bielskiego Centrum Kultury. Półwiecze artystycznych zainteresowań Mariana Koima zbiegło się z 70. rocznicą jego urodzin. Przemienne związki artysty z „rodzinnymi” górami sprawiły natomiast, że przepyszna, jubileuszowa wystawa nosi tytuł „Beskidy w czterech porach roku”.

Marian Koim pochodzi z Bielan koło Kęt. Od najmłodszych lat związał się jednak z Bielskiem-Białą, gdzie ukończył Państwowe Liceum Technik Plastycznych; należał do pierwszego rocznika absolwentów bielskiego „plastyka”. Ukończył także Studium Filmu i Fotografii w Warszawie, które posiadało prawa wyższej uczelni zawodowej. Marian Koim pracował w różnych ośrodkach kultury w Bielsku-Białej, Katowicach i Oświęcimiu, gdzie wychował wielu pasjonatów filmu i fotografii.

Największy rozgłos zdobył po nakręceniu filmu „Romanza ludzika”, który przyniósł mu cenne, międzynarodowe nagrody w chorwackim Dubrowniku, czeskich Lidicach i Lublinie w 1964 roku. Dla nas natomiast cenne jest to, iż od początku istnienia miesięcznika „Śląsk” Marian Koim stale z redakcją współpracuje.

Deszcz nagród dla Dwóch Panów

Podczas XX Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu najczęściej nagradzanym spektaklem były „Szkice z Becketta” Teatru Dwaj Panowie X z Bielska-Białej. Przedstawienie zrealizował jeden z zespołów starej dobrej „Banialuki”, jeszcze za czasów dyrektora Krzysztofa Raua. Jury pod przewodnictwem prof. Anny Proszkowskiej przy-

Jednym zdaniem

■ Wiele dni trwało (m.in. w Bielsku-Białej) weselisko z okazji ślubu artystki „Banialuki” — pochodzącej z Bielska... Podlaskiego — Katarzyny Kulaczewskiej i puzonisty Pawła Golca z Miłówki.

■ Dzieła z cyklu malarsko-ceramicznego „Lalka” zademonstrowała w październiku w Książnicy Beskidzkiej bielska artystka Barbara Żak.

■ W Domu Muzyki oraz placówkach kultury i oświaty Bielska-Białej i okolic odbyło się w październiku VI Święto Pieśni „Gaude Cantem 2001”.

znało II nagrodę za reżyserię Aleksandrowi Maksymiakowi oraz I nagrodę Zbigniewowi Karneckiemu za muzykę. Wyróżnienie za role w „Szkicach z Becketta” otrzymali aktorzy Włodzimierz Pohl oraz Ryszard Sypniewski. Dwaj artyści z Bielska-Białej zdobyli także Nagrodę Zarządu Głównego ZASP im. Władysława Jaremy. Wyróżnienie otrzymał ponadto Piotr Tomaszewski — odtwórca tytułowej roli w przedstawieniu „Mr. Scrooge” wg Karola Dickensa Teatru Lalek „Banialuka” w Bielsku-Białej.

Bielszczanin w Bielsku-Białej

Zygmunt Konieczny, Andrzej Kurylewicz i Zbigniew Preisner byli bohaterami VI Festiwalu Kompozytorów Polskich pod patronatem Henryka Mikołaja Góreckiego, który odbył się od 4 do 6 października w Bielsku-Białej. W programie znalazły się m.in. muzyka Zygmunta Koniecznego do dramatów Stanisława Wyspiańskiego i wieczór jazzowy Andrzeja Kurylewicza. Najbardziej ekscytujący dla bielszczan był jednak koncert muzyki urodzonego w Bielsku-Białej w 1955 roku Zbigniewa Preisnera, który odbył się w kościele pw. św. Maksymiliana Kolbego w Aleksandrowicach. W wieczorze zatytułowanym „Dekalog. Kto ty jesteś, człowieku?” wystąpili m.in. solistki Elżbieta Towarnicka i Anna Szalapak. Jeden z własnych utworów wyśpiewał także Zbigniew Preisner.

Podróż z Królem

„Ślady podróży” to tytuł wystawy w Galerii Bielskiej BWA, w której udział biorą młodzi artyści, wychowankowie niewiele od nich starszego nauczyciela z bielskiego „Plastyka” Tadeusza Króla oraz sam mistrz. — „Tytuł dobrany dla tej wystawy sugeruje m.in. poszukiwanie śladów onegdajszej wspólnej „podróży” jej uczestników i refleksję nad śladami indywidualnie przemierzanych dróg życia” — powiada jeden z absolwentów PLSP w Bielsku-Białej, dr Marek Rembercz z Uniwersytetu Śląskiego. Podróż jest jednocześnie wędrówką do źródeł i wspólnych „królewskich” korzeni artystów, spośród których kilku zdobyło już uznanie nie tylko w naszym kraju. We wspólnej podróży — do 4 listopada w Galerii Bielskiej BWA — uczestniczą Edyta Barańska, Andrzej Borowski, Tadeusz Król, Beata Krystek-Borkowska, Janusz Łukowicz, Robert Olszowski, Artur Przebindowski, Sławomir Rumiak i Ernest Zawada.

■ Mieszkańcy Cieszyna i Czeskiego Cieszyńska byli w październiku świadkami koncertów XII Międzynarodowej dekady Muzyki Organowej, Chóralnej i Kameralnej.

■ W październiku jubileusz 35-lecia swej placówki obchodzili pracownicy Domu Kultury w Kętach.

■ Do 5 listopada do regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej można przysłać informacje o przedsięwzięciach kulturalnych, które zostaną wykorzystane w „Kalendarzu Kulturalnym Województwa Śląskiego 2002”.

Pamięci Hubermana

Wrzesień dla częstochowskich melomanów okazał się szczególnie atrakcyjny, a to za sprawą III Festiwalu Wiołnistycznego im. Bronisława Hubermana, który odbył się w naszym mieście. Organizatorami, jednego z najważniejszych, artystycznych wydarzeń w bieżącym roku był Urząd Miasta Częstochowy i Filharmonia Częstochowska. Patronat nad festiwalem objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Aleksander Kwaśniewski. Inauguracyjny koncert 20 września w pełni potwierdził artystyczną rangę festiwalu. Pierwszym gościem Filharmonii Częstochowskiej była Orkiestra Kameralna Polskiego Radia Amadeus wraz z Agnieszką Duczmal. Poznańska orkiestra wystąpiła wspólnie ze znakomitym muzykiem Andrzejem Bauerem, który, bravurowo wykonując „Koncert wiołnyczeli” Witolda Lutosławskiego podczas czterdziestej „Warszawskiej Jesieni”, na stałe zapewnił sobie miejsce w gronie najlepszych współczesnych wirtuozów skrzypiec. Organizatorzy zapewnili częstochowskiej publiczności obcowanie z najlepszymi artystami nie tylko pierwszego dnia. Na kolejnych koncertach zaprezentował się m.in. Konstanty Andrzej Kulka, stały gość światowych sal koncertowych i propagator polskiej muzyki; laureat nagrody specjalnej Polskiego Radia i Telewizji za nagranie płytowe wszystkich utworów skrzypcowych Karola Szymanowskiego.

Również nagranie dwóch koncertów autora „Harnasiów” uhonorowane zostało w 1981 roku paryską nagrodą „Grand Prix du Disque”. Na scenie częstochowskiej filharmonii zaprezentował swoją interpretację kompozycji m.in.: Szymanowskiego, Henryka Wieniawskiego oraz Niccolò Paganiniego. W czasie występu Andrzejowi Kulce towarzyszył na fortepianie Andrzej Guz, stypendysta Fundacji Fulbrighta (w latach 1983–84 studiował w Peabody Conservatory w Baltimore w USA). Pełnił on funkcję pianisty na wielu prestiżowych festiwalach i konkursach skrzypcowych. Gośćmi festiwalu byli również „Capella Cracovenssis” wraz z założycielem i dyrygentem Stanisławem Galańskim, mistrzowie skrzypiec: Krzysztof Polonek, Maciej Czepielewski, wirtuoz gry na wiolo da gamba — Irmelin Heiseke i Barbara Hofmann. Mimo iż na festiwalu dominowali muzycy średniego pokolenia, to ostatni głos, a z pewnością „ostatnie dźwięki”, należały do młodych muzyków. Tytuł ostatniego koncertu — Wielkie talenty, wielkie nadzieje — jest chyba najlepszym komentarzem dla występów artystów i dobrym akordem na przyszłość. Z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej, którą dyrygował Jerzy Swoboda, zagrali: Natan Dondalski na wiołnyczeli i Rafał Kwiatkowski na skrzypcach. Podczas festiwalowego koncertu zabrzmiała muzyka Karłowicza, Haydna, Boccheriniego, Wieniawskiego, Antoniego Dvořaka, Johanna Sebastiana Bacha, Antoniego Vivaldiego.

Organizatorzy festiwalu przypomniaли postać Bronisława Hubermana (1882–1947), genialnego artysty, publicysty i polityka, równocześnie odwołując się do wspaniałych tradycji i osiągnięć w kulturowaniu muzyki i wirtuozerii skrzypcowej w Częstochowie.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Kraina dzieciństwa i baśni

Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie zaprezentowała wystawę „Polska ilustracja dla dzieci”, przygotowaną przez Zamojską Galerię Sztuki. W sali poplenerowej zgromadzono 400 ilustracji wybitnych polskich artystów, które wielu pokoleniom dzieci i młodzieży w naszym kraju urealniały świat literackiej fantazji.

Wystawione prace uświadomiły chyba każdemu zwiędzającemu, jak ogromny wpływ wywarły na naszą wyobraźnię postacie i sceny stworzone nie tylko przez pisarzy, ale i przez artystów plastyków. Widz mógł podziwiać m.in. ilustracje: Waldemara Andrzejewskiego do smutnej historii o królu Maciusiu Janusza Korczaka, Tomasza Borowskiego i jego postacie z bajek Krasiciego, Janusza Grabińskiego, który namalował świat „opisany” przez Marię Konopnicką, Jana Marcina Szancera i jego wciąż piękne ilustracje do smutnych i mądrych baśni Andersena, Edwarda Lutczyna, Józefa Witkonia, Michała Bylina. Dorośli mogli zobaczyć tak ważne postacie ze swojego dzieciństwa jak pocziwego Misia Uszatka stworzonego przez Zbigniewa Rychlickiego, Gucia i Cezara Bogdana Butenki, sympatycznego Kota Filemona autorstwa Julity Karwowskiej-Wnuczak. Wystawa to jednocześnie swoisty przegląd bogatej i różnorodnej literatury dla dzieci. Szkoda, że niektóre tytuły znikły nie tylko z naszej pamięci.

Święto „Niedzieli”

Tygodnik katolicki „Niedziela” obchodził jubileusz 75-lecia istnienia. Historia „Niedzieli” to równocześnie historia diecezji częstochowskiej, którą papież Pius XI powołał do istnienia bullą „Vixdum Poloniae unitas” z 28 września 1925 roku. Z inicjatywy pierwszego biskupa częstochowskiego ks. Teodora Filipa Kubiny w 1926 roku powstał tygodnik katolicki diecezji częstochowskiej — „Niedziela”. Pierwszym redaktorem naczelnym został ks. Wojciech Mondry. Jeszcze przed II wojną światową tygodnik zdobył dużą popularność, a w roku 1929 powstał specjal-

ny dodatek dla dzieci „Mała Niedziela”. Po wojnie nie brakowało dramatycznych chwil w historii tygodnika, do jakich należało m.in. aresztowanie w 1947 przez ówczesne władze państwowe ks. Antoniego Marchewkę, pierwszego po 1945 redaktora naczelnego „Niedzieli”. 15 marca 1953 roku ukazał się ostatni numer pisma: jego wydanie wznowiono dopiero w roku 1981. Redaktorem naczelnym został ks. Ireneusz Skubiś, który prowadzi tygodnik do dzisiaj, oczywiście z „przerwą” na stan wojenny. Na łamach tygodnika publikowali swoje teksty m.in.: Zofia Kossak-Szczucka, Zofia Dragatowa, Bernard Rucicki, ks. Marian Rzeszewski, Antoni Golubiew, Stefan Kisielewski, Stanisław Stomma, ks. Tadeusz Życiński (obecnie arcybiskup).

Dzisiaj „Niedziela” ma prawie milion czytelników, wydawana jest nie tylko w wersji ogólnopolskiej, ale także w 18 edycjach diecezjalnych. Z okazji jubileuszu papież Jan Paweł II wystosował do redakcji „Niedzieli” list, w którym m.in. czytamy: „Życzę, aby rozwój struktur i form zawsze szedł w parze z głębią treści. Niech Wasze pismo spełnia nadzieje, jakie pokłada w nim obecny Pasterz Archidiecezji Częstochowskiej i niech skutecznie przekazuje kolejnym pokoleniom nowego tysiąclecia ponadczasowe wartości duchowe”.

Z okazji jubileuszu odbyła się 22 września V Pielgrzymka Czytelników i Pracowników „Niedzieli” na Jasną Górę. W czasie uroczystego spotkania redakcji tygodnika w auli im. Ojca Kordeckiego w jasnogórskim sanktuarium wręczono medale „Mater Verbi” dla współpracowników „Niedzieli” i osób zasłużonych w propagowaniu prasy katolickiej.

Lwów 2001

W galerii Regionalnego Ośrodka Kultury „Art Foto” częstochowski oddział Towarzystwa Fotograficznego zaprezentował publiczności wystawę „Lwów 2001”. Jest ona rezultatem wspólnego fotograficznego pleneru m.in.: Pawła Wróblewskiego, Jerzego Piwowarskiego, Jacka Kamińskiego, Aleksandra Żakowicza oraz Sławomira Krajasa, który był komisarzem prezentowanej w „Art Foto” ekspozycji.

Niewątpliwym wspólnym mianownikiem czarno-białych fotografii jest ukazanie zmian, jakie zaszły we Lwowie — mieście, w którym, jak w żadnym innym, przeszłość graniczy z teraźniejszością. Artystów interesowała przede wszystkim współczesna ulica i ludzie, na tle zabytkowej architektury miasta. Na prezentowanych fotografiach nie zabrakło oczywiście zdjęć z „polskiego Lwowa”, z miejsc wykutych w pamięci wielu Polaków.

Jednym zdaniem

■ W Ośrodku Promocji Kultury „Gaudium Mater” koncertem zespołu Drum Freaks (w składzie Milo Kurtis, Janusz „Yanina” Iwański, Piotr Iwicki) zainaugurowano nowy sezon artystyczny.

■ W pubie Beczka przy Rynku Wieluńskim w Częstochowie odbył się niezwykle koncert reggae; wspólnie z częstochowskim zespołem Habakuk wystąpili Antoni „Ziut” Gralak, Mateusz Pospieszalski i Muniek Staszczak.

■ W Miejskiej Galerii Sztuki zaprezentowana została malarska twórczość

zmarłego w 1991 Stanisława Łyszczarza — wybitnego plastyka, który swe zawodowe życie związał z Częstochową.

■ Wyższe Seminarium Duchowne w Częstochowie obchodzi rocznicę 50-lecia swojego powstania.

■ Gwazde i akwarele Barbary Szycz można było podziwiać w sali „Kameleon” Miejskiej Galerii Sztuki.

■ W Muzeum Częstochowskim odbyła się wystawa malarstwa młodego częstochowskiego plastyka Sebastiana Kotkowskiego.

Elytomachia

Tym razem będzie o nyskiej Wolnej Grupie Poetyckiej. Jest to formacja szczególna, zakamuflowana niczym sama al Kaida. I nic dziwnego, zważywszy, że nie holduje tak modnemu banalizmowi czy innemu poetyckim modom, ale przywraca do życia oświeceniową tradycję rymowanego paszkwilu z kłuczem. Wolna Grupa Poetycka ma na koncie tylko jedno dzieło zatytułowane „Wojna nyska. Poemat polityczno-pornograficzny o wojnie SLD z Ligą Nyską”. doskonały przykład, wydawałoby się zapomnianej, poezji stosowanej, utylitarnej aż do bólu (przeciwnika, oczywiście).

Ów anonimowy poemat, rozesłany po domach wielu ważnych nysan, ma w intencji autorów przynieść im „Nobla w dziedzinie poezji politycznej w roku 2002”, co skromnie odnotowują na samym końcu parostronicowego dziełka. To oczywiście taki sobie żarcik, mamy tu bowiem do czynienia z mocno obscenicznym paszkwilem, który nie jest obliczony na zdobycie uznania krytyków, ale wyłącznie na pogrzebienie politycznych antagonistów.

„Śląsk” nie jest oczywiście dobrym miejscem do analizowania sytuacji w Nysie, bodaj najbardziej rozpolitykowanym mieście Opolszczyzny, ale „Wojnę nyską” odnotować powinien, bo jest ona czymś naprawdę wyjątkowym. W dobie telewizji, radia, upolitycznionych gazet i internetu ktoś postanawia nagle powrócić do druków ulotnych, pozwalających na zadawanie ciosów poniżej pasa. Co więcej, odrzuca poetykę prymitywnego donosu (a pan radny Y. zdradza żonę z licealistką), ale odważnie sięga po regularnego ośmiozłogowca i rymy żeńskie.

Efekt jest oczywiście przede wszystkim mocno niesmaczny. Czytamy o pewnej urzędniczej (miejscowi pewnie ją zidentyfikowali, o co zresztą autorom chodziło), że uznać ją wypada za „Dupę chętną, zdrową, śwarną / Doświadczoną i ofiarną / Ta choć dosyć była mała / Też na lewo nadstawiała / Figur się nie bała wcale / Ni w poście, ni w karnawale”. Czytamy też o pozytywnym bohaterze poematu, prawicowym burmistrzu Januszu Sanockim: „Mocno go denerwowały / Bolszewików durne pały. / I powtarzał nie na żarty: / „Komuch dobry, ale martwy”. Ta próbka musi nam wystarczyć, choć później była i ostrzej, i zabawniej.

Jaki z tego moral? Pewnie taki, że za kilkadziesiąt lat nikt już nie będzie pamiętał, kto z kim w Nysie wojował, ale całkiem możliwe, że ów ulotny pamflet gdzieś się zachowa i tym samym przetrwa. Bo tak to bywa, że nawet nędzna poezja bywa trwalsza od uchwał nadeptanych rajców, prasowych polemik czy dramatycznych oświadczeń rozgorączkowanych polityków. Kto wie, może w pamięci ostanie się właśnie ów rymowany zapis wojny nyskiej elit, a właściwie — zważywszy knajacki styl dziełka — elyt.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

„Publicystyka” publicystyczna

Nieprofesjonalni filmowcy przestali uciekać w poetyckie klimaty, odważniej niż kiedyś próbują zmierzyć się z naszą rzeczywistością. Tak przynajmniej było na VIII Międzynarodowym Festiwalu Filmów Nieprofesjonalnych „Publicystyka 2001”, który odbył się w Kędzierzynie-Koźlu w dniach 14–16 września.

W konkursie wzięły udział tylko 33 filmy. Jury w składzie Stanisław Puls (członek Światowej Federacji Filmów Nieprofesjonalnych „UNICA”), Paweł Łoziński (znany dokumentalista), Tomasz Drozdowicz (reżyser), Mariusz Wojacek (dokumentalista i reżyser) oraz prof. Erazm Schlagier (publicysta z Austrii) najwyżej oceniło film najdłuższy — 34-minutowy „Poland: The Update” Joanny Saneckiej, Krzysztofa Sakho i Denisa Wojdy z Warszawy. Równorzędną pierwszą nagrodę dostał film „Podłódów” Krzysztofa Karpiuka, opowiadający o tym, jak nastoletni uczniowie liceum lotniczego przełamują lęk przed skokiem ze spadochronem.

Umiejętność czujnego portretowania interesujących ludzi zaprezentowali też autorzy filmów, którym przyznano dwie nagrody drugie: „Leticia” Williama Kvasnaka ze Słowacji opowiadała o starszej, ale wciąż bardzo aktywnej kobiecie, a film „Na krawędzi” Jacka Adamczewskiego z JAAD w Łodzi przedstawiał pensjonariusza schroniska Brata Alberta. Trzecią nagrodę otrzymał film „Dzieci” Marka Kosowca z Tucza — jury pochwaliło go „za wrażliwość w przedstawianiu samotności”. Kędzierzyński przegląd jest z roku na rok coraz bardziej popularny — w tym roku ze swoimi filmami przyjechali artyści z Austrii, Niemiec, Słowacji, Macedonii i Włoch.

Era bujania

Jamejska gwiazda reggae, zespół „Dub Syndicate”, był główną gwiazdą festiwalu „Nowa Era” zorganizowanego 30 września przez Miejski Ośrodek Kultury w Opolu. Impreza była reklamowana jako największy festiwal reggae w kraju. Śluszenie, bo akurat w tym roku inne imprezy o tym charakterze odwołano.

Miłośnicy pozytywnych wibracji z Jamajki mogli posłuchać 9 zespołów, w tym Bakshishu i „Dub O Net” z Czech. Na koncercie otwierającej imprezę opolskiej formacji „Świt” było raczej pustawo. Amfiteatr zaczął się zapełniać dopiero po zmroku. O 1.00 w nocy, gdy „Dub Syndicate” kończyli swój dwugodzinny występ, na widowni falował półtoratisięczny tłum.

Jednym zdaniem

■ Dyrektor opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki Krystian Kobylka został tegorocznym laureatem Nagrody im. Jana Dorna — został uhonorowany za „znakomite wyreżerowanie własnych spektakli” oraz twórcze przygotowanie Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Lalek, które odbywają się co dwa lata w Opolu.

■ Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu przygotowała pierwszą wystawę prac malarzkich Beaty Wewiórki i Edwarda Szczapowa.

■ Zespoły „Białara”, „Jahiar Group” i „Argile” wzięły udział w koncercie Rytm Ziemi, zorganizowanym przez Miejski Ośrodek Kultury w Opolu w ramach cyklu imprez pod hasłem Blżej Kultur.

— Chcemy, by „Nowa Era” była imprezą cykliczną. Opole nie musi się przecież kojarzyć wyłącznie z Krajowym Festiwalem Piosenki Polskiej. Z naszych doświadczeń wynika, że największe tłumy walą na występy grup reggae i formacji hip hopowych — podsumował festiwal Jarosław Kowalczyk, lider Bakshishu a zarazem pracownik MOK-u.

Franciszkanie w akcji

Tłumy opolan zjawily się na II Jarmarku Franciszkańskim, zorganizowanym w ostatni weekend września przez Stowarzyszenie na rzecz Renowacji Klasztoru oo. Franciszkanów i Estradę Opolską. Ojciec Krescencjusz, gwardian klasztoru, zdecydował się rok temu na zorganizowanie jarmarku, by nagłośnić kwestę na rzecz remontu kościoła.

— Choć kwesta jest dla nas najistotniejsza, jarmark okazał się być imprezą tak udaną, że będziemy go organizować co roku — twierdzi ojciec Krescencjusz.

W tym roku jarmark miał bardzo bogatą ofertę. Oprócz kramów, gdzie można było między innymi kupić produkowane przez zakonników lecznicze nalewki, na Placu Wolności stanęła pokazna scena, na której prezentowały się zaproszone zespoły. Imprezę wsparły opolskie VIP-y — dewocjonaliami osobiście handlował Ryszard Zembaczyński, były wojewoda, który stoi na czele stowarzyszenia ratującego franciszkańską świątynię.

Powódź łez

Wśród artystów wyróżnionych przez jury XIV Przeglądu Piosenki Turystycznej i Poezji Śpiewanej „Wrzosowisko” znalazła się grupa „Kury” z Rybnika, nagrodzona za „odrobinę uśmiechu w powodzi zalewających scenę łez”. Wyszło na to, że artystów mamy generalnie raczej ponurych i sentymentalnych.

— W kuluarach mówiono, że z pierwszego członu nazwy festiwalu można by w zasadzie zrezygnować, bo piosenki turystycznej było jak na lekarstwo — twierdzi Alicja Gorgowicz, dyrektorka Domu Kultury w Koźlu, gospodarz imprezy.

Jury oczywiście jest weselsze od rozpozyszowanych śpiewaków — wspomniało o tym, że „mimo całkiem sympatycznej wrześniowej pogody większość utworów przepełniona była listopadowym smutkiem”. Jurorzy nie przyznali tym razem Grand prix. Pierwszą nagrodę otrzymał Paweł Solecki z grupą z Krakowa, drugą nagrodę otrzymała grupa „Mamy dobry konieć” z Bydgoszczy, a trzecią zespoły: „Nota bene” z Bydgoszczy i „Wielki huczący dom” z Kędzierzyna-Koźla (bodaj jedyny zespół, który skusił się na wykonanie piosenki turystycznej).

Dla amatorów tego typu klimatów poziom przeglądu nie był jednak najważniejszy. Oni i tak najlepiej bawią się na koncertach finałowym, na którym grają zaproszone gwiazdy. Tym razem do białego rana publiczność zabawiała takie grupy jak: „Czerwony Tulipan” z Olsztyna i „Nic wielkiego” z Warszawy.

■ Opolski zespół grający symfoniczny metal Asgard wydał płytę „Ex Oriente Lux”.

■ Grand prix Pierwszego Przeglądu Zespołów Amatorskich Amfiteatr 2001 zdobył opolski zespół „Kultórwa”, pierwsza nagroda przypadła grupie „T.M.T.”, dwa wyróżnienia formacjom „Vizja” i „Zberny 3000”.

■ W Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu oglądać można było wystawę „Polska współczesna książka artystyczna”, zrealizowaną w oparciu o autorski projekt Teresy Piaseckiej.

■ „Moje ikony” to cykl prac częstochowskiego artysty Dariusza Słoty, zaprezentowany w Galerii Autor przy opolskim Ryнку.

Nie tylko o opolskiej mniejszości

4 października odbyła się w auli czesko-cieszyńskiego Polskiego Gimnazjum konferencja „Mniejszości narodowe na Śląsku Cieszyńskim dawniej i dziś”. Organizatorami konferencji były Centrum Pedagogiczne ds. Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego (PCP) oraz Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków.

Swego rodzaju wstępem do tematyki konferencji był pierwszy z wygłoszonych referatów, w którym prof. Wojciech Morawski z Uniwersytetu Warszawskiego przedstawił postępowanie XIX-wiecznej monarchii habsburskiej wobec narodów żyjących w obrębie tego kraju. Zajął się on także omówieniem kierunków działalności politycznej i ambicji grup narodowych, które miały wpływ na kształtowanie historii dzisiejszego czesko-polskiego pogranicza. O Żydach - mniejszości, której dziś na terenie Śląska Cieszyńskiego praktycznie już nie ma i pozostały po niej tylko zabytki - mówił dr Janusz Spyra z Muzeum w Cieszynie. Zmiany liczebności ludności polskiej na tych terenach w oparciu o wyniki spisów ludności omówił dr Stanisław Zahradnik. Wyszczególnił on również w swym przyczynku pt. „Od większości do mniejszości” niektóre czynniki wpływające na wynaradawianie miejscowych Polaków.

Po dyskusji, która podsumowała pierwszą część konferencji, wystąpił dr Krzysztof Nowak z informacjami nt. ruchu ślązackowskiego oraz postaci jego lidera, a zarazem burmistrza Cieszyńskiego Cieszyna w latach międzywojnia, Józefa Koźdonia. Duże zainteresowanie wzbudził również przybytek doc. Niny Pavelčikowej z Uniwersytetu Ostrawskiego poświęcony mniejszości romskiej na terenach Cieszyńskiego i Ostrawskiego. Zabrzmił w nim szereg bardzo mało znanych informacji o sprawowaniu Romów na nasze tereny i polityce władz państwowych i lokalnych wobec tej grupy ludności.

Opawski Instytut Śląski reprezentowali dyrektor tej placówki historyk doc. Rudolf Zächek oraz dr Gabriela Sokolowa prowadząca w Opawie badania socjologiczne. W referacie R. Zächeka zabrzmiała analiza międzynarodowej i wewnętrznej sytuacji politycznej rzutującej na politykę Czechosłowacji wobec mniejszości w latach 1945-48.

Referaty prof. Jadwigi Pacheckiej z Uniwersytetu Warszawskiego i Andrzeja Króla ze Śląskiego Kuratorium Oświaty w Katowicach wyczerpały program konferencji. J. Pacheczka na licznych przykładach zaprezentowała tematykę gwar na pograniczu wielu kultur oraz zmian w stosunku opinii publicznej do używania gwary m.in. przez polityków i literatów. A. Król podzielił się swymi doświadczeniami z praktycznej współpracy polsko-czeskiej - szczególnie zaś w kontaktach między szkołami i nauczycielami na terenach pogranicza w ciągu ostatniej dekady.

Kierownik Ośrodka Dokumentacji Kongresu Polaków Józef Szumiec, który prowadził konferencję podkreślił w podsumowaniu całonocnych obrad, że celem takich spotkań jest nie tylko wymiana wyników pracy naukowej, ale też ich popularyzacja.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Poznaj Polskę...

Wyprawa polskich uczniów z karwińskiego Liceum Medycznego do Krakowa zakończyła 27 września piątą już edycję programu edukacyjnego Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC, w ramach którego organizowane są dla dzieci i młodzieży z zaolziańskich polskich szkół podstawowych i średnich wycieczki do Polski. Szkoły mogły wybrać z trzech tras: do Krakowa, Bielska-Białej i Pszczyny oraz Oświęcimia i Chorzowa. Najlepsi uczniowie podstawówek wyjechali ponadto w czerwcu w nagrodę na cztery dni do Warszawy.

Jak poinformował wiceprezes TNP Stanisław Folwarczyn, w tym roku z oferty Towarzystwa skorzystało ponad 500 młodych Zaolziaków. Najwięcej wypraw, bo aż 7, wyjechało do Bielska i Pszczyny, 6 - do Krakowa, a 5 zwiedziło obóz zagłady w Oświęcimiu oraz chorzowski planetarium.

Poezja w »Baszcie«

W ostatni weekend września żyli mieszkańcy Cieszyna imprezą pn. „Skarby z cieszyńskiej trójką”. Przebiegała ona pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP, a zorganizował ją wydział edukacji i kultury Urzędu Miejskiego. Przez trzy dni można było zatem zwiedzać liczne wystawy, był dzień otwarty Biblioteki Miejskiej, warsztaty i spektakle teatralne, pokazy multimedialne, wykłady, koncerty...

Nie zabrakło też poezji. W kawiarni „Baszta” na Wzgórzu Zamkowym spotkali się w sobotnie popołudnie poeci z obu stron Olzy na „Rozmówkach polsko-czeskich”. Organizatorem poetyckiego wieczoru było - wspólnie z Biblioteką Miejską oraz wspomnianym już wydziałem edukacji i kultury UM - również zaolziańskie Zrzeszenie Literatów Polskich w RC.

Oprócz poetów z ZLPC oraz cieszyńskiego Klubu Literackiego „Nadolzie”, czytali swoje utwory także goście - Michał Bukowski z Wiednia, Wiesław Malicki z Opola, o swoich książkach żeglarskich mówił Zbysław Śmigieński z Zabrza, zabrzmiały pieśni do słów znanych i mniej znanych poetów w wykonaniu gitarzysty Mariusza Śniegulskiego. Rozmawiano też o przekładach poezji polskiej i czeskiej i o tłumaczach, Wilhelm Przeczek zaś poinformował słuchaczy o polsko-czeskich tomikach poetyckich, które się ukazały w ostatnich latach.

Co słysząc u R. Putzlacher?

Bardzo pracowicie spędza ostatnio czas mieszkająca obecnie w Brnie poetka i kierownik literacki Sceny Polskiej Teatru Cie-

szyńskiego, Renata Putzlacher. Z okazji abrahamowin Sceny (uroczystość 50-lecia SP odbyła się w sobotę 20 października br.) przygotowała obszerną publikację jubileuszową. Tłumaczyła też na język czeski wiersze polskich poetek Ewy Lipskiej i Marzanny Bogumily Kielar, które wspólnie z poetą Marianem Grześczakiem były gośćmi rozpoczynającego się 17 października w Ołomuńcu międzynarodowego festiwalu pn. „Poezja bez granic”.

„Nie zapominam jednak również o własnej twórczości” - mówi R. Putzlacher. „We wrześniu wyjechałam do Katowic, gdzie w gmachu Biblioteki Śląskiej odbyła się uroczysta promocja najnowszego mojego tomiku poetyckiego »Pomiędzy«. W teatrze »Banaluka« w Bielsku-Białej z kolei odbyła się premiera czwartej już przetłumaczonej przeze mnie dla polskich teatrów sztuki, »Jabloneczki« Karla Jaromira Erbena... Obecnie zaś przymierzam się do własnego wieczoru autorskiego w ramach tradycyjnego brneńskiego festiwalu poezji »Potulny dźwięk«, gdzie będę prezentować wiersze z nowego zbioru”.

Osobnego spotkania promocyjnego zbioru „Pomiędzy” w Cz. Cieszynie R. Putzlacher nie planuje. Jej tomik będzie można jednak nabyć w ramach kolejnego wieczoru w Kawiarni AVION, który zorganizują wspólnie - w niedzielę 11 listopada - Kongres Polaków w RC, Teatr Cieszyński i Towarzystwo AVION. „Z tej okazji chcielibyśmy wraz z Bogdanem Trojakiem przedstawić nową, poszerzoną wersję polsko-czeskiego programu »GENIUS LOCI (GENIUSZ LOCE?) Śląska«, który w ubiegłym roku nasi aktorzy i muzycy zaprezentowali z wielkim powodzeniem w Brnie i Pradze” - dodała poetka.

O kondycji Zaolzia

Prof. Karol Daniel Kadłubiec jest w trakcie realizacji kolejnej pracy naukowej poświęconej problematyce Zaolzia. Pracę tę, która miałaby się pokazać w roku 2004, finansuje polski Komitet Badań Naukowych.

Jak K. D. Kadłubiec powiedział zaolziańskiemu „Głosowi Ludu”, tym razem jego badania dotyczyć będą współczesności kulturowej Polaków żyjących w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego. Zamierza stwierdzić, jakim zmianom i pod wpływem jakich czynników ulega zaolziańska tradycja kulturowa i jej dziedzictwo.

„Generalnie jest to próba odpowiedzi na pytanie, dokąd zmierza nasza mniejszość narodowa” - powiedział K. D. Kadłubiec. „Przy okazji chcę podkreślić, że podstawą każdego narodu i mniejszości narodowej są dwa czynniki obiektywne - język i kultura. Jeżeli język zanika, to i kultura zanika. A to z kolei jest symptomem zaniku narodu i społeczności narodowej. Toteż dbałość o rangę języka i rangę kultury jest podstawowym wysiłkiem zapewniającym trwanie tak całego narodu, jak i społeczności narodowej”.

Jednym zdaniem

■ Światowej sławy seksuologowie - Zbigniew Lew-Starowicz z Warszawy oraz jego praski kolega Radim Uzel - byli gośćmi obchodów 10-lecia istnienia Polskiego Towarzystwa Medycznego w RC.

■ Również w Karwinie - rodzinnym mieście Gustawa Morcinka - obchodzone w dniach 21 i 22 września 110. rocznicę urodzin tego polskiego pisarza.

■ Już druga impreza turystyczna dla uczniów polskich szkół podstawowych - Złoty Rajd - zorganizował w tym roku we wrześniu trzyniecki Klub Kultury.

■ Zaolziańskie polskie i czeskie zespoły folklorystyczne uświetniły 23 września obchody 150. rocznicy założenia w Jablonkowie klasztoru Konwentu Sióstr Elżbietanek. W uroczystości wziął udział bp František Václav Lobkowicz.

■ Piotr Horzyk - poeta i prezes trzynieckiego Grupy Literackiej '63 był gościem wrześniowego spotkania w jablonkowskiej literackiej Kawiarence „Pod Pegazem”.

■ Poeta Wilhelm Przeczek został laureatem głównej nagrody w konkursie „Księżyc nad moim miastem”, ogłoszonym przez Dom Kultury w Żyrdardowie. Wyróżnienia w konkursie, którego patronem był Paweł Hulka-Laskowski, przyznano

dalszym Zaolziakom - Lucynie Przeczek-Waszkowej oraz Markowi Słowiaczkowi.

■ Klub Młodych działający przy MK PZKO w Bukowcu wystawił 29 września dwa akty gwarowej sztuki Władysława Młynka „U nas doma”.

■ W Bibliotece Regionalnej w Karwinie otwarto wystawę pn. „Polska książka na Śląsku Cieszyńskim”. W pierwszej części wystawy zebrano książki wydane do roku 1850 (najstarsza - z 1716 r.), w drugiej - do roku 1920, w trzeciej - do 1945, w ostatniej - wydawnictwa najnowsze.

■ Wykładowcy Akademii Muzycznych w Poznaniu i Bydgoszczy - Grażyna Nei i Elżbieta Wotrkwaska oraz dyrygent Przemysław Palka - prowadzili warsztaty dla chórzystów i dyrygentów, zorganizowanych przez Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne przy ZG PZKO.

■ Polscy fotograficy z obu stron Olzy spotkali się w dniach 6-14 października na pierwszym wspólnym plenarze w Łomnej Górnej.

■ Koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” zorganizowała pod koniec września w Bystrzycy tamtejsza Polska Szkoła Podstawowa im. Stanisława Hadyny.

Nie pomógł duch Korfantego

Pierwszy raz w życiu postanowiłem napisać parę słów do redakcji czasopisma. Zdobyłem się na to, ponieważ jestem do głębi poruszony tym co dzieje się w naszym regionie z rodzimą poligrafią. Oto z dnia na dzień zamyka się i likwiduje największą drukarnię w Katowicach, drukarnię, której korzenie powstania sięgają czasów walki o polskość, o słowo drukowane w języku polskim. Drukarnię, którą przecież stworzył sam Wojciech Korfanty.

Walczy się o zamykanie kopalnie, hutę, czy inne zakłady, a w tej sprawie nic. Kompletna cisza w mediach. Ukazał się jedynie 9.07.2001 roku artykuł w „Dzienniku Zachodnim” Pani Stanisławy Warmbrand pod znanym tytułem „Żegnaj Drukarnio”. Zapytanie pewnie, dlaczego tak późno zdecydowałem się na napisanie tego listu? Odpowiadam - jestem wieloletnim pracownikiem branży poligraficznej, po cichu liczyłem jeszcze na to, że tą sprawą zainteresują się osoby kompetentne, ale, niestety, pomyliłem się.

Po przeczytaniu tego artykułu muszę w paru zdaniach podzielić się z Państwem moimi odczuciami. Stwierdzam z przykrością, że artykuł podawał prawdziwe informacje kiedy był pisany i miał być wydrukowany (to znaczy w maju br.). Znam termin jego powstania i tym bardziej byłem zdziwiony, kiedy w kolejnych wydaniach „Dziennika Zachodniego” nie mogłem go odnaleźć.

Czytam „Dziennik Zachodni” od prawie 40 lat. Nicobce zatem są mi różnego rodzaju konflikty z ówczesną cenzurą, która nie dopuszczała wszystkiego do druku, ale teraz! Artykuł ten nie wchodząc w oznaczonym terminie do druku przestał być aktualny, a informacje podane czytelnikowi były prawdziwe tylko w dwóch kwestiach: rysu historycznego i sytuacji poligrafii na Śląsku. Już na wstępie informacja podana w nadtytuł jest nieprawdziwa. Zamknięcie Drukarni nastąpi jeszcze w tym roku (grudzień) lub na początku 2002 roku, a nie jak podano w ciągu dwóch lat. Na bieżąco trwa demontaż maszyn i urządzeń poligraficznych, przesuwa się druk tytułów do drukarni w Kielcach, szkoli się ludzi z tamtego regionu (ludzi nie związanych z poligrafią), mając tę świadomość, że przecież z załogi katowickiej i tak niewiele osób zdecyduje się na przejście do pracy w tamtym regionie. Nie będę rozwodził się na temat podpisanych porozumień związkowych z nabywcą drukarni, bo nie czas i miejsce ku temu, ale sposób postępowania z tą Drukarnią i z tą załogą wola o pomstę do nieba i powinni go poznać także wszyscy czytelnicy prasy codziennej.

Cofnę się w czasie do lat 1990/1991. Następuje likwidacja koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w skład którego wchodziła także katowicka drukarnia. Na fali przemian załoga drukarni postanowiła sama zadbać o swój los i usamodzielić się zakładając Spółdzielnię (co

*z listów
do redakcji*

też uczyniło parę zakładów w kraju). Efekt... żaden. Sprawy rejestracji w sądzie przeciągały się, papiery gdzieś utknęły i bez zapowiedzi następuje prywatyzacja w takiej kolejności, jak podaje wydrukowany artykuł - 1 maja 1991 Fibak Sport S.A., od 1993 Fibak Noma S.A., z datą 1 stycznia 1994 Fibak Marquard S.A., a od 1 sierpnia 1997 roku Marquard Press S.A. Drukarnia w tym okresie przechodziła różne koleje losu, ale najlepsze czasy, tak nam się przynajmniej wydawało, nastąpiły od sierpnia 1997 roku. Właściciel szwajcarski zmienia technologię, wzbogaca park maszynowy drukarni, załoga podnosi kwalifikacje i z dnia na dzień staje się jedną z lepszych firm poligraficznych w kraju, mającą ustaloną renomę. Drukuje się dla wydawców krajowych i zagranicznych. Załoga pod względem przygotowania poligraficznego, rozumienia prawideł rynku, porównywalna jest z firmami zachodnimi. Ale w tym „pięknym okresie” przestaje się nagle drukować prasę naszego regionu tj. „Trybunę Śląską”, „Dziennik Zachodni” oraz inne tytuły. Przejmują je drukarnie z Małopolski. Rozumiem kwestie ekonomiczne, ale pytam: gdzie tradycje, gdzie historia regionu? Dlaczego pozwolono i przystano na zmiany w technologii eliminując druk gazetowy?

No i wreszcie, jak w każdym dramacie, następuje finał. Załoga drukarni, ten największy jeśli można tak powiedzieć „skarb właściciela” prywatnego, z dnia na dzień dowiaduje się (oczywiście w bardzo nowoczesny sposób) poprzez Internet, że została sprzedana Grupie Baringa i Spółce Poligrafia S.A. z siedzibą w Kielcach.

W swej śląskiej naiwności wierzone, że Drukarnia pozostanie w Katowicach, zostanie rozbudowana w naszej strefie ekonomicznej i będzie funkcjonowała jako Poligrafia Bis. Ale gdzie tam, na kolejnych spotkaniach dowiedziano się, że drukarnia powstanie, ale... w Starachowicach, w tamtejszej strefie ekonomicznej. Zrobiono to oczywiście jak w latach poprzednich bardzo szybko, zachowując wszelkie aspekty prawne, ale nie dając załozce czasu na przemyślenia i na jakiegokolwiek konkretnie działania.

Pozostawiono po prostu przenieść nas, Ślązaków, oraz naszą drukarnię na ziemię kielecką. Ludzi mających tutaj swoje „korzenie”, rodziny, swój dorobek życiowy. Oczywiście proponuje się pracę w Starachowicach, ale jak można w tak krótkim czasie podejmować taką

decyzję, która jest przecież nowym krokiem w życiu. Mając parę lat do emerytury człowiek musi się zastanowić czy wszystko zmieniać, czy zaczynać wszystko od nowa. A to nowe to niewiedza - drukarnia w budowie, brak mieszkań, nieznajomość regionu, nowi ludzie i otoczenie. Ile: 5, 10 czy 15% załogi przeniesie się w nowe otoczenie. A co z resztą? Zostaną zwolnieni, dostaną odpawy, przejdą na świadczenia, zasila kadre małej poligrafii, lub szeregi bezrobotnych?

Jednym pociągnięciem marnuje się dorobek wielu lat pracy, rozbija się wspaniałą kadre poligraficzną, wychowywaną przecież i szkoloną przez fachowców przedwojennych oraz tych, którzy już zostali wprowadzeni w arkana „czarnej sztuki” przez nasze pokolenie.

Tak oto zamknęło się kolo historii. Drukarnia, która była zawsze ostoją patriotyzmu i polskości, która funkcjonowała w latach realnego socjalizmu, która potrafiła odnaleźć się w warunkach kapitalistycznych, nagle zostaje likwidowana. Nie wierzę i nie jestem odosobniony w tym, że nic nie można było zrobić, aby stała w naszym regionie, w naszej strefie ekonomicznej.

Pozwolę sobie jeszcze Czytelnikom dopowiedzieć, że koniec z końcem wiąże Cartotechnica, dawne Katowickie Zakłady Graficzne, drukarnia dzielowa, w swoim czasie jedna z nowoczesniejszych i większych drukarni dzielowych w Polsce. Nie ma już także drukarni w Bytomiu, inne również dawno pozamykano. Na placu boju pozostaje tylko Drukarnia im. Karola Miarki, dzisiejszy Tolek w Mikołowie oraz pomniejsze firmy wyrosłe na gruzach naszego rynku. Co się dzieje? Z regionu o potężnym potencjale poligraficznym, z centrum poligraficznego stajemy się z dnia na dzień „zaściankiem”. Czy nikt tego nie widzi?

Wiem, że odpowiedź ludzi interesu będzie jedna: ekonomiczne prawa rynku, koszty produkcji, rentowność itp. Ale ja zapytam, co z regionem, na którym pozostanie pustynia po przemyśle ciężkim i lekkim, a w którym w końcu niszczy się także branża poligraficzna, której wytworem jest słowo drukowane, które dociera do wszystkich, nawet w obecnym czasie wszechwładnego komputera i internetu.

Dla Państwa i Czytelników będą to słowa człowieka rozżalonego, może za bardzo „katastroficzne”, ale po paru dziesiątkach lat pracy w branży nie mogę spokojnie na to wszystko patrzeć. Może wydrukujecie mój list na Waszych łamach, dlatego pozwolę sobie w zakończeniu zadać pytanie ludzimu reprezentującym władze naszego regionu: **Dlaczego dopuściliście do tego? ... Czy przez te lata nie interesujecie się innymi branżami produkcyjnymi poza tymi „najważniejszymi”? Czy naprawdę taka gałąź przemysłu jak poligrafia nie interesuje władz regionu?**

Jeśli nie, to jest mi bardzo smutno i przykro.

(nazwisko i adres
do wiadomości redakcji)

IZBA BUDOWNICTWA Z SIEDZIBĄ W KATOWICACH



40-955 Katowice, ul. Bytkowska 1 b
tel. (0-32) 2589 000, tel./fax: (0-32) 2587 738



- **ZRZESZA** przedsiębiorstwa, spółki prywatne, spółki akcyjne zajmujące się wykonawstwem, produkcją oraz sprzedażą materiałów i wyrobów dla budownictwa; firmy i agencje projektowe; korporacje usług inżyniersko-realizacyjnych, finansowych, doradczych i badawczych w dziedzinie budownictwa; szkoły budowlane.
- **ORGANIZUJE** dostęp do różnych źródeł informacji kredytowej, handlowej, podatkowej, celnej i technicznej służąc profesjonalnym doradztwem i szkoleniem.
- **INICJUJE** kontakty firm członkowskich z inwestorami, producentami i handlowcami w kraju i za granicą.
- **UDZIELA** firmom członkowskim referencji przy starcie w przetargach, ubieganiu się o kredyty i kontrakty eksportowe.



UWAGA KOMUNIKAT!
Zmiany w połączeniach międzymiastowych.

1033

**w międzymiastowej,
między zerem i kierunkowym
w sieci TP S.A.**

Zgodnie z decyzją ministra łączności, zmienia się sposób wybierania numerów międzymiastowych. Od 1 lipca rozmowa międzymiastowa w sieci TP S.A. jest możliwa, gdy po zerze, po sygnale, a przed numerem kierunkowym wybierzemy numer dostępu – 1033. Zawsze po zerze, a przed numerem kierunkowym. Po informacje prosimy dzwonić: Linia Bezpłatna 0-800 1033 00. Zmiany nie dotyczą połączeń międzynarodowych, komórkowych i realizowanych w aparatach publicznych TP S.A.